

DENNIS LEHANE

# NOCNE ŻYCIE

(PRZEŁOŻYŁA: MACIEJKA MAZAN)

Dla Angie  
jechałbym całą noc...

Ludzi służących Bogu i wojnie łączy dziwne powinowactwo.

Cormac McCarthy, „Krwawy południk”

Za późno, żeby być dobrym.

Lucky Luciano

CZĘŚĆ I

BOSTON

1926-1929

# ROZDZIAŁ 1

## NOCNY MAREK W MIEŚCIE RANNYCH PTASZKÓW

Parę lat później na holowniku w Zatoce Meksykańskiej stopy Joego Coughlina zostały zanurzone w kubie pełnym betonu. Dwunastu rewolwerowców stało, czekając, aż wypłyną dalej w morze, żeby wyrzucić go za burzę, a Joe słuchał warkotu silnika i patrzył na białą kipieli za burzą. I przyszło mu do głowy, że niemal wszystko, co godne zainteresowania w jego życiu – dobre czy złe – spotkało go, ponieważ poznał Emmę Gould.

Poznali się tuż po świcie w 1926 roku, kiedy Joe wraz z braćmi Bartolo okradli kasyno na tyłach spelunki w południowej części Bostonu. Nie mieli pojęcia, że lokal należy do Alberta White'a. Gdyby wiedzieli, pewnie rozbiegliby się w trzech różnych kierunkach, żeby jeszcze bardziej utrudnić pościg.

Weszli po tylnych schodach bez przeszkód; żadnych incydentów, przedostali się przez pusty bar. Wraz z kasynem zajmował zaplecze magazynu meblowego w dokach; szef Joego, Tim Hickey, przysięgał, że właścicielami budynku są jacyś nieszkodliwi Grecy, niedawno przybyli z Maryland. Ale kiedy Joe i bracia Bartolo weszli do kasyna, ujrzeli – szła pełną parą – partię pokera, pięciu graczy pijących bursztynowy kanadyjski trunk w ciężkich kryształowych szklankach i siną chmurę dymu nad nimi. Oraz stertę pieniędzy na środku stolika.

Żaden z mężczyzn nie wyglądał na Greka. Zwłaszcza nieszkodliwego. Ich marynarki wisiały na oparciach krzeseł, a zatem kabury na biodrach były doskonale widoczne. Kiedy Joe, Dion i Paolo weszli z wyciągniętymi pistoletami, żaden z graczy nie sięgnął po broń, ale widać było, że paru o tym myśli.

Jakaś kobieta przyniosła drinki. Odstawiła tacę, wzięła papierosa z popielniczki i zaciągnęła się z taką miną, jakby chciało jej się ziewać na widok wycelowanych w nią trzech pistoletów i zamierzała poprosić o coś bardziej emocjonującego.

Joe i bracia Bartolo mieli kapelusze naciągnięte na oczy, a twarze zasłonięte czarnymi chustkami. Dobrze, bo gdyby ktoś z obecnych ich rozpoznał, mieliby szczęście, gdyby pożyli jeszcze z pół dnia.

Tim Hickey powiedział, że to będzie bułka z masłem. Trzeba ich zaatakować o świcie, kiedy w kasynie zostanie tylko paru głąbów z utargiem.

Nie wspominał o pięciu grających w pokera bandytach.

– Wiesz, kto jest tutaj właścicielem? – spytał jeden z nich.

Joe go nie znał, ale znał faceta, który siedział obok – Brenny'ego Loomisa, byłego boksera; należał do gangu Alberta White'a, największego rywala Tima Hickeya w przemyśle alkoholu. Ostatnio krążyła plotka, że Albert zbiera karabiny maszynowe Thompsona na zbliżającą się wojnę. Wybierz swoich sprzymierzeńców albo trumnę, powiadano.

– Niech nikt nic nie kombinuje, a wszystko dobrze się skończy – rzucił Joe.

– Spytałem, ty głupi wale, czy wiesz, kto tutaj rządzi – odezwał się znowu sąsiad Loomisa.

Dion Bartolo uderzył go w usta pistoletem – tak mocno, że mężczyzna spadł z krzesła, zakrwawiony. Zrobił to, dając pozostałym do zrozumienia, że też mogliby tak skończyć.

– Wszyscy z wyjątkiem dziewczyny na kolana – rozkazał Joe. – Ręce na głowę, spleść palce.

Brenny Loomis spojrzał mu prosto w oczy.

– Po wszystkim zadzwonię do twojej mamy, chłopcze. Proponuję, żeby cię ubrała do trumny w ciemny garnitur.

Loomis, kiedyś klubowy bokser i sparring partner Wrednego Mo Mullinsa, miał podobno łapę twardą jak worek kul bilardowych. Był cynglem Alberta White'a. Nie zabijał ludzi wyłącznie dla zarobku. Plotka głosiła, iż chciał zasugerować Albertowi, że gdyby ta funkcja miała się stać zajęciem na pełen etat, to on ma pierwszeństwo.

Joe nigdy nie doświadczył takiego strachu jak wtedy, gdy spojrzał w małe piwne oczka Loomisa, ale wskazał mu bronią podłogę, bardzo zdziwiony, że ręka mu się nie trzęsie. Brendan Loomis zaplótł ręce za głowę i ukląkł; inni poszli w jego ślady.

– Panienska tu podejdzie – powiedział Joe do dziewczyny. – Nie zrobimy panience krzywdy.

Zdusiła papierosa w popielniczce i spojrzała na niego, jakby zastanawiała się, czy nie zapalić następnego, albo może zrobić sobie drinka. Podeszła – dwudziestoletnia, prawie jego rówieśnica, o oczach jak lód i cerze tak przejrzystej, że niemal widać było przez nią krew i tkanki.

Joe patrzył na idącą do niego dziewczynę. Bracia Bartolo uwalniali graczy od broni. Pistolety spadały z łoskotem na pobliski stolik do blackjacka, ale dziewczyna nawet nie

drgnęła. W szarości jej oczu płonął ogień.

Podeszła wprost pod lufę i spytała:

– Co życzy sobie ukraść szanowny pan?

Joe podał jej jeden z dwóch płóciennych worków, który przynieśli.

– Poproszę pieniądze na stole.

– W tej chwili.

Ruszyła w stronę stołu, a tymczasem Joe wyjął z drugiego worka kajdanki i rzucił worek do Paolo. Ten pochylił się przy pierwszym graczu, skuł mu ręce na plecach i zajął się następnymi.

Dziewczyna zgarnęła pulę ze stolika – Joe zauważył, że wśród pieniędzy znajdują się także zegarki i biżuteria – po czym zebrała stawki. Paolo skuł wszystkich mężczyzn i zaczął zakładać im kneble.

Joe rozejrzał się po pokoju – ruletka, przy ścianie pod schodami stół do gry w kości. Naliczył trzy stoliki do blackjacka i jeden do bakarata. Sześć jednorękich bandytów w głębi pomieszczenia. Niski stół z tuzinem telefonów, a za nim tablica z wynikami z wczorajszej dwunastej gonitwy na wyścigach w Readville. Jedynymi drzwiami oprócz wejściowych były te z napisaną kredą literą T jak „toaleta”. To akurat nic dziwnego, kiedy ludzie piją, muszą sikać.

Ale kiedy Joe szedł przez bar, widział dwie łazienki, które z pewnością by wystarczyły. A na tych drzwiach znajdowała się kłódka.

Spojrzał na Brenny’ego Loomisa – leżał na podłodze zakneblowany, lecz przyglądał się mu uważnie. I w chwili, gdy zobaczył kłódkę, Joe zrozumiał – ta łazienka nie jest łazienką.

To pokój, w którym trzymane są pieniądze.

Pieniądze Alberta White’a.

Sądząc po tłumach, jakie pojawiły się w kasynach Hickeya przez ostatnie dwa dni – pierwszy zimny weekend października – Joe podejrzewał, że za tymi drzwiami znajdzie małą fortunę.

Małą fortunę Alberta White’a.

Dziewczyna podeszła do niego z workiem pieniędzy.

– Pański deser – powiedziała, podając mu go. Jej spojrzenie wytrącało go z równowagi – ona nie patrzyła na niego, tylko przez niego. Był pewien, że widzi jego ukrytą pod chustką twarz. Kiedyś podejdzie do niej, żeby kupić papierosy, a ona wrzaśnie: „To on!” Nie zdąży nawet zamknąć oczu, zanim przesyją go kule.

Wziął worek i pokazał jej kajdanki, kołyszące się na jego palcu.

– Panienska się odwróci.

– Tak jest, proszę pana. W tej chwili. – Odwróciła się i skrzyżowała ręce na plecach. Kostki jej palców wparły się w krzyż, opuszki zawisły nad tyłkiem. Joe uświadomił sobie, że w tej chwili nie powinien myśleć o niczym tyłku. Koniec, kropka.

Zatrzasnął kajdanki na jej nadgarstku.

– Będę delikatny.

– Niechże się pan nie powstrzymuje ze względu na mnie. – Zerknęła na niego przez ramię. – Tylko proszę nie zostawić śladów.

Jezus.

– Jak się nazywasz?

– Emma Gould. A ty?

– Poszukiwany.

– Przez wszystkie dziewczyny, czy tylko wymiar sprawiedliwości?

Nie mógł zajmować się nią i jednocześnie mieć pokoju na oku, więc odwrócił ją twarzą do siebie i wyjął z kieszeni knebel. Tak naprawdę była to męska skarpetka – jedna z tych, które Paolo Bartolo ukradł z Woolwortha, gdzie pracował.

– Chcesz mi włożyć skarpetkę do ust.

– Tak.

– Skarpetkę. Do ust.

– Nieużywaną. Słowo.

Uniosła brew – w tym samym odcieniu mosiądzu, co jej włosy, miękką i lśniącą jak gronostaje.

– Nie okłamałbym cię. – Joe poczuł, że mówi prawdę.

– Tak zwykle mawiają kłamcy. – Otworzyła usta jak dziecko, które czeka na łyżeczkę lekarstwa, a Joe chciał jej powiedzieć coś jeszcze, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Miał ochotę poprosić o coś dziewczynę tylko po to, żeby znowu usłyszeć jej głos.

Zatrzepotała lekko powiekami, kiedy wtłoczył jej skarpetkę do ust. Spróbowała wypluć – jak wszyscy – i potrząsnęła głową, widząc sznurek w jego ręce, ale Joe był czujny. Obwiązał knebel dwa razy. Kiedy zawiązał sznurek z tyłu jej głowy, podchwycił spojrzenie. Patrzyła na niego, jakby aż do tej chwili cała sytuacja była całkiem przyzwoita – nawet atrakcyjna – a on wszystko zepsuł.

– Pięćdziesiąt procent jedwabiu – powiedział.

Znowu uniosła brew.

– W skarpetce. Idź do swoich przyjaciół.

Dziewczyna uklękła przy Brendanie Loomisie, który ani na chwilę nie odwracał spojrzenia od Joego.

Joe przypatrywał się drzwiom kantorka, szczególnie kłódce. Zaczekał, aż Loomis pójdzie za jego wzrokiem i popatrzył mu w oczy. Ten wciąż gapił się na niego, czekając na jego następny ruch.

Joe wytrzymał uparte spojrzenie.

– Zbieramy się, chłopcy. Nic tu po nas – rzucił.

Loomis zamknął powoli oczy i otworzył je, a Joe postanowił to uznać za znak pokoju – albo jego obietnicę – i wyniósł się w cholerę z kasyna.

Potem pojechali drogą wzdłuż doków. Niebo było zimnoniebieskie, z pasmami zimnożółtego światła. Mewy z krzykiem unosiły się i opadały na powietrznych prądach. Ramię żurawia w dokach przesunęło się gwałtownie nad szosą, a potem cofnęło z piskiem, kiedy Paolo przejechał przez jego cień. Dokerzy, tragarze, woźnicy stali przy swoich stanowiskach, paląc w tym jasnym chłodzie. Grupka mężczyzn rzucała kamieniami w mewy.

Joe opuścił szybę, wystawił twarz na podmuch zimnego powietrza, ochłodził oczy. Pachniało solą, rybią krwią i benzyną.

Siedzący z przodu Dion Bartolo obejrzał się przez ramię.

– Spytałeś tę laleczkę, jak się nazywa?

– Z uprzejmości.

– Skułeś jej rękę, jakbyś przypinał kotylion i prosił o taniec.

Joe na chwilę wystawił głowę przez okno, nabrał jak najwięcej cuchnącego powietrza w płuca. Paolo minął doki i pojechał w stronę Broadway. Jego samochód bez trudu wyciągał pięćdziesiąt na godzinę.

– Już ją widziałem – powiedział Paolo.

Joe cofnął głowę.

– Gdzie?

– Nie wiem. Ale widziałem, na pewno. – Skręcił gwałtownie w Broadway; wszyscy podskoczyli razem z samochodem. – Powinieneś dla niej napisać wiersz.

– Wiersz, i co jeszcze? – rzucił Joe. – Może byś zwolnił i przestał pracować, jakbyśmy uciekali?

Dion odwrócił się do niego, kładąc rękę na oparciu siedzenia.

– Wiesz co, mój brat naprawdę napisał kiedyś wiersz dla dziewczyny.

– Zalewasz.

Paolo spojrział w lusterko wsteczne i skinął poważnie głową.

– I co?

– Nic. Nie umiała czytać.

Jechali na południe w stronę Dorchester; utknęli w korku z powodu konia, który padł martwy tuż przed Andrew Square. Trzeba było okrążyć leżące zwierzę i przewrócony wózek lodziarza. Okruchy lodu lśniły na bruku jak opiłki metalu. Lodziarz stał przy koniu, kopał go w zębra. Joe myślał o dziewczynie przez całą drogę. Dłonie miała suche i miękkie. Bardzo małe i różowe u nadgarstków. Zauważył fiołkowe żyłki na przegubie. Miała czarną plamkę na prawym uchu, ale na lewym już nie.

Bracia Bartolo mieszkali na Dorchester Avenue nad sklepem rzeźnika i szewca. Rzeźnik i szewc poślubili siostry i nienawidzili się nawzajem tylko nieco mniej niż swoje żony. Jednak to nie przeszkadzało im prowadzić nielegalny lokal w piwnicy. W nocy ludzie schodzili się tam z szesnastu parafii Dorchester, a także z okolic tak dalekich, jak North Shore, by pić najlepszy alkohol na południe od Montrealu i słuchać murzyńskiej wokalistki Delilah Deluth, śpiewającej smutne piosenki. Lokal nazywał się nieoficjalnie Sznurówka, co doprowadzało rzeźnika do pasji, aż z tego powodu wyłysiał. Bracia Bartolo bywali w Sznurówce niemal co wieczór, co samo w sobie nie było niczym nagannym, ale już zamieszkanie nad lokalem wydawało się Joemu idiotyzmem. Wystarczyłby jeden rutynowy nalot normalnej policji czy skarbowki – i nikt by nie przeszkodził funkcjonariuszom wykopać drzwi Diona i Paola i znaleźć w ich mieszkaniu pieniądze, broń, biżuterię, a z tych zasobów dwaj pracujący w sklepie spożywczym i odzieżowym makaroniarze w życiu by się nie wytłumaczyli.

Oczywiście biżuteria zwykle trafiała natychmiast do Hymie Draga, pasera, z którego usług korzystali, odkąd skończyli piętnaście lat, ale pieniądze zwykle nie docierały dalej niż na stolik karciany na zapleczu Sznurówki albo pod materac.

Joe oparł się o lodówkę i patrzył, jak Paolo chowa działkę swoją i brata, podnosi poźółkłe od potu prześcieradło i faszkuje plikami banknotów rozcięty w kilku miejscach materac, jak świątecznego indyka.

Dwudziestotrzyletni Paolo był najstarszy. Jednak Dion, młodszy od niego o dwa lata, wydawał się doroślejszy – może dlatego, że był inteligentniejszy. Albo dlatego, że był bardziej wredny. Joe, który w przyszłym roku kończył dwadzieścia lat, był

najmłodszy, ale obaj bracia uważali go za mózg gangu od czasu, gdy jako trzynastolatek połączył z nimi siły, by przewracać kioski.

Paolo wstał z podłogi.

– Wiem już, gdzie ją widziałem. – Otrzepał zakurzone kolana.

Joe oderwał się od lodówki.

– Gdzie?

– Ale on się w niej nie zabujał – stwierdził Dion.

– Gdzie? – powtórzył Joe.

Paolo wskazał podłogę.

– Na dole.

– W Sznurówce?

Paolo pokiwał głową.

– Przyszła z Albertem.

– Jakim Albertem?

– Albertem, królem Czarnogóry. A jak ci się wydaje, geniuszu?

Na nieszczęście w Bostonie był tylko jeden Albert, którego nazwiska nie trzeba było podawać. Albert White – facet, którego właśnie okradli.

Był dawnym bohaterem walk podczas powstania Moro na Filipinach, a także policjantem, który stracił pracę – jak brat Joego – po strajku w 1919 roku. Obecnie miał warsztat samochodowy White – Naprawy i Wymiana Szyb (dawniej Halloran – Opony i Naprawy), kawiarnię U White’a (dawniej Jadłodajni Hallorana) i był właścicielem Międzynakontynentalnego Przedsiębiorstwa Transportowego White’a (dawniej Przewozów Hallorana). Mówiono, że osobiście wykończył Bitsy’ego Hallorana, który dostał jedenaście kulek w dębowej budce telefonicznej w sklepie Rexalla na Egleston Square. Tak wiele strzałów oddanych z bliska sprawiło, że budka stanęła w ogniu. Podobno Albert kupił zwęglone resztki budki, odrestaurował ją i trzymał w gabinecie swojego domu na Ashmont Hill, a nawet z niej dzwonił.

– Więc to dziewczyna Alberta. – Myśl, że to kolejna kochanka gangstera, przygnębiła Joego. A już sobie wyobrażał, jak razem przemierzają kraj w skradzionym samochodzie, nie myśląc o przeszłości czy przyszłości, pędzą w kierunku zachodzącego słońca i Meksyku.

– Parę razy widziałem ich ze sobą – powiedział Paolo.

– Czyli ten będzie trzeci.

Paolo spojrział na swoje palce, licząc.

– No.

– To dlaczego podawała drinki w kasynie?

– A co innego ma robić? Iść na emeryturę? – wtrącił Dion.

– Nie, ale...

– Albert ma żonę. Kto wie, jak długo będzie się zajmować taką zabawową dziewczyną.

– Uważasz, że to zabawowa dziewczyna?

Dion powoli odkręcił butelkę kanadyjskiego ginu. Jego puste oczy nie odrywały się od Joego.

– Uważam, że to dziewczyna, która włożyła do worka nasze pieniądze. Nawet nie wiem, jakiego koloru miała włosy. Nie potrafiłbym...

– Ciemnoblond. Niemal jasnobrązowe, ale nie całkiem.

– To dziewczyna Alberta. – Dion nalał wszystkim.

– Owszem.

– Już i tak źle, że obrobiliśmy jego lokal. Nie waż się zabrać mu nic innego. Jasne?

Joe nie odpowiedział.

– Jasne? – powtórzył Dion.

– Jasne. – Joe sięgnął po drinka. – Pewnie.

Przez trzy następne wieczory nie przyszła do Sznurówki. Joe był tego pewien – od otwarcia do zamknięcia siedział tam kamieniem.

Albert zjawił się, wystrojony w szarobiały garnitur w prążki, jeden z tych, z których słynął. Jakby mieszkał w Lizbonie czy gdzieś. Nosił brązowe fedory, pasujące do brązowych butów, pasujących do brązowych prążków. Kiedy zaczynał padać śnieg, zmieniał garnitury na brązowe w szarobiałe prążki z szarobiałym kapeluszem i getrami w kolorach szarej bieli i brązu. Gdy nastawał luty, przerzucał się na ciemnobrązowe garnitury i ciemnobrązowe buty, do tego czarne kapelusze, ale Joe podejrzewał, że nawet teraz łatwo byłoby go skasować nocą w jakiejś ciasnej uliczce. Zastrzelić z taniego pistoletu z odległości dwudziestu metrów. Nie trzeba byłoby nawet latarni, żeby zobaczyć, jak biel zabarwia się czerwienią.

Albercie, Albercie, pomyślał Joe, kiedy trzeciego wieczoru Albert minął jego stół przy barze, mógłbym cię zabić, gdybym cokolwiek o tym wiedział.

Problem polegał na tym, że Albert nie za często zapuszczał się w ciasne uliczki –

jeśli już, to w towarzystwie czterech goryli. A nawet, gdyby człowiek się przez nich przebił i skasował dziada – Joe, który nigdy nikogo nie zabił, zastanawiał się, dlaczego do kurwy nędzy w ogóle myśli o zabiciu Alberta – zdołałby tylko wykoleić imperium White'a, zostawiając je dla jego partnerów, w tym policjantów, Włochów, żydowskich gangsterów z Mattapan i kilku oficjalnych biznesmenów, w tym bankierów i inwestorów z udziałami w kubańskiej oraz florydzkiej trzcinie cukrowej. Wykolejenie takiego biznesu w mieście tak małym równałoby się z karmieniem zwierząt w zoo świeżym mięsem prosto z ręki.

Albert spojrział na niego raz, ale tak, że Joe od razu pomyślał: on wie, on wie, wie, że to ja go okradłem, wie, że pragnę jego dziewczyny. On wie.

Ale Albert spytał:

– Masz ognia?

Joe potarł zapałkę o bar i zapalił papierosa Albertowi White'owi.

A ten zdmuchnął zapałkę, posyłając dym prosto w twarz Joego.

– Dzięki, chłopaku – rzucił i odszedł, facet o skórze białej jak jego garnitur i ustach czerwonych jak krew, wpływająca i wypływająca do i z jego serca.

Czwartego dnia po napadzie Joe bez żadnego wyraźnego powodu wrócił do magazynu mebli. Niemal ją przeoczył; sekretarki kończyły zmianę w tym samym czasie, co robotnicy i ginęły w rozłożystych cieniach woźniców i tragarzy. Wychodzili mężczyźni w brudnych kurtkach, niosąc na ramionach bosaki, rozmawiali głośno, zaczepiali młode kobiety, gwizdali, opowiadali kawały, z których śmiali się tylko oni. Ale kobiety musiały być do tego przyzwyczajone, bo ich grupka zdołała się oddzielić od reszty pracowników magazynu. Niektórzy mężczyźni zostali w tyle, inni zwolnili kroku, a jeszcze inni ruszyli w stronę najgorzej strzeżonej tajemnicy doków – cumującego przy brzegu statku, na którym podawano alkohol od pierwszego dnia prohibicji w Bostonie.

Kobiety nie rozdzielały się i bez przeszkód przeszły przez doki. Joe zauważył ją tylko dlatego, że dziewczyna o takim samym kolorze włosów zatrzymała się, żeby poprawić obcas, a wtedy w powstałej luce pojawiła się twarz Emmy.

Porzucił swój punkt obserwacyjny w pobliżu rampy towarowej Gillette Company i ruszył jakieś pięćdziesiąt metrów za grupą. Powtarzał sobie, że to dziewczyna Alberta White'a. Że chyba zwariował i musi natychmiast przestać. Nie tylko nie powinien iść za dziewczyną Alberta White'a przez doki południowego Bostonu, ale nawet nie powinien się pokazywać ludziom, zanim się nie upewni, że nikt nie rozpoznał w nim napastnika z kasyna. Tim Hickey wyjechał na południe po rum i nie mógł się dowiedzieć, że zaatakowali nie tych pokerzystów, co trzeba, a bracia Bartolo zapadli się pod ziemię i nie zamierzali się pokazać, dopóki nie okaże się co i jak. No, a Joe, niby ten mądry, ugania się

za Emmą Gould jak głodny pies, podążający za zapachem jedzenia.

Idź stąd, idź stąd, idź stąd.

Joe wiedział, że ten głos ma rację. To był głos rozsądku. A jeśli nie rozsądku, to głos jego anioła stróża.

Problem w tym, że dzisiaj nie interesowały go anioły stróże. Interesowała go ona.

Grupa kobiet wyszła z doków i rozeszła się na Broadway Station. Większość poszła na przystanek tramwajowy, ale Emma zeszła do metra. Joe pozwolił jej się oddalić, a potem poszedł za nią przez bramki i schody do peronu, z którego odjeżdżały pociągi na północ. W wagonie było ciasno i gorąco, ale on nie odrywał od niej oczu – i dobrze, bo wysiadła przystanek dalej, na South Station.

Był to węzeł komunikacyjny, gdzie spotykały się trzy linie metra, dwie linie kolejki naziemnej, tramwaj, dwa autobusy i kolejka podmiejska. Ledwie Joe postawił stopę na peronie, poczuł się jak kula bilardowa – popychany, zatrzymywany, znowu popychany. Stracił dziewczynę z oczu. Nie dorównywał wzrostem swoim braciom, temu wysokiemu ani temu nietypowo wysokiemu. Na szczęście nie był też niski, po prostu się nie wyróżniał. Stanął na palcach i usiłował przedzierać się przez tłum. Szedł wolniej, ale przynajmniej widział czasem jej włosy w kolorze karmelu, migające w ścisku przy wejściu do tunelu kolejki naziemnej.

Dotarł do peronu w chwili, gdy nadjechał pociąg. Dziewczyna wsiadła do tego samego wagonu dwoje drzwi dalej. Kolejka ruszyła i przed nimi rozpostarło się miasto, którego brązy, niebieskości i ceglane czerwienie mroczyły już w gasnącym świetle dnia. Okna budynków biurowych zapłonęły złotem. W dzielnicach kolejno zapalały się latarnie. Brzeg nieba broczył krwią na port. Emma oparła się o szybę i widok roztaczał się za jej profilem. A ona patrzyła niewidzącym wzrokiem na tłum w wagonie; jej oczy nie skupiały się na nikim, ale i tak kryła się w nich nieufność. Były bardzo jasne, nawet jaśniejsze od skóry. Jasne jak zimny gin. Brodę i nos miała lekko spiczaste i obsypane piegami. Nie było w niej nic zachęcającego do kontaktu. Wydawała się uwięziona za swoją zimną, piękną twarzą.

„Co życzy sobie ukraść szanowny pan?”

„Tylko proszę nie zostawić śladów”.

„Tak zwykle mawiają kłamcy”.

Kiedy pociąg minął Betterymarch Station i North End, Joe spojrzał w dół na włoską dzielnicę – pełną Włochów, włoskich dialektów, włoskich zwyczajów i potraw – i mimo woli pomyślał o swoim najstarszym bracie Dannym, irlandzkim policjancie, który tak bardzo kochał tę dzielnicę, mieszkał tam i pracował. Danny był duży, wyższy od wszystkich znanych Joemu osób. Był też cholernie dobrym bokserem, cholernie dobrym gliną i nie znał strachu. Organizator i wiceprzewodniczący związku zawodowego

policjantów podzielił los wszystkich tych, którzy zdecydowali się wziąć udział w strajku we wrześniu 1919 roku – bezpowrotnie stracił pracę i dostęp do wszystkich policyjnych ugrupowań na wschodnim wybrzeżu. To go złamało – przynajmniej tak głosiła plotka. Wylądował w murzyńskiej części Tulsy w Oklahomie, która podczas zamieszek przed pięciu laty została całkowicie spalona. Od tego czasu rodzina Joego słyszała tylko pogłoski o tym, gdzie znajduje się jej syn i jego żona Nora – w Austin, Baltimore, Filadelfii.

Dorastający Joe uwielbiał swojego brata. Potem zaczął go nienawidzić. Teraz prawie o nim nie myślał, a kiedy już mu się zdarzało, musiał przyznać, że brakowało mu śmiechu brata.

Emma Gould ruszyła do drzwi wagonu, powtarzając „Przepraszam, przepraszam”. Joe wyjrzał przez okno; zbliżali się do City Square w Charlestown.

Charlestown. Nic dziwnego, że nie przestraszyła się pistoletu. W Charlestown miesza się kawę lufą pistoletu i siada z gnatem do obiadu.

Joe szedł za Emmą aż do piętrowego domu na końcu Union Street. Tuż przed nim skręciła w prawo w uliczkę biegnącą wzdłuż budynku i zanim John do niej dotarł, dziewczyna już znikła. Joe omiótł wzrokiem zaułek – ani żywej duszy. Tylko podobne piętrowe budynki, przeważnie zrujnowane, z gnijącymi framugami okien i połatany dachami. Dziewczyna mogła wejść do któregoś z nich, ale wybrała ostatni chodnik. Joe założył, że jej domem był szarobłękitny, ze stalową klapą w niskiej, drewnianej przybudówce.

Tuż za domem znajdowała się drewniana furtka, zamknięta na klucz, więc Joe chwycił deski, podciągnął się i zajrzał w kolejny zaułek, jeszcze węższy od tego, w którym się znajdował. Oprócz paru kubłów ze śmieciami wydawał się pusty. Joe zeskoczył i sięgnął do kieszeni po szpilkę do włosów – zawsze miał przy sobie kilka.

Pół minuty później stał po drugiej stronie furtki i czekał.

Nie potrwało to długo. O tej porze – porze wychodzenia z pracy – zawsze tak było. W zaułku rozbrzmiały kroki dwóch osób – mężczyzn rozmawiających o samolocie, który spadł podczas próby przelecenia nad Atlantykiem. Nie znaleziono angielskiego pilota ani wraku. Zniknęli, jakby się rozplnęli w powietrzu. Jeden z mężczyzn zapukał w klapę przybudówki i po chwili Joe usłyszał jego głos:

– Kowal.

Kłapa uniosła się z piskiem, opadła, i rozległ się zgrzyt klucza w zamku.

Joe odczekał pięć minut z zegarkiem w ręku. Potem przeszedł przez furtkę i zapukał do drzwi.

– Czego? – rozległ się zduszony głos.

– Kowal.

Zgrzytnęła odciągana zasuwa i Joe uniósł klapę przybudówki. Zszedł w dół krótkimi schodami i zamknął za sobą drzwi. Na dole stanął przed kolejnymi drzwiami. Otworzyły się, kiedy wyciągnął rękę. Stary, łysiejący facet z nosem jak kalafior i rozgwiazdami popękanych naczynek na policzkach wpuścił go z ponurym grymasem do środka.

Joe znalazł się w niewykończonej piwnicy, z drewnianym barem na środku podłogi z ubitej ziemi. Za stoły służyły beczki, krzesła zbito z najtańszej sośniny.

Usiadł przy barze od strony drzwi, gdzie kobieta, na której rękach piętrzyły się fałdy tłuszczu jak ciężarne brzuchy, podała mu kufel ciepłego piwa – trochę smakowało mydłem, trochę trocinami, a dużo mniej piwem i w ogóle alkoholem. Wypatrywał w mroku pomieszczenia Emmy Gould, ale widział tylko dokerów, paru marynarzy i robotnice. Pod ceglana ścianą przy drzwiach stało pianino, nieużywane, z kilkoma brakującymi klawiszami. W takich lokalach nie ma co liczyć na jakąś rozrywkę poza bójką, do której musiało dojść, kiedy marynarze i dokerzy zorientują się, że dla dwóch nie wystarczy dziewczyn.

Emma wyszła z drzwi za barem, zawiązując chustkę z tyłu głowy. Zmieniła bluzkę i spódnicę na brudnobiały rybacki sweter i brązowe tweedowe spodnie. Przeszła wzdłuż baru, opróżniała popielniczki i wycierała rozlany alkohol, a kobieta, która podała Joemu drinka, zdjęła fartuch i znikła w drzwiach za barem.

Emma dotarła do Joego i zerknęła na jego niemal pusty kufel.

– Życzy pan sobie kolejny?

– Jasne.

Obrzuciła jego twarz szybkim spojrzeniem. Widok najwyraźniej jej nie zachwyił.

– Kto powiedział panu o tym lokalu?

– Dinny Cooper.

– Nie znam.

To jest nas dwoje, pomyślał Joe, zastanawiając się, skąd u diabła wzięło mu się to dumne imię.

– Jest z Everett.

Emma wytarła bar przed nim, nie robiąc żadnego ruchu, by nalać Joemu piwa.

– Tak?

– Tak. Pracował w zeszłym tygodniu na brzegu Mystic od strony Chelsea.

Pogłębianie dna.

Pokręciła głową.

– No, w każdym razie wskazał na drugi brzeg, powiedział mi o tym miejscu. Twierdził, że piwo jest dobre.

– Teraz już wiem, że pan kłamie.

– Bo ktoś powiedział, że podajecie dobre piwo?

Wbiła w niego wzrok tak, jak w kasynie, jakby widziała zwinięte w nim wnętrzności, różowość jego płuc, myśli przepływające po fałdach mózgu.

– Piwo nie jest aż tak złe – dodał, unosząc kufel. – Już jedno wypilem. Przysięgam...

– Język lata jak łopata, co?

– Słucham?

– No, tak czy nie?

Postanowił udąć zniechęcenie i urazę.

– Ja nie kłamię, panienko. Ale mogę już sobie iść. O, tak. – Wstał. – Ile jestem winien za to pierwsze?

– Dwadzieścia centów.

Wyciągnęła rękę, on położył na niej monety, które schowała do kieszeni męskich spodni.

– Nie zrobisz tego.

– Czego?

– Nie odejdziesz. Udajesz, żebym padła z wrażenia, uwierzyła w twoją prawdomówność i poprosiła, żebyś został.

– Nie. – Włożył kurtkę. – Naprawdę idę.

Oparła się o bar.

– Chodź no tutaj.

Przechylił głowę. Pokiwała na niego palcem.

– Chodź tu.

Odsunął z drogi parę stołków i oparł się o bar.

– Widzisz tych facetów w kącie, przy stoliku z baryłki na jabłka?

Nie musiał odwracać głowy. Zobaczył ich od progu, wszystkich trzech. Z wyglądu

dokerzy, bary jak reje, łapy jak bochny chleba, spojrzenia, których woli się unikać.

– Widzę.

– To moi kuzyni. Dostrzegasz rodzinne podobieństwo, nie?

– Nie.

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, czym się zajmują?

Ich twarze znajdowały się tak blisko siebie, że gdyby wysunęli języki, czubki by się dotknęły.

– Nie mam pojęcia.

– Znajdują facetów, którzy opowiadają kłamstwa o gościach imieniem Dinny i tłuką ich na śmierć. – Przysunęła się jeszcze bliżej. – A potem wrzucają ich do rzeki.

Joe poczuł mrowienie na głowie i uszach.

– Niezły zawód.

– Lepszy niż napadanie na pokerzystów, nie?

Na chwilę jakoś zapomniał, jak poruszać mięśniami twarzy.

– Powiedz coś mądrego – zażądała Emma Gould. – Na przykład o tej skarpetce, którą mi włożyłeś w usta. Chcę usłyszeć coś cwanego i mądrego.

Nie odpowiedział.

– A skoro już się zastanawiasz, zastanów się i nad tym – oni w tej chwili na nas patrzą. Jeśli pociągnę się za ucho, nie dojdiesz żywy do drzwi.

Spojrzał na płatek ucha, które wskazała zerknięciem jasnych oczu. Prawe. Wyglądał jak ziarnko ciecioriki, ale bardziej miękkie. Zastanowił się, jak smakuje z samego rana.

Zerknął na bar.

– A jeśli pociągnę za spust?

Spuściła wzrok i zobaczyła pistolet, który umieścił między nimi.

– Nie zdążysz sięgnąć do ucha.

Jej wzrok oderwał się od pistoletu i przesunął po ramieniu Joego w taki sposób, że włosy mu stanęły dęba. Przemknął przez jego pierś, szyję i brodę. Kiedy dotarł do oczu, Joe zobaczył w jej tęczęwkach coś przenikliwego, rozświetlonego uczuciem, które pojawiło się na świecie na setki lat przed cywilizacją.

– Kończę o północy – powiedziała.

## ROZDZIAŁ 2

### CZEGO JEJ BRAK

Joe mieszkał na najwyższym piętrze pensjonatu na West End, o parę kroków od gwarnego Scollay Square. Pensjonat był własnością gangu Tima Hickeya, który już dawno pojawił się w mieście, ale zaczął prosperować dopiero sześć lat temu, gdy w życie weszła osiemnasta poprawka.

Parter zwykle zajmowali Irlandczycy prosto z łodzi, żyłaści, w wełnianych spodniach. Jednym z zadań Joego było wyjście im na spotkanie w dokach, by potem zaprowadzić do jadłodajni Hickeya, dać im czarnego chleba, białej zupy rybnej i sinych ziemniaków. Sprowadzał ich do pensjonatu, gdzie spali po trzech w pokoju na twardych, czystych materacach. Starsze dziwki prały im ubrania. Po jakimś tygodniu, gdy już odzyskali siły, uwolnili się od wszy i zepsutych zębów, podpisywali karty do głosowania i przysięgali niezachwiane poparcie dla kandydatów Hickeya w przyszłorocznych wyborach. Potem wypuszczano ich, wyposażony w nazwiska i adresy innych emigrantów z tych samych miast lub hrabstw, którzy mogli im natychmiast pomóc w dostaniu pracy.

Na pierwszym piętrze pensjonatu, do którego można było wejść wyłącznie przez osobne drzwi, znajdowało się kasyno. Drugie należało do dziwek. Joe mieszkał na trzecim, w pokoju na końcu korytarza. Na piętrze znajdowała się ładna łazienka, którą dzielił z hazardzistami, gdy ci akurat bawili w mieście, oraz Penny Palumbo, najsłynniejszą dziwką ze stajni Tima Hickeya. Penny miała dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na siedemnaście i miała włosy w kolorze prześwieczonego słońcem pitnego miodu. Z jej powodu jeden mężczyzna rzucił się z dachu, drugi – z łodzi, trzeci zamiast odebrać życie sobie, zabił innego człowieka. Joe bardzo lubił Penny, była miła i ładna. Ale podczas gdy jej twarz mogła należeć do siedemnastolatki, to umysł najwyżej do dziesięciolatki. O ile Joe mógł się zorientować, wypełniały go bez reszty najwyżej trzy piosenki i jakieś mgliste marzenia o zostaniu krawcową.

Czasami – zależy, kto pierwszy zszedł do kasyna – przynosili sobie kawę. Tego ranka ona przyniosła kawę jemu i razem usiedli w oknie jego pokoju, spoglądając na Scollay Square z pasiastymi markizami i wysokimi reklamami. Ulicą Tremont Row sunęły z warkotem pierwsze ciężarówki mleczarzy. Penny powiedziała, że poprzedniej nocy wróżka przepowiedziała jej albo wczesną śmierć, albo wstąpienie do Kościoła

zielonoświątkowców w Kansas. Na pytanie, czy martwi się, że umrze, odparła, że jasne, ale nawet nie w połowie tak, jak perspektywą wyjazdu do Kansas.

Po jej wyjściu Joe usłyszał głos Penny na korytarzu, a zaraz potem w progu pokoju stanął Tim Hickey, ubrany w ciemną rozpiętą kamizelkę w prążki, takie same spodnie i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, bez krawata. Tim był wysportowany, miał bujną czuprynę siwych włosów i smutne, bezradne oczy duchownego z celi śmierci.

– Dzień dobry panu.

– Cześć, Joe. – Hickey pił kawę ze staroświeckiej szklanki, która lśniła w blasku porannego słońca. – Ten bank w Pittsfield.

– Tak?

– Facet, z którym chcesz się spotkać, przychodzi tam w czwartki, ale przez większość wieczorów przesiaduje w Upham's Corner. Połóż kapelusz na barze na prawo od drinka. Da ci plany budynku i trasy ewakuacyjnej.

– Dziękuję panu.

Hickey uniósł w odpowiedzi szklanę.

– I jeszcze jedno – pamiętasz krupiera, o którym rozmawialiśmy w zeszłym miesiącu?

– Aha, Carl.

– Znowu to zrobił.

Carl Laubner, jeden z ich krupierów od blackjacka, zaczynał w lokalu oszukującym klientów i nie dawał się przekonać, żeby rozdawać uczciwie, zwłaszcza jeśli gracze nie wyglądali na stuprocentowo białych. Więc jeśli przy stoliku zasiadał jakiś Włoch czy Grek, było po zawodach. Z rąk Carla jak za sprawą czarów przez całą noc sypały się same dziesiątki i asy – a przynajmniej do czasu, gdy smagli dżentelmeni opuścili grę.

– Wywal go – rozkazał Hickey. – Gdy tylko się zjawi.

– Tak jest.

– Nie pochwalamy tutaj takich wygłupów. Jasne?

– Zdecydowanie. Jak najbardziej.

– I napraw automat numer dwanaście, dobra? Rozregulował się. Może działamy uczciwie, ale jeszcze nie zajmujemy się działalnością dobroczynną, no nie?

Joe zrobił notatkę.

– Tak jest, nie zajmujemy się.

Hickey prowadził jedno z nielicznych kasyn w Bostonie, które nie oszukiwały

swoich klientów. Dzięki tej polityce jego lokal cieszył się wielką popularnością, zwłaszcza wśród graczy z wyższych sfer. Tim nauczył Joego, że dzięki nieuczciwej grze można oskubać frajera dwa, góra trzy razy, zanim nie zmądrzeje i nie przestanie grać. Tim nie życzył sobie skubać nikogo dwa czy trzy razy – jego ambicją było drenować ludziom kieszeń do końca ich życia. Niech grają, niech piją, powiedział Joemu, a przyniosą ci całą swoją forszę i jeszcze podziękują, że uwolnisz ich od jej ciężaru.

– Ludzie, których obsługujemy, odwiedzają noc. Ale my w niej żyjemy. Oni wynajmują to, co my posiadamy. To znaczy, że kiedy przychodzą się pobawić w naszej piaskownicy, zarobimy na każdym ziarenku piasku.

Tim Hickey należał do najmądrzejszych znanych Joemu ludzi. W początkach prohibicji, kiedy miejskie gangi podzieliły się według narodowości – Włosi zadawali się tylko z Włochami, Żydzi tylko z Żydami, Irlandczycy tylko z Irlandczykami – on zadawał się z każdym. Sprzymierzył się z Giancarlem Calabrese, który rządził gangiem Pescatore, podczas gdy stary Pescatore siedział w więzieniu, i razem zaczęli handlować karaibskim rumem, kiedy wszyscy sprzedawali whiskey. Gdy gangi Detroit i Nowego Jorku zrównoważyły swoje wpływy na tyle, żeby wszyscy inni stali się tylko podwykonawcami, jeśli chodzi o handel whiskey, gangi Hickeya i Pescatore opanowały rynek cukru i melasy. Produkt pochodził głównie z Kuby; był przewożony przez Cieśninę Florydzką, zmieniał się w rum na terenie USA i jechał nocą na Wschodnie Wybrzeże, gdzie sprzedawano go z osiemdziesięcioprocentowym zyskiem.

Tim porozmawiał z Joem o nieudanym skoku na magazyn mebli od razu po powrocie z kolejnej wyprawy do Tamy. Docenił, że Joe wykazał się inteligencją i nie zabrał utargu kasyna („To zapobiegło natychmiastowemu wybuchowi wojny”, powiedział Tim) i obiecał, że kiedy się dowie, dlaczego ktoś dał im tak katastrofalnie zły cynk, ten ktoś zadynda za to tak wysoko, jak sięga wieża Custom House.

Joe chciał mu uwierzyć, ponieważ alternatywą było założenie, że Tim wysłał ich do tego magazynu, ponieważ chciał rozpocząć wojnę z Albertem Whitem. Poświęcenie ludzi, którymi opiekował się od dzieciństwa po to, by na dobre zawładnąć rynkiem rumowym, nie byłoby poniżej jego godności. Właściwie nic nie było. Absolutnie nic. Tak trzeba, kiedy chce się utrzymać na szczycie – wszyscy muszą wiedzieć, że już dawno dokonało się amputacji sumienia.

Teraz Tim dolał sobie do kawy kropelkę rumu i pociągnął łyk. Podał butelkę Joemu, ale ten pokręcił głową. Schował więc piersiówkę do kieszeni.

– Gdzie ostatnio bywasz?

– Tutaj.

Hickey spojrzał mu prosto w oczy.

– W tym tygodniu i poprzednim wychodziłeś co wieczór. Masz dziewczynę?

Joe zastanowił się, czy nie skłamać, ale nie wiedział po co.

– No, mam.

– Miła jest?

– Energiczna. Jest... – Joe nie mógł znaleźć właściwego słowa: – Niesamowita.

Hickey oderwał się od framugi drzwi.

– Widzę, że znalazłeś sobie narkotyk, co? – Pokazał gestem robienie zastrzyku w żyłę. – To widać. – Podszedł i chwycił go za kark. – Rzadko znajduje się dobre kobiety. Nie w naszej robocie. Gotuje?

– Tak. – W rzeczywistości Joe nie miał o tym pojęcia.

– To ważne. Nie to, czy są dobre lub złe, ale co są gotowe zrobić. – Hickey puścił jego kark i ruszył do wyjścia. – Pogadaj z tym gościem o Pittsfield.

– Jasne.

– Dobry chłopak – rzucił Tim i zszedł na dół do swojego kantorka za kasjerem w kasynie.

Carl Laubner pracował jeszcze dwa wieczory, zanim Joe przypomniał sobie, że miał go wylać. Ostatnio zapominał o wielu rzeczach – w tym o dwóch spotkaniach z Hymiem Drago, któremu miał oddać towar z włamu do sklepu z futrami Karshmana. Zapamiętał, żeby zająć się automatem do gry i lepiej docisnąć kółka, ale kiedy Laubner przyszedł do pracy, Joe był już z Emmą Gould.

Od tamtej nocy w piwnicy spelunki w Charlestown widywał się z Emmą niemal co wieczór. Niemal, ale nie zawsze. W pozostałe wieczory była z Albertem Whitem – sytuacja, którą Joe na razie nazywał irytującą, szybko zmierzała w stronę określenia „nieznośna”.

Jeśli nie był z Emmą, mógł myśleć tylko o tym, kiedy znów ją zobaczy. A kiedy się spotykali, utrzymanie dystansu stawało się absolutnie niemożliwe. Gdy lokal jej wuja zostawał zamknięty, kochali się w nim. Kiedy rodzice i rodzeństwo Emmy wychodzili z mieszkania – oni kochali się w nim. Kochali się w samochodzie Joego i w jego pokoju, do którego zakradali się tylnymi schodami. Kochali się na zimnym wzgórzu, w bezlistnym zagajniku z widokiem na rzekę Mystic, i na zimnej listopadowej plaży z widokiem na Savin Hill Cove w Dorchester. Na stojąco, siedząco, leżąc, wszystko jedno. Na dworze, w pomieszczeniu – obojętne. Kiedy trafiał im się luksus wolnej godziny, wypełniali ją tyłoma nowymi sztuczkami i pozycjami, ile im przyszło do głowy. Ale kiedy mieli tylko parę minut, wystarczało im parę minut.

Natomiast rzadko rozmawiali. Na pewno nie o tym, co znajdowało się poza

granicami ich jak widać niewyczerpanego uzależnienia od siebie.

Za jasnymi oczami Emmy i pod jej jasną skórą kryło się coś zaczajonego, uwięzionego. Ale uwięzionego nie w tym sensie, że chciało się wydostać. To coś domagało się, by nic się do niego nie przedostało. Klatka otwierała się, kiedy Emma przyjmowała go w siebie i pozostawała tak aż do końca zbliżenia. W tych chwilach jej otwarte oczy spoglądały pytająco, a on widział w nich jej duszę, czerwone światełko serca i marzenia, które mogła mieć jako dziecko, na chwilę uwolnione z piwnicy, z mrocznych murów za drzwiami z ciężkimi kłódkami.

Ale kiedy z niej wychodził, a jej oddech się uspokajał, wszystko cofało się w niej jak odpływ.

To nieważne. Joe zaczął podejrzewać, że zakochał się w tej dziewczynie. Kiedy klatka się otwierała i zapraszała go do środka, znajdował w niej osobę, która rozpaczliwie chce zaufać, kochać, cholera, rozpaczliwie chce żyć. Musiała tylko się przekonać, że warto dla niego zaryzykować to zaufanie, tę miłość, to życie.

A on zamierzał się taki stać.

Tej zimy skończył dwadzieścia lat i wiedział, co chce robić przez resztę życia. Chciał się stać tym jedynym mężczyzną, któremu bezgranicznie zaufa Emma Gould.

Tej zimy parę razy zaryzykowali i pojawili się publicznie razem. Tylko w wieczory, gdy Emma wiedziała z dobrego źródła, że Albert White i jego najbliżsi pomocnicy wyjechali z miasta, i tylko w lokalach będących własnością Tima Hickeya oraz jego partnerów.

Jednym z nich był Phil Cregger, właściciel restauracji Venetian Garden na parterze hotelu Bromfield. Joe i Emma poszli tam pewnej lodowatej nocy, kiedy powietrze pachniało śniegiem, choć na niebie nie było chmur. Ledwie oddali w szatni płaszcze i kapelusze, gdy z prywatnego gabinetu za kuchnią wyszła grupka, a Joe poznał, kim są ci ludzie, zanim jeszcze zobaczył ich twarze – po dymie z cygar i wypraktykowanej dobroduszości głosów. Politycy.

Radni, rajcy, kapitanowie straży pożarnej i policji, prawnicy – pełna blasku, uśmiechnięta, odrażająca falanga, dzięki której to miasto nadal jakoś funkcjonowało, pociągi jakoś jeździły, sygnalizacja jakoś działała. Nieustannie uświadamiali społeczeństwu, że te usługi – i tysiące innych, dużych i małych – mogłyby się skończyć, gdyby nie ich nieustanna czujność.

Joe zauważył ojca w tym samym momencie, kiedy ojciec dostrzegł jego. Jak zwykle po dłuższym okresie niewidzenia niepokojąco poruszył ich fakt, że stanowili tak idealne odbicie siebie nawzajem. Ojciec Joego miał sześćdziesiąt lat. Spłodził Joego w późnym wieku, miał już dwóch synów, których sprowadził na ten świat w bardziej stosownym,

młodym wieku. Ale podczas gdy Connor i Danny byli podobni do obojga rodziców, tak z urody, jak i z sylwetki, a na pewno wzrostu (cecha pochodząca ze strony rodziny Fennesseyów, słynęli z wysokich mężczyzn), Joe wyglądał jak lustrzane odbicie swojego ojca. Ten sam wzrost, ta sama budowa, ta sama mocna szczęka, ten sam nos i wyraziste kości policzkowe, oczy osadzone nieco głębiej, przez co trudniej było odczytać ich wyraz. Jediną różnicą był kolor; Joe miał niebieskie tęczówki, ojciec – zielone, Joe miał włosy koloru pszenicy, ojciec – koloru lnu. Poza tym – ojciec patrzył na Joego i widział własne kpiące z niego usta, Joe spoglądał na ojca i widział plamy wątrobiane i obwisłą skórę, śmierć u stóp jego łóżka o trzeciej nad ranem, niecierpliwie tupiącą stopą.

Po paru uściskach dłoni i pożegnalnych klepnięciach w plecy ojciec odłączył się od grupki mężczyzn, którzy ustawili się w kolejce do szatni. Podeszedł do syna i wyciągnął do niego rękę.

– Jak się masz?

Joe uściśnął ją.

– Nieźle. A ty?

– Doskonale. W zeszłym miesiącu dostałem awans.

– Zastępca komisarza. Słyszałem.

– A ty? Gdzie teraz pracujesz?

Trzeba by długo znać Thomasa Coughlina, żeby poznać, kiedy jest pod wpływem. Nigdy nie słyszało się tego w jego wymowie, która pozostawała krystaliczna, ani w tonie głosu, nigdy zbyt donośnym nawet po połowie butelki dobrej irlandzkiej whiskey. Nie widać było u niego szklistości oczu. Ale jeśli wiedziało się, czego szukać, w rysach jego przystojnej twarzy znajdowało się coś drapieżnego i psotnego, coś, co przeświewało człowieka na wylot, znajdowało jego słabości i zastanawiało się, czy z nich skorzystać.

– Tato, to Emma Gould – powiedział Joe.

Thomas Coughlin ujął dłoń dziewczyny i ucałował ją.

– Miło mi, panno Gould. – Spojrzał na kierownika sali. – Stolik w kącie, Gerardzie, jeśli łaska. – Uśmiechnął się do Joego i Emmy. – Nie przeszkadza wam, że się dosiądę? Umieram z głodu.

Przy sałatkach było jeszcze dość miło.

Thomas opowiadał historyjki z dzieciństwa Joego, nieodmiennie dowodzące, że syn był nieznośnym, bezczelnym łobuzem. W interpretacji ojca historie te zawsze prezentowały się jak materiał na komedyjki Hala Roacha. Ojciec zwykle pomijał to, jak kończyły się te sytuacje – policzkiem lub pasem.

Emma uśmiechała się i chichotała we właściwym momentach, ale Joe widział, że udaje. Wszyscy udawali. Joe i Thomas udawali miłość ojca i syna, Emma udawała, że nie zauważa tego udawania.

Po historyjce o sześciolatnim Joem w ogrodzie ojca – powtarzanej tyle razy, że Joe potrafił przewidzieć nawet pauzy na oddech – Thomas spytał Emmę, skąd pochodzi jej rodzina.

– Z Charlestown – odparła. Joe, co go zmartwiło, usłyszał w jej tonie cień zaczepki.

– Nie, zanim tutaj przyjechali. Panienska jest niewątpliwie Irlandką. Wie panienska, skąd wywodzą się jej przodkowie?

Kelner zabrał talerze z sałatkami.

– Ojciec mojej matki pochodził z Kerry, a matka mojego ojca z Cork.

– Ja pochodzę z okolic Cork – oznajmił Thomas z nietypową dla siebie radością.

Emma upiła łyk wody, ale nie odpowiedziała. Nagle jakby coś w niej zgasło. Joe już to widywał – miała zwyczaj wyłączać się z sytuacji, która jej nie odpowiadała. Jej ciało pozostawało jak coś porzuconego na krześle podczas ucieczki, ale „jej treść”, to coś, co sprawiało, że była Emmą – znikало.

– Jak brzmi panienske nazwisko babki panienski?

– Nie wiem.

– Nie?

Wzruszyła ramionami.

– Ona już nie żyje.

– Ale to panienski rodzina. – Thomas nie posiadał się ze zdziwienia.

Znowu wzruszyła ramionami. Zapaliła papierosa. Thomas nie zareagował, ale Joe wiedział, że jest zbulwersowany. Wyemancypowane kobiety budziły w nim odrazę z wielu powodów: palenie, pokazywanie ud, duże dekolty, publiczne upijanie się bez wstydu czy lęku przed potępieniem.

– Jak długo zna panienska mojego syna? – spytał Thomas z uśmiechem.

– Parę miesięcy.

– Co was łączy?

– Tato.

– Tak, Josephie?

– Nie wiemy co.

W cichości ducha Joe miał nadzieję, że Emma skorzysta z okazji, by zaprotestować, ale ona rzuciła mu tylko szybkie spojrzenie pytające, jak długo jeszcze muszą tutaj siedzieć. Potem wróciła do palenia, a jej wzrok snuł się bez celu po wspaniałej sali.

Na stole pojawiły się dania główne, a oni przez następne dwadzieścia minut rozmawiali o jakości steków i sosu berneńskiego, a także o nowej wykładzinie Creggera.

Przy deserze i Thomas zapalił papierosa.

– Czym się zajmujesz, moja droga?

– Pracuję w sklepie meblowym Papadikisa.

– W którym dziale?

– W sekretariacie.

– Mój syn zwędził jakąś kanapę? Tak się poznaliście?

– Tato... – jęknął Joe.

– Tylko pytam.

Emma zapaliła papierosa i rozejrzała się po sali.

– Ale tutaj elegancko.

– A pytam dlatego, że dobrze wiem, w jaki sposób zarabia mój syn. Mam prawo zakładać, że poznaliście się podczas popełnienia jakiegoś przestępstwa lub w przybytku odwiedzanym przez podejrzanego towarzystwo.

– Tato... – odezwał się Joe. – Miałem nadzieję, że to będzie miła kolacja.

– A nie jest? Panno Gould?

Spojrzała na niego.

– Moje pytania panią krępują?

Wbiła w niego ten swój lodowaty wzrok, który mógłby wyziębnić warstwę gorącej smoły na dachu.

– Nie wiem, o czym pan mówi. I mało mnie to obchodzi.

Thomas odchylił się na krześle i upił łyk kawy.

– Chodzi mi o to, że jest panienka taką dziewczyną, która zadaje się z kryminalistami, co może mieć nie najlepszy wpływ na panienki reputację. Fakt, że w tym wypadku kryminalistą jest mój syn, nie stanowi problemu. Problemem jest to, że mój syn – przestępca czy nie – pozostaje moim synem, a ja nadal mam do niego rodzicielskie uczucia, co skłania mnie do powątpiewania w sens jego znajomości z kobietą, która świadomie zadaje się z kryminalistami. – Thomas odstawił filiżankę na spodeczek i

uśmiechnął się do dziewczyny. – Nadaża panienka?

Joe wstał.

– Dobra, wychodzimy.

Ale Emma nawet nie drgnęła. Oparła brodę na dłoni i przez jakiś czas przyglądała się Thomasowi z papierosem tłącym się tuż koło jej ucha.

– Mój wujek wspomniał, że pracuje dla niego jakiś gliniarz nazwiskiem Coughlin. To pan? – Uśmiechnęła się tak samo zimno, jak ojciec Joego i zaciągnęła papierosem.

– Czy tym wujkiem jest przypadkiem wujek Robert, którego wszyscy nazywają Bobo?

Przymknęła oczy, potakując.

– Ten policjant, o którym panienka wspomina, to Elmore Conklin. Stacjonuje w Charlestown i jest znany ze zbierania haraczu z nielegalnych lokali, takich jak ten należący do Bobo. Rzadko osobiście zaglądam do Charlestown. Ale jako zastępca komisarza chętnie przyjrzę się dokładniej lokalowi panienki wujka. – Zdusił papierosa. – Czy to panienkę zadowoli?

Emma wyciągnęła rękę do Joego.

– Muszę przypudrować nosek.

Dał jej napiwek dla obsługi i obaj odprowadzili dziewczynę wzrokiem. Zastanawiał się, czy Emma wróci do stolika, czy po prostu odbierze płaszcz z szatni i wyjdzie.

Ojciec wyjął z kieszonki kamizelki zegarek i otworzył go. Zamknął go tak szybko, jak otworzył i znowu schował. Ten zegarek był jego najcenniejszym skarbem, osiemnastokaratowym cackiem firmy Patek Philippe, prezentem ofiarowanym mu dwadzieścia lat temu przez wdzięcznego prezesa banku.

– Czy to było konieczne? – spytał Joe.

– Nie ja zacząłem, więc nie miej mi za złe, że tak skończyłem. – Ojciec rozparł się wygodnie i założył nogę na nogę. Niektórzy obnoszą swoją władzę jak okrycie, które za nic nie daje się dopasować albo jest niemiłe w dotyku. Thomas Coughlin nosił ją jak płaszcz uszyty na zamówienie w Londynie. Powiódł wzrokiem po sali i skinął głową paru osobom, zanim znowu spojrzał na syna. – Gdybym uważał, że tylko szukasz własnej drogi w niekonwencjonalny sposób, czy robiłbym z tego problem?

– Tak.

Ojciec uśmiechnął się lekko i jeszcze lżej wzruszył ramionami.

– Przez trzydzieści siedem lat byłem policjantem i nauczyłem się jednej ważnej rzeczy.

– Że zbrodnia nie popłaca, chyba że na wysokim szczeblu.

Znowu łagodny uśmiech i lekkie skinienie głowy.

– Nie, Josephie. Nie. Nauczyłem się, że zbrodnia się rozmnaża. A jej dzieci, bezmyślne i okrutne, wrócą do ciebie. Nie będziesz wiedział, że są twoje, ale one cię rozpoznają. I naznaczą jako winowajcę zasługującego na karę.

Joe od lat słyszał wiele odmian tej opowieści. Ojciec nie zdawał sobie sprawy z jednego – oprócz tego, że się powtarzał – iż ogólnikowe teorie nie stosują się do indywidualnych przypadków. Nie, jeśli ktoś jest na tyle zdeterminowany, by ustanawiać własne zasady i na tyle inteligentny, by skłonić wszystkich do postępowania według nich.

Miał dopiero dwadzieścia lat, ale już wiedział, że on jest taką osobą.

Ale żeby zrobić przyjemność staremu powiedział:

– I za co dokładnie ukarzą mnie te okrutne dzieci?

– Za beztroskę, z jaką je spłodziłeś. – Ojciec oparł się łokciami na stole i złożył dłonie. – Josephie.

– Joe.

– Josephie, przemoc rodzi przemoc. To prawda absolutna. – Rozłożył dłonie i spojrzał na syna. – To, co sprowadziłeś na ten świat, zawsze do ciebie wróci.

– Tak, tato. Czytałem katechizm.

Ojciec skłonił głowę, gdy Emma wyszła z toalety i poszła do szatni. Nie odrywając od niej wzroku, rzucił:

– Ale nigdy nie wraca w postaci, jakiej się spodziewasz.

– No pewnie.

– Nie jesteś pewien niczego z wyjątkiem własnej pewności. Pewność, która nie ma fundamentów, zawsze świeci najmocniejszym blaskiem. – Thomas patrzył, jak Emma oddaje swój numerek szatniarce. – Miła dla oka.

Joe nie odpowiedział.

– Ale poza tym nie wiem, co w niej widzisz.

– Bo jest z Charlestown?

– To na pewno nie pomaga. Dawniej jej ojciec był alfonsiem, a wujek zabił co najmniej dwie osoby. Ale mógłbym na to przymknąć oko, gdyby nie była taka...

– Jaka?

– Martwa w środku. – Ojciec znowu spojrzał na zegarek i ledwie stłumił ziewnięcie.

– Już późno.

– Nie jest martwa w środku. Po prostu coś w niej zasnęło.

– To coś – powiedział ojciec, kiedy Emma wróciła z płaszcami – nigdy się już nie obudzi, synu.

– Nie mogłaś być bardziej...? – Joe spytał na ulicy, gdy szli do samochodu.

– Jaka?

– Zaangażowana w rozmowę? Towarzyska?

– Kiedy się spotykamy, przez cały czas tylko gadasz, jak nienawidzisz tego człowieka.

– Przez cały czas?

– Prawie.

Pokręcił głową.

– Nigdy nie mówiłem, że nienawidzę ojca.

– To co powiedziałeś?

– Że się nie dogadujemy. Nigdy się nie dogadywaliśmy.

– A to dlaczego?

– Bo jesteśmy podobni jak cholera.

– Albo dlatego, że go nienawidzisz.

– Nie nienawidzę go – powtórzył, wiedząc, że to święta prawda.

– To może powinieneś spać dzisiaj z nim.

– Co?

– Siedzi tutaj i patrzy na mnie jak na śmiecia. Wypytuje o moją rodzinę, jakby wiedział, że nawet w starym kraju byli gnojkami. Mówi do mnie, kurwa, „moja droga”. – Emma stała na chodniku, dygocząc, a z czerni nad nimi wykwitły pierwsze płatki śniegu. Łzy, słyszalne w jej głosie, przedostały się do oczu. – Nie jesteśmy ludźmi. Nie zasługujemy na szacunek. Jesteśmy tylko Gouldami z Union Street. Śmieciami z Charlestown. Robimy koronki do waszych zaszpanych firanek!

Joe uniósł ręce.

– Skąd takie słowa? – Wyciągnął do niej dłoń. Cofnęła się o krok.

– Nie dotykaj mnie.

– Dobrze.

– Takie słowa biorą się z całego życia, wiesz? Z pogardy i wyniosłości takich ludzi, jak twój ojciec. Ludzi, którzy, którzy, którzy... którzy myślą farta z byciem lepszym. Nie jesteśmy gorsi od was. Nie jesteśmy gównem.

– Nigdy tego nie mówiłem.

– On powiedział.

– Nie.

– Nie jestem gównem – szepnęła z półuchylonymi ustami. Śnieg mieszał się ze łzami, spływającymi jej po twarzy.

Wyciągnął do niej rękę i podszedł bliżej.

– Mogę...?

Weszła w jego objęcia, ale sama go nie dotknęła. Przytulił ją; płakała, z twarzą na jego piersi, a on powtarzał raz po raz, że nie jest gównem, nie jest gorsza od innych i że ją kocha, kocha.

Później, kiedy leżeli w łóżku, płatki mokrego śniegu tłukły o szyby jak ćmy.

– Chwila słabości – odezwała się Emma.

– Co?

– To na ulicy. Byłam słaba.

– Nie słaba. Szczera.

– Nie płaczę w obecności innych ludzi.

– Przy mnie możesz.

– Powiedziałeś, że mnie kochasz.

– No.

– To prawda?

Spojrzał w jej bardzo, bardzo jasne oczy.

– Tak.

Po chwili przerwała milczenie:

– Nie mogę powiedzieć, że ja też.

Wmówił sobie, że to nie to samo, co gdyby powiedziała, że nic do niego nie czuje.

– W porządku.

– Naprawdę? Bo niektórzy faceci chcą to usłyszeć.

Niektórzy faceci? Ilu wyznało jej miłość przed nim?

– Jestem silniejszy niż oni – odparł w nadziei, że to prawda.

Szyby trzęsły się od ponurego lutowego wichru, syrena przeciwmgielna wyła w oddali, a na Scollay Square ryknęło gniewnie kilka klaksonów.

– Czego chcesz? – spytał Joe.

Wzruszyła ramionami, skubnęła zębami paznokiec i spojrzała w okno.

– Żeby nie spotkało mnie wiele rzeczy, które mnie spotkały.

– Jakich rzeczy?

Pokręciła głową, już oddalając się od niego.

– I słońca – wymamrotała po chwili odrętwiałymi z senności ustami. – Mnóstwo, mnóstwo słońca.

## ROZDZIAŁ 3

### TERMIT HICKEYA

Tim Hickey powiedział kiedyś, że najmniejsze błędy rzucają czasem najdłuższy cień. Joe zastanawiał się, co Tim powiedziałby o rozmarzeniu za kierownicą samochodu czekającego pod bankiem. Może nie o rozmarzeniu – o obsesji. Na punkcie kobiecych pleców. A dokładniej – pleców Emmy. Na znamieniu, które się na nich znajdowało. Tim powiedziałby pewnie, że no cóż, czasem najdłuższy cień rzucają największe błędy, debilu.

Lubił też powtarzać, że kiedy wali się dom, pierwszy termit, który wgryzł się w jego fundamenty, jest tak samo winien, jak ostatni. Tego już Joe nie kapował – pierwszy termit od dawna by nie żył w chwili, gdy ostatni wbiłby zęby w drewno. No nie? Za każdym razem, gdy tak mówił, Joe postanawiał sprawdzić, ile żyją termyty, ale zawsze zapominał do następnego wystąpienia Tima, który przeważnie robił to po pijaku, po czym wszyscy milkli i spoglądali na siebie z takimi samymi minami: o co mu chodzi z tymi zasranymi termitami?

Hickey strzygł sobie włosy raz na tydzień w Aslem's na Charles Street. Raz we wtorek te włosy wylądowały mu w ustach, kiedy dostał w tył głowy, siedząc na fryzjerskim fotelu. Leżał na czarno-białych kafelkach, a krew skapywała mu z czubka nosa. Zabójca wyłonił się zza wieszaka na płaszcze, roztrzęsiony i z rozszerzonymi oczami. Wieszak przewrócił się na podłogę, jeden z fryzjerów podskoczył. Zabójca przeszedł nad ciałem Tima Hickeya, pokiwał głową do świadków, jakby zażenowany, po czym opuścił lokal.

Joe dowiedział się o tym, leżąc w łóżku z Emmą. Kiedy odłożył słuchawkę i powiedział, co się stało, Emma usiadła. Robiła sobie papierosa, polizała i spojrzała na Joego – zawsze spoglądała na niego podczas tej czynności – a potem zapaliła.

– Zaczył coś dla ciebie? Ten Tim?

– Nie wiem.

– Jak to możliwe?

– No, takie rzeczy trudno określić.

Tim znalazł Joego i braci Bartolo, kiedy jako chłopcy podpalali kioski. Jednego dnia

„Globe” płacił im, żeby spalili kiosk „Standarda”, innego „American” za sfajczenie „Globe’a”. Tim zatrudnił ich do spalenia Cafe 51. Potem awansowali na włamywaczy; późnym popołudniem obrobili dom na Beacon Hill, którego bocznych drzwi nie zamknęła opłacona przez Tima sprzątaczką czy robotnik. Gdy pracowali dla Tima, płacił im, ale kiedy mieli własną robotę, odpalali Timowi prowizję, a lwią część zostawiali dla siebie. Pod tym względem był wspaniałym szefem.

Ale Joe widział, jak Tim dusi Harveya Boule’a. Poszło o opium, kobietę albo niemieckiego pointera krótkowłosego, Joe słyszał tylko plotki. Harvey wszedł do kasyna, od słowa do słowa zaczął się sprzeczać z Timem, a potem ten wyrwał kabel z zielonej lampy i zarzucił go na szyję Harveya. Boule był wielkim facetem i przez jakąś minutę ciągnął za sobą Tima po lokalu. Wszystkie dziwki uciekły, a cyngle Hickeya celowali w Harveya. Joe widział, jak w oczach Harveya Boule’a świta zrozumienie – nawet gdyby udało mu się wyrwać, cyngle Tima podziurawiliby go jak sito. Upadł na kolana, sfajdał się z głośnym pierdnięciem. Leżał na brzuchu, charcząc, a Tim wciskał mu kolano między łopatki i nawijał kabel na dłoń. Szarpnął jeszcze mocniej, a Harvey wierzgnął tak, że rzucił buty.

Tim strzelił palcami. Jeden z cyngli podał mu pistolet i Tim przyłożył go do ucha Harveya. Jakaś dziwka szepnęła „Boże”, ale w chwili, gdy Tim nacisnął spust, z oczu Harveya znikła nadzieja i przytomność, a z gardła wyrwał się ostatni oddech jak imitacja śpiewu muezzina. Tim usiadł na plecach Harveya i oddał pistolet cynglowi. Spojrzał na profil człowieka, którego zabił.

Joe jeszcze nigdy nie widział niczyjej śmierci. Niespełna dwie minuty temu Harvey poprosił dziewczynę, która przyniosła mu martini, żeby podała mu wyniki meczu Socksów. I dał jej dobry napiwek. Spojrzał na zegarek i schował go do kamizelki. Pociągnął łyk alkoholu. Od tego czasu minęły zaledwie dwie minuty i co, nie żyje? Odszedł? Dokąd? Nikt tego nie wie. Do nieba, piekła, czyśćca, czy gorzej – w nicość. Tim wstał, przyglądał białe jak śnieg włosy i machnął niedbale kierownikowi kasyna.

– Kolejka dla wszystkich. Na koszt Harveya.

Parę osób zachichotało nerwowo, ale właściwie wszyscy wyglądali, jakby ich zemdliło.

Nie była to jedyna osoba, którą Tim zabił lub kazał zabić przez ostatnie cztery lata, ale jedyna, której śmierć Joe widział na własne oczy.

A teraz sam Tim. Odszedł. I nie wróci. Jakby go nigdy nie było.

– Widziałaś kiedyś, jak zabijają człowieka? – spytał Emmę.

Przez chwile patrzyła na niego nieruchomo, paliła papierosa i skubała paznokiec.

– No.

– Jak myślisz, dokąd idą?

– Do piachu.

Spoglądał na nią tak długo, aż uśmiechnęła się tym swoim bladym uśmieszkiem, z kędziorkami spadającymi jej na oczy.

– Chyba nigdzie nie idą – powiedziała.

– Też tak zaczynam myśleć. – Usiadł, mocno pocałował ją w usta, a ona odwzajemniła się tak samo mocnym pocałunkiem. Oplotła go nogami w pasie. Przesunęła ręką po jego włosach, a on spojrzał jej głęboko w oczy, bojąc się, że jeśli choć na chwilę przestanie patrzeć, coś przegapi, coś ważnego, coś, co się pojawi na twarzy Emmy, coś, czego nigdy nie zapomni.

– A jeśli nie ma żadnego potem? I to – wtuliła się w niego – to wszystko, na co można liczyć?

– Uwielbiam to.

Parsknęła śmiechem.

– Ja też.

– Tak ogólnie? Czy ze mną?

Odłożyła papierosa. Wzięła jego twarz w dłonie i pocałowała go. Zakołysała się.

– Z tobą.

Ale nie robiła tego tylko z nim, prawda? Był jeszcze Albert. Ciągle ten Albert.

Parę dni później w sali bilardowej obok kasyna Joe grał sam ze sobą, kiedy do sali wszedł Albert White z pewnością kogoś, kto spodziewa się, że inni usuną mu przeszkody spod nóg. Za nim szedł szef jego ochroniarzy, Brenny Loomis, który spojrzał wprost na Joego tak, jak patrzył na niego z podłogi kasyna.

Joe poczuł w sercu chłód noża. Przestał oddychać.

– Ty musisz być Joe – powiedział Albert White.

Joe zmusił się do ruchu. Ujął wyciągniętą rękę Alberta.

– Joe Coughlin, tak. Miło mi.

– Wreszcie cię poznałem, Joe. – Albert poruszył jego ramieniem w górę i dół, jakby pompował wodę.

– Tak jest.

– A to Brendan Loomis – dodał Albert. – Mój przyjaciel.

Joe uściśnął rękę Loomisa; czuł się, jakby włożył dłoń między dwa zderzające się ze sobą samochody. Loomis przechylił głowę i omiótł jego twarz spojrzeniem małych brązowych oczek. Kiedy Joe odzyskał rękę, musiał się powstrzymać, żeby jej nie rozmasować. Tymczasem Loomis – z kamienną miną – wytarł swoją dłoń jedwabną chusteczką. Odwrócił wzrok od Joego i rozejrzał się po sali, jakby miał jakieś własne plany. Powiadano, że dobrze strzela i świetnie posługuje się nożem, ale większość jego ofiar ginęła od zwykłego pobicia.

– Widziałem cię już, tak? – spytał Albert.

Joe usiłował dopatrzeć się w jego twarzy śladów wesołości.

– Nie sadzę.

– Widziałem. Bren, widziałeś tego gościa?

Brenny Loomis wziął bilę i przyjrzał się jej.

– Nie.

Joe poczuł taką ulgę, że omal nie stracił panowania nad pęcherzem.

– Sznurówka – rzucił Albert, strzelając palcami. – Przychodzisz tam czasem, tak?

– Tak.

– No, o to chodziło. – Poklepał Joego po ramieniu. – Teraz ja prowadzę ten lokal. Wiesz, co to znaczy?

– Nie.

– To znaczy, że masz się wynieść z pokoju, który zajmujesz. – Albert uniósł palec wskazujący. – Ale nie czuj się, jakbym cię wyrzucał na ulicę.

– Dobra.

– Po prostu to świetne miejsce. Mam wobec niego mnóstwo planów.

– Rozumiem.

Albert dotknął ramienia Joego tuż nad łokciem. Jego obrączka błysnęła w świetle. Była srebrna, z celtyckim wzorem węża. Migotało w niej parę brylancików.

– Pomyśl, ile chcesz zyskać. Dobrze? Zastanów się. Nie spiesz się. Ale pamiętaj – nie możesz pracować na własną rękę. Nie w tym mieście. Już nie.

Joe oderwał spojrzenie od obrączki i ręki na swoim ramieniu, spojrzał w przyjazne oczy Alberta White'a.

– Nie mam ambicji pracować na własne konto. Płaciłem prowizję Timowi Hickeyowi, świętek czy piątek.

Albert White zrobił minę, jakby nie życzył sobie słyszeć nazwiska Tima Hickeya w miejscu, którego stał się właścicielem. Poklepał Joego po ramieniu.

– Wiem. I wiem, że dobrze pracowałeś. Na medal. Ale nie robimy interesów z obcymi. A niezależny pracownik to obcy. Kompletujemy wspaniały zespół. Zaręczam – rewelacyjny zespół. – Nalał sobie drinka z karafki Tima i nie poczęstował nikogo. Podszedł ze szklanką do stołu bilardowego i usiadł na nim. Spojrzał na Joego. – Powiedzmy sobie jasno: jesteś za mądry, żeby robić to, co robisz. Kręcisz z dwoma durniami – no, może i fajni kumple, ale głupi jak dwa buty, w dodatku makaroniarze i nie dożyją trzydziestki. A ty... Ty możesz dalej iść w kierunku, w którym idziesz. Żadnych zobowiązań, ale żadnych przyjaciół. Mieszkanie, ale nie dom. – Zsunął się ze stołu. – Jeśli nie chcesz domu, proszę bardzo. Mogę ci to obiecać. Ale nie możesz działać w granicach miasta. Chcesz coś sobie skrócić na południowym brzegu, proszę bardzo. Zaryzykuj na północnym, jeśli Włosi pozwolą ci żyć, kiedy już się o tobie dowiedzą. Ale to miasto... – Wskazał podłogę. – Teraz zapanował tutaj porządek. Żadnych prowizji. Pracownicy i pracodawcy. Czy czegoś nie rozumiesz?

– Rozumiem wszystko.

– Coś ci jeszcze wyjaśnić?

– Nie, dziękuję.

Albert White założył ręce na piersi i skinął głową. Spojrzał w dół.

– Masz coś na warsztacie? Jaką robotę, o której powinienem wiedzieć?

Joe wydał ostatnie pieniądze od Tima Hickeya na opłacenie faceta, który dał mu cynk potrzebny do roboty w Pittsfield.

– Nie. Nic.

– Potrzebujesz pieniędzy?

– Słucham?

– Pieniądzy. – Albert sięgnął do kieszeni. Ta ręka przesuwała się po biodrze Emmy. Zaciskała się na jej włosach. Odliczyła dwa dziesiątaki ze zwitka banknotów i wcisnęła je w dłoń Joego. – Nie chcę, żebyś zastanawiał się z pustym żołądkiem.

– Dzięki.

Ta sama ręka poklepała policzek Joego.

– Mam nadzieję, że nam się ułoży.

– Moglibyśmy wyjechać – powiedziała Emma.

– Wyjechać? – zdziwił się. – Znaczy, razem?

Leżeli w jej sypialni w środku dnia, jedynym momencie, kiedy w domu nie było jej trzech siostr, trzech braci, rozgoryczonej matki i wściekłego ojca.

– Moglibyśmy wyjechać – powtórzyła, jakby sama w to nie wierzyła.

– I dokąd pójść? Z czego żyć? Ale jak to, razem?

Nie odpowiedziała. Dwa razy zapytana, dwa razy zignorowała pytanie.

– Nie znam się na uczciwej pracy – odparł.

– Kto mówi, że ma być uczciwa?

Rozejrzał się po ponurej klitce, którą dzieliła z dwiema siostrami. Tapeta koło okna odłaziła, dwie szyby były pęknięte. Widzieli w powietrzu kłęby pary, buchające z ich ust.

– Musielibyśmy wyjechać bardzo daleko – dodał. – Nowy Jork to zamknięte miasto. Filadelfia też. Detroit? Zapomnij. Chicago, Kansas City, Milwaukee – wszystko to niedostępne dla takich gości jak ja, chyba że chcę wstąpić do mafii jako szeregowiec.

– Więc wyjedźmy na zachód, tak jak powiedział. Albo na południe. – Musnęła nosem jego szyję, odetchnęła głęboko, jakby narastała w niej czułość. – Musimy postawić pieniądze.

– W sobotę mamy ustawioną robotę. Jesteś wolna?

– Żeby wyjechać?

– No.

– Muszę się spotkać, wiesz z kim.

– Walić go.

– No tak. Taki jest plan.

– Nie, chodziło mi o...

– Wiem, o co ci chodziło.

– To kiepski facet. – Joe nie odrywał wzroku od jej pleców, od tego znamienia w kolorze mokrego piasku.

Spojrzała na niego z łagodnym rozczarowaniem, tym bardziej dotkliwym, że tak mało „energicznym”.

– Nieprawda.

– Bronisz go?

– Mówię ci, że to nie jest zły człowiek. Nie jest moim facetem. Nie podziwiam go ani nie kocham czy coś. Ale nie jest zły. Nie upraszczaj tak ciągle.

– Zabił Tima. Albo kazał go zabić.

– A Tim co? Zajmował się rozdawaniem datków ubogim?

– Nie, ale...

– Ale co? Nie ma dobrych ani złych. Wszyscy po prostu starają się jakoś żyć. – Zapaliła papierosa i potrząsnęła zapalną, żeby ją zgasić. – Przestań tak wszystkich oceniać, do cholery.

Nie mógł przestać patrzeć na jej znamię, zgubił się w jego piaskach, otoczyły go.

– Nadal będziesz się z nim widywać.

– Nie zaczynaj. Jeśli naprawdę wyjedziemy z miasta, to...

– Wyjedziemy. – Joe mógłby wyjechać nawet z kraju, byleby ten facet nigdy więcej jej nie dotknął.

– Dokąd?

– Do Biloxi – rzucił i uświadomił sobie, że właściwie to niezły pomysł. – Tim miał tam mnóstwo przyjaciół. Facetów, których poznałem. Handlarzy rumem. Albert sprowadza alkohol z Kanady. On robi w whiskey. Więc jeśli dotrzemy nad Zatokę – do Biloxi, Mobile, może nawet Nowego Orleanu, jeśli opłacimy się właściwym ludziom – może nam się udać. To kraina rumu.

Emma zastanowiła się nad tym przez chwilę; znamię falowało za każdym razem, kiedy wyciągała rękę, żeby strzepnąć popiół z papierosa.

– Mam się z nim spotkać na tym otwarciu nowego hotelu. Tego na Providence Street.

– Statlera?

Skinęła głową.

– Podobno w każdym pokoju ma być radio. I włoskie marmury.

– I...?

– On zjawi się z żoną. Chce, żebym tam była, bo... No nie wiem, bo go kręci, że mnie widzi, trzymając żonę pod rękę. A potem wiem na pewno, że wyjedzie na parę dni do Detroit, żeby pogadać z nowymi dostawcami.

– Więc?

– Więc dzięki temu zyskamy tyle czasu, ile trzeba. Kiedy zacznie mnie szukać, my będziemy mieć trzy, cztery dni przewagi.

Joe zastanowił się nad tym.

– Nieźle.

– Wiem. – Uśmiechnęła się. – Myślisz, że dasz radę się wyrobić w sobotę do Statlera? Powiedzmy na siódmą?

– Zdecydowanie.

– No to wyjeżdżamy – oznajmiła, oglądając się przez ramię na niego. – Ale koniec gadania, że Albert jest zły. Dał mojemu bratu pracę. W zeszłą zimę kupił mojej matce płaszcz.

– No dobrze.

– Nie chcę się kłócić.

Joe też nie chciał. Przy każdej kłótni przegrywał, przeproszał za to, czego nie zrobił i co nawet nie przyszło mu do głowy. Od tego mieszało mu się we łbie.

Pocałował ją w ramię.

– Więc nie będziemy się kłócić.

Zatrzepotała rzęsami.

– Hurra!

Kiedy odjeżdżali z Pittsfield, gdzie mieli robotę, Joe władował się tyłem na latarnię, bo myślał o tym znamieniu. O jego kolorze mokrego piasku, o tym, jak falowało między jej łopatkami, kiedy obejrzała się na niego i powiedziała, że być może go kocha, tak samo jak wtedy, gdy mówiła, że Albert White nie jest taki zły. Wręcz przeciwnie. Przyjaciel plebsu. Kupi płaszcz twojej matce, o ile ty ogrzejesz go swoim ciałem. To znamie miało kształt motylka, ale takiego o poszarpanych skrzydełkach. Joe pomyślał, że to cała Emma – a potem zganiał się, po co to roztrząsać, dzisiaj wyjeżdżają z miasta, wszystkie problemy się rozwiązały. Ona go kocha. Czy nie o to chodziło? Wszystko inne zniknie w lusterku wstecznym. Emma Gould nigdy mu się nie znudzi, od rana do nocy, na okrągło. Chciał jej na resztę swojego życia – tych piegów wokół obojczyków i na garbku nosa, tego pomruku, który zostawał jej w gardle, kiedy kończyła się śmiać, tego, jak wymawiała słowo „cztery”, jakby miało trzy sylaby.

Dion i Paolo wybiegli z banku.

Wskoczyli na tył samochodu.

– Jedź! – rzucił Dion.

Wysoki, łysy facet w szarej koszuli i czarnych szelkach wypadł z banku, trzymając pałkę. Pałka to nie rewolwer, ale i tak może narobić kłopotów, jeśli człowiek znajdzie się w jej zasięgu.

Joe wrzucił pierwszy bieg i dodał gazu, ale samochód skoczył do tyłu, nie do

przodu. O pięć metrów. Facet z pałką otworzył szeroko oczy.

– E! Stój! – krzyknął Dion.

Joe wdepnął hamulec i zaciągnął sprzęgło. Zmienił biegi, ale i tak uderzyli w latarnię. Nic wielkiego, po prostu wstyd. Wieśniak w szelkach będzie do końca życia opowiadał swojej żonie i przyjaciołom, jak to wystraszył trzech opryszków tak bardzo, że uciekali na wstecznym.

Kiedy samochód skoczył do przodu, spod kół w twarz gościa z pałką bryznęły kamyczki i piasek. Teraz przed bankiem stanął drugi facet. Miał na sobie białą koszulę i brązowe spodnie. Wyciągnął rękę. Joe zobaczył go we wstecznym lusterku – i drgnienie jego ręki. Przez chwilę nie rozumiał, co się dzieje, potem do niego dotarło. Rzucił „padnij”, Dion i Paolo osunęli się w dół. Ręka faceta znowu podskoczyła, i znowu, a boczne lusterko pękło, sypiąc szkłem na piasek ulicy.

Joe skręcił w East Street, znalazł zaułek, który odnaleźli tydzień temu, skręcił w niego i wdepnął pedał gazu. Przez parę przecznic jechał równoległe do torów kolejowych, biegnących za fabrykami. Teraz mogli już założyć, że do gry włączyła się policja – nie aż tak, żeby ustawiać blokady drogowe czy coś, ale na tyle, by pojechać za śladami opon, odcisniętymi w piasku drogi i zorientować się w ogólnym kierunku, w którym zmierzają.

Tego ranka ukradli trzy samochody, wszystkie w Chicopee, jakieś sto kilometrów na południe: auburna, którym teraz jechali, a także czarnego cole’a z łysymi oponami i ‘24 essex coacha z chrypiącym silnikiem.

Joe przeciął tory i jechał jeszcze jakieś dwa kilometry wzdłuż Silver Lake do odlewni, która spaliła się przed paru laty, a jej czarna skorupa tkwiła, przechylona w prawo, na polu pełnym zielska i dmuchawców. Oba samochody czekały na nich, kiedy Joe zatrzymał się na tyłach budynku z dawno nieistniejącą ścianą. Zaparkowali koło cole’a i wysiedli.

Dion chwycił Joego za klapy i cisnął go na maskę auburna.

– Co to, kurwa, było?

– Błąd.

– Błąd to w zeszłym tygodniu. W tym to już jakaś zasrana tradycja.

Joe nie miał argumentów, żeby się spierać, ale i tak powiedział:

– Zabieraj te łapy.

Dion puścił jego klapy. Odetchnął ciężko przez nos i wskazał sztywnym palcem Joego.

– Dajesz dupy.

Joe zebrał kapelusze, chustki, broń i schował do worka z pieniędzmi. Położył go na

tylnym siedzeniu essex coacha.

– Wiem.

Dion wyciągnął grube dłonie.

– Byliśmy partnerami od dzieciństwa, ale to już, kurwa, przesada.

– No – zgodził się Joe, ponieważ nie widział sensu w negowaniu oczywistości.

Przez ścianę zbrązowiałych chwastów na skraju pola za odlewnią przebiły się cztery policyjne radiowozy. Chwasty miały kolor rzecznej koryta i sięgały jakieś dwa i pół do trzech metrów. Radiowozy rozjechały je, odsłaniając ukryte za nimi osiedle lichych domków. Jakaś kobieta w szarym szalu, z małym dzieckiem, pochylała się nad niedawno zgaszonym ogniskiem i zgarniała jeszcze żarzące się węgielki.

Joe wskoczył do esseksa i opuścił teren odlewni. Bracia Bartolo minęli go w cole'u, którego tył zarzucił, kiedy wjechali na łachę czerwonego suchego pyłu. Pył sypnął w przednią szybę samochodu Joego i zabrudził ją. Joe wychylił się i wytarł szybę lewą ręką, prowadząc prawą. Essex podskoczył wysoko na wertepach, a coś ukąsiło Joego w ucho. Kiedy cofnął głowę, widział o wiele lepiej, ale z ucha lała mu się krew, spływała na kołnierzyk i pierś.

O tylne okno coś zabębniło, jakby ktoś rzucił monety na blaszany dach, a potem szyba eksplodowała i od deski rozdzielczej odbiła się kula. Po lewej stronie Joego pojawił się radiowóz, potem drugi po prawej. W tym po prawej na tylnej kanapie siedział gliniarz, który oparł lufę Thompsona o framugę okna i otworzył ogień. Joe wdepnął hamulce tak gwałtownie, że stalowe sprężyny jego siedzenia wbiły mu się w żebra na plecach. Okna od strony pasażera rozprysnęły się na drobne kawałki. Potem przyszła kolej na przednią szybę. Kawałki deski rozdzielczej obryzgały Joego i przednie siedzenie.

Radiowóz po prawej usiłował zahamować, skręcając w stronę Joego. Oparł się maską o ziemię i uniósł się w powietrze jakby porwany wichrem. Joe zdążył jeszcze zauważyć, jak samochód ląduje na boku, potem drugi radiowóz staranował tył jego esseksa, a z chwastów tuż przed drzewami wyłonił się głaz.

Przód esseksa poszedł w dół, resztą miotnęło w prawo. Joe nawet nie poczuł, że opuszcza samochód; zorientował się dopiero, kiedy wpadł na drzewo. Leżał tak długo, obsypany okruchami szkła i sosnowymi igłami, lepki od własnej krwi. Myślał o Emmie i o swoim ojcu. W powietrzu rozchodził się swąd spalonych włosów. Na wszelki wypadek sprawdził swoje ręce i głowę, ale nic mu się nie stało. Usiadł na ściółce i czekał, aż policja go aresztuje. Spomiędzy drzew wysączył się dym. Był czarny, tłusty, niezbyt gęsty. Lawirował wśród pni, jakby kogoś szukał. Po chwili Joe uświadomił sobie, że policja się nie zjawi.

Wstał i spojrzał na skasowanego esseksa. Drugi radiowóz gdzieś zniknął. Joe nie mógł go dostrzec – tego, z którego do niego strzelano. Potem go zauważył, leżącego na

boku w polu, dobre dwadzieścia metrów od miejsca, w którym nim rzuciło.

Szkło i odłamki posiekały ręce Joego. Nogi były w porządku. Z ucha wciąż płynęła krew. Kiedy dotarł do nienaruszonej tylnej szyby essekasa, spojrzął na swoje odbicie i zrozumiał, co się stało: stracił płatek lewego ucha, odcięty gładko jak brzytwą. Za swoim odbiciem dostrzegł skórzany worek z pieniędzmi i bronią. Drzwi nie chciały się otworzyć; musiał oprzeć obie stopy na drzwiach od strony kierowcy, zmasakrowanych nie do poznania. Ciągnął ze wszystkich sił, aż zakręciło mu się w głowie i ogarnęły go mdłości. W chwili, gdy zaczął myśleć, że powinien poszukać jakiegoś kamienia, drzwi otworzyły się z głośnym jękiem.

Wyjął worek i ruszył w las. Dotarł do małego, suchego drzewka w płomieniach; dwie największe gałęzie wyginały się w stronę kłębu płomieni w środku, jakby ręce, które usiłowały zgasić palącą się głowę. Na zgniecionych krzakach przed nim zostały tłuste czarne ślady opon; w powietrzu unosiły się płonące liście. Znalazł drugie drzewo, które się paliło, i mały krzak, gdzie czarne ślady opon stały się jeszcze ciemniejsze i tłustsze. Po jakichś pięćdziesięciu metrach natrafił na staw. Z jego powierzchni unosiła się para; Joe nie od razu pojął, w czym rzecz. Radiowóz, który go staranował, wjechał do wody, płonąc, a teraz unosił się na środku stawu, zanurzony po okna, zwęglony. Na jego dachu pełgało parę niebieskich płomieni. Szyby znikły. Dziury po kulach wyglądały jak denka spłaszczonych puszek po piwie. Kierowca wisiał, przewieszony przez okno. Jediną częścią jego ciała, która nie poczerniała, były białka oczu – uderzające na tle zwęglonego ciała.

Joe wszedł do stawu i stanął w wodzie po pas po stronie pasażera. W samochodzie nie było nikogo. Zajrzał do środka, choć przez to zbliżył się do trupa. Od upieczonych zwłok kierowcy biły fale żaru. Joe cofnął się; na pewno widział w tym radiowozie dwóch policjantów. Dobiegł go nowy powiew zapachu spalonego ciała; spojrzął w dół.

Drugi policjant leżał w wodzie u jego stóp. Spoglądał z piaszczystego dna; lewą stronę ciała miał zwęgloną, jak jego partner, prawą oparzoną, ale wyglądała normalnie. Chłopak był rówieśnikiem Joego, może o rok starszy. Unosił prawą rękę. Pewnie wydzwignął się nią z płonącego samochodu, upadł do wody na plecy i tak umarł.

Ale ta ręka wyglądała, jakby wskazywała na Joego w jasnym oskarżeniu:

To przez ciebie.

Przez ciebie. Tylko przez ciebie. Przez ciebie wszyscy nie żyją.

Ty jesteś tym pierwszym termitem.

# ROZDZIAŁ 4

## DZIURA W ŚRODKU

W mieście Joe porzucił samochód, ukradziony w Lenox i zastąpił go dodgem 126, który znalazł na Pleasant Street w Dorchester. Dojechał nim na K Street w południowej części Bostonu i zatrzymał się naprzeciwko domu, gdzie się wychował. Zastanawiał się nad swoimi możliwościami. Nie było ich wiele. Do wieczora pewnie i ich zabraknie. Wszystko znalazło się w wieczornych gazetach:

### TRZEJ POLICJANCI Z PITTSFIELD NIE ŻYJĄ

(„Boston Globe”)

### MAKABRYCZNA ŚMIERĆ TRZECH POLICJANTÓW Z MASSACHUSETTS

(„Evening Standard”)

### ŚMIERĆ POLICJANTÓW W ZACHODNIM MASSACHUSETTS

(„American”)

Dwaj mężczyźni, których Joe widział w stawie, nosili nazwiska Donald Belinski i Virgil Orten. Obaj zostawili żony, a Orten – dwoje dzieci. Joe obejrzał ich zdjęcia i uznał, że Orten siedział za kierownicą, a Belinski wskazywał na niego z wody.

Wiedział, że tak naprawdę zginęli, ponieważ ich kolega okazał się na tyle głupi, że strzelał z karabinu z samochodu podskakującego na wyboistej drodze. To był fakt. Wiedział także, że to on jest termitem Hickeya, a Donald i Virgil nigdy by nie trafili do tego stawu, gdyby on i bracia Bartolo nie przybyli do ich miasteczka, żeby okraść mały bank.

Trzeci nieżyjący gliniarz, Jacob Zobe, był z policji stanowej. Zatrzymał samochód na skraju lasu October Mountain. Dostał raz w brzuch i raz w czubek głowy, co go wykończyło. Zabójca lub zabójcy przejechali mu po kostce, która pękła.

Policja nie spieszyła się ze wskazywaniem innych podejrzanych, przynajmniej oficjalnie. Dwóch z nich opisano jako „masywnych”, „obcego pochodzenia i zapachu”, a

trzeci – prawdopodobnie także cudzoziemiec – dostał postrzał w twarz. Joe spojrzął na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Z technicznego punktu widzenia pewnie była to prawda; ucho znajduje się tuż przy twarzy. A raczej znajdowało się.

Choć nikt jeszcze nie znał ich nazwisk, rysownik z wydziału policji w Pittsfield dostarczył ich podobizny. Dlatego zdjęciom martwych policjantów towarzyszyły szkice Diona, Paola i Joego. Bracia Bartolo wyglądali na grubszych niż w rzeczywistości, a jeśli chodzi o Joego – musiałby spytać Emmy, czy jego twarz naprawdę jest tak chuda i drapieżna. Poza tym jednak portrety wiernie oddawały rzeczywistość.

Zarządzono obławę w czterech stanach. Biuro dochodzeń, z którym się skonsultowano, podobno także dołączyło się do poszukiwań.

Teraz ojciec pewnie już przeczytał gazety. Jego ojciec, Thomas Coughlin, zastępca komisarza bostońskiej policji.

A jego syn miał związek ze śmiercią policjantów.

Odkąd dwa lata temu umarła matka Joego, ojciec zapracowywał się na śmierć sześć dni w tygodniu. Teraz, gdy rozpoczęła się obława na jego własnego syna, pewnie będzie musiał wstawić do biura pryczę i nie wróci do domu aż do zamknięcia sprawy.

Rodzina Joego mieszkała w trzypiętrowym szeregowcu, okazałym budynku, z ceglana wypukłą ścianą frontową. Wszystkie główne pokoje miały okna wychodzące na ulicę i półkoliste parapety do siedzenia. Był to dom pełen mahoniowych schodów, rozsuwanych drzwi, parkietów, z sześcioma sypialniami, dwiema łazienkami – i to z kanalizacją – oraz jadalnią godną wielkiego angielskiego zamku.

Kiedy pewna kobieta spytała kiedyś Joego, jak to możliwe, że pochodząc z tak dobrej rodziny i tak wspaniałego domu, został gangsterem, on udzielił jej dwu odpowiedzi: a) Nie był gangsterem, tylko wyrzutkiem społecznym b) Pochodził ze wspaniałego budynku, nie domu.

Joe wszedł do domu ojca. Z telefonu w kuchni zadzwonił do Gouldów, ale nikt nie odebrał. W worku, który wniósł ze sobą, znajdowały się sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów. Nawet po podziale na trzy osoby kwota, która by została, wystarczyłaby na oszczędne życie przez dziesięć, może piętnaście lat. Joe nie był oszczędny, więc podejrzewał, że to mu zapewni cztery normalne lata życia. Ale ponieważ musiał uciekać, sytuacja się zmieniła. Za te pieniądze mógł żyć najwyżej półtora roku, nie więcej. Do tego czasu coś wymyśli. W tym akurat był dobry – w zaimprovizowanym działaniu.

*Niewątpliwie, usłyszał głos podejrzanie podobny do głosu jego najstarszego brata. Na razie wspaniale ci się udaje.*

Zadzwonił do nielegalnego lokalu wujka Bobo, ale tutaj także nikt nie odebrał.

Potem przypomniał sobie, że dzisiaj o szóstej Emma ma się zjawić na otwarciu hotelu Statler. Wyjął zegarek z kamizelki: za dziesięć czwarta.

Musiał jakoś zabić dwie godziny w mieście, które chciało zabić jego.

Za dużo czasu, żeby pętać się po dworze. Policja zdąży dowiedzieć się jego nazwiska i adresu, a także nazwisk jego znajomych i listy ulubionych lokali. Obstawia wszystkie dworce kolejowe i autobusowe, nawet te na wsi, zablokują drogi...

Ale to obosieczny miecz. Blokada drogi uniemożliwiłaby mu wejście do miasta – o ile znajdowałyby się poza jego granicami. Nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, że Joe już tutaj jest i zamierza się znowu wymknąć. A nie przyjdzie, ponieważ tylko najgłupszy kryminalista świata zaryzykowałby powrót do rodzinnego miasta po popełnieniu największego przestępstwa, jakie tu widziano od pięciu czy sześciu lat.

A to znaczyło, że Joe jest najgłupszym kryminalistą świata.

Albo najmądrzejszym. Bo najprawdopodobniej policja w tej chwili nie przeszukuje tylko jednego miejsca – tego, które mają tuż pod nosem.

Przynajmniej tak sobie wmawiał.

Pozostało mu jedno – to, co powinien zrobić w Pittsfield: zniknąć. Nie za dwie godziny. Teraz. Nie czekać na kobietę, która w obecnej sytuacji mogłaby go zostawić. Odejść tak, jak stoi, z workiem pieniędzy w ręce. Tak, wszystkie drogi są obserwowane. To samo dotyczy pociągów i autobusów. I nawet, gdyby zdołał dotrzeć na wieś na południowy zachód od miasta i ukraść konia, nic by mu to nie dało, bo i tak nie umiał jeździć konno.

A to znaczyło tylko jedno: morze.

Potrzebował jakiejś łodzi, ale nie wypoczynkowego jachtu i nie czegoś tak ostentacyjnie związanego z przemytnikami rumu, jak skif. To powinna być zwykła rybacka łódka, taka z zardzewiałymi dulkami i postrzępionymi linami, ze stertą pułapek na homary na pokładzie. Coś takiego, co cumuje w Hull, Green Harbor lub Gloucester. Jeśli wypłynie w morze o siódmej, rybacy pewnie zorientują się w stracie dopiero koło trzeciej lub czwartej nad ranem.

Więc teraz zaczął okradać biedaków.

No, ale taka łódź jest zarejestrowana. Weźmie tylko taką. Po rejestracji trafi do właściciela i prześle mu tyle pieniędzy, żeby starczyło na dwie łódki, albo w ogóle na wypisanie się z tej roboty.

Przyszło mu do głowy, że to tłumaczy, dlaczego nawet po skoku rzadko ma przy sobie gotówkę. Czasami wydawało mu się, że kradnie pieniądze z jednego miejsca tylko po to, żeby ulokować je w innym. Ale kradł także dlatego, że to go bawiło, i szło mu dobrze, no i zapewniało dostęp do innych zajęć, w których też był dobry, na przykład

nielegalnej produkcji i przemytu alkoholu. Właśnie dzięki tym zajęciom znalazł się na łodziach. W czerwcu przyplłynął łódką z bezimiennej wioski rybackiej w Ontario na brzegu jeziora Huron do Bay City w Michigan, a w październiku z Jacksonville do Baltimore. Zeszłej zimy przewiózł skrzynki rumu prosto z destylarni w Sarasota przez Zatokę Meksykańską do Nowego Orleanu, gdzie w jeden weekend przepuścił cały zarobek w dzielnicy francuskiej na występki, których do dziś nie mógł sobie przypomnieć.

Dlatego potrafił pilotować większość łodzi, a to znaczyło, że może kraść niemal wszystkie. Mógłby wyjść z tego domu i za pół godziny dotrzeć do południowego brzegu. Do północnego przedostawałby się trochę dłużej, ale o tej porze roku miałyby tam więcej łodzi do wyboru. Gdyby odbił z Gloucester lub Rockport, mógłby dotrzeć do Nowej Szkocji za trzy do czterech dni. A za parę miesięcy posłałby po Emmę.

A to wydawało się trochę długo.

Ale ona na niego poczeka. Kocha go. Co prawda nigdy tego nie powiedziała, ale był pewny. Kochała go, a on kochał ją.

Poczeka.

Może jednak wpadnie do hotelu. Zajrzy na chwileczkę, sprawdzi, czy jej nie dostrzeże. Jeśli znikną oboje, nikt ich nie wyśledzi. Ale jeśli on zniknie, a potem po nią pośle, policjanci i biuro śledcze będą już wiedzieć, co dla niego znaczy Emma. Pewnie poślą za nią swoich ludzi. Kiedy Joe otworzy drzwi, by ją powitać, zasypią ich gradem kul.

Emma nie może czekać.

Albo wyjadą razem, albo rozstaną się na zawsze.

Spojrzał na swoje odbicie w oszklonej serwantce matki i przypomniał sobie, po co tutaj przyszedł. Gdziekolwiek się uda, nie może się pokazywać w takim stanie. Prawy rękaw płaszcza miał czarny od krwi, buty i mankiety spodni utyłane błotem, koszulę podartą gałęziami i obryzganą krwią.

W kuchni otworzył chlebak i wyjął butelkę rumu A. Finke's Widow. Wszyscy nazywali go Finke's. Zdjął buty, zaniósł je wraz z rumem schodami dla służby do sypialni ojca. Tam obmył z krwi ucho, wokół rany. Kiedy się upewnił, że nie zacznie znów krwawić, cofnął się o parę kroków i przyjrzał się sobie, porównując uszy w stosunku do twarzy. Kiedy strup odpadnie, nikt nie będzie zwracał uwagi na tę deformację. Nawet teraz gruzeł czarnej, zaschniętej krwi znajdował się pod spodem ucha; oczywiście dawał się zauważyć, ale nie tak, jak podbite oko czy złamany nos.

Pociągnął parę łyków Finke's, po czym wybrał garnitur z szafy ojca. Było ich piętnaście – o trzynaście za dużo jak na pensję policjanta. To samo dotyczyło butów, koszul, krawatów i kapeluszy. Zdecydował się na brązowy jednorzędowy garnitur w prążki od Harta Schaffnera & Marksa z białą koszulą Arrow. Jedwabny czarny krawat

miał poziome czerwone paski co jakieś osiem centymetrów, buty były od Nettletona, a kapelusz z filcu, gładkiego jak pierś gołębiczy od Knappa. Joe rozebrał się i złożywszy schludnie ubranie, położył je na podłodze, a na nim buty i pistolet; przebrał się w rzeczy ojca, po czym wsunął pistolet za pasek na plecach.

Sądząc po długości spodni, ojciec jednak był trochę wyższy. A kapelusz okazał się za mały. Problem z kapeluszem Joe rozwiązał, zsuwając go nieco z czoła, tak że prezentował się zawadiacko. Podwinął nogawki spodni i przypiął je agrafkami ze stolika do szycia matki.

Zaniósł stare ubranie i butelkę dobrego rumu do gabinetu ojca. Nawet teraz nie mógł zaprzeczyć, że przestąpienie progu tego pokoju pod nieobecność pana domu wydawało się świętokradztwem. Stał w drzwiach, nasłuchując odgłosów domu – tykania żelaznych wentylatorów, chrobotania przygotowujących się do ruchu młoteczków kuranta w szafkowym zegarze, przed wybiciem czwartej. Choć w domu na pewno nikogo nie było, czuł na sobie czyjś wzrok.

Wszedł do gabinetu dokładnie w chwili, gdy zegar zaczął wybijać czwartą.

Przed wysokimi wykuszowymi oknami z widokiem na ulicę stało biurko – ozdobne, wiktoriańskie, zrobione w Dublinie w połowie minionego wieku. Biurko, o jakim nie mógłby marzyć syn wyrobnika z biednej strony Clonakilty. Tak też można by powiedzieć o utrzymanych w tym samym stylu kredensie pod oknem, orientalnym dywanie, mięsistych bursztynowych kotarach, karafkach Waterforda, dębowych biblioteczkach i oprawnych w skórę książkach, których ojciec nigdy nie raczył przeczytać, odlanych z brązu prętach do zasłon, stylowej krytej skórą sofie i fotelach, humidorze z orzechowego drewna.

Joe otworzył szafkę pod biblioteczką i przykucnął, by spojrzeć na sejf. Wybrał szyfr: 3-12-10, miesiące urodzenia jego i jego dwóch braci, i otworzył sejf. Znajdowały się w nim biżuteria matki, pięćset dolarów gotówką, akt własności domu, metryki urodzenia rodziców, plik dokumentów, na których sprawdzenie Joe nie tracił czasu, i nieco ponad tysiąc dolarów w papierach wartościowych. Wyjął to wszystko i położył na podłodze na prawo od szafki. W głębi sejfu znajdowała się ściana zrobiona z tej samej grubej stali, co reszta. Otworzył ją, przycisnąwszy mocno kciuki do górnych rogów. Położył metal na spodzie pierwszego sejfu, odsłaniając zamek szyfrowy następnego.

Ten szyfr był trudniejszy do odgadnięcia. Joe wprowadził daty urodzin wszystkich członków rodziny – bez skutku. Potem numery posterunków, w których pracował ojciec. To samo. Potem przypomniał sobie powiedzenie ojca, że szczęście, pech i śmierć przychodzą trójkami i wypróbował wszystkie permutacje tej cyfry. Na nic. Zaczął się zastanawiać. Pewnego dnia – miał wtedy siedemnaście lat – zauważył na biurku ojca pozostawiony list do przyjaciela, który został dowódcą strażaków w Lewiston w stanie Maine. List był napisany na maszynie i roilo się w nim od kłamstw: „Ellen i ja mamy

szczęście, nadal jesteśmy w sobie zakochani jak pierwszego dnia...” „Aiden doszedł do siebie po mrocznych wydarzeniach września 1919 roku...” „Connor poczynił wielkie postępy...” i „Wygląda na to, że na jesieni Joseph pójdzie do Boston College. Wspomina o pracy maklera...” Na dole tych pierdoł widniał podpis „Twój TXC”. W ten sposób ojciec podpisywał wszystkie listy. Nigdy nie podawał pełnego nazwiska, jakby to mogło go jakoś skompromitować.

TXC.

Thomas Xavier Coughlin.

TXC

20-24-3.

Joe wprowadził te numery i drugi sejf otworzył się z przeraźliwym piskiem zawiasów.

Miał niespełna metr głębokości. Jakieś siedemdziesiąt centymetrów wypełniały pieniądze. Całe pliki, mocno związane czerwonymi gumkami. Niektóre banknoty trafiły do sejfu jeszcze przed narodzinami Joego, inne zostały pewnie włożone do niego w zeszłym tygodniu. Całe życie łapówek, profitów i haraczy. Ojciec – podpora tego miasta, Aten Ameryki, pępka wszechświata – był większym przestępcą niż Joe kiedykolwiek mógłby zostać. Bo Joe nigdy nie nauczył się dwulicowości, a jego ojciec miał do dyspozycji tyle twarzy, że nie wiadomo, która z nich jest oryginałem, a które imitacjami.

Joe wiedział, że gdyby dzisiaj wyczyścił sejf, pewnie mógłby żyć z tych pieniędzy przez dziesięć lat. Albo, gdyby wyjechał na tyle daleko, że przestaliby go szukać, mógłby wkupić się w biznes rafinowania kubańskiego cukru i/lub destylowania melasy, za trzy lata stałby się królem piratów i do końca życia nie musiałby się martwić o dach nad głową i jedzenie.

Ale on nie chciał pieniędzy ojca. Ukradł mu ubranie, bo podobała mu się myśl, że opuści to miasto, ubrany jak ten stary sukinsyn, ale prędzej sam by sobie połamał ręce, zanim wydałby nimi forszę ojca.

Położył schludnie złożone ubrania i zabłocone buty na brudnych pieniądzach ojca. Zastanowił się, czy nie zostawić liściku, ale nie przychodziło mu do głowy nic, co miałby powiedzieć, więc zamknął drzwi i obrócił pokrętkiem. Ustawił fałszywą ścianę pierwszego sejfu i także go zamknął.

Przez jakąś minutę krążył po gabinecie, po raz ostatni wszystko rozważając. Spotkanie z Emmą podczas imprezy, na której pojawi się większość miejskich luminarzy, a goście przybędą w limuzynach i na zaproszenie, byłoby szczytem szaleństwa. W ciszy gabinetu ojca pragmatyzm starego, choć bezlitosny, chyba udzielił się Joemu. Musiał przyjąć to, co mu dawali bogowie – szansę ucieczki z miasta, do którego według policji miał dopiero się wdrzeć. Ale czas mu nie sprzyjał. Musiał wyjść stąd frontowymi

drzwiami, wskoczył w skradzionego dodge'a i ruszył na północ, jakby droga paliła mu się pod kołami.

Wyjrzał przez okno na K Street wilgotnym wiosennym wieczorem i powtórzył sobie, że ona go kocha i na niego zaczeka.

Wsiadł do dodge'a i spojrzął na dom, w którym się urodził, dom, który go ukształtował. Według standardów bostońskich Irlandczyków wychował się w luksusach. Nigdy nie poszedł spać głodny, nigdy nie poczuł chłodu ulicy przez podeszwy butów. Został wykształcony, najpierw przez zakonnice, potem przez jezuitów, aż w jedenastej klasie odszedł ze szkoły. W porównaniu z ludźmi, których spotykał w pracy, życie układało mu się wprost po różach.

Ale w środku tego wszystkiego znajdowała się dziura, wielki dystans między Joem a rodzicami i światem jako takim. Rodzice stoczyli walkę przed jego narodzeniem – walkę, która zakończyła się pokojem tak kruchym, że przyznanie, iż istnieje mogłoby go zburzyć, dlatego nikt o nim nie wspominał. Ale między rodzicami nadal znajdowało się pole bitwy; matka siedziała po swojej stronie, ojciec po swojej. A Joe sterczał na środku, między okopami, na spalonej ziemi. Dziura w środku jego domu była dziurą wewnątrz jego rodziców, a pewnego dnia ta dziura wniknęła i w jego wnętrze. Kilka razy w dzieciństwie miał nadzieję, że wszystko się zmieni. Ale teraz już nie pamiętał, o czym wówczas myślał. Sprawy nigdy nie wyglądały dobrze, były, jakie były i tak przedstawiała się prosta prawda – prawda, która się nie zmieni tylko dlatego, że tego chcesz.

Zbliżył się do dworca autobusowego linii East Coast Bus na St James – małego budynku z żółtej cegły, otoczonego dużo większymi; założył, że policjanci, którzy go szukają, będą stacjonować przy stanowiskach po północnej stronie budynku, wykluczył skrytki na południowo-zachodnim rogu.

Wszedł przez drzwi wyjściowe, wmieszał się w tłum godzin szczytu. Pozwolił się nieść, nie opierał się jego nurtowi, nie usiłował nikogo wyprzedzić. Choć raz nie żałował, że nie jest wysoki. Jego głowa stała się jedną z wielu. Zauważył dwóch gliniarzy przy drzwiach prowadzących na stanowiska autobusów i jednego w tłumie jakieś dwadzieścia metrów dalej. Wyłonił się z tłumu w spokojnej okolicy skrytek bagażowych. To tutaj, przez sam fakt, że był sam, stał się najbardziej zauważalny. Wyjął trzy tysiące dolarów z worka, który na nowo zamknął. W prawej ręce trzymał klucz do skrytki 217, w lewej – worek. W 217 znajdowało się siedem tysięcy czterysta trzydzieści pięć dolarów, dwanaście kieszonkowych zegarków i trzynaście zegarków na rękę, dwa srebrne spinacze do banknotów, złota spinka do krawata i kolekcja damskiej biżuterii, której nigdy nie starał się sprzedać, bo podejrzewał, że paserzy usiłują go orznać. Podeszedł spokojnie do skrytki, uniósł prawą rękę, tylko trochę drżącą, otworzył drzwiczki.

– Hej! – rozległ się głos za jego plecami.

Joe patrzył wprost przed siebie. Drżenie jego ręki zmieniło się w spazmatyczny

dygot. Otworzył drzwi skrytki.

– Powiedziałem „hej”!

Włożył worek do skrytki i zamknął drzwi.

– Hej, ty! Hej!

Obrócił klucz w zamku, zamknął drzwi, schował klucz do kieszeni.

– Hej!

Joe zanim się odwrócił, wyobrażał sobie czekającego na niego gliniarza z wyciągniętym służbowym rewolwerem, pewnie młodego i nerwowego...

Koło kosza na śmieci na podłodze siedział włóczęga. Chudy jak patyk, żylasty, nic, tylko czerwone oczy i tak samo czerwone policzki. Uniósł wyzywająco głowę.

– Co się gapisz? – rzucił.

Z gardła Joego wyrwał się śmiech podobny do szczeknięcia; sięgnął do kieszeni i wyjął z niej dziesiątaka. Pochylił się i podał go staremu.

– Na ciebie się gapię, papciu. Na ciebie.

Włóczęga beknął, ale Joe już odszedł i wtopił się w tłum.

Ruszył na wschód przez St James w stronę dwóch reflektorów, krzyżujących promienie na tle niskich chmur nad nowym hotelem. Myśl o pieniądzach, które czekały na niego w bezpiecznej skrytce, uspokoiła go na chwilę. Taka decyzja, pomyślał, skręcając w Essex Street, jest trochę nietypowa, kiedy planuje się uciekać do końca życia.

*Skoro wyjeżdżasz z kraju, dlaczego zostawiasz tutaj pieniądze?*

*Żeby po nie wrócić.*

*Dlaczego miałbyś po nie wracać?*

*Dlatego, że mogłoby mi się dzisiaj nie udać.*

*Oto twoja odpowiedź.*

*Nie ma żadnej odpowiedzi. Jaka odpowiedź?*

*Nie chciałeś, żeby znaleziono te pieniądze przy tobie.*

*Dokładnie.*

*Bo wiesz, że cię złapią.*

## ROZDZIAŁ 5

### BRUDNA ROBOTA

Wszedł do hotelu Statler przez drzwi służbowe. Kiedy portier, a potem pomywacz spojrzeli na niego z zaciekawieniem, uniósł kapelusz i rzucił im pewny siebie uśmiech, zasalutował dwoma palcami, bon vivant, który chce uniknąć kontaktu z tłumem – a oni w odpowiedzi skinęli głowami i uśmiechnęli się do niego.

Gdy przechodził przez kuchnię, usłyszał dobiegające z holu dźwięki fortepianu, dziarskiego klarnetu i miarowe uderzenia kontrabas. Wspiął się po ciemnych betonowych schodach. Otworzył drzwi na górze i znalazł się na marmurowej klatce schodowej, w królestwie światła, dymu i muzyki.

W swoim czasie bywał w szykownych hotelach, ale nigdy w takich. Klarncista i wiolonczelista znajdowali się w pobliżu mosiężnych drzwi wejściowych, tak lśniących, że światło, które się od nich odbijało, zmieniało pyłki w powietrzu w złoto. Korynckie kolumny, wyrastające z marmurowych posadzek, podtrzymywały balkony z kutego żelaza. Stiuki były z kremowego alabastru, a co dziesięć metrów z sufitu zwisał żyrandol o tym samym kształcie co kandelabry na dwumetrowych stojakach. Na orientalnych dywanach pyszniły się kanapy w kolorze ciemnej krwi. Po przeciwnych stronach lobby stały dwa tonące w białych kwiatach fortepiany. Pianiści delikatnie przebiegali palcami po klawiszach i docinali nawzajem sobie i gościom.

Przed głównymi schodami radio WBZ ustawiło trzy fotofony na czarnych statywach. Przy jednym stała masywna kobieta w jasnoniebieskiej sukience, rozmawiając z mężczyzną w beżowym garniturze z żółtą muchą. Kobieta raz po raz dotykała koka i pociągała jasny, mętny płyn z kieliszka.

Większość obecnych mężczyzn zjawiła się we frakach lub smokingach. Paru przyszło w garniturach, więc Joe nie rzucał się w oczy, ale tylko on miał na głowie kapelusz. Rozważał, czy go zdjąć, ale wtedy ukazałby wszystkim twarz z pierwszych stron wieczornych gazet. Zerknął na antresolę; roilo się na niej od kapeluszy, ponieważ właśnie tam reporterzy i fotografowie mieszały się z gośćmi.

Opuścił głowę i ruszył do najbliższych schodów. Musiał iść powoli, tłum – już zauważono fotofony i krągłą kobietę w niebieskiej sukni – napierał ze wszystkich stron. Pomimo spuszczonej głowy dostrzegł Chappiego Geygana i Booba Fowlera,

rozmawiających z Redem Ruffingiem. Joe, od zawsze fan Red Soksów, musiał sobie surowo zapowiedzieć, że człowiek poszukiwany przez policję nie powinien podchodzić do trzech baseballistów i gawędzić z nimi o wynikach. Ale przecisnął się przez tłum za nim w nadziei, że usłyszy choć strzęp rozmowy, coś, co pozwoli mu się domyślić, czy Geygan i Fowler naprawdę chcą zmienić drużynę. Niestety, gadali tylko o akcjach; Geygan powiedział, że jedynym sposobem na prawdziwe zarabianie pieniędzy jest kupowanie papierów wartościowych na kredyt z depozytem zabezpieczającym. Inne sposoby są dla frajerów, którzy chcą być biedni. Właśnie wtedy masywna kobieta w błękitnej sukni podeszła do fotofonu i odkaszlnęła. Towarzyszący jej mężczyzna podszedł do drugiego i uniósł ręce.

– Panie i panowie – zaczął. – Radio WBZ, Boston, częstotliwość 1030, nadaje na żywo z wielkiego lobby sławnego hotelu Statler. Nazywam się Edwin Mulver i z ogromną przyjemnością przedstawiam państwu mademoiselle Florence Ferrel, mezzosopranistkę z opery w San Francisco.

Edwin Mulver zrobił krok w tył, unosząc wysoko głowę, a Florence Ferrel raz jeszcze przyklepała kok i odetchnęła w fotofon. Strumień powietrza zmienił się bez ostrzeżenia w niebosięźnie wysoką nutę, która zawibrowała w tłumie i strzeliła w górę ku sufitowi. Był to dźwięk tak niezwykły, a jednak tak autentyczny, że Joe poczuł wypełniającą go straszną samotność. Śpiewaczka dawała mu coś prosto z boskiego świata, a kiedy dźwięk przenosił się z jej ciała do jego, Joe uświadomił sobie, że pewnego dnia umrze. Zrozumiał to inaczej, niż wchodząc przez te drzwi. Wtedy taki fakt wydawał się odległą możliwością. Teraz stał się strasznym faktem, obojętnym na jego przerażenie. W świetle tak jasnych dowodów na istnienie świata nadprzyrodzonego zrozumiał bez dyskusji, że jest nic nieznaczącym śmiertelnikiem i że zmierza do opuszczenia świata od chwili, gdy się na nim pojawił.

Aria płynęła, a nuty stawały się jeszcze wyższe, jeszcze dłuższe i Joe wyobraził sobie głos śpiewaczki jako mroczny, nieskończony, niezgłębiany ocean. Powiódł wzrokiem wśród mężczyzn we frakach i kobiet w lśniącej tafcie, obcisłych jedwabiach i zwojach koronek, spojrział na tryskającą szampanem fontannę na środku lobby. Poznał sędziego, burmistrza Curleya i gubernatora Fulera, oraz kolejnego gracza z Soksów, Baby Dolla Jacobsona. Przy fortepianie zauważył Constance Flagstead, miejscową gwiazdę sceny, flirtowała z Iżą Bumtrothem, znaną wpływową osobistością. Niektórzy się śmiali, inni stroili tak godne miny, że byli śmieszni. Widział surowych mężczyzn z bujnymi bokobrodami i pomarszczone staruszki w sukniach o kształcie dzwonu. Rozpoznał osoby z towarzystwa, w których żyłach płynęła błękitna krew, panie z organizacji Córek Amerykańskiej Rewolucji, ale również ludzi handlujących nielegalnym alkoholem, ich prawników i nawet tenisistę Rory’ego Johannsena – w zeszłym roku dotarł do ćwierćfinałów na Wimbledonie, zanim pokonał go Francuz Henri Cochet. Byli tutaj intelektualiści w okularach, którzy bardzo się pilnowali, by nikt nie przyłapał ich na zerkaniu w stronę frywolnych panien – nie umiały podtrzymywać konwersacji, ale miały

roziskrzzone oczy i zabójcze nogi... I wszyscy oni zbyt szybko znikną z powierzchni ziemi. Za pięćdziesiąt lat ktoś spojrzy na zdjęcie zrobione tym ludziom, ale większość z nich już pożegnała się z tym światem, a reszta będzie jedną nogą w grobie.

Florence Ferrel skończyła arię. Joe spojrzał na antresolę i zauważył Alberta White'a. Stał jak Bóg przykazał w towarzystwie prawowitej małżonki, chudej jak patyk kobiety w średnim wieku, w niczym nieprzypominającej zamożnych matron o bujnych kształtach. Największe były w niej oczy – dostrzegalne nawet z miejsca, w którym stał Joe, wybałuszone i rozgorączkowane, nawet gdy uśmiechnęła się, usłyszawszy to, co Albert powiedział do śmiejącego się burmistrza Curleya, który jakoś zawędrował aż tam ze szklanką szkockiej w dłoni.

Parę metrów dalej w tłumie nieopodal balustrady z kutego żelaza stała Emma w srebrnej obcisłej sukni, trzymając w lewej ręce kieliszek szampana. W tym świetle jej skóra wydawała się biała jak alabaster, a sama Emma – wstrząśnięta i osamotniona, zagubiona w prywatnym smutku. Czy tak wyglądała, kiedy Joe na nią nie patrzył? Czy w jej sercu tkwił jakiś nieznaną ból? Przez chwilę wydawało mu się, że ona chce skoczyć z balkonu, ale potem ból na jej twarzy ustąpił miejsca uśmiechowi. A Joe uświadomił sobie, dlaczego była smutna: sądziła, że nigdy więcej go nie zobaczy.

Jej uśmiech stał się szerszy; zasłoniła go ręką. W tej samej ręce trzymała kieliszek szampana, więc parę kropel trunku spadło na tłum w dole. Jakiś mężczyzna spojrzał w górę i dotknął potylicy. Tęga kobieta wytarła czoło i parę razy mrugnęła.

Emma wyprostowała się i wskazała głową schody po jego stronie lobby. Joe skinął głową. Emma odeszła.

Zniknęła mu z oczu w tłumie na antresoli, podczas gdy przeciskał się między gośćmi w dole. Zauważył, że większość dziennikarzy na antresoli nosi kapelusze zsunięte na tył głowy i lekko przekrzywione krawaty. Dlatego zsunął kapelusz, rozluźnił krawat i dotarł do schodów.

W jego stronę zbiegł Donald Belinski – duch, który jakoś uniósł się z dna stawu, zdarł spalone mięso z kości i teraz schodził truchtem po schodach – te same jasne włosy, ta sama pokryta plamami twarz, te same idiotycznie czerwone wargi i jasne oczy. Nie, zaraz, ten był tęższy, a jego włosy zaczęły już rzednąć i miały kolor bardziej wpadający w czerwień. I choć Joe widział Belinskiego tylko leżącego na wznak, był pewien, że ten mężczyzna jest od niego niższy. I możliwe, że zmarły policjant pachniał lepiej, bo od tego faceta jechało cebulą. Joe to poczuł, tak blisko siebie się minęli. Tamten zmrużył oczy. Odgarnął z czoła skrzydło tłustych rudoblonde włosów, w drugiej ręce trzymał kapelusz z wejściówką dziennikarza „Boston Examiner”, zatkniętą za tarlatanową wstążkę. Joe ustąpił mu z drogi w ostatniej chwili; mężczyzna przełożył kapelusz z ręki do ręki.

– Przepraszam – powiedział Joe.

– Nie, to ja przepraszam – rzucił facet, ale Joe czuł na sobie jego spojrzenie, kiedy szybko ruszył po schodach, ogłuszony swoją głupotą. Nie tylko spojrzął komuś w oczy, ale jeszcze tym kimś był dziennikarz!

Facet zawołał za nim:

– Przepraszam, proszę pana, coś panu upadło! – Ale Joe wiedział, że gówno prawda, niczego nie upuścił. Szedł dalej, a przed nim pojawiła się grupa ludzi, już podchmielonych. Jedna kobieta zwiślała drugiej na ramieniu bezwładnie jak puste ubranie; Joe wyminął je, nie oglądając się, o nie, wpatrzony przed siebie.

W nią.

Miała torebkę w kolorze sukni, a na włosach srebrną opaskę ze srebrnym piórem. Na szyi pulsowała jej żyłka. Jej ramiona drżały, oczy błyszczały. Musiał bardzo nad sobą panować, żeby nie chwycić Emmy za ramiona, nie podnieść jej, aż oplecie go nogami w pasie. Minął ją, rzucając:

– Właśnie mnie ktoś rozpoznał. Muszę spadać. Ruszyła za nim; przeszedł przez czerwony chodnik koło głównej sali balowej. Tutaj także kłębił się tłum, ale nie aż tak ściśnięty jak na dole. Można było bez trudu obejść go dookoła.

– Za następnym balkonem jest służbowa winda – szepnęła Emma. – Zjeżdża do piwnicy. Nie wierzę, że przyszedłeś.

Skręcił w prawo w najbliższą niszę, spuszcżając głowę. Nasunął kapelusz głęboko na oczy.

– A co miałem robić?

– Uciekać.

– Dokąd?

– Nie wiem. Jezu, no tak się robi.

– Nie ja.

Minęli antresolę; tłum był tutaj gęstszy. W dole gubernator dorwał się do mikrofonu i ogłaszał dzisiejszy dzień dniem hotelu Statler we Wspólnocie Massachusetts, na co odpowiedział mu zbiorowy okrzyk, bo wszyscy byli już w sztok pijani. Emma zrównała się z Joem i trąciła go łokciem.

Teraz go zobaczył – w miejscu tuż przed skrzyżowaniem ich korytarza z innym – ciemny zakątek za stołami bankietowymi, światłami, marmurem i czerwonymi dywanami.

Na dole sekcja dęta zaczęła grać, a tłum na antresoli ruszył do tańca. Flesze błyskały, syczały i trzaskały. Joe zastanawiał się, czy któryś z fotografów zobaczy w ciemni, że w tle fotografii przemyka gość w brązowym garniturze i kapeluszu.

– W lewo, w lewo – syknęła Emma.

Skręcił w lewo między dwoma stołami; marmurowa posadzka ustąpiła miejsca cienkim czarnym kafelkom. Jeszcze parę kroków i dotarli do windy. Wcisnął guzik.

Skrajem antresoli szło czterech pijanych mężczyzn. Wyglądali na o parę lat starszych od niego. Śpiewali „Soldiers Field”.

– „Nad stanowiskami płomiennego szkarłatu – zawodzili fałszywie – powiewa sztandar Harvardu”.

Joe znowu przycisnął guzik.

Jeden z mężczyzn zerknął na niego, a potem przyjrzał się oblesnie tyłkowi Emmy. Trącił swojego kumpla, nadal śpiewając „Krzycz, o krzycz, jakby strzeliło tysiąc dział...”

Emma musnęła ręką jego dłoń.

– Kurwa, kurwa, kurwa – mruknęła.

Znowu przycisnął guzik.

Przez podwójne kuchenne drzwi po lewej wypadł kelner, który trzymał nad głową wielką tacę. Minał ich o trzy kroki, ale nawet na nich nie spojrział.

Faceci z Harvardu przeszli, ale nadal śpiewali: „I walcz, walcz, walcz! Bo dziś zwycięstwo naszym jest!”

Emma przycisnęła guzik.

„Na zawsze stary Harvard!”

Joe zastanowił się, czy nie przejść przez kuchnię, ale podejrzewał, że nie ma w niej drugich drzwi, najwyżej winda do przewożenia jedzenia z głównej kuchni, znajdowała się dwie kondygnacje niżej. Teraz przyszło mu do głowy – po fakcie – że mądrze by było, gdyby to Emma podeszła do niego, nie on do niej. Gdyby potrafił myśleć przytomnie... ale nie pamiętał, kiedy ostatnio mu się to udało.

Znowu wyciągnął rękę ku guzikowi, ale usłyszał, że winda wjeżdża w górę.

– Jeśli w niej ktoś jest, odwróć się tyłem – powiedział. – Pewnie im się spieszy.

– Przestanie, gdy zobaczą mój tył – odparła, a on się uśmiechnął, choć zmartwienie ciążyło mu na sercu.

Winda przyjechała, ale drzwi się nie otworzyły. Joe czekał. Odliczył pięć uderzeń serca. Odsunął kratę. Otworzył drzwi pustej windy. Obejrzał się na Emmę. Wsiadła przed nim. Poszedł za nią. Zamknął kratę, a potem drzwi. Opuścił dźwignię i winda zaczęła zjeżdżać w dół.

Emma dotknęła jego członka, który natychmiast stwardniał. Przykryła jego usta

swoimi wargami. Joe sięgnął wolną ręką pod jej suknię, między jej rozpalone uda; jęknęła. Poczuł na policzku jej łzy.

– Dlaczego płaczesz?

– Bo możliwe, że cię Kocham.

– Możliwe?

– Tak.

– To się śmieję.

– Nie mogę, nie mogę.

– Znasz dworzec autobusowy na St James?

Spojrzała na niego z zaskoczeniem.

– Co? Jasne. Pewnie.

Włożył jej klucz w dłoń.

– Na wszelki wypadek.

– Co?

– Na czas od teraz do wolności.

– Nie, nie, nie, nie. Nie, nie. Ty to weź. Ja nie chcę.

Machnął ręką.

– Włóż do torebki.

– Joe, ja tego nie chcę.

– To pieniądze.

– Wiem, i nie chcę. – Usiłowała oddać mu klucz, ale uniósł ręce nad głowę.

– Zatrzymaj to.

– Nie. Wydamy je razem. Jestem z tobą. Jestem z tobą, Joe. Zabierz klucz.

Znowu chciała mu go oddać, ale już zjechali do piwnicy.

Szyba w drzwiach była czarna, bo światło z jakiegoś powodu zgasło.

Nie z „jakiegoś powodu”, zrozumiał Joe. Istniał tylko jeden powód.

Sięgnął po dźwignię za późno, gdy ktoś otworzył kratę, a Brendan Loomis wyciągnął go za krawat. Wyszarpnął mu pistolet zza paska i rzucił na ginącą w mroku cementową podłogę. Potem uderzył go pięścią w twarz i skroń tyle razy, że Joe zgubił się w rachubach. Wszystko działo się tak szybko, że ledwie zdążył unieść ręce.

Sięgnął po Emmę, pomyślał, że jakoś ją obroni. Ale Brendan Loomis miał pięść jak młot. Po każdym jego uderzeniu – łup, łup, łup, łup – Joe czuł odrętwienie mózgu, a przed oczami stawała mu mgła; wzrok ślizgał się w tej bieli, nie mógł go na niczym skupić. Usłyszał trzask swojego pękającego nosa, a potem – łup, łup, łup – Loomis uderzył go w to samo miejsce jeszcze trzy razy.

Kiedy wreszcie puścił jego krawat, Joe upadł na czworaki na cementową podłogę. Usłyszał miarowe kapanie, jakby z kranu; otworzył oczy i ujrzał własną skapującą na cement krew, krople jak dziesięciocentówki zbierały się tak szybko, że rozrastały się w ameby, a ameby w kałuże. Odwrócił głowę, żeby sprawdzić, czy Emma wykorzystała to, że Loomis jest zajęty spuszczeniem mu łomotu i zatrzasnęła drzwi windy, by uciec, ale windy nie było tam, gdzie ją zostawił, a może on nie znajdował się już w tym samym miejscu, bo widział tylko cementowy mur.

Wtedy właśnie Brendan Loomis kopnął go w brzuch tak mocno, że poderwało Joego z podłogi. Wylądował w pozycji płodu, nie mogąc złapać oddechu. Otwierał spazmatycznie usta, lecz powietrze nie wpływało do płuc. Usiłował się podnieść na kolana, ale nogi mu się rozjeżdżały, więc oparł się na łokciach, oderwał od cementu, z ustami rozdziawionymi jak ryba, usiłując wtłoczyć w siebie choć trochę powietrza, ale jego pierś była jak czarny kamień, bez żadnego pęknięcia, bez jednej szczeliny, nic tylko lita skała, brak miejsca na cokolwiek innego, ponieważ nie mógł, kurwa, oddychać!

W krtani wzrosło ciśnienie, jakby ktoś naciskał zbiornik wiecznego pióra; coś miażdżyło jego serce i płuca, zaciskało mu gardło – wreszcie dotarło do zatok i ust. Rozległ się świst, rżenie, ale to nic, to nic, bo znowu mógł oddychać, chociaż tyle.

Stojący za nim Loomis kopnął go w krocze.

Joe walnął głową w cement, rozkaszał się, może nawet zwymiotował, nie miał pojęcia, dotąd nie wyobrażał sobie takiego bólu. Ten kopniak wbił mu jaja w jamę brzucha, płomienie liznęły żołądek, serce załomotało tak szybko, jakby chciało pęknąć, po prostu musiało, miał wrażenie, że ktoś mu rozłupał czaszkę, że z oczu popłynęła krew. Zwymiotował, teraz już na pewno, zwymiotował na podłogę żółcią i ogniem. Wydawało mu się, że to już koniec, ale potem zwymiotował znowu. Upadł na plecy i spojrzał na stojącego nad nim Brendana Loomisa.

– Wiesz co? – Loomis zapalił papierosa – Kiepsko wyglądasz.

Brendan kołysał się na boki razem z całą piwnicą. Joe się nie ruszał, ale wszystko inne jakby znajdowało się na wahadle. Loomis spojrzał na niego, zakładając czarne rękawiczki, zginał palce, żeby je dopasować. Przy nim pojawił się Albert White, obaj na tym samym wahadle, obaj wpatrzeni w Joego.

– Niestety, muszę z ciebie zrobić wiadomość – odezwał się Albert w białym fraku.

Joe spojrzał na niego przez krew zalewającą mu oczy.

– Dla wszystkich, którzy uważają, że można lekceważyć moje słowa.

Joe rozejrzał się, szukając Emmy, ale w tym całym zamęcie rozkołysanej piwnicy nie mógł znaleźć windy.

– To nie będzie przyjemna wiadomość – dodał Albert White. – Za co przepraszam.

Przykucnął przy Joem; twarz miał smutną i zmęczoną.

– Matka zawsze mawiała, że nic nie dzieje się bez przyczyny. Nie wiem, czy miała rację, ale sądzę, że ludzie często stają się tym, kim powinni się stać. Myślałem, że mam być gliną, ale potem odebrano mi pracę i stałem się tym, kim jestem. I na ogół mi się to nie podoba, Joe. Kurwa, prawdę mówiąc, nienawidzę tej roboty, ale nie mogę zaprzeczyć, że przychodzi mi to naturalnie. Pasuje do mnie. A tobie w naturalny sposób przychodzi dawanie ciała, niestety. Wystarczyło ci tylko uciec – ale nie. I na pewno... Spójrz na mnie.

Głowa Joego opadła w lewo. Dźwignął ją na dawne miejsce, spojrzał w dobrotliwe oczy Alberta.

– Jestem pewien, że umierając, powiesz sobie, że to z miłości. – Albert uśmiechnął się ponuro. – Ale nie dlatego spieprzyłeś sprawę. Spieprzyłeś ją, bo taką masz naturę. Bo w głębi serca czujesz się winny i chcesz, żeby cię złapano. Ale w tej robocie co noc ma się wyrzuty sumienia. Obraca się je w rękach, robi się z nich kulę. I rzuca się ją do ognia. Ale ty nie, więc przez całe swoje krótkie życie marzyłeś, że ktoś cię ukarze za twoje grzechy. Otóż tym kimś jestem ja.

Wstał i przez chwilę wzrok Joego się zamglił, wszystko straciło ostrość. Potem w oczy rzuciło mu się mgnienie srebra, jedno, następne, więc zmrużył powieki, aż mgliste blaski odzyskały wyrazistość i znowu zobaczył wszystko wyraźnie.

Bardzo tego pożałował.

Albert i Brendan nadal lekko falowali, ale wahadło znikło. Obok Alberta – z ręką na jego ramieniu – stała Emma.

Przez chwilę Joe nie rozumiał. A potem już wiedział.

Spojrzał na Emmę i przestało się liczyć, co mu zrobią. Zgadzał się na śmierć, bo życie za bardzo go bolało.

– Przepraszam – szepnęła. – Przykro mi.

– Przykro jej – rzeki Albert White. – Jak nam wszystkim. – Dał znak komuś, kogo Joe nie widział. – Zabierz ją stąd.

Osilek w marynarce z szorstkiej wełny i czapce naciągniętej nisko na czoło położył rękę na ramieniu Emmy.

– Obiecałeś, że go nie zabijesz – powiedziała Emma do Alberta.

Ten wzruszył ramionami.

– Albert – syknęła. – Taka była umowa.

– I uszanuję ją – odparł. – Nie martw się.

– Albert... – szepnęła załamującym się głosem.

– Tak, kochanie?

– Nigdy bym go tutaj nie przyprowadziła, gdybym...

Albert uderzył ją w twarz jedną ręką, a drugą wygładził koszulę. Uderzenie było tak mocne, że poraniło wargi Emmy. Spojrzał na koszulę.

– Myślisz, że jesteś bezpieczna? Myślisz, że pozwolę się upokorzyć kurwie? Wydaje ci się, że za tobą szaleję. Może tak było wczoraj, ale przez całą noc nie spałem. I już cię wymieniłem. Jasne? Zobaczysz.

– Powiedziałaś...

Wytał jej krew chusteczką.

– Wsadź ją do tego zasranego samochodu, Donnie. Ale już, Donnie.

Potężny facet otulił Emmę niedźwiedzim uściskiem i ruszył w głąb pomieszczenia.

– Joe! Proszę, nie róbcie mu już krzywdy! Joe, przepraszam. Przepraszam! – krzyknęła, przejeżdżając paznokciami po głowie Donniego. – Joe, kocham cię! Kocham cię!

Drzwi windy zatrzasnęły się za nią. Albert przykucnął koło Joego i włożył mu papierosa w usta. Syknęła zapalona zapałka, zaskwierczał tytoń.

– Zaciągnij się – poradził. – Szybciej oprzytomniejesz.

Joe usłuchał. Przez minutę siedział na podłodze, palił, a Albert ukucnął koło niego, i też zapalił papierosa. Brendan Loomis stał obok i przyglądał się im.

– Co z nią zrobicie? – odezwał się Joe, gdy uznał, że głos go nie zawiedzie.

– Z nią? Właśnie cię sprzedała.

– Pewnie z ważnego powodu. – Joe spojrzał na Alberta. – Mam rację, nie?

Albert zachichotał.

– Niezły zawodnik z ciebie, co?

Joe uniósł przeciętą brew; krew zalała mu oko. Wytał je.

– Co z nią zrobisz?

– Powinieneś się bardziej martwić o to, co zrobię z tobą.

– Martwię się – przyznał Joe – ale pytam, co zrobisz z nią.

– Jeszcze nie wiem. – Albert wzruszył ramionami i zdjął z języka płatek tytoniu. Strzepnął go. – Ale ty, Joe, staniesz się wiadomością. – Odwrócił się do Brendana. – Podnieś go.

– Jaką wiadomością? – spytał Joe, kiedy Brendan Loomis chwycił go od tyłu i dźwignął na równe nogi.

– Że to, co spotkało Joego Coughlina, spotka także ciebie, jeśli wkurzysz Alberta White'a i jego ludzi.

Joe nie odpowiedział. Nic nie przyszło mu do głowy. Miał dwadzieścia lat. I tyle dostał od tego świata – dwadzieścia lat. Nie płakał, odkąd skończył czternaście lat, a teraz mógł tylko się starać, żeby nie pęknąć i nie zacząć błagać o życie.

Albert złagodniał.

– Nie mogę ci darować życia, Joe. Gdybym znalazł jakiś inny sposób, wypróbowałbym go. I nie chodzi o dziewczynę, jeśli to ci pomoże. Dziwki znajdę wszędzie. Mam już nową, ładną. Zobaczę się z nią, kiedy z tobą skończę. – Przez chwilę przyglądał się swoim dłoniom. – Ale ty pojechałeś do miasteczka i ukradłeś sześćdziesiąt tysięcy dolarów bez mojego pozwolenia. Trzech policjantów zginęło przez ciebie. Teraz spadnie na nas deszcz gówna. Bo każdy gliniarz w Nowej Anglii uważa, że bostońscy gangsterzy to wściekłe psy, które należy uśpić. A ja chcę udowodnić wszystkim, że to nieprawda. Gdzie Bones? – rzucił do Loomisa.

Chodziło mu o Juliana Bonesa, innego jego cyngla.

– W zaułku, w samochodzie z włączonym silnikiem.

– Idźmy.

Albert ruszył do windy, otworzył kratę, a Brendan Loomis zaciągnął Joego do kabiny.

– Odwróć go.

Joe został obrócony; papieros wypadł mu z ust, kiedy Loomis chwycił go za tył głowy i przycisnął twarzą do ściany. Skrzyżowali mu ręce na plecach. Nadgarstki oplatał drapiący sznur. Loomis zaciskał mocno każdą kolejną pętlę, po czym związał końce. Joe, ekspert w temacie, potrafił rozpoznać bezpieczny węzeł. Mogliby go zostawić w tej windzie i nie wrócić do kwietnia, a on i tak by się nie uwolnił.

Loomis obrócił go twarzą do siebie, potem zajął się dźwignią, a Albert wyjął z cynowej papierošnicy kolejnego papierosa, włożył Joemu w usta i zapalił. W rozbłysku zapalki Joe zauważył, że Albert nie czerpie z tego radości, że kiedy on zatonie w rzece Mystic, z rzemienną pętlą na szyi i workami kamieni, przywiązanymi do kostek, Albert

będzie ponuro rozmyślał nad ceną robienia interesów w tym brudnym świecie.

Przynajmniej dzisiaj.

Na parterze wysiedli z windy i ruszyli pustym służbowym korytarzem; przez ściany słyhać było odgłosy imprezy: konkurujące ze sobą fortepiany i sekcję dętą, a także wesoły śmiech.

Dotarli do drzwi na końcu korytarza. Na ich środku widniał napis DOSTAWY, świeżo malowany żółtą farbą.

– Sprawdzę, czy czysto. – Loomis otworzył drzwi; do środka wpadł podmuch marcowego nocnego powietrza, chłodniejszego niż przed chwilą. Zaczęło siąpić; metalowe schodki przeciwpożarowe pachniały cynfolią. Joe czuł także zapach budynku, nowość jego fasady, jakby w powietrzu jeszcze unosił się kamienny pył, wzniecony przez wiertarki.

Albert odwrócił Joego do siebie i poprawił mu krawat. Polizał swoje dłonie i przygłodził mu włosy. W oczach malował mu się żal.

– Nigdy nie chciałem stać się człowiekiem, który musi zabijać, żeby zapewnić sobie dochody, a jednak nim jestem. Nie przespałem spokojnie ani jednej nocy – ani jednej, Joe, kurwa żeż mać. Codziennie budzę się ze strachem i tak samo zasypiam. – Poprawił mu kołnierzyk. – A ty?

– Co?

– Chciałeś być kimś innym?

– Nie.

Albert zdjął mu coś z ramienia, strzepnął.

– Powiedziałem jej, że jeśli cię wyda, nie zabiję cię. Nikt nie wierzył, że będziesz tak głupi, żeby się dzisiaj pojawić, ale ja zaryzykowałem. A ona zgodziła się doprowadzić cię do mnie, żeby ocalić ci życie. Przynajmniej tak sobie wmawiała. Ale obaj wiemy, że muszę cię zabić, prawda? – Spojrzał na Joego rozpaczliwie, oczami zaszklonymi wilgocią. – Prawda?

Joe skinął głową.

Albert także. Pochylił się i szepnął mu do ucha:

– A potem ją także zabiję.

– Co?

– Bo i ja ją kochałem. – Poruszył brwiami. – I ponieważ tamtego dnia mogłeś obrabować mój lokal tylko dlatego, że ona dała ci cynk.

– Zaraz, chwila. Nic mi nie powiedziała.

– Czy mógłbyś powiedzieć inaczej? – Albert poprawił kołnierzyk, wygładził koszulę. – Spójrz na to w ten sposób – możliwe, że łączyła was prawdziwa miłość. Jeśli tak, to dzisiejszy wieczór jest rajem.

Wbił pięść w splot słoneczny Joego, który zgiął się w pół i znowu stracił oddech. Szarpnął się w więzach, usiłował uderzyć Alberta bykiem, ale ten tylko trzasnął go w twarz i otworzył drzwi, które prowadziły w zaułek.

Chwycił Joego za włosy i wyprostował go, żeby mu pokazać czekający na niego samochód z otwartymi tylnymi drzwiami. Obok niego stał Julian Bones. Podeszedł Loomis, chwycił Joego za łokieć i razem wywlekli go na dwór. Poczł zapach samochodu, szmat ubrudzonych smarem i ziemi.

W chwili, gdy mieli go wtłoczyć do samochodu, upuścili go. Upadł na kolana na bruk. Dobiegł go krzyk Alberta: „spadać!”, a potem tupot kroków. Może już mu strzelili w tył głowy, bo z nieba spłynęły promienie światła.

Blask skąpał go w bieli, budynki w zaułku rozbłysły czerwienią i błękitem, pisnęły opony, ktoś krzyknął coś przez megafon, ktoś strzelił, odpowiedziała mu inna broń.

Przez białe światło szedł jakiś mężczyzna, szczupły i pewien siebie, mężczyzna obnoszący swoją władzę jak zamię.

Jego ojciec.

W bieli za jego plecami pojawili się inni mężczyźni. Wkrótce wokół Joego stanęło z dziesięciu członków bostońskiego wydziału policji.

Ojciec przechylił głowę.

– Więc stałeś się mordercą policjantów, Josephie?

– Nikogo nie zabiłem – wykrztusił Joe.

Ojciec go zignorował.

– Zdaje się, że twoi kumple wybierali się z tobą w ostatnią podróż. Przestałeś im się przydawać?

Kilku policjantów wyjęło pałki.

– W samochodzie jest Emma. Chcieli ją zabić.

– Kto?

– Albert White, Brendan Loomis, Julian Bones i jakiś Donnie.

Z ulic za zaułkiem dobiegł krzyk kobiet. Ryknął klakson samochodu, rozległ się łomot kraksy. Znowu krzyki. Mżawka zmieniła się w ulewę.

Ojciec spojrzał na swoich ludzi, a potem na Joego.

– W wybornym towarzystwie się obracasz. Chcesz mi opowiedzieć jeszcze jakieś bajeczki?

– To nie bajeczka. – Joe wypluł krew. – Chcieli ją zabić, tato.

– No cóż, my cię nie zabijemy, Josephie. Ja nawet cię nie tknę. Ale niektórzy moi współpracownicy chcieliby zamienić z tobą słówko.

Thomas Coughlin pochylił się, opierając ręce na kolanach i spojrział w twarz synowi.

Gdzieś za tymi oczami o żelaznym spojrzeniu krył się człowiek, który przez trzy dni spał na podłodze obok szpitalnego łóżka Joego, gdy ten w 1911 roku dostał gorączki, który czytywał mu od deski do deski osiem wydawanych w mieście gazet, który mówił mu, że go kocha i że jeśli Bóg chce mu zabrać syna, najpierw będzie musiał się zmierzyć z nim, Thomasem Xavierem Coughlinem, i Bóg oczywiście wiedział, że z nim nie pójdzie mu tak łatwo.

– Tato, posłuchaj, Emma...

Ojciec splunął mu w twarz.

– Jest wasz – rzucił swoim ludziom i odszedł.

– Znajdźcie samochód! – krzyknął Joe. – I Donniego! Ona jest w samochodzie, z Donniem!

Pierwsze uderzenie – cios pięści – wylądowało na szczęce Joego. Drugie – pewnie pałka, tak mu się wydawało – na jego skroni. Potem światło zgasło.

## ROZDZIAŁ 6

### MĘCZENNIK

Kierowca karetki dał Thomasowi pierwszy przedsmak koszmaru, który miał spaść na wydział policji. Kiedy przywiązywano Joego do drewnianych noszy i umieszczano go w ambulansie, mężczyzna spytał:

– Zrzuciliście tego chłopaka z dachu?

Deszcz lał z takim impetem, że musieli przekrzykiwać szum.

– Miał już te obrażenia, zanim się zjawiliśmy – oznajmił asystent i szofer Thomasa, sierżant Michael Pooley.

– Tak? – Kierowca powiódł po nich wzrokiem; deszcz lał mu się strumieniami z daszka białej czapki. – Gówno prawda.

Thomas czuł, że pomimo ulewy temperatura w zaułku rośnie, więc wskazał swojego syna.

– Ten człowiek był zamieszany w zabójstwo trzech policjantów w New Hampshire.

– Lepiej ci teraz, gnoju? – dodał sierżant Pooley.

Kierowca sprawdzał puls Joego, nie odrywając wzroku od zegarka.

– Czytuję gazety. Tym się na ogół zajmuję – siedzę w samochodzie i czytam te zasrane gazety. Ten chłopak prowadził samochód. A kiedy tamci go ścigali, trafili w drugi radiowóz.

– Położył rękę Joego na jego piersi. – Ale to nie jego wina.

Thomas spojrzał na twarz Joego – zmasakrowane, czarne usta, zmiążdżony nos, zapuchnięte, niedające się otworzyć oczy, wgnieciona kość policzkowa, czarna krew zaskorupiała w oczach, uszach, nosie i kącikach ust. Krew z jego krwi. Jego dziecko.

– Ale gdyby nie napadł na bank, ci policjanci by nadal żyli – powiedział.

– Gdyby gliniarze z drugiego samochodu nie strzelali, to nikt by nie zginął. – Kierowca zamknął drzwi, spojrzał na Pooleya i Thomasa, a ojciec Joego z zaskoczeniem zobaczył w jego oczach wstręt. – Prawdopodobnie pobiliście tego dzieciaka na śmierć. I to

on jest przestępcą?

Dwa radiowozy ruszyły w ślad za karetką i znikły w ciemnościach. Thomas musiał się ciągle napominać, żeby myśleć o mężczyźnie w karetce „Joe”. Nazywanie go synem było zbyt bolesne. To jego krew i ciało – i sporo tej krwi i ciała zostało w zaułku.

– Wysłałeś list gończy za Albertem Whitem? – spytał szofera.

Pooley skinął głową.

– I za Loomisem, Bonesem i Donniem Bez Nazwiska. Zakładamy, że to Donnie Gishler, jeden z chłopaków White’a.

– Niech tego Gishlera szukają w pierwszym rzędzie. Przekaż wszystkim policjantom, że może mieć w samochodzie kobietę. Gdzie Forman?

Pooley wskazał brodą.

– W uliczce.

Thomas ruszył w tamtą stronę; Pooley poszedł za nim. Kiedy znaleźli się przy grupie policjantów przy drzwiach służbowych, Thomas odwrócił wzrok, by nie widzieć kałuży krwi Joego koło swojej prawej stopy – kałuży na tyle gęstej, że nawet padający w nią deszcz nie rozcieńczył jej intensywnie czerwonego koloru. Thomas skupił wzrok na dowódcy wydziału śledczego, Steve Formanie.

– Wiadomo coś o samochodach?

Forman otworzył notes do stenografii.

– Pomywacz powiedział, że w zaułku od ósmej piętnaście do ósmej trzydzieści parkował cole roadster. Potem zniknął, a zastąpił go ten dodge.

Do tego samochodu próbowano zaciągnąć Joego, kiedy przybył Thomas z odsieczą.

– Macie w pierwszym rzędzie szukać tego roadstera – polecił Thomas. – Prowadzi go Donald Gishler. Na tylnym siedzeniu może mieć kobietę, Emmę Gould. Steve, ona jest z Gouldów z Charlestown. Wiesz, o kogo mi chodzi?

– Tak.

– Nie jest córką Bobo, tylko Olliego.

– Jasne.

– Poślij kogoś, żeby się upewnił, czy dziewczyna przypadkiem nie śpi sobie spokojnie we własnym łóżku na Union Street. Sierżancie?

– Tak jest – odezwał się Pooley.

– Widzieliście na własne oczy tego Donniego Gishlera?

Pooley przytaknął.

– Ma jakieś metr sześćdziesiąt siedem, osiemdziesiąt kilo. Przeważnie nosi czarne wełniane czapki. Kiedy go ostatni raz widziałem, miał czarne sumiaste wąsy. W szesnastym posterunku znajduje się jego zdjęcie.

– Niech ktoś je zdobędzie. I roześlijcie jego rysopis do wszystkich radiowozów.

Thomas od lat nie rozmawiał ze swoim najstarszym synem Aidenem, choć czasem otrzymywał od niego list pełen suchych faktów, bez żadnych refleksji. Nie wiedział, gdzie mieszka Aiden, a nawet czy jeszcze żyje. Jego drugi syn, Connor, stracił wzrok podczas policyjnego strajku w 1919 roku. Fizycznie bardzo szybko zaadaptował się do nowych warunków, ale jego kalectwo spotęgowało skłonność do uzalania się nad sobą, dlatego szybko zaczął szukać pocieszenia w alkoholu. Kiedy nie udało mu się zapić na śmierć, znalazł religię. Wkrótce jednak porzucił ten flirt (jak widać Bóg wymagał od swoich czcicieli konkretów) i trafił do Szkoły dla Ślepych i Kalek Silasa Abbotsforda. Otrzymał posadę woźnego – on, najmłodszy w historii asystent prokuratora okręgowego, którego przydzielono jako głównego oskarżyciela do sprawy kryminalnej – i tak wegetował, myjąc podłogi, których nie widział. Co jakiś czas proponowano mu posadę nauczyciela w szkole, ale odmawiał, wykręcał się nieśmiałością. Ta cecha była obca synom Thomasa. Connor po prostu postanowił się odciąć od wszystkich, którzy go kochali. W tym wypadku – od Thomasa.

No i jego najmłodszy syn – ten wybrał życie przestępcy, wśród kurew, przemytników i morderców... Takie życie zawsze kusi urokiem i bogactwem, ale prawie nigdy ich nie daje. A teraz, przez swoich kumpli i ludzi Thomasa, mógł nie dożyć do końca tej nocy.

Stał w deszczu i jedynym zapachem, jaki do niego docierał, był tylko smród własnego ohydneho jestestwa.

– Znajdźcie tę dziewczynę – rzucił do Pooleya i Formana.

Policjanci, którzy wyjechali na patrol w Salem, zauważyli Donniego Gishlera i Emmę Gould. Pościg kończyło dziewięć radiowozów, wszystkich z miasteczek na północnym brzegu – Beverly, Peabody, Marblehead. Kilku policjantów zauważyło kobietę na tylnym siedzeniu samochodu, jeden twierdził, że dziewczyn mogło być dwie lub trzy, ale potem przyznał się, że pił. Kiedy Donnie Gishler zepchnął dwa radiowozy z szosy przy dużej prędkości, oba uszkodzając, i zaczął się ostrzeliwać (choć niecelnie), policjanci odpowiedzieli ogniem.

Cole roadster Donniego Gishlera zjechał z szosy za dziesięć ósma wieczorem w gęstym deszczu. Ścigali się przez Ocean Avenue w Marblehead wzdłuż Lady's Cove, gdy jeden z policjantów przypadkiem trafił w oponę Gishlera – albo, co bardziej prawdopodobne, przetarta opona sama pękła przy prędkości ponad siedemdziesięciu

kilometrów w deszczu. W tej części Ocean Avenue było już bardzo mało alei, dużo więcej bezkresnego oceanu. Cole zjechał z drogi na trzech kołach, przechylił się i fiknął koziółka. Runął w wodę z dwoma przestrzelonymi szybami i zatonął, zanim policjanci zdążyli wysiąść.

Policjant patrolowy z Beverly, Lew Burleigh, zdjął mundur i zanurkował, ale było ciemno, nawet kiedy komuś przyszło do głowy, żeby skierować reflektory samochodów na wodę. Cztery razy zanurzał się w lodowatej wodzie – aż nabawił się wyziębienia i spędził dzień w szpitalu – ale samochodu nie znalazł.

Następnego dnia, tuż po drugiej, dotarli do niego nurkowie. Gishler nadal siedział za kierownicą, która się złamała i przebiła mu pachę. Drążek biegów przeszył mu pachwinę. Ale nie to go zabiło. Jeden z ponad pięćdziesięciu pocisków, wystrzelonych przez policjantów, trafił go w potylicę. Nawet gdyby opona nie pękła, samochód i tak wjechałby do wody. Do sufitu samochodu przylgnęła srebrna opaska i także pióro, ale po Emmie Gould nie zostało ani śladu.

Strzelanina policji z trzema gangsterami za hotelem Statler weszła do historii miasta jakieś dziesięć minut po jej zaistnieniu, choć nikt nie został w niej ranny i nawet nie wystrzelono zbyt wiele razy. Przestępcy mieli szczęście uciec w chwili, gdy z restauracji wyszli ludzie i ruszyli w stronę teatru Colonial lub Plymouth. Od trzech tygodni w Colonialu wystawiano wznowienie „Pigmaliona”, a Plymouth ściągnął na siebie gniew organizacji strzegących moralności, wystawiał bowiem „Playboya zachodniego świata”. Organizacje te wysłały dziesiątki protestujących kobiet – brzydkich, skwaszonych i bardzo głośnych, które jednak zdołały osiągnąć tylko tyle, że rozreklamowały sztukę. Obecność tych pań nie była jedynie dźwignią, która rozkręciła biznes; była także darem bożym dla gangsterów. Policja następowała im na pięty, ale kiedy kobiety zobaczyły broń, zaczęły krzyczeć i wymachiwać rękami, kilka zmierzających do teatru par niezdarnie i gwałtownie padło na ziemię, a jakiś szofer wjechał pierce-arrowem swoich pracodawców w latarnię. Mżawka zmieniła się niespodziewanie w ulewę. Zanim policjanci ochłonęli, gangsterzy skręcili w Piedmont Street i znikli w mieście chłostanym niemilosiernym deszczem.

„Strzelanina pod hotelem Statler” była dobrym tematem. Narracja zaczynała się prosto – bohaterscy gliniarze wdają się w strzelaninę z oprychami, winnymi śmierci ich kolegów i aresztują jednego z nich. Ale wkrótce akcja zaczęła się komplikować. Oscar Fayette, kierowca karetki, doniósł, że aresztowany opryszek został tak pobity przez policję, iż może nie przeżyć nocy. Tuż po północy w redakcjach na Washington Street krążyła niepotwierdzona plotka, że w samochodzie, który z pełną prędkością wjechał w wody Lady’s Cove w Marblehead i zatonął w niespełna minutę, znajdowała się uwięziona kobieta.

Potem rozeszła się wiadomość, że jednym z gangsterów, zamieszanych w

strzelaninę pod hotelem Statler, był nikt inny, tylko Albert White, biznesmen. Aż do tej chwili zajmował godną zazdrości pozycję na scenie towarzyskiej Bostonu – pozycję kogoś pomawianego o przemyt alkoholu, być może pędzącego rum, niewykluczone, że przestępcy. Wszyscy zakładali, że miał swój udział w nielegalnej działalności, ale większość mogła wierzyć, że udało mu się nie zbrukać przemocą, a była to plaga ulic każdego większego miasta. Alberta White'a uważano za „dobrego” przemytnika, łaskawego dostawcę nieszkodliwego napoju wyskokowego, efektownego mężczyznę w jasnych garniturach, zabawiającego tłum opowieściami o wojennych wyczynach i dniach pracy w policji. Ale po strzelaninie pod Statlerem (E. M. Statler zabiegał – bez powodzenia – by dziennikarze przemysleli jeszcze to określenie) owo wrażenie znikło. Policja wystawiła nakaz aresztowania Alberta. Niezależnie od tego, czy miał trafić za kratki, czy nie, jego dni zadawania się z przyzwoitym towarzystwem dobiegły końca. Dreszczyk kontaktu z przestępczym światem miał swoje granice.

No i nie zapominajmy o losie zastępcy komisarza, Thomasa Coughlina, uważanego niegdyś za kandydata na komisarza, a może nawet gubernatora. Kiedy najnowsze gazety ujawniły, że aresztowanym i pobitym przez policjantów przestępcą był rodzony syn Coughlina, większość osób powstrzymała się przed krytyką, ponieważ wszyscy znali trudność wszczęcia dzieciom wartości moralnych w czasach takiej sodomy i gomory. Ale potem felietonista „Examinera”, Billy Kelleher, opisał swoje spotkanie z Josephem Coughlinem na schodach Statlera. To Kelleher wezwał policję i to on dotarł w zaułek na tyle szybko, by zobaczyć, jak Thomas Coughlin oddaje swojego syna na pastwę podwładnych. Czytelnicy zareagowali wstrętem – co innego niepowodzenie w wychowaniu dziecka, a co innego oddanie go ludziom, którzy pobili je niemal na śmierć.

Kiedy Thomas otrzymał wezwanie do biura komisarza na Pemberton Square, wiedział już, że nigdy nie będzie go zajmować.

Komisarz Herbert Wilson przyjął go, stojąc za biurkiem. Wskazał mu miejsce na krześle. Wilson prowadził ten wydział od 1922 roku, przejąwszy tę funkcję po swoim poprzedniku, Edwinie Uptonie Curtisie, który narobił tu więcej szkód niż kajzer w Belgii i miał choć tyle przyzwoitości, że zmarł na zawał.

– Usiądź, Tom.

Thomas Coughlin nie znosił, kiedy ludzie zwracali się do niego per „Tom”. Nienawidził niepoważnego brzmienia tego imienia, ohydnej poufałości.

Usiadł.

– Jak się ma twój syn? – spytał komisarz Wilson.

– Jest w śpiączce.

Wilson skinął głową i powoli odetchnął przez nos.

– I z każdym kolejnym dniem coraz bardziej przypomina świętego. – Komisarz

zerknął na Coughlina. – Strasznie wyglądasz. Sypiasz?

Thomas westchnął.

– Nie, odkąd... – Ostatnie dwie noce spędził przy łóżku swojego syna; robił rachunek sumienia i modlił się do Boga, w którego już prawie nie wierzył. Lekarz powiedział, że nawet, jeśli Joe wyjdzie ze śpiączki, może mieć uszkodzony mózg. Thomas – w porywie gniewu, tego wściekłego gniewu, którego słusznie bali się wszyscy, od jego nic nie wartego ojca po żonę i synów – rozkazał ludziom pobić własne dziecko. Teraz wyobraził sobie swoją hańbę jako ostrze, zostawione na rozpalonych węglach tak długo, aż stal poczerniała, a z jej krawędzi uniosły się węzowe zwoje dymu. Czubek ostrza wbił się w jego brzuch poniżej żeber i zaczął drążyć wnętrzności, tnąc tak długo, aż odebrał mu zdolność oddychania.

– Jakież informacje o tych dwóch pozostałych, braciach Bartolo? – spytał komisarz.

– Sądziłem, że już pan wie.

– Nie, przez cały rano miałem zebranie w sprawie budżetu.

– Właśnie przysłała wiadomość telegraficzna. Złapali Paola Bartolo.

– Kto?

– Policja stanu Vermont.

– Żywego?

Thomas pokręcił głową.

Z powodu, którego nigdy nie odgadnięto, Paolo Bartolo miał w samochodzie mnóstwo puszek z szynką. Wypełniały całe tylne siedzenie i piętrzyły się na miejscu dla pasażera. Kiedy przejechał na czerwonym świetle na South Main Street w St. Albans, zaledwie jakieś czterdzieści kilometrów od granicy z Kanadą, chciał go zatrzymać policjant. Paolo rzucił się do ucieczki. Policjant ruszył za nim, dołączyli do niego inni i udało im się zepchnąć go z drogi koło farmy w Enosburg Falls.

Nadal pozostaje tajemnicą, czy Paolo dobył broni, wychodząc z samochodu w to piękne wiosenne popołudnie. Możliwe, że sięgnął za pasek. Możliwe też, że po prostu nie podniósł wystarczająco szybko rąk nad głowę. Zważywszy, że on lub jego brat Dion zlikwidowali policjanta Jacoba Zobe'a na poboczu drogi bardzo podobnej do tej, policjanci nie zamierzali ryzykować. Wszyscy strzelili co najmniej dwa razy.

– Ilu policjantów zareagowało? – spytał Wilson.

– Sądzę, że siedmiu.

– Ile postrzałów dostał sprawca?

– Słyszałem o jedenastu, ale prawdę poznamy po sekcji zwłok.

– A Dion Bartolo?

– Zakładam, że ukrywa się w Montrealu lub jego okolicach. Zawsze był tym mądrzejszym z braci. To Paolo raczej mógł się podłożyć.

Komisarz wziął kartkę z małego stosiku na biurku i przełożył ją na drugi stosik. Przez chwilę wpatrywał się w okno, jakby zafascynowała go wieża Custom House.

– Wydział nie może pozwolić, żebyś wyszedł z tego gabinetu z tym samym stopniem, z którym tutaj wszedłeś, Tom. Rozumiesz to?

– Tak jest. – Thomas powiódł wzrokiem po gabinecie, którego pożył od dziesięciu lat, i jakoś nie poczuł rozczarowania.

– A gdybym zdegradował cię do rangi kapitana, musiałbym powierzyć ci dywizję.

– Czego nie zrobisz.

– Czego nie zrobię. – Komisarz pochylił się i splótł palce. – Możesz się teraz modlić wyłącznie za swojego syna, bo twoja kariera właśnie zaliczyła zjazd na najniższe piętro.

– Ona nie umarła – powiedział Joe.

Wyszedł ze śpiączki cztery godziny temu. Thomas przyjechał do szpitala dziesięć minut po telefonie od doktora. Przywiózł ze sobą prawnika Jacka D’Jarvisa; mały staruszek, ubierał się w wełniane garnitury w kolorach niezapadających w pamięć – brąz kory, szarość mokrego piasku, czernie, które wyglądały jak wypłowiałe. Krawaty zwykle utrzymywał w tych samych odcieniach, kołnierzyki koszul miał zażółcone, a kiedy zdecydował się włożyć kapelusz, co nie zdarzało się często, był zawsze za duży i opierał się mu na czubkach uszu. Ogólnie rzecz biorąc, prawnik prezentował się raczej jak pastuch, i to od trzech ostatnich dekad, ale nikt z wyjątkiem przyjezdnych nie był na tyle głupi, żeby nabrać się na ten wygląd. D’Jarvis był najlepszym bostońskim obrońcą w sprawach kryminalnych i niewiele osób mogłoby stawać z nim w szranki. Przez lata rozmontował co najmniej dwa tuziny niepodważalnych spraw, które Thomas przedstawił prokuratorowi generalnemu. Powiadano, że kiedy Jack D’Jarvis umrze, poświęci wieczność na wyciągnięcie wszystkich swoich byłych klientów z piekła.

Lekarze badali Joego dwie godziny, a Thomas i D’Jarvis czekali na korytarzu w towarzystwie młodego policjanta strzegącego drzwi.

– Nie mogę go wyciągnąć – powiedział D’Jarvis.

– Wiem.

– Ale poza tym zarzut zabójstwa jest idiotyczny i obrońca o tym wie. Ale twój syn będzie musiał swoje odsiedzieć.

– Ile?

D'Jarvis wzruszył ramionami.

– Powiedziałbym, że dziesięć lat.

– W Charlestown? – Thomas pokręcił głową. – Nic z niego nie zostanie.

– Zginęło trzech policjantów.

– Nie on ich zabił.

– I dlatego nie trafi na krzesło elektryczne. Ale gdyby to był ktoś inny, sam chciałbyś go wsadzić na dwadzieścia lat.

– No ale to mój syn.

Lekarze wyszli z pokoju. Jeden przystanął przy Thomasie.

– Nie wiem, z czego jest zrobiona jego czaszka, ale podejrzewamy, że nie z kości.

– Słucham?

– Nic mu nie jest. Żadnego krwotoku wewnątrzczaszkowego, zero utraty pamięci czy problemów z mową. Ma złamany nos i połowę żeber, no i pewnie minie sporo czasu, zanim przestanie sikać krwią, ale nie potrafię stwierdzić żadnego uszkodzenia mózgu.

Thomas i Jack D'Jarvis weszli i usiedli przy łóżku Joego, który przyjrzał się im spuchniętymi, podbitymi oczami.

– Popeniłem błąd – powiedział Thomas. – Straszny błąd. I oczywiście nie mam dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

– Nie powinienesz im pozwalać mnie bić? – spytał Joe czarnymi wargami, pociętymi szwami.

Thomas przytaknął.

– Nie powinienem.

– Mięknie, staruszk?

Ojciec pokręcił głową.

– Sam powinienem to zrobić.

Cichy śmiech wydostał się jakby przez nozdrza Joego.

– Z całym szacunkiem, cieszę się, że twoi ludzie cię wyręczyli. Gdybyś ty to zrobił, mógłbym już nie żyć.

Thomas uśmiechnął się do niego.

– Więc mnie nie nienawidzisz?

– Po raz pierwszy od dziesięciu lat cię lubię. – Joe usiłował podnieść się na

posłaniu, ale to mu się nie udało.– Gdzie Emma?

Jack D'Jarvis otworzył usta, ale Thomas dał mu znak, żeby milczał. Spojrzał synowi w oczy i opowiedział mu, co się wydarzyło w Marblehead.

Joe przez chwilę przetrawiał tę informację.

– Ona nie umarła – powiedział, dość rozpaczliwie.

– Umarła, synu. I nawet, gdybyśmy tamtej nocy zadziałali od razu, Donnie Gishler nie miał zamiaru dać się złapać żywcem. Była martwa w chwili, gdy wsiadała do tego samochodu.

– Nie ma zwłok. Więc nie umarła.

– Josephie, nie znaleziono połowy ciał z „Titanica”, ale tych biedaków nie ma już z nami.

– Nie wierzę.

– Nie możesz, czy nie chcesz?

– Na jedno wychodzi.

– O, nie. – Thomas pokręcił głową. – Poukładaliśmy sobie to, co się wtedy wydarzyło. Była dziewczyną Alberta White'a. Zdradziła cię.

– Tak.

– I?

Joe uśmiechnął się pozszywanymi ustami.

– I gównu mnie to obchodzi. Oszalałem dla niej.

– Szaleństwo nie jest miłością.

– A czym?

– Szaleństwem.

– Z całym szacunkiem tato, ale przez osiemnaście lat byłem świadkiem twojego małżeństwa i to nie była miłość.

– Rzeczywiście, nie była – zgodził się ojciec. – Dlatego wiem, o czym mówię. – Westchnął. – Tak czy tak, jej już nie ma. Jest martwa jak twoja matka, niech Bóg ma ją w swojej opiece.

– A Albert?

Thomas usiadł na brzegu łóżka.

– Prysnał.

– Ale podobno negocjuje swój powrót – odezwał się Jack D’Jarvis.

Thomas spojrział na niego. Prawnik pokiwał głową.

– Kim pan jest? – spytał Joe.

Prawnik wyciągnął rękę.

– John D’Jarvis. Ludzie na ogół mówią mi Jack.

Joe otworzył zapuchnięte oczy tak szeroko jak wtedy, gdy Thomas wszedł do pokoju.

– Cholera. Słyszałem o panu.

– A ja o panu – odparł D’Jarvis. – Niestety, jak cały stan. Z drugiej strony, najgorsza decyzja pańskiego ojca może się okazać najlepszą rzeczą, jaka pana spotkała.

– Jak to? – zdumiał się Thomas.

– Masakrując go, zmieniłeś go w ofiarę. Oskarżyciel nie będzie chciał prowadzić sprawy przeciwko niemu. Zrobi to, ale nie będzie chciał.

– Stanowym prokuratorem jest Bondurant, prawda? – upewnił się Joe.

D’Jarvis przytaknął.

– Zna pan go?

– Słyszałem o nim – powiedział Joe ze strachem, wyraźnie widocznym na posiniaczonej twarzy.

– Thomasie. – D’Jarvis przyglądał się uważnie Coughlinowi. – Znasz Bonduranta?

– Tak. Znam go.

Calvin Bondurant poślubił jedną z panien Lenox z Beacon Hill i spłodził trzy wiotkie córki, z których jedna niedawno wyszła za Lodge’a, budząc wielkie zainteresowanie rubryk plotkarskich. Bondurant był niezmordowanym propagatorem prohibicji, nieustraszonym pogromcą najróżniejszych występków, które uważał za domenę niższych klas i gorszych ras, od siedemdziesięciu lat wyrzucanych przez morze na brzeg tego wspaniałego kraju. Emigranci, jacy zjawiali się tutaj od ostatnich siedemdziesięciu lat, pochodzili głównie z Irlandii i Włoch – więc przesłanie Bonduranta nie należało do najsztubniejszych. Ale kiedy za parę lat zacznie się ubiegać o urząd gubernatora, jego sponsorzy z Beacon Hill i Back Bay będą wiedzieć, że to on jest właściwym kandydatem.

Sekretarka Bonduranta wpuściła Thomasa do gabinetu na Kirkby i zamknęła drzwi. Prokurator odwrócił się od okna, przy którym stał, i zmierzył Thomasa spojrzeniem wypranym z uczuć.

– Spodziewałem się ciebie.

Dziesięć lat temu Thomas zgarnął Calvina Bonduranta podczas nalotu na pensjonat. Bondurant spędzał czas z kilkoma butelkami szampana i nagim młodzieńcem meksykańskiego pochodzenia. Meksykanin – oprócz tego, że był wschodzącą gwiazdą prostytucji – okazał się byłym członkiem Dywizji Północnej Pancho Villi, poszukiwanym w ojczyźnie za zdradę stanu. Thomas odstawił rewolucjonistę do Chihuahua i pozwolił, żeby nazwisko Bonduranta znikło z akt sprawy.

– No i jestem – odparł Thomas.

– Zrobiłeś ofiarę ze swojego syna przestępcy. Zdumiewająca sztuczka. Jesteś aż tak mądry, panie zastępcu komisarza?

– Nikt nie jest – powiedział Thomas.

Bondurant pokręcił głową.

– Nieprawda. Istnieje kilka takich osób. A ty mógłbyś być jedną z nich. Poradź mu, żeby się przyznał. W tym mieście zginęło trzech policjantów. Ich pogrzeby będą jutro na wszystkich pierwszych stronach. Jeśli przyzna się do napadu na bank i, no nie wiem, narażenia ludzkiego życia, będę zalecać dwanaście.

– Lat?

– Za trzech martwych gliniarzy? To i tak mało.

– Pięć.

– Słucham?

– Pięć – powtórzył Thomas.

– Mowy nie ma. – Bondurant pokręcił głową.

Thomas siedział bez ruchu.

Bondurant znowu pokręcił głową.

Thomas założył nogę na nogę.

– Słuchaj... – zaczął Bondurant.

Thomas lekko przechylił głowę.

– Panie zastępcu komisarza...

– Jestem starszym aspirantem.

– Słucham?

– Wczoraj zostałem zdegradowany.

Uśmiech nie dotarł do ust Bonduranta, ale przemknął przez jego oczy. Lekki błysk,

który zaraz zniknął.

– Zatem nie wspomnę o złudzeniu, które chciałem ci rozwiązać.

– Nie mam żadnych złudzeń – oznajmił Thomas. – Jestem człowiekiem praktycznym.

Wyjął z kieszeni zdjęcie i położył je przed Bondurantem.

Bondurant spojrział na nie. Spłowiałe czerwone drzwi z numerem 29 na środku. Były to drzwi szeregowca w Back Bay. Tym razem w oczach Bonduranta mignęło coś będącego przeciwieństwem wesołości.

Thomas oparł palec na biurku.

– Jeśli przeniesiesz swoje schadzki do innego domu, dowiem się o tym w ciągu godziny. Rozumiem, że zbierasz spory fundusz na swoją kampanię polityczną na czas, gdy będziesz się ubiegać o funkcję gubernatora. Niech będzie duży, mecenasie. Człowiek, który ma duże fundusze, może sobie na wiele pozwolić. – Thomas włożył kapelusz. Pociągnął za rondo, żeby go wyprostować.

Bondurant wpatrywał się w zdjęcie.

– Sprawdzę, co mogę zrobić.

– Sprawdzenie niewiele mnie obchodzi.

– Cóż ja mogę...

– Pięć lat – powiedział Thomas. – Ma dostać pięć lat.

Minęły kolejne dwa tygodnie, zanim w Nahant woda wyrzuciła na brzeg kobiece przedramię. Trzy dni później pewien rybak, który wypłynął na połów przy brzegu Lynn, wyciągnął w sieci kość udową. Lekarz sądowy stwierdził, że kość i przedramię należą do tej samej osoby – dwudziestoparoletniej kobiety, prawdopodobnie pochodzącej z Europy Północnej, o jasnej, piegowatej skórze.

Podczas rozprawy Joe przyznał się do nakłaniania i udziału w napaści z bronią w ręku. Dostał pięć lat i cztery miesiące odsiadki.

Joe wiedział, że Emma żyje.

Wiedział, ponieważ alternatywą było coś, z czym nie mógłby żyć. Wierzył w jej istnienie, ponieważ gdyby utracił tę wiarę, poczułby się obdarty ze skóry.

– Jej już nie ma – powiedział ojciec, zanim Joe został przeniesiony z okręgowego

więzienia w Suffolk do Charlestown.

– Nieprawda.

– Słyszysz, co mówisz?

– Nikt nie widział jej w samochodzie, kiedy zjechał z szosy.

– Z dużą szybkością, w deszczu i po ciemku? Wsadzili ją w ten samochód synu. Zjechał z szosy. Ona zginęła i popłynęła do morza.

– Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę ciała.

– Nie wystarczą ci jego części? – Ojciec uniósł rękę w przeproszającym geście. Odezwał się łagodniej: – Czego trzeba, żebyś przyjął do wiadomości fakty?

– To nie fakt. Wiem, że ona żyje.

Im częściej Joe to powtarzał, tym silniej czuł, że Emma nie żyje. Czuł to tak samo, jak czuł, że go kochała, nawet kiedy go zdradziła. Ale gdyby to przyznał, gdyby stanął przed tą prawdą, co by mu zostało na te pięć lat w najgorszym więzieniu na północnym wschodzie? Bez przyjaciół, bez Boga, bez rodziny...

– Ona żyje, tato.

Ojciec zastanawiał się przez jakiś czas.

– Za co ją kochałeś?

– Słucham?

– Za co kochałeś tę kobietę?

Joe zaczął szukać właściwych słów. Wyłuskał parę mniej nietrafnych od innych.

– Przy mnie się zmieniała, nie była taka jak przy innych. No nie wiem, łagodniejsza.

– Więc kochałeś potencjał, nie osobę.

– Skąd wiesz?

Ojciec przechylił głowę.

– Byłeś dzieckiem, które miało zasypać przepaść między twoją matką i mną. Wiedziałeś?

– Wiedziałem o przepaści.

– Więc wiesz, jak nam się udało. Ludzie nie mogą się nawzajem leczyć. I nie mogą się stać nikim innym niż są.

– Nie wierzę w to.

– Nie? A może nie chcesz? – Ojciec zamknął oczy. – Każdy oddech, synu, to

uśmiech szczęścia. – Otworzył oczy, zaróżowione w kącikach. – Osiągnięcia? Zależą od szczęścia – czy urodzisz się we właściwym miejscu o właściwej porze, czy będziesz mieć właściwy kolor skóry. Czy będziesz żyć na tyle długo, żeby znaleźć się we właściwym miejscu o właściwej porze. Tak, tak, ciężka praca i talent pomagają. Są bardzo ważne i wiesz, że nigdy nie twierdziłem inaczej. Ale fundamentem wszystkiego jest zrządzenie losu. Pomyślne lub nie. Los jest życiem, a życie jest losem. I ucieka ci od chwili, kiedy znajdzie się w twoich rękach. Nie marnuj go na opłakiwanie martwej kobiety, która nie była ciebie warta.

Joe zacisnął zęby, ale powiedział tylko:

– To człowiek kieruje własnym losem, tato.

– Czasami. A czasem los kieruje nim.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Serce Joego jeszcze nigdy nie biło tak mocno. Łomotało w jego piersi jak pięść. Było mu żal biedactwa – tak, jak byłoby mu żal jakiejś niezwiązanej z nim istoty, może bezpańskiego psa w deszczową noc.

Ojciec spojrział na zegarek, schował go do kieszeni.

– W pierwszym, najpóźniej drugim tygodniu za kratami ktoś pewnie będzie ci grozić. W jego oczach zobaczysz, czego chce, czy to powie, czy nie.

Joe poczuł suchość w ustach.

– Ktoś inny – porządny chłop – wstawi się za tobą na spacerniaku albo w stołówce. A kiedy odstraszy tamtego, zaproponuje ci ochronę do końca wyroku. Joe... posłuchaj. Właśnie jego masz okaleczyć. I to tak, żeby nie mógł ci zrobić krzywdy. Złam mu łokieć albo kolano. Albo to i to.

Na szyi Joego zaczęła pulsować tętnica.

– Wtedy dadzą mi spokój?

Ojciec uśmiechnął się z wysiłkiem i zrobił ruch głową, jakby chciał przytaknąć, ale uśmiech zniknął, a głowa znieruchomiała.

– Nie.

– Więc co ich powstrzyma?

Ojciec przez chwilę spoglądał w bok, zaciskając zęby. Kiedy znowu spojrział na Joego, oczy miał suche.

– Nic.

# ROZDZIAŁ 7

## W PASZCZY

Więzienie w Suffolk znajdowało się o jakieś dwa kilometry od Charlestown. Mogliby ten dystans pokonać pieszo w takim samym czasie, jaki zajęło im załadowanie wszystkich do autobusu i przykucie ich nóg do podłogi. Czwórka z nich przybyła tego ranka – chudy murzyn i gruby Rosjanin, których imion Joe nigdy nie poznał, Norman – rozdygotany, wrażliwy biały chłopak i Joe. Norman i Joe pogawędzili sobie parę razy w więzieniu, bo Norman siedział w celi naprzeciwko. Miał nieszczęście zauroczyć się córką mężczyzny z Pinckney Street na Beacon Hill, którego stajni doglądał. Dziewczyna – piętnastoletnia – zaszła w ciążę, a siedemnastolatek Norman, sierota od pięciu lat, dostał trzy lata ciężkiego więzienia za gwałt.

Powiedział Joemu, że czytuje Biblię i jest gotów na skruchę za swoje przewiny. Dodał też, że Bóg będzie przy nim, a w każdym, nawet najgorszym człowieku kryje się dobro i że podejrzewa, iż znajdzie więcej dobra za tymi murami niż na wolności.

Joe nigdy nie widział nikogo bardziej przerażonego.

Kiedy autobus ruszył po wyboistej Charles River Road, strażnik jeszcze raz sprawdził ich kajdany i przedstawił się im jako pan Hammond. Poinformował ich, że znajdą się we wschodnim skrzydle – oczywiście z wyjątkiem czarnucha, który wylądował w skrzydle południowym, ze swoimi.

– Ale zasady obowiązują was wszystkich, bez względu na kolor i wyznanie. Nie wolno patrzeć strażnikom w oczy. Nie wolno kwestionować rozkazów strażników, nie wolno wchodzić na pas piasku, biegnący wzdłuż murów. Nie wolno dotykać siebie ani innych w nieprzyzwoity sposób. Zachowujcie się jak należy, bez narzekań i złej woli, a nauczmy się zgodnej egzystencji na drodze do waszej resocjalizacji.

Więzienie miało ponad sto lat; obok pierwotnych budynków z ciemnego granitu stanęły nowsze, ceglane. Obiekt był zbudowany na planie krzyża; jego serce stanowiły cztery skrzydła, zbiegające się ku wieży w środku. Wieńczyła ją kopuła, gdzie o każdej porze dnia i nocy stali czterej strażnicy z karabinami, zwróceni w kierunkach, w jakich mogliby uciekać więźniowie. Cały kompleks otaczały tory i fabryki, odlewnie i tkalnie, ciągnące się wzdłuż rzeki do Somerville. Fabryki produkowały piece, tkalnie materiały, odlewnie cuchnęły magnezją, miedzią i wyziewami, powstającymi przy produkcji żelaza.

Kiedy autobus zjechał na równinę, niebo schowało się za kozuchem dymu. Pociąg towarowy gwizdnął, a oni musieli poczekać, aż ich minie. Dopiero wtedy przejechali tory i przemierzili ostatnie trzysta metrów, dzielące ich od więzienia.

Autobus stanął; pan Hammond i drugi strażnik rozpięli kajdany więźniów. Norman zaczął dygotać, a potem coś bełkotał. Łzy skapywały mu ze szczęki jak pot.

– Norman – odezwał się Joe.

Chłopak spojrzał na niego.

– Nie rób tego.

Ale Norman nie mógł się powstrzymać.

Joe dostał celę na najwyższym piętrze wschodniego skrzydła. Cały dzień pławiła się w słońcu, a nagromadzone ciepło trzymało przez całą noc. W celach nie było prądu. Rezerwowano go na korytarze, stołówkę i krzesło elektryczne w celi śmierci. Cele oświetlano świecami. Więzienia jeszcze nie skanalizowano, więc zatrzymani sikali i srali do drewnianych kubłów. Celę Joego zbudowano z myślą o jednym więźniu, ale wciśnięto do niej cztery łóżka. Współlokatorzy nazywali się Oliver, Eugene i Tooms. Oliver i Eugene byli gangsterami odpowiednio z Revere i Quincy. Obaj załatwiali sprawy dla gangu Hickeya. Nigdy nie mieli okazji pracować z Joem czy choćby o nim słyszeć, ale kiedy wymienili parę nazwisk, zrozumieli, że to na tyle swój człowiek, żeby go nie niszczyć dla samego sportu.

Tooms był starszy i spokojniejszy. Miał strąkowate włosy i cienkie kończyny, a w jego oczach kryło się coś paskudnego, na co nie chciało się patrzeć. Pierwszej nocy usiadł na swojej piętrowej pryczy, dyndając nogami. Od czasu do czasu Joe czuł na sobie jego puste spojrzenie; wtedy odwzajemniał je i obojętnie odwracał głowę.

Dostał pryczę na dole, naprzeciwko Olivera. Miał najgorszy materac, wyleżane łóżko i zżartą przez mole, cuchnącą mokrą sierścią pościel. Zapadł w zdrową drzemkę, ale nie twardy sen.

Rano na spacerunku podszedł do niego Norman. Miał podbite oczy i złamany nos; Joe miał już go o to spytać, kiedy Norman łypnął na niego spode łba, zagryzł wargę i zdzielił go pięścią w kark. Joe odskoczył, nie odparował i już chciał spytać, co jest grane, ale nie miał czasu. Tamten rzucił się na niego, niezdarnie unosząc obie ręce. Gdyby uderzył go pięścią w korpus, pewnie by go załatwił; żebra Joego jeszcze się nie zagoiły. Kiedy rano się podnosił, z bólu w oczach stawały mu gwiazdy. Przesunął się, szurając nogami. Wysoko nad nimi strażnicy spoglądali na rzekę na zachodzie i morze na wschodzie. Norman uderzył go pięścią w szyję, a Joe kopnął go w kolano.

Norman upadł na wznak z prawą nogą wykrzywioną pod dziwnym kątem.

Przetoczył się po ziemi, potem usiłował się podnieść na łokciach. Gdy Joe kopnął go w kolano po raz drugi, pół spacerniaka usłyszało trzask kości Normana. Dźwięk, który wyrwał się chłopakowi z ust, nie przypominał krzyku. Było to coś cichszego i niższego, jakiś skowyt, podobny odgłos wydaje pies, zanim wczłoga się pod dom, żeby zdechnąć.

Norman leżał na ziemi, z bezwładnie rozrzuconymi rękami. Łzy lały mu się z oczu i ściekały w uszy. Joe wiedział, że mógłby go podnieść, że teraz Norman nie stanowił już zagrożenia, ale to by uznano za dowód słabości. Nie mógł sobie na to pozwolić. Szedł przez spacerniak, już rozprężony, choć była dopiero dziewiąta rano i czuł na sobie spojrzenia, więcej niż potrafił zliczyć, wszyscy na niego patrzyli, zastanawiając się, jakiej próbie go teraz poddać, jak długo będą się bawić tą myszką, zanim wysuną pazury.

Norman to było nic. Norman to dopiero rozgrzewka. A gdyby ktoś wiedział, jak bardzo uszkodzone są żebra Joego – w tej chwili bolały go nawet przy oddechu, przy każdym kroku – rano zostałyby z niego same kosteczki.

Joe zauważył Olivera i Eugene'a przy zachodnim murze, ale teraz znikli gdzieś w tłumie. Nie chcieli się do niego przyznawać, dopóki jego pozycja się nie ustali. No więc ruszył w stronę grupy mężczyzn, których nie znał. Gdyby nagle się zatrzymał i rozejrzał, wyglądałby głupio. A to równało się słabości.

Dotarł do grupy mężczyzn po drugiej stronie spacerniaka, ale oni także się rozeszli.

I tak było przez cały dzień – nikt nie chciał z nim gadać. Jakby bali się od niego zarazić.

Tego wieczoru wrócił do pustej celi. Jego materac – ten nierówny – leżał na podłodze. Pozostałe znikły. Łóżka wyniesiono. Wyniesiono wszystko z wyjątkiem materaca, drapiącej pościeli i kubła do srania. Joe spojrzął na pana Hammonda, który zamknął za nim drzwi.

– A gdzie pozostali?

– Poszli – odparł pan Hammond i oddalił się korytarzem.

Drugą noc w więzieniu Joe spędził w rozpalonej celi, niemal nie śpiąc. Nie chodziło tylko o ból żeber ani o strach – od smrodu więzienia gorszy był tylko smród fabryk. U góry, ponad trzy metry od podłogi, znajdowało się okienko. Może ktoś zaprojektował je tutaj, by miłosiernie dać więźniowi smak życia na zewnątrz. Jednak teraz wpadał przez nie tylko dym z fabryk, odór z tkalni i swąd węgla. W zaduchu celi, gdy robactwo łąziło po ścianach, a więźniowie jęczeli przez sen, Joe nie mógł sobie wyobrazić, że przeżyje tutaj nie tylko pięć lat, ale choćby pięć dni. Stracił Emmę, stracił wolność, a teraz czuł, że jego dusza zaczyna przygasać i marnieć. Zabierali mu wszystko, co miał. Następnego dnia był podobny. Kolejny także. Wszyscy unikali go jak trędowatego. Każdy, na kogo spojrzął, odwracał głowę. Ale czuł na plecach ich wzrok. Wszyscy robili tylko to – obserwowali go. Czekali.

– Na co? – spytał w porze gaszenia świateł, gdy pan Hammond obrócił klucz w zamku. – Na co czekają?

Strażnik spojrział na niego przez kraty martwymi oczami.

– Rzecz w tym, że chętnie wyrównam rachunki ze wszystkimi, których obraziłem. Jeśli kogoś obraziłem. Bo jeśli, to zrobiłem to nieświadomie. Więc chętnie...

– Trafiłeś w jego paszczę – powiedział pan Hammond. Powiódł wzrokiem po balkonach nad nim i za nim. – Ono cię teraz smakuje. Albo cię ugryzie ze wszystkich sił, albo pozwoli ci przeskoczyć przez swoje zęby i uciec. Ale to ono podejmuje decyzję. Nie ty. – Zakołysał ogromnym pękiem kluczy, po czym przypiął do swojego pasa. – Zaczekaj.

– Jak długo?

– Aż ono się zdecyduje. – Pan Hammond odszedł.

Chłopiec, który zaatakował go drugi, był tylko chłopcem, roztrzęsionym, z rozbieganym spojrzeniem, na pewno nie niebezpiecznym. Joe szedł właśnie w sobotę pod prysznic, kiedy chłopak wyłonił się z szeregu jakieś dziesięć osób dalej i ruszył w jego stronę.

Joe wiedział od pierwszej chwili, do czego dojdzie, ale nie mógł temu zapobiec. Chłopak miał na sobie pasiaste więzienne spodnie i bluzę, trzymał ręcznik i mydło jak wszyscy, ale w prawej ręce ukrywał wyostrzoną obieraczkę do ziemniaków.

Joe stanął mu na drodze, a chłopak zachowywał się, jakby chciał iść dalej, ale zatrzymał się, upuścił ręcznik i mydło, po czym zamachnął się w stronę głowy Joego. Ten uskoczył w prawo; młody chyba to przewidział, bo skoczył w lewo i wbił obieraczkę w wewnętrzną stronę uda Joego. Joe nie miał czasu nawet poczuć bólu, kiedy usłyszał odgłos ostrza, wyciąganego z ciała. To go rozjuszyło. Dźwięk brzmiał, jakby odpływ zlewu wsysał w siebie rybnie flaki. Jego ciało, jego krew, jego mięso utkwilo w ostrzu broni.

Teraz chłopak uderzył, celując w brzuch lub krocze Joego; trudno to było stwierdzić w szamotaninie. Joe wszedł w objęcia chłopaka, chwycił go za tył głowy i przyciągnął ją do swojej piersi. Chłopak dźgnął go znowu, tym razem w biodro, ale słabo, bez rozmachu. A i tak zabolalo bardziej niż ugryzienie psa. Kiedy cofnął rękę, żeby poprawić, Joe pchnął go do tyłu, rozbijając mu głowę o granitową ścianę.

Dzieciak westchnął, upuścił obieraczkę, a Joe grzmotnął jego głową o kamień jeszcze dwa razy, na wszelki wypadek. Chłopak osunął się na podłogę.

Joe nigdy więcej go nie widział.

W infirmerii lekarz oczyścił mu rany, zaszył tę na udzie i owinął ją mocno gazą. Pachniał jakąś substancją chemiczną. Kazał mu przez jakiś czas oszczędzać nogę i biodro.

– Niby w jaki sposób? – spytał Joe.

Doktor jakby go nie usłyszał.

– I oczyszczaj rany. Zmieniaj opatrunek dwa razy dziennie.

– Ma pan dla mnie zapasową gazę?

– Nie – powiedział doktor, jakby rozgoryczony głupotą tego pytania.

– No, to...

– Do wesela się zagoi – oznajmił doktor, cofając się.

Joe czekał, kiedy przyjdą strażnicy, żeby ukarać go za bójkę. Chciał usłyszeć, czy chłopak, który go zaatakował, żyje czy nie. Ale nikt nic mu nie powiedział. Jakby wszystko to było wytworem jego wyobraźni.

Podczas gaszenia świateł spytał pana Hammonda, czy słyszał o bójce.

– Nie.

– Nie, nie słyszał pan? Czy nie, nie było żadnej bójki?

– Nie – powtórzył pan Hammond i odszedł.

Parę dni po bójce odezwał się do niego więzień. W jego nieco chrapliwym głosie było coś dziwnego – lekki akcent, chyba włoski, domyślił się Joe – ale po tygodniu niemal całkowitego milczenia wydawał się tak cudowny, że aż ścisnęło mu się serce.

Starszy mężczyzna miał grube okulary, za duże przy jego drobnej twarzy. Podszedł do Joego na spacerniaku. W sobotę stał w kolejce do pryszniców. Joe pamiętał go, bo mężczyzna wydawał się tak kruchy, iż można było sobie wyobrazić, jak straszne rzeczy spotkały go tutaj przez lata.

– Myślisz, że szybko skończą im się kandydaci do walki z tobą?

Był mniej więcej wzrostu Joego, z łysinką na czubku głowy, osrebrzonymi skrońmi i takimż cienkim jak ołówek wąsikiem. Długie nogi, krótki, pękaty tors. Drobnutkie dłonie. Poruszał się jakoś delikatnie, niemal na paluszkach, taki kot włamywacz, ale oczy miał niewinne i pełne nadziei, jak dziecko pierwszego dnia w szkole.

– Raczej nie – powiedział Joe. – Mnóstwo chętnych.

– Nie zmęczysz się?

– Pewnie. Ale będę walczyć tak długo, jak zdołam.

– Jesteś bardzo szybki.

– Jestem szybki, nie bardzo szybki.

– A jednak. – Stary otworzył mały płócienny woreczek i wyjął z niego dwa papierosy. Podał jednego Joemu. – Widziałem obie twoje walki. Jesteś tak szybki, że większość tych facetów nie zauważyła, że osłaniasz żebra.

Joe znieruchomiał. Stary zapalił papierosy zapalką, którą potarł o paznokieć kciuka.

– Nic nie osłaniam.

Mężczyzna tylko się uśmiechnął.

– Dawno temu, w innym życiu, przed tym – ogarnął gestem mury i druty – wychowałem paru bokserów. I zapaśników. Nigdy wiele na tym nie zarobiłem, ale poznałem sporo ładnych kobiet. One ciągną do bokserów. A ładnym kobietom towarzyszą inne ładne kobiety. – Wzruszył ramionami. Znowu ruszyli przed siebie. – Dlatego wiem, kiedy ktoś osłania żebra. Złamane?

– Nic im nie dolega.

– Daję słowo, jeśli wyślą mnie, żebym z tobą walczył, ograniczę się do chwycenia się za kostki.

Joe zachichotał,

– Tylko za kostki, tak?

– Może za nos, jeśli nadarzy się taka możliwość.

Joe przyjrzał się mężczyźnie. Musiał tutaj siedzieć tak długo, że stracił wszelką nadzieję i doświadczył wszystkich poniżeń. Zostawili go w spokoju, bo to przetrwał. A może dlatego, że był stary i pomarszczony i nie miał nic atrakcyjnego na wymianę. Był nieszkodliwy.

– W takim razie, żeby ochronić nos... – Joe zaciągnął się głęboko papierosem. Zapomniał już, jak dobrze może smakować, gdy nie ma się pewności, kiedy trafi się następny. – Parę miesięcy temu zламаłem sześć żeber. Resztę mam pęknięte albo potłuczone.

– Parę miesięcy temu. To znaczy, że będą się goić jeszcze tylko kilka miesięcy.

– Nie. Naprawdę?

Stary pokiwał głową.

– Złamane żebra są jak złamane serca – goją się co najmniej pół roku.

Więc tyle to potrwa? pomyślał Joe.

– Gdybyż wszystko, co miłe, tyle trwało, na przykład jedzenie. – Stary pogłaskał się po małym brzuszku. – Jak cię zwą?

– Joe.

– Nigdy „Joseph”?

– Tylko mój ojciec.

Mężczyzna skinął głową i wydmuchnął z niespieszną przyjemnością strumień dymu.

– To miejsce odbiera nadzieję. Nawet jeśli spędzisz tutaj tylko parę lat, na pewno dojdiesz do tego wniosku.

Joe kiwnął głową.

– Ono pożera ludzi. Nawet ich nie wypluwa.

– Jak długo tutaj jesteś?

– Och... Przestałem liczyć lata temu. – Staruszek spojrzał w zadymione niebieskie niebo i wypluł listek tytoniu, który przykleił mu się do języka. – Nie ma tutaj nic, o czym bym nie wiedział. Jeśli będziesz potrzebował informacji, pytaj.

Joe wątpił, żeby stary był tak wyczulony na tętno tego miejsca, jak sądził, ale nie widział powodu, żeby nie powiedzieć:

– Dobrze. Dziękuję, doceniam propozycję.

Dotarli na skraj podwórka. Kiedy zawrócili, stary zarzucił rękę na ramiona Joego. Wszyscy na nich spojrzeli. Mężczyzna rzucił papierosa i wyciągnął dłoń. Joe ją uścisnął.

– Nazywam się Tommaso Pescatore, ale wszyscy mówią do mnie Maso. Uważaj się za mojego podopiecznego.

Joe znał to nazwisko. Maso Pescatore rządził North Endem oraz większością kasyn i prostytutek na północnym brzegu. Zza tych murów kontrolował przepływ wielkich ilości alkoholu, sprowadzanego z Florydy. Tim Hickey wykonał dla niego wiele zleceń i wspominał, że w kontaktach z tym człowiekiem jedynym rozsądnym postępowaniem jest zachowanie najwyższej ostrożności.

– Nie prosiłem o twoją opiekę, Maso.

– Ile rzeczy – dobrych czy złych – spotyka nas niezależnie od tego, czy o nie prosiliśmy? – Maso zdjął rękę z ramion Joego i osłonił nią oczy przed słońcem. Jego wzrok, jeszcze przed chwilą tak niewinny, stał się przebiegły. – Od tej pory zwracaj się do mnie per pan, Josephie. I daj to swojemu ojcu, kiedy go następnym razem zobaczysz. – Wsunął mu w dłoń jakiś karteluszek.

Joe spojrzał na nagryzmołony tam adres: Blue Hill Avenue 1417. To wszystko – ani nazwiska, ani telefonu, sam adres.

– Oddaj to ojcu. Tylko ten jeden raz. Proszę cię tylko o to.

– A jeśli nie? – spytał Joe.

Maso naprawdę się zdziwił. Przechylił głowę i spojrzał na Joego, a na jego ustach pojawił się dziwny uśmiezek, który po chwili zmienił się w cichy śmiech. Maso pokręcił głową kilka razy. Zasalutował Joemu dwoma palcami i wrócił pod mur, gdzie czekali jego ludzie.

W sali widzeń Thomas patrzył, jak jego syn podchodzi, kulejąc, i siada.

– Co się stało?

– Jeden gość dziabnął mnie w nogę.

– Dlaczego?

Joe pokręcił głową. Przesunął dłoń po stole; Thomas zauważył pod nią karteczkę. Na chwilę przykrył rękę syna, rozkoszując się tym kontaktem; usiłował sobie przypomnieć, dlaczego nie inicjował go przez ponad dziesięć lat. Wziął karteczkę i schował ją do kieszeni. Spojrzał na syna, jego podkrążone oczy, zauważył przygnębienie i nagle zrozumiał.

– Mam wykonać czyjś rozkaz – powiedział.

– Czyj, Josephie?

Joe podniósł wzrok i spojrzał mu prosto w oczy.

– Maso Pescatore’a.

Thomas wyprostował się i oszacował, jak bardzo kocha swojego syna.

Joe zauważył to w jego oczach.

– Nie mów mi, że jesteś czysty, tato.

– Załatwiam cywilizowane interesy z cywilizowanymi ludźmi. Ty prosisz mnie, żebym oddał się pod rozkazy bandytów, którzy dopiero co opuścili jaskinie.

– Nie pod rozkazy...

– Nie? Co jest na tej kartce?

– Adres.

– Tylko adres?

– Tak. Nic więcej nie wiem.

Ojciec pokiwał parę razy głową. Odetchnął przez nos.

– Bo jesteś dzieckiem. Jakiś makaroniarz daje ci adres, który masz oddać swojemu ojcu, należącemu do dowództwa policji i nie pojmujesz, że pod tym adresem może się znajdować jedynie magazyn nielegalnego towaru rywala tegoż makaroniarza.

– Jaki magazyn?

– Prawdopodobnie pękający w szwach od alkoholu. – Ojciec spojrział w sufit i przesunął ręką po przyszczyżonych siwych włosach.

– Maso powiedział, że to ten jeden raz.

Ojciec uśmiechnął się złośliwie.

– A ty mu uwierzyłeś.

Wyszedł z więzienia.

Ruszył ścieżką w stronę swojego samochodu, otoczony zapachem chemikaliów. Z kominów fabryki unosił się dym. Był miejscami ciemnoszary, ale nadawał niebu odcień brązu, a ziemi – czerni. Pociągi przejeżdżały z łomotem; z jakiegoś powodu skojarzyły się Thomasowi z wilkami, krążącymi wokół namiotu szpitala polowego.

W trakcie swojej pracy Thomas wysłał tutaj co najmniej tysiąc osób. Sporo zmarło za tymi granitowymi murami. Jeśli wcześniej miały jakieś złudzenia co do ludzkiej przyzwoitości, natychmiast się ich wyzbyły. Stłoczono tutaj za wielu więźniów i za mało strażników, by więzienie mogło być czymś innym niż było: śmietniskiem i żerowiskiem dla dzikich zwierząt. Jeśli wszedłeś tutaj jako człowiek, wychodziłeś jako zwierzę. Jeśli wszedłeś jako zwierzę, uczyłeś się nowych sztuczek.

Thomas bał się, że jego syn jest za miękki. Pomimo wszystkich występków, gwałtownego charakteru, niezdolności do posłuszeństwa ojcu, prawu czy czemukolwiek, Joseph był najbardziej prostolinijny ze wszystkich jego synów. Jego serce przeświecało przez najgrubsze zimowe palto.

Dotarł do policyjnej budki telefonicznej na końcu chodnika. Otworzył ją kluczem przytwierdzonym do dewizki zegarka. Spojrział na adres na kartce: Blue Hill Avenue 1417 w Mattapan. Strefa żydowska. Co znaczyło, że magazyn był prawdopodobnie własnością Jacoba Rosena, znanego dostawcy Alberta White'a.

White wrócił już do miasta. Nie spędził w więzieniu ani jednej nocy, prawdopodobnie dlatego, że zatrudnił jako obrońcę Jacka D'Jarvisa.

Thomas spojrział na więzienie, które stało się domem jego syna. Tragedia, choć nie zaskakująca. Jego syn wybrał drogę, która doprowadziła go aż tutaj, mimo że Thomas przez lata okazywał mu swoje niezadowolenie. Jeśli teraz zadzwoni, do końca życia zwiąże się z gangiem Pescatore – z ludźmi, którzy przynieśli temu krajowi anarchizm, zamachowców, zabójców, Czarną Rękę, a teraz, zrzeszeni w czymś, co podobno nazywali *omerta organiza*, przejęli brutalnie cały biznes handlu nielegalnym alkoholem.

A on miał dać im jeszcze więcej?

Pracować dla nich?

Całować ich pierścienie?

Zamknął skrzynkę z telefonem, schował zegarek do kieszeni i podszedł do swojego samochodu.

Przez dwa dni zastanawiał się nad tą kartką. Przez dwa dni modlił się do Boga, w którego istnienie ze strachem wątpił. Modlił się o radę. Modlił się za syna, uwięzionego w tych granitowych murach.

W sobotę miał wolne. Stał na drabinie, odświeżając czarną obwódkę wokół framug szeregowca na K Street, kiedy jakiś mężczyzna spytał go o drogę. Było popołudnie, duszne i rozpalone, nadpełzało parę fioletowych chmur. Thomas zajrzał przez okno na drugim piętrze, do pokoju, który niegdyś należał do Aideny. Nie używano go przez trzy lata, po czym żona Thomasa, Ellen, urządziła sobie tutaj miejsce do szycia. Zmarła we śnie dwa lata temu, więc teraz pokój stał pusty, nadal z maszyną do szycia i drewnianym wieszakiem z rzeczami przeznaczonymi do zacerowania dwa lata temu. Thomas zanurzył pędzel w puszcze. To zawsze będzie pokój Aideny.

– Trochę się zgubiłem.

Spojrzał z drabiny na mężczyznę na chodniku jakieś dziesięć metrów dalej. Miał garnitur z błękitnej serży, białą koszulę, czerwoną muszkę. Stał z gołą głową.

– W czym mogę pomóc? – spytał Thomas.

– Szukam łaźni na L Street.

Thomas widział ją ze swojego miejsca – nie tylko dach, cały ceglany budynek. Widział małą zatoczkę za nim, a za zatoczką – Atlantycką, ciągnącą się aż do kraju, w którym się urodził.

– Na końcu ulicy – powiedział, wskazując. Skinął mężczyźnie głową i wrócił do malowania.

– Czasami nie potrafię zejść z wytyczonej drogi – odezwał się mężczyzna. – Miał pan tak kiedyś? Wie pan, co trzeba zrobić, ale nie umie zejść z wytyczonej drogi?

Nieznajomy był jasnowłosy i nijaki, przystojny w anonimowy sposób. Ani niski, ani wysoki, ani gruby, ani chudy.

– Nie zabiją go – powiedział sympatycznie.

– Słucham? – rzucił Thomas, zanurzając pędzel w puszcze.

Mężczyzna położył rękę na drabinie.

Nie musiałyby robić wiele.

Spojrzał zmrużonymi oczami na Thomasa, a potem na ulicę.

– Ale sprawia, że będzie pragnąć śmierci. Każdego dnia swojego życia.

– Zna pan moją rangę w wydziale policji?

– Będzie myślał o samobójstwie. To jasne. Ale oni nie pozwolą mu na nie. Zagrożą, że pana zabiją, jeśli się odważy. I codziennie wymyślą dla niego coś nowego.

Czarny ford T oderwał się od krawężnika i zatrzymał na środku ulicy na jałowym biegu. Mężczyzna wszedł do niego i odjechał. Pojazd skręcił w pierwszą ulicę po lewej.

Thomas zszedł z drabiny i z zaskoczeniem przekonał się, że ręce nie przestały mu się trząść nawet, kiedy wszedł do domu. Zestarzał się, i to bardzo. Nie powinien wchodzić na drabinę. Nie powinien się upierać przy zasadach.

Starzy powinni ustąpić miejsca młodym z największym możliwym wdziękiem.

Zadzwoił do Kenny'ego Donlana, kapitana trzeciego dystryktu w Mattapan. Kenny był od pięciu lat porucznikiem Thomasa w szóstym posterunku w południowym Bostonie. Jak wielu policjantów w komendzie, zawdzięczał swój sukces Thomasowi.

– W dodatku w twój dzień wolny – powiedział Kenny, kiedy sekretarka połączyła Thomasa z jego gabinetem.

– O, chłopcze, dla takich jak my nie ma dni wolnych.

– Sama prawda. Jak mogę ci pomóc?

– Blue Hill Avenue 1417. To magazyn, prawdopodobnie ze sprzętem, znajdującym się w kasynach.

– Ale tak naprawdę zawiera co innego.

– Tak.

– Jak bardzo mamy go wyczyścić?

– Do ostatniej butelki – powiedział Thomas i coś w nim krzyknęło, umierając. – Do ostatniej kropli.

## ROZDZIAŁ 8

### W CIEMNOŚCI

Tego lata w zakładzie karnym w Charlestown przygotowywano się do egzekucji dwóch sławnych anarchistów. Ogólne protesty nie odwiodły władz od tego zamiaru, podobnie jak liczne gorączkowe apele, wnioski o odroczenie i kolejne apele. W ciągu kilku tygodni po przewiezieniu Sacco i Vanzettiego z Dedham do Charlestown i umieszczeniu ich w bloku śmierci, gdzie mieli czekać na egzekucję na krześle elektrycznym, Joe budził się w nocy, słysząc krzyki tłumu oburzonych obywateli, zebranych po drugiej stronie ciemnych granitowych murów. Czasami protestujący zostawali tam przez całą noc, śpiewali, krzyczeli przez megafony i skandowali slogany. Kilka razy wyglądało na to, że przynieśli pochodnie, żeby dodać średniowiecznego posmaku całej imprezie, ponieważ Joe czuł zapach płonącego smołowanego drewna.

Jednak poza paroma nieprzespanymi nocami los tych dwóch skazańców nie miał żadnego wpływu na życie Joego ani nikogo mu znanego. Wyjątek stanowił Maso Pescatore, który musiał poświęcić swoje nocne spacerki po murach więzienia do czasu, kiedy świat odwróci swój wzrok.

Tej sławnej nocy pod koniec sierpnia potężna dawka prądu, jaką potraktowano nieszczęsnych Włochów, wyczerpała zapas elektryczności w więzieniu; światła na korytarzach zamigotały i osłabły, albo całkiem zgasły. Ciała anarchistów zabrano do Forest Hills i skremowano. Protestujący rozproszyli się i odeszli.

Maso znowu wrócił do nocnych spacerów, które odbywał od dziesięciu lat – przechadzek po murach wśród potężnych kłębów drutów, obok ciemnych wieżyczek strażniczych, górujących nad spacerniakiem i księżycowym krajobrazem fabryk oraz slumsów.

Często zabierał ze sobą Joego. Ku swojemu zaskoczeniu Joe stał się dla niego czymś w rodzaju symbolu – czy jako skalp wysokiego rangą policjanta, będącego teraz na jego usługi, czy jako potencjalny członek jego organizacji, czy jako zabawka. Joe nie wiedział i nie pytał. Bo po co, skoro jego obecność na murze u boku Maso wyraźnie sygnalizowała jeden ważny fakt – że jest chroniony.

– Myśli pan, że byli winni? – spytał Joe pewnej nocy.

Maso wzruszył ramionami.

– Nieważne. Liczy się wiadomość.

– Jaka wiadomość? Zabili dwóch facetów, którzy mogli być niewinni.

– To właśnie ta wiadomość. I każdy anarchista na świecie ją otrzymał.

Tego lata w zakładzie karnym Charlestown krew lała się strumieniami. Początkowo Joe sądził, że akty przemocy to naturalna, bezsensowna agresja ludzi zabijających się z powodu dumy – o miejsce w kolejce, o prawo do chodzenia po spacerniaku tam, gdzie chcesz, o to, żeby cię nie popychano, nie trącano, nie nadeptywano na stopy.

Okazało się, że to nie takie proste.

Więzień ze wschodniego skrzydła stracił wzrok, bo ktoś mu poranił oczy szkłem. W południowym skrzydle strażnicy znaleźli człowieka, któremu zadano dwanaście ciosów ostrym narzędziem w brzuch; sądząc po zapachu, jaki wydobywał się z ran, uszkodzono mu wątrobę. Więźniowie z cel dwa piętra niżej czuli odór jego śmierci. Joe słyszał o całonocnych zbiorowych gwałtach w bloku Lawsonów – nazwanym tak, ponieważ w tym samym czasie siedziały tam trzy pokolenia rodu Lawsonów: dziadek, jeden z jego synów i trzech wnuków. Ostatni, Emil Lawson, był niegdyś najmłodszym z więźniów bloku, ale i najgorszym z nich. Miał już nigdy nie opuścić więzienia, ponieważ łącznie dostał sto czternaście lat wyroku. Dobrze dla mieszkańców Bostonu, źle dla pensjonariuszy Charlestown. Kiedy Emil Lawson nie zabawiał się organizacją zbiorowych gwałtów na nowych więźniach, likwidował każdego, na kogo dostał zlecenie, choć podobno podczas ostatnich konfliktów pracował wyłącznie dla Maso.

Wybuchła wojna o rum. Oczywiście toczono ją poza więzieniem, ku niejkiej konsternacji opinii publicznej, ale także w murach Charlestown, gdzie nikt nie zaglądał i nikt nie uroniłby jednej łzy nad ofiarami. Albert White, importer whiskey z północy, postanowił rozszerzyć działalność na import rumu z południa, zanim Maso Pescatore wyjdzie z więzienia. Tim Hickey był pierwszą ofiarą w wojnie White'a z Pescatore. Pod koniec lata liczba zabitych wzrosła do tuzina.

Dostawców whiskey atakowano w Bostonie, Portland i na bocznych drogach przy granicy kanadyjskiej; kierowców spychano z szos w miastach takich jak Massena w stanie Nowy Jork, Derby w Vermont i Allagash w Maine. Niektórym tylko spuszczano łomot pro forma, choć podobno jeden z najszybszych kierowców został zmuszony do ukłęknięcia w lesie i dostał taki cios, że szczęka wyskoczyła mu z zawiasów – kara za niewyparzony język.

Natomiast dostawców rumu starano się nie wpuszczać do miasta. Napadano na ciężarówki daleko na południu, w Karolinie Północnej i Południowej, a także na samej północy, w Rhode Island. Gangsterzy White'a zmuszali kierowców do zjechania na pobocze i opuszczenia szoferki, a potem podpalali ciężarówki. Dzięki rumowi pojazdy

płonęły jak łodzie pogrzebowe wikingów, aż niebo na kilometry zabarwiało się na żółto.

– On gdzieś schował towar – powiedział kiedyś Maso podczas spaceru. – Czekaj, aż w Nowej Anglii zabraknie rumu, a wtedy zjawi się niczym wybawiciel.

– Kto jest na tyle głupi, żeby mu dostarczać rum? – Joe znał większość dostawców z Florydy Południowej.

– To nie głupota. Inteligencja. Też bym tak zrobił, gdybym musiał wybierać między takim spryciarzem jak Albert i staruszką, który od rewolucji październikowej siedzi w pierdłu.

– Ale wszędzie ma pan swoje oczy i uszy.

Stary przytaknął.

– Mimo wszystko to nie są tak naprawdę moje oczy i uszy, nie mają połączenia z moją ręką. A to moja ręka trzyma władzę.

Tej nocy jeden z kupionych przez Maso strażników miał wolne. Poszedł do lokalu na South Endzie i wyszedł z kobietą, której nikt tutaj nigdy nie widział. Ale była bardzo atrakcyjna i znała się na rzeczy. Strażnik został znaleziony trzy godziny później na Franklin Square. Siedział na ławce, bardziej martwy niż Thomas Jefferson, a przez jego jabłko Adama biegła rana głęboka jak kanion.

Odsiadka Maso miała się skończyć za trzy miesiące, a Albert zaczął odczuwać powagę sytuacji, co jeszcze bardziej zaogniło sprawy. Poprzedniej nocy Boyd Holter, najlepszy fałszerz Maso, został zrzucony z Ames Building w centrum miasta. Wylądował na kości ogonowej, a kawałki kręgosłupa przebiły się mu do czaszki i zaległy w niej jak żwir.

Ludzie Maso odpowiedzieli wysadzeniem w powietrze należącego do Alberta sklepu-przykrywk: jatki na Morton Street. Salony fryzjera i galanterii męskiej, które z nią sąsiadowały, także spłonęły do fundamentów, a kilka parkujących na ulicy samochodów straciło lakier i szyby.

Na razie nie było zwycięzcy, tylko mnóstwo zamieszania.

Joe i Maso przystanęli na murze, by przyjrzeć się pomarańczowemu, ogromnemu księżycowi, który wydzwignął się nad kominy fabryki i czarne, zatrute pola popiołów. Maso podał Joemu złożoną karteczkę.

Joe już na nie nie patrzył. Składał je i ukrywał w schowku w podeszwie buta, gdzie czekały do jego następnego spotkania z ojcem.

– Rozłóż – powiedział Maso, zanim Joe schował kartkę. Joe spojrzał na niego. Światło księżyca było tak jasne, że czuł się jak za dnia.

Maso skinął głową.

Joe obrócił karteczkę w dłoni i rozchylił ją kciukiem. Nie od razu pojął sens słów, które mu się ukazały:

Brendan Loomis.

– Został wczoraj aresztowany – wyjaśnił Maso. – Pobił pewnego mężczyznę pod Filene's – obaj chcieli kupić ten sam płaszcz. To dzikus, nie potrafi myśleć. Ofiara miała przyjaciół, więc prawa ręka Alberta White'a przez jakiś czas nie będzie mu służyć. – Spojrzał na Joego; blask księżycy zabarwił jego twarz na pomarańczowo. – Nienawidzisz go?

– Oczywiście – odparł Joe.

– Dobrze. – Maso klepnął go po ramieniu. – Oddaj to ojcu.

U dołu miedzianej siatki, oddzielającej Joego od ojca, znajdowała się szczelina na tyle duża, żeby wsuwać w nią liściki. Joe zamierzał podać nią wiadomość od Maso, ale jakoś nie potrafił jej podnieść z kolana.

Przez to lato twarz ojca stała się przezroczysta jak błonka cebuli, a żyły na jego rękach nabrały dziwnie jaskrawych kolorów – jaskrawoniebieskiego, jaskrawoczerwonego. Oczy mu się zapadły, ramiona zgarbiły. Włosy się przerzedziły. Z każdym dniem bardziej wyglądał na swoją sześćdziesiątkę.

Ale tego ranka coś sprawiło, że w jego głosie znów pojawiła się energia, a spłowiła zieleń oczu trochę się rozświetliła.

– Nigdy nie zgadniesz, kto przyjeżdża – powiedział. – Twój brat Aiden we własnej osobie.

Ach. To wyjaśniało wszystko. Ulubieniec tatusia. Ukochany syn marnotrawny.

– Danny przyjeżdża? Gdzie się podziewał?

– Tu i tam. Napisał mi list, który czytałem piętnaście minut. Był w Tulsie, Austin i nawet Meksyku. Okazuje się, że ostatnio mieszkał w Nowym Jorku. A jutro przyjeżdża do miasta.

– Z Norą?

– O niej nie wspomniał – oznajmił Thomas tonem sugerującym, że nie chce o Norze rozmawiać.

– A wspomniał, dlaczego przyjeżdża?

Thomas pokręcił głową.

– Powiedział tylko, że wpadnie przejazdem. – Głos mu się załamał; spojrzał na ściany, jakby nie mógł do nich przywyknąć. Pewnie nie mógł. Zresztą kto by chciał tutaj być, gdyby nie musiał? – Trzymasz się?

– No... – Joe wzruszył ramionami.

– Co?

– Staram się, tato. Staram się.

– Tylko tyle możesz.

– No.

Spojrzeni na siebie przez siatkę. Joe zdobył się na odwagę, by wziąć kartkę i przesunąć na stronę ojca.

Ojciec rozłożył ją i spojrzał na widniejące tam nazwisko. Przez długą chwilę wyglądał, jakby nie oddychał. A potem...

– Nie.

– Co?

– Nie. – Przesunął kartkę w stronę Joego. – Nie.

– Maso nie lubi słowa „nie”, tato.

– O, teraz już „Maso”?

Joe nie odpowiedział.

– Nie zabijam na zlecenie, Josephie.

– Nie o to proszą – odparł Joe, myśląc: „Czyżby?”

– Jak bardzo można być naiwnym, zanim przekroczysz granice przyzwoitości? – Ojciec odetchnął głośno. – Jeśli podają ci nazwisko człowieka znajdującego się pod opieką policji, to chcą, żeby znaleziono go powieszzonego w celi, albo żeby dostał kulę w plecy podczas „próby ucieczki”. Dlatego, Josephie, zważywszy rozmiary ignorancji, które tak chętnie okazujesz w podobnych kwestiach, musisz uważnie wysłuchać, co mam do powiedzenia.

Joe spojrzał w oczy ojca i drgnął, zaskoczony głębią miłości i rozpacz, bo to w nich ujrzał. Stało się jasne, że ojciec dotarł do kresu życiowej podróży i wypowiedziane zaraz słowa będą jej podsumowaniem.

– Nie odbiorę człowiekowi życia bez powodu.

– Nawet mordercy?

– Nawet mordercy.

– Nawet komuś, przez kogo zginęła kobieta, którą kochałem?

– Podobno wierzysz, że nadal żyje.

– Nie w tym rzecz.

– Rzeczywiście, nie w tym – zgodził się ojciec. – Rzecz w tym, że nie zabijam. Dla nikogo. Na pewno nie dla tego bandyty, któremu przysiągłeś wierność.

– Muszę przetrwać. Tutaj.

– I robisz, co musisz. – Ojciec skinął głową. Jego zielone oczy lśniły mocniej niż zwykle. – A ja nigdy nie będę cię oceniać. Ale nie popełnię morderstwa.

– Nawet dla mnie?

– Zwłaszcza dla ciebie.

– Więc tutaj umrę, tato.

– Tak, to możliwe.

Joe spuścił wzrok na blat stołu; drewno zamglilo mu się przed oczami, zresztą wszystko się zamglilo.

– Wkrótce.

– A jeśli do tego dojdzie – głos jego ojca zmienił się w szept – zaraz potem i ja umrę z powodu złamanego serca. Ale nie popełnię dla ciebie morderstwa. Mógłbym zabić dla ciebie, o tak. Ale zamordować? Nigdy.

Joe podniósł głowę. Zawstydzilo go, że w jego głosie brzmia łzy.

– Proszę.

Ojciec pokręcił głową. Powoli. Łagodnie.

No cóż. Nie zostało nic do powiedzenia.

Joe zaczął się podnosić z miejsca.

– Czekał – rzucił ojciec.

– Co?

Ojciec spojrzal na strażnika, stojącego przy drzwiach za Joem.

– Ten klawisz jest człowiekiem Maso?

– Tak. Bo co?

Ojciec wyjął zegarek z kieszeni. Odczepił od niego łańcuszek.

– Nie, tato. Nie.

Thomas schował łańcuszek do kieszeni i przesunął zegarek w stronę syna. Joe walczył ze łzami.

– Nie mogę.

– Możesz. I zrobisz to. – Ojciec spojrzal na niego przez siatkę. Wydawało się, że

płonie w nim ogień; z jego twarzy znikło wyczerpanie i brak nadziei. – Ten kawałek metalu jest wart fortunę. Ale to tylko kawałek metalu, nic więcej. Kupisz za niego życie. Słyszysz? Daj go temu diabłu i kup swoje życie.

Joe zamknął w dłoni zegarek, jeszcze ciepły od dotyku ciała ojca, tykający w jego dłoni jak serce.

Powiedział o tym Maso w stołówce. Nie zamierzał, nie odgadłby, że to już. Myślał, że ma czas. Podczas posiłku Joe siedział z ekipą Pescatore, ale nie tymi przy pierwszym stoliku, z samym Maso. On zajmował następny, z facetami takimi jak Rico Gastemeyer, który prowadził loterię, i Larry Kahne – ten robił gin w piwnicy kwatery strażników. Joe wrócił ze spotkania z ojcem i usiadł naprzeciwko Rico i Erniego Rowlanda, fałszerza z Saugus, ale ich odepchnął niejaki Hipcio Fasini, jeden z najbliższych żołnierzy Maso. Joe znalazł się na wprost samego Maso, z Naldo Aliente po jednej i Hipciem Fasinim po drugiej stronie.

– Więc kiedy to będzie? – spytał Maso.

– Słucham?

Maso zrobił zirytowaną minę, jak zawsze, gdy musiał się powtarzać.

– Josephie.

Joe poczuł, że gardło mu się zaciska, nie chcąc wypuścić tych słów.

– On tego nie robi.

Naldo Aliente zaśmiał się cicho i pokręcił głową.

– Odmówił? – upewnił się Maso.

Joe skinął głową.

Maso spojrzał na Naldo, potem na Hipcia Fasiniego. Przez jakiś czas nikt się nie odzywał. Joe siedział ze wzrokiem wbitym w talerz, wiedząc, że jedzenie mu stygnie i że powinien zjeść, bo kiedy pominie się tutaj posiłek, bardzo szybko traci się siły.

– Josephie, spójrz na mnie.

Joe podniósł głowę. Człowiek, który na niego spoglądał, był rozbawiony i zaciekawiony, jak wilk, gdy niespodziewanie natrafił na gniazdo nieopierzonych pisklaków.

– Dlaczego go nie przekonałeś?

– Staralem się, panie Pescatore...

Maso spojrzał na swoich ludzi.

– Starał się.

Naldo Aliente w uśmiechu ukazał rząd zębów; wyglądały jak nietoperze wiszące w jaskini.

– No, jakoś nie za bardzo.

– Dał mi coś.

– Dał ci...? – Maso przyłożył rękę do ucha.

– Dał mi coś dla pana. – Joe przekazał zegarek.

Maso przyjrzał się złotej kopercie. Otworzył ją i obejrzał sam zegarek, a potem jego mechanizm, gdzie najwytworniejszymi literami wygrawerowano „Patek Philippe”. Uniósł brwi z aprobatą.

– Rocznik 1902, osiemnaście karatów – powiedział do Naldo. Spojrzał na Joego. – Zrobiono ich tylko dwa tysiące. Jest wart więcej niż mój dom. W jaki sposób gliniarz zdobył coś takiego?

– Interweniował podczas napadu na bank w 1908 – zaczął Joe, powtarzając historię, którą wujek Eddie opowiedział mu ze sto razy, choć ojciec nigdy jej nie wspominał. – Na Codman Square. Zabił jednego z napastników, zanim ten zdążył zabić kierownika banku.

– I ten zegarek jest od kierownika?

Joe pokręcił głową.

– Od prezesa. Kierownikiem był jego syn.

– A twój ojciec daje mi go teraz, żeby uratować własnego syna?

Joe skinął głową.

– Sam mam trzech synów. Wiesz o tym?

– Tak, słyszałem.

– Więc wiem coś na temat ojców i ich miłości do synów.

Maso wyprostował się i przez jakiś czas patrzył na zegarek.

Westchnął i schował go do kieszeni. Trzykrotnie klepnął dłoń Joego.

– Skontaktuj się ze swoim starym i podziękuj mu za podarek. – Wstał. – A potem powiedz skurwielowi, żeby zrobił, co mu kazałem.

Ludzie Maso podnieśli się jednocześnie i wyszli ze stołówki.

Joe wrócił do celi po pracy w warsztacie brudny i spocony. W celi czekali na niego trzech mężczyźni, których nigdy wcześniej nie widział. Piętrowych łóżek nadal nie było, ale

na podłodze leżały materace. Mężczyźni na nich siedzieli. Materac Joego leżał za nimi, pod ścianą z oknem, najdalej od krat. Joe był pewien, że dwóch z tych facetów nigdy nie widział, ale trzeci wydawał się znajomy. Koło trzydziestki, niski, z bardzo pociągłą twarzą i brodą tak samo szpiczastą, jak jego nos i czubki uszu. Joe przejrzał w pamięci listę nazwisk i twarzy, które poznał w tym więzieniu i uświadomił sobie, że patrzy na Basila Chigisa, jednego z ludzi Emila Lawsons, jak jego szef skazanego na dożywocie bez możliwości ułaskawienia. Podobno zjadł palce chłopca, którego zabił w piwnicy w Chelsea.

Joe patrzył na mężczyzn na tyle długo, by im pokazać, że się ich nie boi – choć się bał – a oni odwzajemnili się też nieruchomym spojrzeniem, czasem mrugając, ale się nie odzywali. Więc on też się nie odezwał.

W pewnym momencie znudziło im się na niego gapić i zaczęli grać w karty na kości. Małe kości, jak kostki przepiórki, pisklaka czy małego ptaka drapieżnego. Nosili te kości w płóciennych woreczkach. Wygotowane do białości, spadały na stół z klekotem. Kiedy światło przygasło, grali dalej, nie mówiąc do siebie nic oprócz „przebijam”, „sprawdzam” i „pas”. Raz na jakiś czas zerkali na Joego, ale zaraz odwracali wzrok i znów zajmowali się kartami.

Gdy zrobiło się całkiem ciemno, zgaszono światło na korytarzach. Mężczyźni usiłowali dokończyć rozdanie, ale potem w ciemnościach rozległ się głos Basila Chigisa – „Do dupy z taką robotą” – po czym rozległ się szelest zbieranych kart i klekot kości wsypywanych do woreczków.

Mężczyźni siedzieli w ciemnościach, oddychając miarowo.

Joe nie potrafił mierzyć tej nocy jednostkami czasu. Mógł czekać w tych ciemnościach trzydzieści minut lub trzy godziny, nie miał pojęcia. Mężczyźni siedzieli w półkolu naprzeciwko, czuł ich oddechy i wyziewy ciał. Ten po prawej śmierdział wyjątkowo, jakby zaschniętym potem, tak starym, że zmienił się w ocet.

Kiedy Joe przywykł do mroku, zobaczył mężczyzn, a nieprzenikniona czerń stała się po prostu ciemnością. Mężczyźni siedzieli z łokciami opartymi na kolanach, po turecku. Wpatrywali się w niego.

Z fabryki za jego plecami dobiegł dźwięk gwizdka.

Nawet gdyby Joe miał jakiś nóż, nie zdołałby dźgnąć wszystkich trzech. Zresztą nigdy w życiu nie walczył nożem, więc pewnie nawet by nie zdążył zaatakować żadnego z nich, a potem by mu odebrali broń i wykorzystali przeciwko niemu.

Wiedział, że czekają, aż się odezwie. Nie miał pojęcia, skąd w nim świadomość tego, ale po prostu wiedział. Dostaliby sygnał do rozpoczęcia tego, co sobie zaplanowali. Gdyby się odezwał, ustawiłby się na pozycji petenta. Choćby o nic nie prosił, nie błagał o życie, samo odezwanie się do tych ludzi byłoby prośbą. A oni wyśmialiby go, po czym

zabili.

Oczy Basila Chigisa były błękitne jak rzeka na chwilę przed zamrożeniem. W tych ciemnościach kolor powrócił bardzo powoli, ale wrócił. Joe wyobraził sobie palenie tego koloru na kciukach, kiedy wbije je w oczodoły Basila.

To ludzie, powtarzał sobie, nie demony. A ludzi można zabić. Nawet kiedy jest ich trzech. Wystarczy działać.

Spoglądając w bladobłękitne jak płomień oczy Basila Chigisa, poczuł, że ogarnia go tym większy spokój, im dłużej sobie wmawiał, że ci mężczyźni nie mają żadnych szczególnych właściwości, w każdym razie nie bardziej od niego – współdziałające ze sobą umysł, ciało, siłę woli – dlatego nie jest całkowicie wykluczone, że mógłby ich pokonać.

Ale co potem? Dokąd pójdzie? Jego cela miała dwa metry długości i cztery szerokości.

Musisz chcieć ich zabić. Zaatakuj, zanim oni to zrobią. A kiedy będą nieprzytomni, skręć im, kurwa, karki.

Choć tak sobie wyobrażał, wiedział, że to niemożliwe. Gdyby chodziło tylko o jednego mężczyznę, gdyby Joe zadziałał z zaskoczenia, może miałby szansę. Ale jak pokonać trzech przeciwników, siedząc naprzeciwko nich?

Strach popłynął w dół jelitami i w górę do gardła. Ścisnął jak dłonią mózg. Joe nie mógł pohamować potu, a ramiona zatrzęsyły mu się jak w gorączce.

Ruch nastąpił jednocześnie z prawej i lewej strony. Zanim zdążył go wyczuć, o jego bębienki oparły się czubki ostrzy. Nie widział ich, ale widział kosę, którą Basil Chigis wyciągnął z fałd swojego więziennego mundurka. Było to wąskie metalowe ostrze, jak pół kija bilardowego. Basil musiał odchylić łokieć, kiedy oparł czubek ostrza o szyję Joego. Sięgnął za siebie i wyjął coś zza paska; Joe pożałował, że to widzi, ponieważ nie chciał wierzyć, że znajduje się w jednym pomieszczeniu z tym czymś. Basil Chigis uniósł młotek, trzymając go tuż za końcówką długiego ostrza.

Zdrowaś Mario, pomyślał Joe, łaskiś pełna...

Jak dalej, zapomniał. Był ministrantem przez sześć lat i zapomniał.

Oczy Basila Chigisa się nie zmieniły. Nie było w nich wyraźnej determinacji. Chwycił lewą ręką metalowy pręt. Prawa zacisnęła się na trzonku młotka. Jeden cios i metalowe ostrze przebiłoby gardło Joego i dotarło do jego serca.

...Pobłogosław nas, Panie, i te szczodre dary...

Nie, nie, to słowa, które mówi się przed obiadem. Zdrowaś Mario leci inaczej. Leci tak...

Nie potrafił sobie przypomnieć.

Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię twoje...

Drzwi do celi otworzyły się i do środka wszedł Emil Lawson. Stał wśród mężczyzn, przykląkł po prawej stronie Basila Chigisa i przechylił głowę.

– Mówili mi, że jesteś ładny – powiedział. – Nie kłamali. – Pogładził się po zarośniętych policzkach. – Przychodzi ci do głowy coś, czego nie mógłbym ci w tej chwili odebrać?

Mojej duszy? pomyślał Joe. Ale w tych strasznych ciemnościach ją pewnie też by zabrali. Niech go diabli, jeśli odpowie.

– Odpowiedz, bo wydrę ci oko i nakarmię nim Basila.

– Nie – odezwał się Joe. – Nie ma niczego, czego nie mógłbyś mi zabrać.

Emil Lawson wytarł ręką podłogę, zanim usiadł.

– Chcesz, żebyśmy odeszli? Opuścili twoją celę?

– Tak.

– Zostałeś poproszony o zrobienie czegoś dla pana Pescatore i odmówiłeś.

– Nie odmówiłem. Ostateczna decyzja nie należała do mnie.

Ostrze, wbijające mu się w gardło pośliznęło się na jego pocie i zsunęło się na bok szyi, zdzierając trochę skóry. Basil Chigis znowu ustawił je na właściwym miejscu.

– Twój tatuś... Ten gliniarz. – Emil Lawson pokiwał głową. – Co miał zrobić?

– Co?

– Przecież wiesz co.

– Udajmy, że nie wiem i odpowiedz.

Joe odetchnął głęboko.

– Brendan Loomis.

– Co z nim?

– Jest pod ochroną policji. Pojutrze stanie przed sądem.

Emil Lawson zaplótł ręce za głowę i uśmiechnął się.

– I twój tatuś miał go zabić, ale się nie zgodził.

– Tak.

– Nieprawda, zgodził się.

– Odmówił.

Emil Lawson pokręcił głową.

– Powiesz pierwszemu cynglowi Pescatore, na którego się natkniesz, że ojciec przekazał ci wiadomość przez strażnika. Zajmie się Brennym Loomisem. Dowiedział się też, gdzie przyczał się Albert White. I masz ten adres, ale możesz go oddać tylko staremu Pescatore. Wyłącznie w cztery oczy. Nadażasz, mój ty śliczny?

Joe skinął głową.

Emil Lawson podał mu coś owiniętego w ceratę. Joe rozwinął ją – kolejne ostrze, cienkie niemal jak igła. Zrobiono je z małego śrubokręta, takiego, jakim naprawia się zawiasy okularów. Ale takie śrubokręty nie są aż tak ostre. Czubek tego przypominał cierni róży. Joe lekko musnął nim dłoń, zostawiając czerwoną kreskę.

Tamci odjęli kosy od jego uszu i gardła.

Emil pochylił się do niego.

– Kiedy zbliżysz się do niego na tyle, żeby wyszeptać mu adres do ucha, wbijesz to skurwielowi prosto w mózg. – Wzruszył ramionami. – Albo w gardło. Obojętne, byle zabić.

– Myślałem, że pracujesz dla niego – powiedział Joe.

– Pracuję dla siebie. – Emil Lawson pokręcił głową. – Za pieniądze wykonywałem zlecenia dla jego grupy. Teraz płaci mi kto inny.

– Albert White – odgadł Joe.

– We własnej osobie. – Emil Lawson pochylił się i lekko klepnął Joego w policzek. – Teraz to także twój szef.

W małym zaułku za domem na K Street Thomas Coughlin urządził sobie ogródek. Przez lata szło mu z nim różnie, ale od śmierci Ellen nie zostało mu nic oprócz czasu; teraz wynikło z tego tyle, że co roku sprzedawał nadwyżki swoich plonów, mając z tego niewielki zysk.

Wiele lat temu pięcio- czy sześćioletni Joe postanowił pomóc ojcu w zbiorach. Właśnie zaczął się lipiec. Thomas odsypiał podwójną zmianę i kilka kolejek, które potem obalił z Eddiem McKenną. Obudził go dobiegający z podwórka głos syna. Joe dużo wtedy do siebie mówił, a może rozmawiał z wyimaginowanym przyjacielem. W każdym razie musiał do kogoś otworzyć usta – Thomas teraz potrafił to już przyznać – bo w domu prawie go nie dostrzegano. On miał za dużo pracy, a Ellen – no cóż, na tym etapie Ellen nawiązała już silny związek z tynkturą nr 23 – lekarstwem na wszystko, które zalecono jej po jednym z poronień przed narodzinami Joego. W tamtych czasach to uzależnienie nie stanowiło jeszcze problemu, jak stało się potem, a przynajmniej tak wmawiał sobie

Thomas. Ale pewnie czuł, że to nieprawda, bo wiedział bez pytania, że Joe był tego ranka pozostawiony sam sobie. Co chwila zbliżał się do ganku, trajkocząc do siebie, a Thomas leżał w łóżku, słuchał jego głosu i zastanawiał się, gdzie to raz po raz wyprawia się jego syn.

Wstał z łóżka, włożył szlafrok i kapcie. Przeszedł przez kuchnię, obok Ellen (siedziała z tępym spojrzeniem, ale i z uśmiechem nad filiżanką herbaty) i otworzył tylne drzwi.

Na widok ganku omal nie krzyknął. Dosłownie. Zapragnął paść na kolana i krzyczeć w niebo. Jego marchewki, pasternaki, pomidory – jeszcze zieloniutkie jak trawa – leżały na ganku, z korzeniami rozcapierzonymi wśród ziemi jak włosy. Joe nadszedł od strony ogrodu z kolejnym naręczem – tym razem buraków. Zmienił się w kreta, usmarowanego ziemią aż po włosy. W czerni błyskały tylko jego oczy i zęby, kiedy się uśmiechnął na widok Thomasa.

– Tatuś!

Thomas nie potrafił wydusić z siebie głosu.

– Pomagam ci! – Joe położył mu buraka u stóp i pomaszerował do ogrodu.

Thomas, którego rok pracy został właśnie zmarnowany, a perspektywy zarobku przepadły, patrzył, jak syn zmierza, by dokończyć dzieła zniszczenia. Śmiech, którym wybuchł, nikogo nie zaskoczył bardziej niż jego samego. Ryknął takim śmiechem, że wiewiórki śmignęły w gałęzie najbliższego drzewa. Śmiał się tak bardzo, że ganek się pod nim zatrzęsł.

Teraz uśmiechnął się na wspomnienie tamtej chwili.

Niedawno powiedział synowi, że życie zależy od kaprysów losu. Ale życie – co dotarło do niego z wiekiem – to także wspomnienia. Wspomnienia chwil często okazywały się ważniejsze od samych chwil.

Z przyzwyczajenia sięgnął po zegarek. Potem przypomniał sobie, że nie ma go już w kieszeni. Tęsknił za nim, choć tak naprawdę jego historia była nieco bardziej skomplikowana niż otaczająca go legenda. Rzeczywiście, zegarek dał mu Barrett W. Stanford senior. I Thomas bez wątpienia narażając własne życie, uratował Barretta W. Stanforda II, kierownika pierwszego oddziału banku bostońskiego na Codman Square. Prawdą było także, że podczas wykonywania obowiązków służbowych oddał jeden jedyny strzał prosto w czaszkę niejakiego Maurice'a Dobsona, lat dwadzieścia sześć, na miejscu kładąc go trupem.

Ale na sekundę przed pociągnięciem za spust Thomas zauważył coś, czego nie widział nikt oprócz niego: prawdziwe intencje Maurice'a Dobsona. O całym wydarzeniu opowiedział najpierw zakładnikowi – Barrettowi W. Stanfordowi II, potem Eddiemu McKennie, następnie swojemu dowódcy, a potem członkom policyjnej komisji. Za ich

pozwoleniem zreferował tę samą historię dziennikarzom oraz Barrettowi W. Stanfordowi seniorowi, który z wdzięczności dał mu zegarek, otrzymany w Zurychu od samego Josepha Emile Philippe'a. Thomas trzy razy usiłował odrzucić tak hojny dar, ale Barrett W. Stanford senior nie chciał o tym słyszeć.

Dlatego Thomas nosił ten zegarek nie z dumą, co zakładało tak wiele osób, lecz z głębokiego szacunku. Legenda głosiła, że Maurice Dobson zamierzał zabić Barretta W. Stanforda II. Kto mógłby podważyć tę wersję, zważywszy, że napastnik przyłożył Barrettowi lufę do szyi?

Ale w tej ostatniej chwili – a było to naprawdę mgnienie chwili – Thomas ujrzał w oczach Maurice'a Dobsona kapitulację. Stał półtora metra od niego, z wyciągniętym, gotowym do strzału służbowym rewolwerem – musiał być gotowy do strzału, po co inaczej by go wyciągał – i nagle zobaczył w szarych jak polne kamienie oczach Maurice'a Dobsona rezygnację i pogodzenie się z losem, gotowość pójścia do więzienia, zakończenia wszystkiego. A Thomas poczuł się okradziony. Z czego? Tego początkowo nie potrafił powiedzieć. Ale kiedy pociągnął za spust, zrozumiał.

Pocisk przestrzelił lewe oko nieszczęsnego Maurice'a Dobsona, uśmiercając go, zanim zdążył upaść. Żar bijąc z drogi lotu, wypalił szramę na skórze tuż za skronią Barretta W. Stanforda II. Kiedy nieodwracalność wystrzału połączyła się z nieodwracalnością jego skutków, Thomas zrozumiał wreszcie, czego miał zostać pozbawiony i dlaczego podjął tak drastyczne kroki, by temu zapobiec.

Gdy dwaj mężczyźni mierzą do siebie z broni, w oczach Boga zostaje zawarta umowa, na mocy której jeden z nich powinien zostać odesłany do królestwa niebieskiego.

Przynajmniej tak się wtedy wydawało Thomasowi.

Przez tyle lat nawet w chwili największego zwątpienia nie powiedział nikomu – włącznie z Eddiem McKenną, który znał większość jego tajemnic – co zobaczył wtedy w oczach Maurice'a Dobsona. I choć nie szczyił się tym, co zrobił tamtego dnia, ani też posiadaniem zegarka, nigdy nie wychodził z domu bez niego, ponieważ był on świadkiem ogromnej odpowiedzialności, będącej istotą jego profesji, w której nie chodzi o zaprowadzanie praw ludzkich, lecz woli natury. Bóg nie jest jakimś władcą, nie siedzi w białej szacie na chmurce i sentymentalnie babrze się w ludzkich sprawach. Jest żelazem, które tworzy jego istotę i, ogniem w brzuchach hutniczych pieców, działających od setek lat. Bóg jest prawem żelaza i prawem ognia. Bóg jest naturą, a natura jest Bogiem. Jedno bez drugiego nie istnieje.

A ty, Josephie, mój najmłodszy synu, mój zbłąkany romantyku, moje kolczaste serce – to ty musisz teraz przypomnieć ludziom o tych prawach. Ludziom najgorszym z możliwych. Zrobisz to lub umrzesz z powodu słabości, moralnej kruchości, braku silnej woli.

Będę się za ciebie modlił, ponieważ modlitwa to wszystko, co nam zostaje, kiedy kończy się siła. A ja nie mam już siły. Nie sięgnę za te granitowe mury. Nie mogę spowolnić ani zatrzymać czasu. Cholera, w tej chwili nawet nie wiem, która godzina.

Thomas spojrział na swój ogród, tak bliski zbiorów. Modlił się za Joego. Modlił się za swoich przodków, na ogół mu nieznanym, choć widział ich wyraźnie, rozproszony po świecie tłum udęczonych dusz, na których alkohol, głód i mroczne impulsy odcisnęły swoje piętno. Życzył im spokojnego wiecznego snu i pomodlił się o wnuka.

Joe odszukał Hipcia Fasini na spacerowisku i powiadomił go, że ojciec zmienił zdanie.

– Zdarza się – skwitował Hipcio.

– Dał mi też pewien adres.

– Tak? – Grubas zakołysał się na piętach, wpatrzony w dal. – Czyj?

– Alberta White’a.

– Albert White mieszka na Ashmont Hill.

– Podobno ostatnio rzadko tam bywa.

– No to daj ten adres.

– Wal się.

Hipcio Fasini spojrział w dół, a trzy podbródki spiętrzyły mu się na pasiastej więziennej kurtce.

– Słucham?

– Powiedz Maso, że powiem mu dzisiaj na murze.

– Nie masz prawa stawiać warunków, mały.

Joe patrzył na niego tak długo, aż Hipcio podniósł wzrok.

– Jasne, że mam – powiedział i odszedł.

Na godzinę przed spotkaniem z Pescatore Joe zwymiotował dwa razy do dębowego kubła. Ręce mu się trzęsły. Czasami drżenie przechodziło też na brodę i wargi. Łomot krwi w uszach był jak miarowe uderzenia pięści. Joe przywiązał ostrze do nadgarstka rzemykiem, który dał mu Emil Lawson. Tuż przed wyjściem z celi miał je schować między pośladkami. Lawson upierał się, że najlepiej byłoby je wsunąć w odbył, ale Joe wyobraził sobie, jak obstawa Maso zmusza go, żeby z jakiegoś powodu usiadł i postanowił, że ta opcja nie wchodzi w grę. Myślał, że przeniesie ostrze jakieś dziesięć

minut przed wyjściem, a najpierw nauczy się z nim poruszać, ale strażnik wszedł do jego celi czterdzieści minut przed czasem z wiadomością, że Joe ma gościa.

Zapadł już zmierzch. Czas odwiedzin od dawna się skończył.

– Kto to? – spytał Joe, idąc za strażnikiem korytarzem. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że ostrze wciąż jest przywiązane do jego nadgarstka.

– Ktoś, kto wie, komu posmarować.

– Aha. – Joe usiłował nadążyć za mężczyzną, który szedł szybkim krokiem. – Ale kto to?

Strażnik otworzył kratę i przepuścił Joego.

– Powiedział, że jest twoim bratem.

Gość zdjął kapelusz, wchodząc do pomieszczenia. Musiał się pochylić w drzwiach – był wyższy o głowę od większości mężczyzn. Jego ciemne włosy trochę się przeredziły, a na skroniach połyskiwała siwizna. Joe dokonał koniecznych obliczeń i wyszło mu, że przybysz ma teraz trzydzieści pięć lat. Nadal był uderzająco przystojny, choć miał bardziej zniszczoną twarz niż kiedyś.

Nosił ciemny, nieco zniszczony garnitur z kamizelką. Był to strój kierownika silosa albo kogoś, kto dużo podróżuje – komiwojażera lub organizatora związkowego. Pod marynarką miał białą koszulę bez krawata.

Danny położył kapelusz na stole i spojrzał na Joego przez dzielącą ich siatkę.

– Cholera – powiedział. – Nie masz już trzynastu lat, co nie?

Joe zauważył, że brat ma czerwone oczy.

– A ty dwudziestu pięciu.

Danny zapalił papierosa; zapalka zadrżała mu w palcach. Przez wierzch dłoni biegła wybrzuszona, wielka blizna.

– Nadal mogę ci skroić tyłek.

Joe wzruszył ramionami.

– Może nie. Uczę się brudnej walki.

Danny uniósł brew i wydmuchnął dym.

– On odszedł, Joe.

Joe wiedział, kim jest ten „on”. Czuł, na co się zanosi, kiedy ostatnio go tutaj widział. Ale coś w nim nie mogło się z tym pogodzić. Nie potrafiło.

– Kto?

Brat przez chwilę patrzył na sufit. Potem przeniósł wzrok na niego.

– Tata, Joe. Tata nie żyje.

– Jak to się stało?

– Podejrzewam, że zawał.

– Czy...?

– Co?

– Byłeś tam?

Danny pokręcił głową.

– Spóźniłem się o pół godziny. Kiedy go znalazłem, był jeszcze ciepły.

– Nie sądzisz, że...

– Że co?

– Że ktoś mu pomógł?

– Co oni, kurwa, tu z tobą robią? – Danny rozejrzał się po pomieszczeniu. – Nie, Joe, to był zawał albo wylew.

– Skąd wiesz?

Danny zmrużył oczy.

– Uśmiechał się.

– Co?

– Tak. – Danny zachichotał. – Ten jego uśmieszek. Ten, kiedy przypomniawszy sobie jakiś kawał albo myślał o czymś, co się wydarzyło przed naszym urodzeniem. Znasz go?

– Znam – odparł Joe i z zaskoczeniem usłyszał, że powtarza jeszcze raz. – Znam.

– Ale nie miał zegarka.

– Co? – W głowie Joego zaszumiało.

– Zegarka. Nie miał go. Nigdy go nie widziałem bez...

– Wiem. Dał go mnie. Na wypadek, gdybym miał kłopoty. No wiesz, tutaj...

– Więc ty go masz.

– Mam. – Kłamstwo zostawiło palący ból w jego żołądku. Przypomniawszy sobie rękę Maso, zamykającą się na zegarku i miał ochotę bić głową w beton, aż wybije nią dziurę.

– Dobrze. – Danny kiwnął głową. – To dobrze.

– Nie, niedobrze – powiedział Joe. – Gówniana sytuacja. Ale tak to teraz wygląda.

Żaden przez chwilę się nie odzywał. Z oddali dobiegł ich gwizdek z fabryki za murami.

– Wiesz, gdzie mogę znaleźć Cona? – spytał Danny.

– Jest w Abbotsford.

– Szkole dla ociemniałych? Co on tam robi?

– Mieszka. Pewnego dnia obudził się i się poddał.

– Aha. Takie kalectwo każdego by rozgoryczyło.

– Był rozgoryczony jeszcze przed nim.

Danny wzruszył ramionami i przez chwilę siedzieli w milczeniu.

– Gdzie był, kiedy go znalazłeś?

– A jak myślisz? – Danny rzucił na podłogę papierosa i przydeptał go. Dym wypłynął mu spomiędzy kształtnych warg. – Na tym krześle na ganku, wiesz? Patrzył na... – Spuścił głowę i machnął ręką.

– Na ogród – dokończył Joe.

## ROZDZIAŁ 9

### CO POWIE STARY

Nawet do więzienia docierały wieści ze świata zewnętrznego. W tym roku wszystkie rozmowy o sporcie dotyczyły Yankees i ich Bloku Śmierci: Combsa, Koeniga, Rutha, Gehriga, Meusela i Lazzeriego. Sam Ruth miał na koncie oszałamiający wynik sześćdziesięciu home runów, a pozostałych pięciu grało tak wybitnie, że jedynym pytaniem było, na ile upokorzą Pirates podczas rozgrywek World Series.

Joe, żywa encyklopedia baseballu, z radością ujrzałby mecz swojej drużyny, ponieważ wiedział, że nigdy więcej może się nie spotkać w takim składzie. A jednak odsiadka w Charlestown nauczyła go pogardy dla każdego, kto nazywał grupę baseballistów Blokiem Śmierci.

Bloku śmierci wam się zachciewa, pomyślał tego wieczoru tuż po zmroku. Ja po nim idę. Wejście na korytarz bloku śmierci znajdowało się za drzwiami na końcu Bloku F na najwyższej galerii północnego skrzydła. Do tych drzwi nie można było dojść, nie będąc zauważonym. Aby wejść na korytarz, należało przejść przez trzy bramy. Za ostatnią stawało się przed pustą galerią. Nawet w tak przeludnionym więzieniu w tych dwunastu celach nikt nie mieszkał, a były wysprzątane bardziej niż kościół na Boże Ciało.

Teraz Joe przekonał się, kto tam dba o czystość – każdą myśl zaufany więzień. Okienka, osadzone wysoko w murze – identyczne jak w jego celi – ukazywały kwadracik nieba. Te kwadraciki miały odcień ciemnego granatu, prawie czarnego. Joe zastanowił się, czy sprzątający więźniowie widzą cokolwiek. Światło paliło się tylko na korytarzu. Może strażnicy za parę chwil, gdy nadejdzie noc, przyniosą latarnie.

Ale tutaj nie było strażników. Tylko ten, który prowadził go galerią do pokoju widzeń, ten, który chodził za szybko – to kiedyś narobi mu problemów, ponieważ powinien prowadzić więźnia przed sobą. Jeśli się go wyprzedza, może to prowadzić do najróżniejszych kłopotów; w ten właśnie sposób pięć minut temu Joe przeniósł ostrze z nadgarstka między pośladki. Ale żałował, że nie wyćwiczył tego chodzenia. Marsz z zaciśniętymi pośladkami – tak, żeby nie budzić niczyich podejrzeń – nie był łatwy.

Ale gdzie inni strażnicy? Nocami, gdy Maso spacerował po murze, pojawiała się ich niewielu; Pescatore nie przekupił wszystkich, choć ci, którzy nie siedzieli u niego w kieszeni, nigdy nie donosili na swoich kolegów. Joe powiódł wokół spojrzeniem i

przekonał się, że jego obawy się potwierdziły – w tej chwili na korytarzu nie było żadnych strażników. A potem spojrzał na więźniów sprzątających cele.

Rzeczywiście, komando śmierci.

Basila Chigisa zdradziła spiczasta głowa. Nawet więzienna czapka nie mogła jej zamaskować. Mył mopem siódmą celę na galerii. Cuchnący facet, który trzymał ostrze przy prawym uchu Joego, sprzątał ósmą. W dziesiątej pustej celi urzędował Dom Pokaski, on spalił żywcem swoją rodzinę – żonę, dwie córki i teściową, nie wspominając już o trzech kotach, zamkniętych w piwnicy.

Na końcu galerii przy drzwiach na schody stali Hircio i Naldo Aliente. Jeśli dziwiło ich, że jest więcej niż zwykle więźniów i mniej niż zwykle strażników, fantastycznie to maskowali. Ich twarze nie wyrażały nic z wyjątkiem zadowolenia klasy rządzącej.

Panowie, pomyślał Joe, powinniście się przygotować na zmiany.

– Ręce do góry – powiedział Hircio do Joego. – Obmacam cię.

Joe nie wahał się, ale pożałował, że nie wepchnął sobie tego ostrza w tyłek. Rączka, choć mała, opierała się na jego kości ogonowej, ale Hircio mógł wyczuć tam dziwny kształt, podciągnąć mu koszulę i poczęstować go kosą. Joe uniósł ręce, zaskoczony własnym spokojem. Nie trząśił się, nie pociał, nie zdradzał zewnętrznych symptomów strachu. Hircio obmacał mu nogi, żebra, pierś i plecy. Czubkiem palca przejechał po rączce ostrza, które niebezpiecznie się odchyliło. Joe zacisnął pośladki bardziej, wiedząc, że jego życie zależy od czegoś tak absurdalnego jak prężność jego tyłka. Hircio chwycił go za ramiona i odwrócił ku sobie.

– Otwórz usta.

Joe usłuchał.

– Szerzej.

Joe otworzył usta szerzej. Hircio zajrzał mu do jamy ustnej.

– Jest czysty – powiedział i odstąpił.

Joe chciał ruszyć przed siebie, ale na drodze stanął mu Naldo Aliente. Spojrzał mu w twarz i dostrzegł wszystkie jego kłamstwa.

– Twoje życie zależy od tego, co powie stary – oznajmił. – Jasne?

Joe skinął głową, wiedząc, że cokolwiek spotka jego lub Pescatore, Naldo przeżywa właśnie ostatnie minuty swojego życia.

– Jasne.

Naldo odstąpił na bok, Hircio otworzył drzwi, a Joe przekroczył próg. Po drugiej stronie nie było nic z wyjątkiem kręconych schodów. Prowadziły od betonowej klatki do

drzwi w dachu, które zostawiano otwarte na noc. Joe wyciągnął ostrze ze spodni i włożył je do kieszeni pasiastej koszuli z szorstkiego materiału. Kiedy dotarł na szczyt schodów, zwinął palce i wyprostował tylko wskazujący i środkowy. Wsunął rękę przez drzwi, żeby strażnik na najbliższej wieżyczce mógł ją zobaczyć. Światło z wieży przesunęło się w lewo, prawo i znowu w lewo szybkim zygzakiem – wszystko w porządku. Joe wyszedł na dach i rozejrzał się dokoła. Jakieś piętnaście metrów dalej na murze przed centralną wieżą strażniczą stał Maso.

Joe podszedł do niego; ostrze w kieszeni lekko stukało mu w biodro. Jedynym punktem niewidocznym dla strażnika na głównej wieży była przestrzeń dokładnie pod nią. Dopóki Maso tam pozostawał, będą niewidoczni. Kiedy Joe podszedł do niego, Maso palił swojego ulubionego gryzącego papierosa, z tych żółtych, i spoglądał na zachód.

Przez chwilę mierzył Joego spojrzeniem i nic nie mówił, tylko wdychał i wydychał dym z cichym, wilgotnym charkotem.

Potem powiedział:

– Współczuję z powodu ojca.

Szukający papierosa Joe znieruchomiał. Nocne niebo opadło mu na twarz jak płaszcz, powietrze się ulotniło, z braku tlenu rozboleła go głowa.

Maso nie mógł wiedzieć. Pomimo całej swojej władzy i informatorów. Danny powiedział, że skontaktował się z samym komisarzem Michaeliem Crowleyem, który kiedyś patrolował ulice razem z ojcem i którego posadę ojciec spodziewał się przejąć, zanim doszło do tej nocy za hotelem Statler. Ciało Thomasa Coughlina zostało wyniesione tylnymi drzwiami domu do nieoznakowanego samochodu policyjnego i zawieszono do miejskiej kostnicy podziemnym wejściem.

„Współczuję z powodu ojca”.

Nie, pomyślał Joe. Nie. Nie może wiedzieć. To niemożliwe.

Znalazł papierosa i włożył go do ust. Maso potarł zapalnik o mur i podał mu ognia. Jego oczy lśniły życzliwością, a był do niej zdolny, kiedy mu to pasowało.

– Z jakiego powodu? – spytał Joe.

Maso wzruszył ramionami.

– Żaden człowiek nie powinien być zmuszany do postępowania wbrew swojej naturze, Josephie, nawet żeby pomóc komuś, kogo kocha. To niesprawiedliwe, że wymagamy od niego czegoś takiego – że wymagamy tego także od ciebie. Ale czy ten pieprzony świat jest sprawiedliwy?

Łomot serca ustąpił Joemu z uszu i gardła.

Razem z Maso oparli się łokciami o mur, paląc papierosy. Światła barek na rzece

Mystic migwały w gęstej, dalekiej szarości jak zagubione gwiazdy. Białe węże dymu z odlewni kręciły piruety. W powietrzu pachniało duchotą i deszczem, który wciąż nie chciał spaść.

– Nigdy więcej nie poproszę żadnego z was o coś tak trudnego. – Maso skinął zdecydowanie głową.

Joe spojrział mu w oczy.

– Na pewno poprosisz, Maso.

– Panie Pescatore, Josephie.

– Przepraszam najmocniej – powiedział Joe. W tej samej chwili papieros wypadł mu z palców. Joe pochylił się, żeby go podnieść.

Ale zamiast to zrobić, chwycił Maso za kostki i podniósł go gwałtownie.

– Nie krzycz – rzucił, prostując się. Głowa starego znalazła się za krawędzią muru.  
– Jeśli krzykniesz, zrzucę cię.

Oddech starego przyspieszył. Wierzgnął stopami, wbijając je w żebra Joego.

– Na twoim miejscu przestałbym się szarpać. Mogę cię nie utrzymać.

Trochę to potrwało, zanim stopy Maso znieruchomiły.

– Masz jakąś broń? Nie kłam.

Zza muru dopłynął do niego głos:

– Tak.

– Ile sztuk?

– Jedną.

Joe puścił nogi Maso, który zamachał rękami, jakby chciał się w tej chwili nauczyć fruwać. Zsunął się z krawędzi muru, mrok pochłonął jego głowę i tors. Pewnie by krzyknął, ale Joe chwycił go za pasek, zaparł się nogą o mur i pociągnął.

Maso wydał kilka dziwnych odgłosów, bardzo piskliwych, jak noworodek zostawiony na polu.

– Ile? – powtórzył Joe.

Przez chwilę dobiegało go tylko sapanie, a potem słowo:

– Dwie.

– Gdzie?

– Brzytwa na kostce, gwoździe w kieszeni.

Gwoździe? Joe musiał to zobaczyć. Wolną ręką klepał kieszenie Maso i znalazł dziwny gruzeł. Ostrożnie sięgnął do kieszeni i wyjął coś, co na pierwszy rzut oka przypominało grzebień. Do pręta, przyspawanego do czterech zniekształconych obrączek, przymocowano cztery krótkie gwoździe.

– To się nakłada na palce?

– Tak.

– Paskudnie.

Joe położył broń na murze, a potem znalazł w skarpetce Maso zwyczajną brzytwę z perłową rękojeścią, od Wilkinsona. Położył ją obok kastetu z gwoździami.

– Kręci ci się w głowie?

Stłumione „tak”.

– Tak sądziłem. – Joe chwycił go mocniej za pasek. – Zgodzisz się ze mną, że jeśli cię puszczę, zginiesz jak szczur?

– Tak.

– Przez ciebie mam dziurę w nodze od zasranej obieraczki!

– Ja... ..łem.

– Co? Mów wyraźnie.

– Uratowałem cię – dobiegł go syk.

– Żeby trafić do mojego ojca. – Joe wbił łokieć między łopatki Maso. Stary pisnął.

– Czego chcesz? – Głos Maso zaczął się załamywać z braku tlenu.

– Słyszałeś kiedyś o Emmie Gould?

– Nie.

– Albert White ją zabił.

– Nigdy o niej nie słyszałem.

Joe wciągnął Maso na mur i odwrócił go na plecy. Cofnął się o krok i pozwolił mu złapać oddech. Wyciągnął rękę i strzelił palcami.

– Oddaj zegarek.

Maso bez wahania wyjął zegarek z kieszeni i podał mu. Joe ścisnął go mocno w pięści. Tykanie, które poczuł w dłoni, przedostało się do jego krwi.

– Mój ojciec dzisiaj umarł – powiedział świadom, że pewnie gada jak wariat, przeskakując z tematu ojca do Emmy i z powrotem. Ale to go nie obchodziło. Musiał ująć w słowa coś, na co nie miał słów.

Oczy Maso na chwilę uciekły w bok. Potem stary znowu zaczął masować gardło. Joe pokiwał głową.

– Zawał. Oskarżam o to siebie. – Uderzył dłonią w but Maso, co wstrząsnęło starym na tyle, że chwycił się obiema rękami muru. Joe tylko się uśmiechnął. – Ale też ciebie. I to jak cholera.

– To mnie zabij – odpowiedział Maso, ale w jego głosie nie było mocy. Obejrzał się przez ramię, a potem spojrzał na Joego.

– Tak mi rozkazano.

– Kto?

– Lawson. Na dole czeka na ciebie cała armia – Basil Chigis, Pokaski, wszystkie dziwolągi Emila. A twoi chłopcy, Naldo i Hircio... – Joe pokręcił głową. – Jedzą mu z ręki. U stóp tych schodów czeka cała banda na wypadek, gdybym dał ciała.

Przez twarz Maso przemknął cień dawnej wyniosłości.

– I myślisz, że darują ci życie?

Joe też się nad tym zastanawiał.

– Prawdopodobnie tak. Przez tę waszą wojnę mnóstwo chłopaków trafiło do piachu. Nie zostało wielu, którzy by się do czegoś przydali. Poza tym znam Alberta. Mieliliśmy coś wspólnego. Przypuszczam, że to jego znak pokoju – mam zabić Maso i wrócić na łono rodziny.

– Więc dlaczego tego nie zrobisz?

– Bo nie chcę cię zabić.

– Nie?

Joe pokręcił głową.

– Chcę zrujnować Alberta.

– Zabić go?

– Tego nie wiem. Ale na pewno go zniszczyć.

Maso sięgnął do kieszeni po francuskiego papierosa. Wyjął go i zapalił, nadal z trudem łapiąc powietrze. Spojrzał Joemu w oczy i skinął głową.

– Masz w tej sprawie moje błogosławieństwo.

– Nie potrzebuję go.

– Nie będę cię od tego odwozić, ale nigdy nie widziałem wielkiego pożytku w zemście.

– Nie chodzi o pożytek.

– Zawsze o to chodzi. O to – lub sukcesję. – Maso spojrział w niebo i znowu na Joego. – Więc jak to załatwić, żeby zejść na dół i ocalić życie?

– Któryś z tych strażników na wieżach jest zależny od ciebie?

– Ten nad nami. Pozostali dwaj są zależni od pieniędzy.

– Czy twój strażnik może się skontaktować z tymi w więzieniu i kazać im osaczyć ludzi Lawsona?

Maso pokręcił głową.

– Jeśli któryś ze strażników jest bliski Lawsonowi, ci na dole się dowiedzą i wpadną tutaj.

– No cóż, kurwa. – Joe odetchnął powoli i rozejrzał się. – Więc załatwmy to w brzydki sposób.

Kiedy Maso rozmawiał ze strażnikiem z wieży, Joe poszedł w stronę drzwi prowadzących na schody. Jeśli miał umrzeć, to w tej chwili. Nie mógł się pozbyć wrażenia, że każdy jego krok może być ostatnim, że lada chwila może się spodziewać kuli, która roztrzaska mu czaszkę lub kręgosłup.

Obejrzał się. Maso zniknął z pola widzenia; została tylko ciemność i wieże. Ani gwiazd, ani księżyca, tylko kamienny mrok.

Otworzył drzwi i krzyknął w dół:

– Zrobione!

– Jesteś ranny? – zawołał Basil Chigis.

– Nie. Ale potrzebuję czystego ubrania.

Ktoś zachichotał w ciemnościach.

– To chodź tutaj.

– Wy wejdźcie. Musimy zabrać stąd ciało.

– Możemy...

– Sygnałem jest prawa ręka, palec wskazujący i środkowy uniesione, trzymane razem. Jeśli ktoś ich nie ma, to go nie wysyłajcie.

Odsunął się od drzwi, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować.

Jakąś minutę później zobaczył pierwszego. Z otworu wysunęła się czyjaś ręka, z palcami uniesionymi tak, jak polecił Joe. Światło z wieży przesunęło się po niej, a potem z powrotem.

– W porządku – odezwał się Joe.

Był to Pokasky, który spalił swoją rodzinę. Ostrożnie wysunął głowę i rozejrzał się.

– Szybko – syknął Joe. – I przyślij innych. Trzeba będzie jeszcze dwóch, żeby go unieść. Jest strasznie ciężki, a ja mam potłuczone żebra.

Pokaski uśmiechnął się zimno.

– Myślałem, że nie jesteś ranny.

– Nie śmiertelnie. Chodź.

Pokaski zajrzał w dziurę.

– Jeszcze dwóch!

W ślad za Pokaskim zjawił się Basil Chigis, a po nim jeszcze mały facecik z zajęczą wargą. Joe przypomniał sobie, że kiedyś ktoś mu go pokazał w stołówce – Eldon Douglas – ale nie pamiętał, za co go posadzili.

– Gdzie ciało? – spytał Basil Chigis.

Joe wskazał.

– No, to...

Światło padło na Chigisa w chwili, gdy kula przestrzeliła mu potylicę i wyszła środkiem twarzy, wrywając nos. Pokaski mrugnął nerwowo – ostatni jego czyn na tej ziemi. Potem w jego gardle pojawiła się jama, a z niej bluznęła czerwień i padł na plecy, wierzgając nogami. Eldon Douglas skoczył w stronę drzwi, ale trzecia kula strażnika roztrzaskała mu czaszkę jak młot. Douglas upadł na prawo od drzwi i znieruchomiał, pozbawiony czubka głowy.

Joe spojrział w światło, na trzech powalonych mężczyzn. Tamci w dole uciekli z krzykiem. Żałował, że nie mógł do nich dołączyć. Co za naiwny plan. Poczł broń, mierzącą w jego pierś. Światło go oślepiało. Te kule to owo okrutne potomstwo, przed którym ostrzegał go ojciec; nie tylko zaraz ujrzy Stwórcę, ale jeszcze spotka swoje dzieci. Jedyna pociecha w szybkiej śmierci. Za piętnaście minut będzie siedział przy kufelku z ojcem i wujkiem Eddiem.

Światło zgasło.

Coś miękkiego uderzyło go w twarz i upadło mu na ramię. Zamrugął w mroku; mały ręcznik.

– Wytrzymaj twarz – rozkazał Maso. – Uświński się.

Kiedy oczy przywykły mu do ciemności, ujrzał nieopodal Maso, który palił francuskiego papierosa.

– Myślałeś, że cię zabiję?

– Przyszło mi to na myśl.

Maso pokręcił głową.

– Jestem biednym makaroniarzem z Endicott Street. Chodzę do szykownych lokali, ale nadal nie wiem, jaki widelec użyć do czego. Mogę nie mieć klasy czy wykształcenia, ale nie lubię podstępów. Atakuję wprost. Jak ty mnie.

Joe skinął, spoglądając na trzy ciała u jego stóp.

– A co z nimi? Powiedziałbym, że to całkiem niezły podstęp.

– Walić ich. Sami się prosili. – Przeszedł nad ciałem Pokaskiego i zbliżył się do Joego. – Wyjdiesz stąd szybciej, niż myślisz. Jesteś gotowy trochę zarobić, kiedy znajdziesz się na wolności?

– Jasne.

– Zawsze będziesz przedkładał dobro rodziny Pescatore nad swoje. Możesz to obiecać?

Joe spojrział w oczy starego i uznał, że razem zarobią mnóstwo pieniędzy i że nie powinien mu ufać.

– Mogę.

Maso wyciągnął rękę.

– Umowa stoi.

Joe wytarł krew z dłoni i uścisnął rękę Maso.

– Stoi.

– Panie Pescatore! – zawołał ktoś z dołu.

– Idę. – Maso ruszył w stronę drzwi. Joe poszedł za nim. – Chodź, Josephie.

– Proszę mnie nazywać Joe. Tylko ojciec mówił do mnie „Josephie”.

– Słusznie. – Schodząc kręconymi schodami w mrok, Maso dodał jeszcze: – Zabawna rzecz z tymi ojcami i synami – możesz działać, stworzyć imperium, zostać królem, władcą Stanów Zjednoczonych... Bogiem. Ale zawsze będziesz w jego cieniu. I nie uciekniesz przed tym.

Joe poszedł za nim w ciemność.

– I nawet nie chcę.

# ROZDZIAŁ 10

## ODWIEDZINY

Po porannej mszy żałobnej w kościele pod wezwaniem Bram Niebieskich w południowym Bostonie Thomas Coughlin spoczął na cmentarzu Cedar Grove w Dorchester. Joe nie otrzymał pozwolenia na wyjście na pogrzeb, ale przeczytał o nim w „Travelerze”, który przyniósł mu wieczorem strażnik pracujący dla Maso.

Na pogrzebie stawiło się dwóch byłych burmistrzów, Honey Fitz i Andrew Peters, a także obecny burmistrz, James Michael Curley. Przybyło też dwóch byłych gubernatorów, pięciu byłych prokuratorów okręgowych i dwóch prokuratorów generalnych.

Zjawili się policjanci ze wszystkich jednostek, miejskich i stanowych, w służbie i na emeryturze, z miejsc wysuniętych tak daleko na południe jak Delaware i tak daleko na północ jak Bangor w stanie Maine, policjanci wszelkich stopni i z najróżniejszych wydziałów. Na zdjęciu przy artykule ledwie było widać rzekę Neponset, wijącą się na dalekim krańcu cmentarza, tak bardzo zasłaniały ją błękitne czapki i mundury.

Oto siła, pomyślał Joe. Oto spuścizna.

I niemal zaraz potem: I co z tego?

Na cmentarzu na brzegach rzeki Neponset zjawilo się tysiąc osób, by uczestniczyć w pogrzebie jego ojca. Pewnego dnia być może kadeci będą się uczyć w budynku imienia Thomasa X. Coughlina na Bostońskiej Akademii Policyjnej, albo może ludzie będą dojeżdżać do pracy mostem Coughlina.

Cudownie.

A jednak ojciec nie żył. Nie żył i już. Żaden pomnik, spuścizna ani most jego imienia tego nie zmieni.

Ma się tylko jedno życie, więc lepiej je dobrze przeżyć.

Joe położył gazetę obok siebie na pryczy. Miał nowy materac, który czekał na niego wczoraj wraz z małym stolikiem, krzesłem i gazową lampą. W szufladzie stolika znajdowały się zapalniczki i nowy grzebień.

Zgasił światło i siedział w ciemnościach, paląc. Nasłuchiwał odgłosów fabryk i barek, ślących do siebie sygnały w wąskich miejscach rzeki. Otworzył zegarek ojca,

zamknął go, znowu otworzył. Otworzyć – zamknąć, otworzyć – zamknąć, otworzyć – zamknąć, w smrodzie chemikaliów z fabryk, wpływającym przez okienko wysoko w murze.

Ojciec umarł. Joe nie był już niczym synem.

Stał się mężczyzną bez przeszłości i przyszłości. Białą kartką, nienależącą do nikogo.

Czuł się jak pielgrzym, odbijający od wybrzeży ojczyzny; nigdy więcej jej nie zobaczy, płynie czarnym morzem pod czarnym niebem, w stronę nowego świata, który trwa, nieukształtowany, jakby od zawsze czekał.

Czekał na niego.

Czekał, by Joe nadał mu nazwę, uformował go na swoje podobieństwo tak, żeby ten ład sławił jego zalety na całą kulę ziemską.

Zamknął zegarek, ścisnął go w dłoni i siedział długo z przymkniętymi oczami, aż ujrzął brzeg tego nowego kraju, zobaczył, jak czarne niebo ustępuje miejsca mrowiu białych gwiazd, oblewających światłem jego i wąski pas wody, jaki mu pozostał do brzegu.

Będę za tobą tęsknił. Będę cię opłakiwać. Ale teraz narodziłem się na nowo. I jestem naprawdę wolny.

Dziesięć dni po pogrzebie Danny złożył mu ostatnią wizytę.

Pochylił się w stronę siatki.

– Jak sobie radzisz, braciszku?

– Jakoś sobie radzę. A ty?

– Wiesz.

– Nie. Nie wiem. Nic nie wiem. Osiem lat temu wyjechałeś do Tulsy z Norą i Lutherem, od tej pory docierały do mnie tylko plotki.

Danny skinął głową. Wysupłał z kieszeni papierosa, zapalił, zaciągnął się, nie spiesząc się z odpowiedzią.

– Założyliśmy z Lutherem firmę. Budowlaną. Budujemy domy w dzielnicy kolorowych. Radzimy sobie. Nie zarabiamy kokosów, ale może być. I byłem zastępcą szeryfa. Uwierzysz?

Joe uśmiechnął się.

– Nosiłś kowbojski kapelusz?

– Synu – powiedział Danny z akcentem z dzikiego zachodu. – Nośłem sześciostrzałowce. Na obu biodrach.

Joe parsknął śmiechem.

– I krawat z rzemyka?

Danny też się roześmiał.

– A jak. I botki.

– I ostrogi?

Danny zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– Są granice.

– A co to się wydarzyło? – spytał Joe, wciąż chichocząc. – Słyszeliśmy coś o zamieszkach?

Światło w oczach Danny'ego zgasło.

– Spalili ją do fundamentów.

– Tulsę?

– Czarną Tulsę, tak. Greenwood, dzielnicę, w której mieszkał Luther. Pewnej nocy w więzieniu biali chcieli zlinczować kolorowego, bo chwycił dziewczynę za cipkę w windzie. Prawda wyglądała tak, że tych dwoje było parą od wielu miesięcy. Chłopak rzucił babkę, ona miała mu to za złe, więc zgłosiła się na policję i musieliśmy go aresztować. Już mieliśmy go puścić z powodu braku dowodów, kiedy zjawili się zacni biali obywatele Tulsy. Wtedy pojawiła się grupa kolorowych, w tym także Luther. No cóż, kolorowi mieli broń. Tego się nikt nie spodziewał. Dlatego tłum się wycofał. Na jedną noc. – Danny zdusił papierosa obcasem. – Następnego ranka biali weszli na teren dzielnicy i pokazali kolorowym chłopcom, co się dzieje, kiedy wychodzi się na nich z bronią.

– Więc tak wyglądały zamieszki.

– Danny pokręcił głową.

– Nie żadne zamieszki, tylko masakra. Biali strzelali lub podpalali wszystkich, których zobaczyli – dzieci, kobiety, starców, bez różnicy. Z tymi strzelbami szły filary społeczeństwa, bogobojni obywatele, rotarianie. Skurwiele przyfrunęły samolotami do opryskiwania pól, zrzucali na budynki granaty i bomby zapalające domowego wyrobu. Kolorowi wybiegali z płonących domów, prosto pod lufy karabinów maszynowych. Biali ich normalnie kosili. Zginęły setki osób. Setki trupów leżały na ulicy. Wyglądały jak sterty ubrań, które w praniu zafarbowwały na czerwono. – Danny splótł dłonie za głowę i odetchnął głośno. – Potem pomagałem ładować ciała na ciężarówkę i myślałem: gdzie jest mój kraj? Dokąd zmierza?

Przez długą chwilę żaden z nich się nie odzywał.

– Luther? – spytał Joe.

Danny uniósł rękę.

– Przeżył. Kiedy go ostatnio widziałem, wyjechał z żoną i dzieckiem do Chicago. Z takimi... wydarzeniami... sprawa wygląda tak, Joe: jeśli przeżyjesz, czujesz, że hańba spada na ciebie. Nawet nie potrafię tego wyjaśnić. Po prostu wstyd, wielki jak twoje ciało. Ci, którzy przeżyli, czują to samo. I nie potrafisz wtedy patrzeć innym w oczy. Wszyscy tym cuchniecie i usiłujecie wymyślić, jak przeżyć resztę życia z takim smrodem. Więc na pewno nie chcesz, żeby ktoś, kogo czuć tak samo jak ciebie, zbliżył się i powiększył ten odór.

– Nora?

Danny skinął głową.

– Nadal jesteśmy razem.

– Dzieci?

Zaprzeczył.

– Myślisz, że chodziłbyś po tym świecie jako wujek i nie dowiedziałbyś się o tym ode mnie?

– Przez osiem lat widzieliśmy się tylko raz. Nie wiem, co byś zrobił.

Danny pokiwał głową i Joe zauważył coś, co do tej pory tylko podejrzewał – coś w jego bracie, coś głęboko w jego duszy, było złamane.

Ale w tej samej chwili, gdy o tym pomyślał, dawny Danny powrócił wraz z przekornym uśmiechem.

– Od paru lat mieszkamy z Norą w Nowym Jorku.

– I co robicie?

– Pokazy.

– Pokazy?

– Filmów. Tak tam na to mówią. Trochę mylące, bo wiele osób myśli, że chodzi o pokazy sztuk teatralnych. No, ale tak, Joe, filmy. Kino.

– Pracujesz w filmie?

Danny skinął głową, znowu ożywiony.

– Nora to zaczęła. Dostała pracę w takiej firmie, Silver Frame. Żydzi, ale dobrzy ludzie. Prowadziła księgowość, a potem poprosili ją, żeby zajęła się jeszcze reklamą i

nawet kostiumami. Jak to wtedy wyglądało! Wszyscy robili wszystko, reżyserzy parzyli kawę, kamerzyści wyprowadzali psa głównej aktorki.

– Filmy? – powtórzył Joe.

Danny parsknął śmiechem.

– Czekaj, będzie lepiej. Potem poznałem się z jej szefami i jeden, Herm Silver, fajny, łebski facet, pyta mnie – uważasz? – pyta mnie, czy znam się na kaskaderce.

– Co to, kurwa, jest kaskaderka? – Joe zapalił papierosa.

– Widzisz, jak aktor spada z konia? To nie on. To kaskader. Zawodowiec. Aktor ślizga się na skórcie banana, potyka się o krawężnik, cholera, turla się ulicą? Następnym razem przyjrzyj się uważniej, bo to nie on. To ja albo ktoś taki jak ja.

– Czekaj. W ilu filmach zagrałeś?

Danny zastanawiał się przez chwilę.

– No, było ich może... jak wiem, siedemdziesiąt pięć?

– Siedemdziesiąt pięć? – Joe wyjął papierosa z ust.

– No wiesz, sporo to krótkometrażówki. Czyli...

– Dobra, wiem, co to.

– Ale nie wiedziałeś, co to kaskader, tak?

Joe pokazał mu środkowy palec.

– No więc tak, zagrałem w paru. Nawet napisałem scenariusz kilku krótkometrażówek.

Joe otworzył szeroko usta.

– Napisałeś...?

Danny przytaknął.

– Drobiazgi. Dzieci z Lower East Side chcą wykąpać psa bogatej pani, pies im się gubi, bogata pani wzywa gliniarzy, zaczyna się pościg, takie rzeczy.

Joe rzucił papierosa na podłogę, zanim ogień oparzył go w palce.

– Ile napisałeś?

– Na razie pięć, ale Herm uważa, że mam do tego żyłkę. Chce, żebym wkrótce spróbował sił w pełnym metrażu, żebym został scenarzystą.

– Kto to jest scenarzysta?

– Facet, który pisze scenariusze, geniuszu. – Danny także pokazał palec Joemu.

– No, a gdzie w tym wszystkim jest Nora?

– W Kalifornii.

– Myślałem, że mieszkacie w Nowym Jorku.

– Mieszkaliśmy. Ale Silver Frame zrobiło ostatnio parę bardzo tanich filmów, które okazały się hitami. Tymczasem Edison pozywa w Nowym Jorku wszystkich z powodu patentu na kamerę, a w Kalifornii te patenty gównem znaczą. No i ładna pogoda zapewniona przez trzysta sześćdziesiąt dni w roku, więc wszyscy tam jadą. Bracia Silver doszli do wniosku, że to najwyższy czas. Nora wyjechała tydzień temu, bo została kierownikiem produkcji – awansowała na sam szczyt – a ja za trzy tygodnie mam być kaskaderem w filmie „Sprawiedliwość w Pecos”. Wróciłem tylko po to, by powiedzieć tacie, że znowu jadę na zachód i zaprosić go, gdy przejdzie na emeryturę. Nie wiedziałem, kiedy znowu go zobaczę. Cholera, kiedy znowu zobaczę ciebie.

– Cieszę się twoim szczęściem – powiedział Joe, kręcąc głową nad absurdem tego wszystkiego. Życie Danny’ego – boksera, policjanta, działacza związkowego, biznesmena, zastępcy szeryfa, kaskadera, początkującego scenarzysty – było przykładem życia każdego Amerykanina.

– Przyjedź – zachęcał Danny.

– Co?

– Kiedy stąd wyjdiesz. Przyjedź do nas. Mówię serio. Możesz zarabiać spadaniem z konia, udawaniem zastrzelonego, wypadaniem przez szyby z cukru, które wyglądają jak ze szkła. Przez resztę dnia będziesz się wylegiwać w słońcu i spotykać z gwiazdkami nad basenem.

Przez chwilę Joe zobaczył to wszystko – nowe życie, cudowną błękitną wodę, kobiety o skórze w kolorze miodu, palmy.

– To tylko krótka, dwutygodniowa podróż pociągiem, braciszku.

Joe znowu się roześmiał, wyobrażając to sobie.

– Naprawdę dobra praca. Jeśli zechcesz do mnie przyjechać, nauczę cię.

Joe, wciąż uśmiechnięty, pokręcił głową.

– To uczciwa praca – zapewnił Danny.

– Wiem.

– Mógłbyś przestać żyć z duszą na ramieniu.

– Nie o to chodzi.

– A o co? – spytał Danny z autentycznym zaciekawieniem.

– O noc. Noc ma własne zasady.

– Dzień też.

– Tak, wiem. Ale ich nie lubię.

Długo patrzyli na siebie przez siatkę.

– Nie rozumiem – powiedział cicho Danny.

– Wiem. Ty... ty kupujesz to gadanie o dobrych i złych. Lichwiarz łamie facetowi nogę, kiedy ten nie oddaje mu długu, bankier wyrzuca człowieka z domu z tego samego powodu, a ty uważasz, że to różnica, jakby bankier tylko wykonywał swoją pracę, a lichwiarz był przestępcą. Mnie lichwiarz podoba się bardziej, bo nie udaje nikogo, kim nie jest i uważam, że bankier powinien siedzieć tutaj, gdzie ja. Nie zamierzam marnować życia na płacenie podatków, przynoszenie szefowi lemoniady na firmowym pikniku i kupowanie ubezpieczeń. Nie chcę się zestarzeć, utyć, wstąpić do klubu, palić cygara z bandą dupków, gadać o squashu i stopniach dzieci. Umrzeć za biurkiem, a tabliczka z moim nazwiskiem zniknie z drzwi gabinetu, zanim mnie pogrzebią.

– Takie jest życie.

– Takie jest twoje życie. Chcesz grać według ich zasad? Proszę bardzo. Ale ja uważam, że te zasady są durne. Uważam, że człowiek sam ustanawia reguły.

Znowu przyjrzeni się sobie przez siatkę. W dzieciństwie Joe uważał Danny'ego za bohatera. Cholera, za boga. A teraz ten bóg stał się zwykłym człowiekiem, który dla pieniędzy spada z koni i udaje, że go zastrzelili.

– No, no – odezwał się Danny cicho. – No to dorosłeś.

– No.

Danny schował papierosy do kieszeni i włożył kapelusz.

– Szkoda – powiedział.

W murach więzienia wojna White'a z Pescatore została częściowo rozstrzygnięta tej nocy, gdy trzech żołnierze White'a zostali zastrzeleni na dachu „podczas próby ucieczki”.

Jednak nadal dochodziło do starć i narastało napięcie. Przez następne pół roku Joe dowiedział się, że wojny nigdy nie mają końca. Nawet kiedy cały więzienny gang Pescatore skonsolidował siły, nikt nie potrafił przewidzieć, czy któryś ze strażników nie został przekupiony przez wroga albo któremu więźniowi można zaufać.

Micky Baer dostał na spacerunku kosą od faceta – jak się okazało później – męża siostry nieżyjącego Doma Pokaskiego. Micky przeżył, ale do końca życia miał kłopoty z sikaniem. Dobiegły ich wieści ze świata zewnętrznego, że Guard Colvin skumał się z

Sydem Mayo, współpracownikiem White'a. I przegrał.

Potem Holly Peletos, goryl White'a, trafił do więzienia na pięć lat za nieumyślne zabójstwo i zaczął rozpuszczać gębę w stołówce na temat zmiany rządów. No to trzeba go było zrzucić z galerii.

Czasem Joe nie sypiał dwie, trzy noce w tygodniu – ze strachu, albo dlatego, że usiłował zanalizować sytuację pod wszystkimi kątami, bądź też dlatego, że serce łomotało mu w piersi, jakby chciało się wyrwać na wolność.

Obiecałeś sobie, że nie dasz się zmienić.

Że to miejsce nie pożre twojej duszy.

Ale przede wszystkim powiedziałeś sobie „przetrwam”.

Wyjdę stąd.

Bez względu na cenę.

Maso wyszedł na wolność pewnego wiosennego poranka w 1928 roku.

– Kiedy następnym razem się zobaczymy – powiedział Joemu – w dzień odwiedzin, ja będę siedzieć za siatką.

Joe uściskał mu rękę.

– Uważaj na siebie.

– Kazałem mojemu papudze zająć się twoją sprawą. Wkrótce wyjdiesz. Nie trać czujności, mały, nie trać życia.

Joe usiłował znaleźć pociechę w jego słowach, ale wiedział, że jeśli to tylko słowa, odczuje ten wyrok jako dwa razy dłuższy. Kiedy tylko Maso opuści te progi, zapomni o nim.

A może tylko pokazał mu marchewkę, żeby Joe nadal prowadził jego interesy w więzieniu, nie wiedząc, że nie ma szans pracować dla Maso na wolności.

Tak czy tak, nie zostało mu nic innego, jak siedzieć i patrzeć, śledzić rozwój sytuacji.

Kiedy Maso zaczął działać na ulicy, trudno było tego nie zauważyć. To, co podskórnym wrzało, teraz zostało oblane benzyną i podpalone. Maj Morderstw, jak nazwały go gazety, sprawił, że Boston po raz pierwszy zaczął przypominać Detroit lub Chicago. Żołnierze Maso strzelali do bukmacherów, gorzelników, kierowców i cyngli, jakby rozpoczął się sezon polowań. I tak było. W miesiąc Maso wypędził Alberta White'a z Bostonu, a jego nieliczni pozostali przy życiu żołnierze uciekli w ślad za szefem.

W więzieniu zapanował spokój, jakby czegoś dodano do wody. Nikt na nikogo nie napadał. Do końca roku 1928 nikogo nie zrzucano z galerii ani nie dźgnięto w kolejce w

stołówce. Joe uznał, że pokój zapanował w zakładzie karnym Charlestown na dobre, kiedy zdołał zawrzeć umowę z dwoma najlepszymi gorzelnikami Alberta White'a, odsiadującymi wyrok w więzieniu, na rozprowadzanie ich produktów w świecie zewnętrznym. Wkrótce strażnicy zaczęli przemycać gin poza mury więzienia, a był to tak dobry towar, że na ulicy zaczęto go nazywać karcerówką.

Joe przespał pierwszą spokojną noc, odkąd przekroczył bramy więzienia latem 1927 roku. Miał też czas opłakać ojca i Emmę – długo się powstrzymywał, ponieważ to odciągnęłoby jego myśli od bronienia się przed tymi, którzy knuli przeciwko niemu.

W drugiej połowie 1928 roku Bóg wykręcił mu najokrutniejszy z dotychczasowych numerów, każąc Emmie odwiedzić go we śnie. Joe poczuł jej nogę, wślizgującą się między jego nogi, poczuł zapach kropelek perfum, które nakładała za uszami, otworzył oczy i zobaczył jej oczy tuż nad sobą, poczuł oddech na wargach. Podniósł ręce, żeby przesunąć dłońmi po jej nagich plecach. I dopiero wtedy naprawdę otworzył oczy.

Nikogo.

Tylko ciemność.

Zaczął się modlić. Prosił Boga, by pozwolił jej żyć, nawet gdyby on miał jej już nigdy nie zobaczyć. Proszę, pozwól jej żyć.

Ale, Boże, czy mógłbyś ją przestać wysyłać w moje sny? Nie mogę jej ciągle tracić. To za wiele. To zbyt okrucieństwo. Boże, poprosił Joe, miej litość.

Ale Bóg nie znał litości.

Te odwiedziny trwały do końca pobytu Joego w zakładzie karnym Charlestown.

Ojciec nigdy go nie odwiedzał. Ale Joe czuł jego obecność jak nigdy za jego życia. Czasami siadał na pryczy, otwierał zegarek i zamykał go, otwierał i zamykał i wyobrażał sobie rozmowy, które mogliby odbyć, gdyby nie przeszkadzały im dawne grzechy i zawiedzione nadzieje.

*Opowiedz mi o mamie.*

*Co chciałbyś wiedzieć?*

*Jaką osobą była?*

*Przerażoną dziewczynką. Śmiertelnie przerażoną, Josephie.*

*Czego się tak bała?*

*Świata.*

*Czyli?*

*Wszystkiego, czego nie rozumiała.*

*Czy mnie kochała?*

*Na swój sposób.*

*To nie miłość.*

*Dla niej – była. Nie myśl, że cię porzuciła.*

*A co mam myśleć?*

*Że żyła tylko dla ciebie. Gdyby nie ty, zostawiłaby nas już dawno.*

*Nie tęsknię za nią.*

*Zabawne. A ja tak.*

Joe zapatrzył się w mrok.

*Tęsknię za tobą.*

*Wkrótce mnie zobaczysz.*

Kiedy Joe zorganizował pracę więziennej destylarni i drogi przemytu alkoholu z więzienia, a także ochronę przemytników, zostało mu mnóstwo czasu na czytanie. Przeczytał niemal wszystko z więziennej biblioteki, która dzięki Lancelotowi Hudsonowi III prezentowała się nad wyraz okazale.

Lancelot Hudson III był jedynym bogaczem w historii skazanym na dużą odsiadkę w Charlestown. Jednak jego drastyczny czyn został tak nagłośniony – Lancelot zrzucił swoją niewierną żonę Catherine z dachu ich trzypiętrowego domu na Beacon Street prosto na przechodzącą ulicą paradę z okazji Dnia Niepodległości w 1919 r. – że nawet bostońska elita musiała zstąpić z piedestału na chwilę, by uznać, że pora rzucić ofiarę na pożarcie tłuszczy. Odsiedział siedem lat w Charlestown za nieumyślne zabójstwo. Może nie były to ciężkie roboty, ale i nie lekkie życie. Odsiadkę osładzały mu tylko książki, które bogaty skazaniec sprowadził do więzienia – na co pozwolono mu pod warunkiem, że je tutaj zostawi. Joe przeczytał co najmniej sto książek z kolekcji Hudsona. Wiedział, że to jego własność, ponieważ w górnym prawym rogu strony tytułowej widniał napis małymi, ściśniętymi literkami: „Pierwotnie własność Lancelota Hudsona III. Walcie się”. Joe czytał Dumasa, Dickensa i Twaina. Czytał Malthusa, Adama Smitha, Marksa i Engelsa, Machiavellego, „Federalist Papers” i „Harmonie ekonomiczne” Bastiata. Kiedy przebrnął przez zbiory Hudsona, zaczął czytać, co mu wpadło w rękę – na ogół powieści dla kucharek i opowieści z Dzikiego Zachodu – a także wszelkie możliwe gazety i czasopisma, jakie pozwalano posiadać w więzieniu. Stał się niemal ekspertem w domyślaniu się, jakie słowa czy zdania wycięła cenzura.

Przeglądając egzemplarz „Boston Traveler”, natrafił na artykuł o pożarze na dworcu autobusowym linii East Coast Bus na St James. Na choinkę, stojącą na dworcu, z przetar-

tego kabla przeskoczyły iskry. Po chwili cały budynek stał już w ogniu. Joe przyglądał się zdjęciom osmalonych ruin i czuł, że oddech w nim zamiera. Skrytka, w której umieścił oszczędności swojego życia, w tym sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów z rabunku w Pittsfield, widniała w rogu jednej z fotografii. Leżała na boku pod belką sufitu, poczerniała jak węgiel.

Joe sam nie wiedział, co jest gorsze – uczucie, że nigdy więcej nie zdoła odetchnąć, czy że zaraz z krtani bluźnie mu ogień.

Artykuł donosił, że cały budynek jest zrujnowany. Niczego nie dało się uratować. Joe bardzo w to wątpił. Postanowił, że kiedyś, gdy będzie miał czas, dowie się, który pracownik dworca odszedł na przedwczesną emeryturę i żyje ponad stan.

A do tego czasu będzie musiał sobie znaleźć jakąś robotę.

Robotę zaproponował mu Maso – pewnego dnia pod koniec zimy zapewnił też Joego, że jego apelacja postępuje w szybkim tempie.

– Niedługo stąd wyjdiesz – powiedział, siedząc po drugiej stronie siatki.

– Z całym szacunkiem... jak bardzo „niedługo”?

– W lecie.

Joe uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

Stary przytaknął.

– Ale sędziowie nie biorą mało. Będziesz musiał to odpracować.

– Może byśmy uznali, że jesteśmy kwita, bo ciebie nie zabiłem?

Maso zmrużył oczy; obecnie prezentował się bardzo sztywnie w kaszmirowym płaszczu i wełnianym garniturze, wpięty w klapę biały goździk pasował do jedwabnej wstążki na kapeluszu.

– Umowa stoi. Nawiasem mówiąc, nasz przyjaciel, pan White, robi mnóstwo hałasu w Tampie.

– W Tampie?

Maso pokiwał głową.

– Nadal rządzi w paru miejscach. Nie mogę się do nich dostać, bo ci z Nowego Jorku mają tam swoje udziały i dali wyraźnie do zrozumienia, żebym teraz z nimi nie zadzierał. White sprowadza rum naszymi kanałami i na to też nie mam wpływu. Ale ponieważ wlaźł na mój teren, chłopcy z Nowego Jorku dali nam pozwolenie na

wyeliminowanie go z gry.

- Pozwolenie jakiego stopnia?
- Na wszystko z wyjątkiem zabicia.
- Dobra. To co zrobisz?
- Nie chodzi o to, co ja zrobię. Co ty zrobisz, Joe. Chcę, żebyś tam pojechał.
- Ale Tampą rządzi Lou Ormino.
- Może uzna, że nie chce już tego kłopotu.
- A kiedy tak uzna?
- Na jakieś dziesięć minut przed twoim przyjazdem.

Joe zastanowił się nad zagadnieniem.

- Tampa, tak?
- Gorąco tam.
- Lubię upaść.
- Nigdy takiego nie znałeś.

Joe wzruszył ramionami. Stary lubił przesadzać.

- Będę potrzebować tam kogoś zaufanego.
- Przewidziałem to.
- Tak? Skinął głową.
- Już załatwione. Nasz człowiek siedzi tam od pół roku.
- Gdzie go znajdę?
- W Montrealu.
- Pół roku? Kiedy to zaplanowałeś?

– Gdy Lou Ormino zaczął chować część zysków do kieszeni, a Albert White pojawił się, by zagarnąć resztę. – Maso pochylił się w stronę Joego. – Pojedziesz tam i wezmiesz ich do galopu? Resztę życia spędzisz, żyjąc jak król.

- Więc jeśli tam pojedę, będziemy równymi partnerami?
- Nie.
- Ale Lou Ormino jest.

– I zobacz, jak skończy. – Maso spojrzał na Joego, ukazując mu swoją prawdziwą twarz.

– To ile dostanę?

– Dwadzieścia procent.

– Dwadzieścia pięć.

– Niech będzie – powiedział Maso, a isierka w jego oczach zdradziła, że Joe mógł wytargować trzydzieści procent. – Ale masz na to uczciwie zapracować.

CZĘŚĆ II

YBOR

1929-1933

# ROZDZIAŁ 11

## NAJLEPSZY W MIEŚCIE

Kiedy Maso po raz pierwszy zaproponował Joemu przejęcie swoich operacji na terenie Florydy Zachodniej, uprzedził, że jest tam gorąco, ale Joe nie spodziewał się ściany żaru, z którą się zderzył, gdy w pewien sierpniowy poranek 1929 roku wysiadł na peronie stacji kolejowej. Miał na sobie letni garnitur w kratkę. Kamizelkę zostawił w walizce, ale zanim dopalił papierosa, kiedy czekał na tragarza i stał z marynarką przewieszoną przez ramię i rozluźnionym krawatem, spływał już strugami potu. Wysiadając z pociągu, zdjął kapelusz z obawy, że w upale pomada na włosach roztopi się i wsiąknie w jedwabną podszewkę, ale teraz znowu go włożył, żeby ochronić głowę przed rozpalonymi igłami słońca.

Nie chodziło tylko o słońce, rozżarzone do białości wysoko na niebie tak bezchmurnym, jakby chmury tutaj nie istniały (i może rzeczywiście nie istnieją, pomyślał Joe), ale także o powietrze parne jak w dżungli. Miał wrażenie, że otulił go kłęb stalowej wełny, wrzuconej przez kogoś do garnka oleju. A ogień pod garnkiem z każdą chwilą rósł.

Ludziom, którzy wysiedli z pociągu razem z nim, upał też dawał się we znaki; mężczyźni zdjęli marynarki – czasem także kamizelki i krawaty – i podwinęli rękawy. Paru włożyło kapelusze, inni się nimi wachlowali. Kobiety nosiły aksamitne kapelusze z szerokim rondem, filcowe budki lub czepeczki. Niektóre biedaczki zdecydowały się na jeszcze grubsze materiały i fasony, by lepiej zasłaniały uszy. Miały na sobie suknie z krepy i jedwabne szale, ale nie wyglądały na zadowolone – z zaczerwienionymi twarzami, niegdyś starannymi fryzurami, z których teraz sterczały kosmyki i kędziorki, z rozluźniającymi się kokami.

Miejscowych można było poznać bez trudu – mężczyzn wyróżniały słomkowe kapelusze, koszule z krótkimi rękawami i gabardynowe spodnie. Buty mieli dwukolorowe, jak większość mężczyzn w tamtych czasach, ale w jaskrawszych odcieniach niż pasażerowie pociągu. Tutejsze kobiety, o ile w ogóle przystrajały czymś głowę, wybierały słomkowe kapelusiki z niewielkim rondkiem. Nosiły proste sukienki, dużo bieli, jak ta dziewczyna, która właśnie mijала Joego. Jej biała spódnica i taka sama bluzka były całkiem zwyczajne, a nawet trochę sfatygowane, ale jej ciało – Jezusie, pomyślał Joe, co za sztuka – poruszało się pod cienkim materiałem jak coś zakazanego, co chciało wyrwać się z tego miasta, zanim purytanie się zorientują. Raj, dumiał Joe, jest mroczny, bujny i kryje kończyny, które poruszają się płynnie jak woda.

Przez ten upał stał się wolniejszy niż zwykle, bo kobieta przyłapała go na przyglądaniu się jej – coś, co w Bostonie nigdy mu się nie przydarzyło. Ale ta kobieta – Mulatka albo może czarna, nie wiedział, ale o ciemnej skórze z miedzianym połyskiem – rzuciła mu potępiające spojrzenie i szła dalej. Może przez ten upał, a może przez dwa lata w więzieniu, Joe nie mógł przestać przyglądać się ruchom jej ciała pod cienkim materiałem. Jezu, westchnął ciężko, za długo siedziałem. Jej ciemne kędzierzawe włosy były upięte w kok na potylicy, ale na kark opadło jedno pasmo. Kobieta odwróciła się, by rzucić mu wrogie spojrzenie. Spuścił wzrok, zanim go dosięgło. Czuł się jak dziewięciolatek, którego przyłapano na szkolnym podwórku, gdy ciągnął dziewczynki za warkoczyki. A potem Joe zastanowił się, czego właściwie się wstydził. Przecież się obejrzała, prawda?

Kiedy znowu podniósł głowę, kobieta znikła w tłumie na peronie. Chciał jej powiedzieć: Nie masz się czego bać z mojej strony. Nigdy nie złamiesz mi serca, a ja nigdy nie złamię serca tobie, skończyłem z tym interesem.

Przez ostatnie dwa lata usiłował się pogodzić nie tylko z faktem, że Emma nie żyje, ale i z tym, że on nigdy już się nie zakocha. Może kiedyś się ożeni, ale to będzie małżeństwo z rozsądku, żeby dodać sobie autorytetu i zyskać następcę. Uwielbiał to słowo – następcą. (Robotnicy mają synów. Ludzie sukcesu – następców). Do tego czasu będzie chodził na dziwki. Może ta kobieta, która rzuciła mu wrogie spojrzenie, była dziwką, udającą cnotkę. Jeśli tak, to na pewno ją wypróbuje – piękna Mulatka pasuje do księcia przestępców.

Kiedy tragarz postawił przed nim bagaże, Joe zapłacił mu banknotami, które zwilgotniały jak wszystko inne. Powiedziano mu, że ktoś po niego wyjdzie, ale nie przyszło mu do głowy spytać, jak go rozpozna w tym tłumie. Wypatrywał więc mężczyzny o wystarczająco podejrzanym wyglądzie, ale zamiast niego ujrzał Mulatkę, która zawróciła i zbliżała się do niego. Pasma włosów opadło jej na skroń; odsunęła je z policzka wolną ręką. Drugą trzymała pod ramię Latynosa w słomkowym kapeluszu, brązowych jedwabnych spodniach o długich, ostrych kantach i w zapiętej pod szyję białej koszuli bez kołnierza. Pomimo upału twarz mężczyzny była sucha, podobnie jak jego koszula, nawet tuż przy szyi, gdzie dokładnie pod jabłkiem Adama w skórę wrzynał mu się guzik. Mężczyzna poruszał się tak samo płynnie, jak kobieta; ten ruch krył się w jego łydkach i kostkach, choć same kroki były zamaszyste i pewne.

Mówili po hiszpańsku; słowa padały szybko i lekko. Kobieta obrzuciła Joego najkrótszym ze spojrzeń, tak szybkim, że mógł je sobie wyobrazić, choć w to wątpił. Mężczyzna wskazał coś i zatrajkotał po hiszpańsku. Oboje zachichotali.

Joe się odwrócił, by znowu rozejrzeć się za tym kimś, kto miał wyjść mu na spotkanie i w tej samej chwili ktoś podniósł go, jakby ważył nie więcej niż worek prania. Joe spojrział na dwa potężne ramiona, oplatające go w pasie i poczuł znajomy smród surowej cebuli i wody kolońskiej Arabian Sheik.

Został znowu postawiony na peronie i odwrócony, po czym jego oczom ukazał się dawny znajomy, którego nie widział od tamtego straszego dnia w Pittsfield.

– Dion – powiedział Joe.

Okrągłość Diona zmieniła się w korpulencję. Dawny przyjaciel miał na sobie bladozłoty garnitur w białe prążki, lawendową koszulę z białym kontrastującym kołnierzykiem i krwistoczerwony krawat w czarne paski; czarno-białe buty sięgały ponad kostki. Gdyby poprosić niedowidzącego staruszka, żeby rozpoznał gangstera z odległości pół kilometra, stary wskazałby drżącym palcem Diona.

– Joseph. – Zabrzmiało to sucho i oficjalnie. Potem jego okrągła twarz rozświetliła się szerokim uśmiechem i Dion znowu podniósł Joego, tym razem odwróconego do niego twarzą i uścisnął go tak mocno, że mało brakowało, a zmiażdżyłby mu kręgosłup.

– Przykro mi z powodu twojego ojca – szepnął.

– A mnie z powodu twojego brata.

– Dziękuję – odparł Dion z dziwną wesołością. – Wszystko przez tę konserwową szynkę. – Postawił Joego i uśmiechnął się. – Kupiłbym mu własne świnie.

Wyszli z dworca na rozpaloną ulicę.

Dion wziął walizkę Joego.

– Kiedy Lewus Downer znalazł mnie w Montrealu i powiedział, że ludzie Pescatore chcą, abym dla nich pracował, byłem pewien, że plecie farmazony, że się tak wyrażę. Ale potem mi wyjaśnili, że siedzisz ze starym, a ja pomyślałem: jeśli ktoś potrafi oczarować samego diabła, to tylko mój dawny kumpel. – Zarzucił grube ramię na ramiona Joego.

– Klawo, że znów cię widzę.

– Dobrze chodzić po wolności.

– Charlestown...?

Joe pokiwał głową.

– Pewnie nawet gorsze, niż mówią. Ale znalazłem sposób, żeby dało się tam żyć.

– No myślę.

Na parkingu żar jeszcze bardziej dawał się we znaki. Blask słońca odbijał się od nawierzchni wysypanej okruchami muszelek i od karoserii samochodów. Joe osłonił oczy ręką, ale niewiele to pomogło.

– Chryste Panie. – Spojrzał ze zdumieniem na Diona. – A ty w dodatku nosisz kamizelkę.

– Oto tajemnica. – Dion zatrzymał się przed marmonem 34 i postawił walizkę na

chodniku. – Kiedy będziesz w sklepie, wykup wszystkie koszule w swoim rozmiarze. Ja zmieniam je cztery razy dziennie.

Joe spojrzął na jego lawendową koszulę.

– Znalazłeś cztery w tym kolorze?

– Osiem. – Otworzył tylne drzwi samochodu i wstawił do środka bagaż Joego. – To tylko parę przecznic, ale w tym upale...

Joe wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi od strony pasażera, ale Dion go uprzedził.

– Chyba żartujesz.

– Teraz dla ciebie pracuję. Szef Joe Coughlin.

– Przestań. – Joe pokręcił głową i wsiadł.

– Sięgnij pod fotel – rzucił Dion, wyjeżdżając z parkingu. – Znajdziesz tam przyjaciela.

Joe wyjął spod siedzenia automatycznego *savage*'a kaliber trzydzieści dwa, z kolbą z głową Indianina i lufą dziewięćdziesiąt milimetrów. Wsunął go do prawej kieszeni spodni i powiedział, że potrzebuje kabury. Lekko go rozdrażniło, że Dion nie wpadł na to, by ją przynieść od razu.

– Chcesz moją? – spytał Dion.

– Nie, tak jest dobrze.

– Mogę ci dać swoją.

– Nie. – Joe pomyślał, że chyba minie sporo czasu, zanim przywyknie do szefowania. – Ale niedługo będę potrzebować kabury.

– Jeszcze dzisiaj ją dostaniesz. Ani chwili później, przysięgam.

Samochody wlokły się powoli jak wszystko w tym mieście. Dojechali do Ybor City. Niebo straciło tutaj twardą biel i zabarwiło się brązowymi smugami od dymu z fabryki. Cygara, wyjaśnił Dion, stworzyły tę okolicę. Wskazał ceglane budynki z wysokimi kominami i mniejszymi zabudowaniami – niektóre wyglądały jak szalasy z otwartymi na przestrzał drzwiami – gdzie nad stołami pochylali się zwijający cygara robotnicy.

Dion wyliczył nazwy – El Reloj i Cuesta-Rey, Bustillo, Celestino Vega, El Paraiso, La Pila, La Trocha, El Naranjal, Perfecto Garcia. Powiedział, że najbardziej szanowaną funkcją w fabryce jest lektor – siedzi na krześle na środku pomieszczenia i czyta na głos wspaniałe powieści pracującym robotnikom. Wyjaśnił, że wytwórcę cygar nazywa się *tabaquero*, małe fabryczki to *chinchals*, a jedzenie, którego zapach przebija się przez smród dymu, to prawdopodobnie *bolos* albo *empanadas*.

– Coś podobnego – mruknął Joe i gwizdnął z podziwem.

- Mówisz tym językiem jak jakiś król Hiszpanii.
- Tutaj tak trzeba. I włoskim też. Lepiej się robi interesy.
- Mówisz po włosku, mój brat też, ale ja nigdy się nie nauczyłem.

– Mam nadzieję, że łapiesz tak szybko, jak kiedyś. Załatwiamy nasze sprawy w Ybor, ponieważ reszta miasta daje nam żyć. Dla nich jesteśmy brudasami, Latynosami i makaroniarzami i dopóki nie robimy za dużo hałasu, a robotnicy nie strajkują, zmuszając właścicieli do wezwania policji, możemy sobie pozwalać, na co chcemy. – Skręcił na Seventh Avenue, zapewne główną arterią Ybor, z tłumami przechodniów na drewnianych chodnikach, piętrowymi budynkami o szerokich balkonach, balustradach z kutego żelaza i ceglanych lub stiukowych fasadach, które przypomniały Joemu pewien weekend w Nowym Orleanie parę lat temu. Środkiem ulicy biegły tory; w oddali pojawił się jadący w ich stronę tramwaj. Jego odgłosy tonęły i znowu się wynurzały z fal skwaru.

– Można by pomyśleć, że wszyscy się dogadujemy – ciągnął Dion – ale nie zawsze. Włosi i Kubańczycy trzymają się razem. Ale czarni Kubańczycy nienawidzą białych Kubańczyków, a biali Kubańczycy uważają czarnych Kubańczyków za czarnuchów, przy czym i biali, i czarni uważają się za lepszych od wszystkich innych. Wszyscy Kubańczycy nienawidzą Hiszpanów. Hiszpanie uważają Kubańczyków za zarozumiałych bandziorów, którzy zapomnieli, gdzie ich miejsce od czasu, gdy USA wyzwoliło ich w dziewięćdziesiątym ósmym. No, a Kubańczycy do spółki z Hiszpanami lekceważą Portorykańczyków, zaś wszyscy razem srają na tych z Dominikany. Włosi szanują cię tylko, jeśli przyplynałeś ze Starego Kraju, a *Americanos* uważają, że ich zdanie kogoś obchodzi.

– Nazwałś nas *Americanos*!

– Jestem Włochem – przypomniał Dion; skręcił w lewo i wjechał w kolejną szeroką ulicę, choć bez nawierzchni. – A tutaj czuję z tego powodu dumę.

W oddali pojawił się błękit zatoki, zobaczyli statki w porcie i wysokie żurawie. Dobiegł ich zapach soli, smaru, przypływu.

– Port Tampa – oznajmił Dion z efektownym gestem, gdy jechali ulicami z czerwonej cegły, gdzie krążyły wózki widłowe, bekające dymem z paliwa diesla, a żurawie, które przenosiły dwutonowe palety wysoko ponad ich głowami, rzucały cień sieci na przednią szybę ich samochodu. Rozległ się świst parowego gwizdka.

Dion zatrzymał samochód przy rampie wyładunkowej i wysiedli. Przyjrzeni się, jak w dole robotnicy rozpakowują pakę drelichowych worków z napisem ESCUINTIA, GWATEMALA. Po zapachu można było poznać, że w workach jest kawa i czekolada. Pół tuzina mężczyzn wyładowało je w mgnieniu oka, żuraw zarzucił na pustą paletę siatkę i uniósł ją w powietrze, a mężczyźni znikli w drzwiach ładowni. Dion podszedł do drabiny i zszedł po niej.

– Dokąd idziemy? – spytał Joe.

– Zobaczysz.

Na dole zamknięto za nimi drzwi. Stanęli na ubitej glinie, która zachowała zapachy wszystkiego, co wyładowano w rozprężonej słońcem Tampie – bananów, ananasów, zboża, oliwy, ziemniaków, benzyny, octu. Prochu. Zepsutych owoców i świeżej kawy, ziarenka chrupały im pod butami. Dion położył rękę na cementowej ścianie naprzeciwko drabiny i przesunął ją w prawo. Wraz z nią przesunęła się ściana, której miejsca złączenia stojący pół metra od niej Joe nie zauważył. Za nią były drzwi; Dion zastukał dwukrotnie i odczekał, licząc półgłosem. Potem zapukał cztery razy, a głos po drugiej stronie spytał:

– Kto tam?

– Kominek – odpowiedział Dion i drzwi się otworzyły.

Przed nimi ukazał się korytarz tak wąski, że ledwie mieścił się w nim mężczyzna, który wyłonił się zza drzwi. Nieznajomy miał na sobie koszulę – dawno temu mogła być biała, zanim pot zabarwił ją żółtawo – oraz spodnie z brązowego dżinsu. Na szyi nosił chustkę, a na głowie kowbojski kapelusz. Zza paska spodni wystawała mu broń. Kowboj skinął głową Dionowi i pozwolił im przejść, po czym zasunął ścianę na miejsce. Idący przed Joem Dion dotykał ścian wąskiego korytarza ramionami. Z rury nad ich głowami co jakieś pięć metrów zwisały żarówki mżące słabym światłem. Co druga była przepalona. Joe miał niemal pewność, że w głębi korytarza widzi drzwi. Domyślił się, że znajdują się jakieś pięćset metrów dalej, co znaczyło, że mogły mu się przywidzieć. Brnęli przez błoto; woda kapiała z sufitu i zbierała się w kałużach na podłodze. Dion wyjaśnił, że woda często zalewa tunele. Od czasu do czasu znajdują rano topielca – pijaka, który na swoje nieszczęście postanowił się tutaj zdrzemnąć.

– Serio? – spytał Joe.

– No. Wiesz, co jest jeszcze gorsze? Czasami dobierają się do nich szczury.

Joe rozejrzał się dookoła.

– To była ohydna wiadomość miesiąca.

Dion wzruszył ramionami i szedł dalej. Joe spojrzał na ściany i ścieżkę. Zero szczurów. Na razie.

– Pieniądze z banku w Pittsfield – odezwał się Dion.

– Są bezpieczne – odparł Joe. Z góry dobiegł go turkot kół wozu i powolne, miarowe klepanie, pewnie stukot końskich kopyt.

– Gdzie? – Dion obejrzał się na niego przez ramię.

– Skąd się dowiedzieli?

Nad nimi rozległy się wycia klaksonów i warkot motoru.

– O czym? – spytał Dion, a Joe zauważył u niego pierwsze zapowiedzi łysinki; jego ciemne włosy nadal były na skroniach gęste i błyszczące, ale na czubku stały się węższe i słabowite.

– Gdzie zrobić na nas zasadzkę.

Dion znowu na niego spojrzął.

– Po prostu wiedzieli.

– Nie ma czegoś takiego jak „po prostu”. Szukaliśmy tego miejsca tygodniami. Policjanci nigdy tam nie przyjeżdżali, bo nie było powodu – nie mieli czego chronić.

Dion skinął wielką głową.

– No, ode mnie się nie dowiedzieli.

– Ode mnie też nie – powiedział Joe.

Dotarli już niemal na koniec tunelu; drzwi rzeczywiście istniały i okazało się, że są ze szrotkowanej stali z żelazną zasuwą. Odgłosy ulicy ustąpiły tutaj miejsca stłumionemu szcękaniu sztućców, brzękowi układanych talerzy i krokom krążących kelnerów. Joe wyjął z kieszeni zegarek ojca i otworzył go: południe.

Dion wyjął z czeluści szerokich spodni okazały pęk kluczy. Otworzył zamki, odsunął kraty i odciągnął zasuwę. Wyjął jeden klucz z pęku i podał go Joemu.

– Weź. Przyda ci się, wierz mi.

Joe schował klucz do kieszeni.

– Kto jest właścicielem tego budynku?

– Kiedyś Ormino.

– Kiedyś?

– Co, nie czytałeś dzisiejszych gazet?

Joe pokręcił głową.

– Poprzedniej nocy Ormino zarobił parę nadprogramowych dziurek.

Dion otworzył drzwi i weszli po drabinie na górę, by stanąć przed kolejnymi drzwiami, niezamkniętymi na klucz. Otworzyli je i weszli do dużego, wilgotnego pomieszczenia, podłoga i ściany były cementowe. Pod ścianami biegły stoły, na nich zaś stało to, czego spodziewał się Joe – fermentory, ekstraktory, retorty, palniki bunsenowskie, zlewki, cysterny i urządzenia do filtrowania.

– Najlepsze, jakie można kupić. – Dion wskazał przymocowane do ścian termometry, połączone z aparatami destylacyjnymi gumowymi rurkami. – Chcesz jasny rum, musisz usunąć część nastawu w temperaturze pomiędzy siedemdziesiąt pięć a

osiemdziesiąt pięć stopni Celsjusza. To bardzo ważne, jeśli nie planujesz otruć ludzi swoim alkoholem. Te zabaweczki są nieomyślne i...

– Wiem, jak się robi rum. Szczerze mówiąc, po dwóch latach pudła możesz mi podać dowolną substancję, a powiem ci, jak ją przedestylować. Pewnie potrafiłbym zrobić alkohol z twoich butów. Ale nie widzę tutaj dwóch elementów kluczowych dla produkcji rumu.

– Tak? Mianowicie?

– Melasy i robotników.

– No właśnie o tym miałem wspomnieć. Mamy pewien problem...

Przeszli przez pusty tajny szynk i powiedzieli „Kominek” przed następnymi zamkniętymi drzwiami, po czym wpuszczono ich do kuchni włoskiej restauracji na East Palm Avenue. Przemaszerowali przez kuchnię do jadalni, gdzie znaleźli stolik nieopodal wyjścia i blisko wysokiego czarnego wentylatora, tak masywnego, że przesunąć go zdołaliby pewnie dopiero trzej silni mężczyźni i wół.

– Pośrednikowi skończyły się zapasy. – Dion rozłożył serwetkę, zatknął ją za kołnierz i wygładził na krawacie.

– To widzę – mruknął Joe. – Dlaczego?

– Słyszałem, że łodzie toną.

– Kto jest waszym pośrednikiem?

– Niejaki Gary L. Smith.

– Ellsmith?

– Nie. L to inicjał. Gość się upiera, żeby tak go nazywać.

– Dlaczego?

– Ci z Południa tak mają.

– A nie mają tak po prostu gnojki?

– Też może być.

Kelner przyniósł im menu i Dion zamówił dwie lemoniady, zapewniając Joego, że jeszcze nic lepszego nie pił.

– Dlaczego potrzebujemy pośrednika? – spytał Joe. – Dlaczego nie robimy interesów bezpośrednio z producentem?

– Jest ich wielu, sami Kubańcy. Smith robi z nimi interesy, więc my to mamy z

głowy. I gada z Południowcami.

– Z przemytnikami?

Dion skinął głową kelnerowi, który przyniósł im lemoniadę.

– To miejscowi, stąd do Wirginii. Rozprawdzają towar na terenie całej Florydy aż do morza.

– Ale ładunki także często tracicie.

– Tak.

– Ile jeszcze łodzi może zatonać i ile ciężarówek ma spłonąć, zanim uznacie, że to nie tylko pech?

– Ha – powiedział Dion, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Joe pociągnął łyk lemoniady. Nie powiedziała, że nigdy nie pił nic lepszego, a jeśli nawet, przecież to tylko lemoniada. Co jest, kurwa, miał się podniecać wodą z cytryną?

– Zrobiłeś to, co pisałem w liście?

Dion przytaknął.

– Co do ostatniej literki.

– Ile dotarło tam, gdzie podejrzewałem?

– Wysoki procent.

Joe przyjrzał się jadłospisowi, szukając jakiejś znanej nazwy.

– Spróbuj *osso buco* – poradził Dion. – Najlepsze w mieście.

– Według ciebie wszystko tutaj jest najlepsze w mieście – warknął Joe. – Lemoniada, termometry...

Dion wzruszył ramionami i otworzył swoje menu.

– Mam wyrafinowany gust.

– Dobra. – Joe zamknął menu i złapał wzrok kelnera.

– Zjedzmy, a potem wpadnijmy do Gary’ego L. Smitha.

Dion wpatrywał się w swój spis dań.

– Z przyjemnością.

Poranne wydanie „Tampa Tribune” leżało na stole w poczekalni biura Gary’ego L. Smitha. Przedstawiało zwłoki Lou Ormino – siedział w samochodzie; okna były wybite i zakrwawione siedzenia. Czarno-białe zdjęcie zmarłego wyglądało jak wszystkie inne –

trywialnie. Nagłówek głosił:

## ŚMIERĆ SŁAWNEJ POSTACI ŚWIATA GANGSTERSKIEGO

– Dobrze go znałeś?

Dion skinął głową.

– No.

– Lubieś go?

Wzruszył ramionami.

– Nie był zły. Na paru spotkaniach obcinał sobie paznokcie u stóp, ale na święta dał mi gęs.

– Żywą?

– No. W każdym razie żyła, dopóki nie dotarłem do domu.

– Dlaczego Maso kazał go zlikwidować?

– Nie powiedział ci?

Joe pokręcił głową.

– Mnie też nie.

Przez chwilę Joe słuchał tykania zegarka i szelestu sztywnych stron „Photoplay”, odwracanych przez sekretarkę Gary’ego L. Smitha. Nazywała się panna Roe i miała modną krótką fryzurkę z wyciskanymi falami. Była ubrana w srebrną bluzeczkę z krótkimi rękawami i czarnym jedwabnym krawatem, który opadał jej na piersi niczym wysłuchana modlitwa. Lekko poruszała się na krześle – w prawie niewidoczny sposób, ale tak, że Joe złożył gazetę i powachlował się nią.

Boże, pomyślał, naprawdę potrzebne mi dobre rżnięcie.

Znowu się pochylił.

– Ma rodzinę?

– Kto?

– Kto.

– Lou? Miał. – Dion spochmurniał. – Czemu musiałeś o to spytać?

– Jestem ciekawy.

– Pewnie przy nich też obcinał paznokcie u stóp. Są zadowoleni, że nie muszą już

ich zbierać na śmietniczkę.

Na biurku sekretarki zabrzączał interkom i cienki głos zakomunikował:

– Panno Roe, chłopcy mogą już wejść.

Joe i Dion wstali.

– Chłopcy – powiedział Dion.

– Chłopcy – mruknął Joe, obciągnął mankiety i przygładził włosy.

Gary L. Smith miał ząbki drobne jak ziarna kukurydzy i niemal tak samo żółte. Uśmiechnął się, gdy weszli do gabinetu, a panna Roe zamknęła za nimi drzwi, ale nie wstał. Zresztą jego uśmiech też nie wydawał się szczególnie przyjazny. Żaluzje za biurkiem odcinały dopływ słońca, ale blask przesiewał się przez nie na tyle, żeby zabarwić pokój odcieniem bourbona. Smith był ubrany jak dżentelmen z Południa – biały garnitur, biała koszula i cienki czarny krawat. Spojrzał na nich z pewnym zakłopotaniem, które Joe odczytał jako strach.

– To pan jest nowym znaleziskiem Maso. – Smith przysunął im humidor. – Częstujcie się. Najlepsze cygara w mieście.

Dion prychnął.

Joe podziękował, ale Dion wziął sobie cztery. Trzy włożył do kieszeni, a czubek czwartego odgryzł. Wypluł go na dłoń i odłożył na brzeg biurka.

– To co was sprowadza?

– Poproszono mnie o zaopiekowanie się na jakiś czas sprawami Lou Ormino.

– Ale nie na zawsze – Smith zapalił cygaro.

– Co?

– Nie zastąpi pan Lou na zawsze. Wspominam o tym tylko dlatego, że tutejsi lubią robić interesy z kimś, kogo znają, a pana nikt nie zna. Bez urazy.

– Kogo by pan zaproponował?

Smith zastanawiał się przez jakiś czas.

– Rickiego Pozzette.

Dion przechylił głowę.

– Pozzetta nie potrafiłby wyprowadzić psa na siku.

– W takim razie Delmore'a Searsa.

– Kolejny idiota.

– No cóż, więc może ja bym się nadał?

– Niezły pomysł – powiedział Joe.

Gary L. Smith rozłożył dłonie.

– Tylko, jeśli uważa pan, że spełniam kryteria.

– Możliwe, ale musimy wiedzieć, dlaczego napadnięto na trzy ostatnie dostawy.

– Te jadące na północ?

Joe przytaknął.

– Pech. Nic innego. Tak bywa.

– Dlaczego nie zmienił pan trasy?

Smith wyjął pióro i zapisał coś na kawałku papieru.

– A to dobry pomysł. Pan Coughlin, tak?

Joe skinął głową.

– Świetny pomysł. Na pewno go rozważę.

Joe przyglądał mu się przez chwilę, a potem zaczął podziwiać dym, przeświecony rozproszonym, sączącym się przez żaluzje blaskiem słońca. Patrzył tak długo, aż Smith trochę się stropił.

– Dlaczego kursom łodzi przytrafia się tyle kłopotów?

– Och – rzucił Smith lekko. – Tacy już są ci Kubańczycy. Nie mamy na to żadnego wpływu.

– Dwa miesiące temu w jednym tygodniu miał pan czternaście dostaw, trzy miesiące później pięć, w zeszłym tygodniu – żadnej.

– To nie mieszanie cementu – odparł Gary L. Smith. – Nie ma tak, że jeśli się doda jedną trzecią wody, za każdym razem otrzyma się taką samą konsystencję. Ma się różnych dostawców z różnym planem zajęć i możliwe, że u ich dostawców cukru akurat strajkują robotnicy. Albo właściciel łodzi zachoruje.

– Wtedy idzie się do następnego dostawcy.

– To nie takie proste.

– Dlaczego?

– Ponieważ – wyjaśnił Smith ze zmęczeniem, jakby polecono mu wytłumaczyć kotu, jak działa silnik samolotu – wszyscy płacą haracz tej samej grupie.

Joe wyjął z kieszeni mały notes i otworzył go.

– Zapewne mówi pan o rodzinie Suarez?

Smith łypnął okiem na notatnik.

– Tak. Mają Tropicale na Seventh.

– Zatem są jedynymi dostawcami.

– Nie, przecież już mówiłem.

– Co pan mówił? – Joe spojrzał na niego zmrużonymi oczami.

– No, owszem, część dostaw pochodzi od nich, ale są też inni. Ten gość, jak mu tam, Ernesto? Staruszek ma drewnianą rękę. Uwierzycie? I...

– Jeśli wszyscy inni dostawcy odpowiadają przed jednym człowiekiem, to właśnie on jest jedynym dostawcą. Ustala ceny, a inni się do nich stosują, jak rozumiem.

Smith westchnął z desperacją.

– Chyba tak.

– Chyba?

– To nie takie proste.

– Dlaczego?

Joe czekał w milczeniu. Dion też. Smith na nowo zapalił cygaro.

– Są inni dostawcy. Mają łodzie i...

– Podwykonawcy. Nikt więcej. Chcę rozmawiać z wykonawcą. Musimy jak najszybciej spotkać się z Suarezami.

– Nie.

– Nie?

– Pan po prostu nie rozumie, jak to się załatwia w Ybor. To ja rozmawiam z Estebanem Suarezem i jego siostrą. Oraz ze wszystkimi pośrednikami.

Joe przysunął telefon w poblize łokcia Smitha.

– Proszę dzwonić.

– Pan mnie nie słucha.

– Słucham. Proszę wziąć telefon, zadzwonić do Suarezów i powiedzieć im, że dzisiaj wieczorem zjem kolację w Tropicale i będziemy wdzięczni za najlepszy stół oraz parę minut rozmowy.

– Może by pan poczekał kilka dni, żeby poznać tutejsze zwyczaje? Proszę mi zaufać, wtedy wróci pan i podziękuję mi, że nie zadzwoniłem. I razem się z nimi spotkamy. Obiecuję.

Joe sięgnął do kieszeni. Wyjął drobne i położył na biurku. Potem przyszła kolej na papierosy, zegarek ojca i trzydziestkędwójkę, która spoczęła na bibule z lufą skierowaną w stronę Smitha. Wytrząsnął papierosa z paczki, nie odwracając spojrzenia od Smitha, gdy ten wziął telefon i poprosił o połączenie z miastem.

Joe palił spokojnie, podczas gdy Smith rozmawiał przez telefon po hiszpańsku, a Dion tłumaczył niektóre fragmenty. Potem Smith odłożył słuchawkę.

– Zarezerwował nam stolik na dziewiątą – powiedział Dion.

– Zarezerwowałem wam stolik na dziewiątą – oznajmił Smith.

– Dziękuję. – Joe uniósł nogę i oparł kostką o kolano. – Ci Suarezowie to rodzeństwo, tak?

Smith przytaknął.

– Esteban i Ivelia Suarez, tak.

– No, Gary, a teraz... – Joe wyciągał nitkę ze skarpetki na kostce. – Pracujesz bezpośrednio dla Alberta White'a? – Zakołysał nitką i rzucił ją na dywan. – Czy też ktoś między wami pośredniczy?

– Co?

– Oznakowaliśmy twoje butelki, Smith.

– Co?

– Wszystko, co destylowałeś, oznaczaliśmy – potwierdził Dion. – Parę miesięcy temu. Małe kropki w górnym prawym rogu.

Gary uśmiechnął się, jakby w życiu nie słyszał większej banialuki.

– A te dostawy, które nie dotarły na miejsce... Wszystko co do butelki wylądowało w lokalach Alberta White'a. – Joe strzepnął popiół na biurko. – Wyjaśnisz to?

– Nie rozumiem.

– Nie...? – Joe postawił obie stopy na podłodze.

– Nie, ja nie... Co?

Joe sięgnął po broń.

– Ależ rozumiesz.

Gary uśmiechnął się. Przestał się uśmiechać. Znowu się uśmiechnął.

– Nie, nie rozumiem. Hej. Hej!

– Zaopatrywałeś Alberta White'a w nasz rum, który kierowaliśmy na północny wschód. – Joe wytrząsnął na dłoń magazynek. Dotknął pocisku znajdującego się na górze.

Gary znowu wyskoczył z tym swoim „hej”.

Joe spojrział w celownik.

– W komorze został jeden – powiedział do Diona.

– Zawsze powinien zostawać. Na wszelki wypadek.

– Jaki wypadek? – Joe wytrząsnął pocisk i złapał go. Położył go na blacie czubkiem w stronę Gary’ego L. Smitha.

– Nie wiem. Nieprzewidziany. – Dion wzruszył ramionami.

Joe znowu włożył magazynek w kolbę. Umieścił pocisk w komorze i położył broń na swoich kolanach.

– Kazałem Dionowi przejechać koło twojego domu. Masz ładny dom. Dion powiedział, że ta okolica nazywa się Hyde Park.

– Tak.

– Śmieszne.

– Co?

– W Bostonie też jest Hyde Park.

– O, rzeczywiście śmieszne.

– No, nie aż tak, żeby od razu pęknąć ze śmiechu czy coś. Tylko, powiedzmy, interesujące.

– Tak.

– Tynki?

– Co?

– Tynkowany, tak?

– Eee, no... Szkielet ma drewniany, ale tak, jest tynkowany.

– Ach. Więc się pomyliłem.

– Nie, skąd.

– Powiedziałeś, że jest drewniany.

– Konstrukcja jest z drewna, ale ściany, tak, są tynkowane.

– Podoba ci się?

– Co?

– Ten twój drewniano-tynkowany dom. Podoba ci się?

– Jest trochę za duży, odkąd moje dzieci...

– Co?

– Dorosły. I wyjechały.

Joe podrapał się po potylicy lufą trzydziestkidwójki.

– Będziesz musiał się z niego wynieść.

– Ale...

– Albo zatrudnić kogoś, kto cię przeprowadzi. – Wskazał głową telefon. – Mogą przesłać meble tam, gdzie wylądujesz.

Smith usiłował odzyskać to, co kwadrans temu opuściło jego gabinet – złudzenie, że to on wszystkim rządzi.

– Gdzie wyląduję? Nigdzie się nie wybieram.

Joe wstał i sięgnął do kieszeni marynarki.

– Rzniesz ją?

– Co? Kogo?

Joe wskazał kciukiem za siebie.

– Pannę Roe.

– Co?!

Joe spojrzał na Diona.

– Rźnie.

Dion wstał.

– Bez wątpienia.

Joe wyjął z marynarki dwa bilety na pociąg.

– Niezła sztuka. Kiedy w niej zasypiasz, pewnie czujesz się, jakbyś przez chwilę zobaczył Boga. Po czymś takim wiesz, że wszystko się ułoży.

Położył bilety na biurku.

– Wszystko mi jedno, kogo zabierzesz – żonę, pannę Roe, obie, cholera, albo żadnej. Ale o jedenastej wsiądziesz do pociągu linii Seaboard. Dzisiaj w nocy, Gary.

Smith roześmiał się. Ten śmiech nie trwał długo.

– Nie sądzę, żebyś miał...

Joe uderzył Gary'ego L. Smitha w twarz tak mocno, że mężczyzna spadł z krzesła i

walnął głową o kaloryfer.

Zaczekali, aż wstanie. Postawił krzesło. Usiadł na nim. Krew całkiem odpłynęła mu z twarzy, choć na policzku i wardze zostało parę czerwonych plamek. Dion rzucił mu na pierś chusteczkę.

– Albo wsiądziesz do tego pociągu, Gary – Joe zabrał pocisk z biurka – albo cię pod niego wsadzimy.

– Ty tak serio? – spytał Dion, idąc do samochodu.

– Tak. – Joe znowu był wkurzony, choć nie wiedział dlaczego. Czasem mrok go po prostu ogarniał. Lubił mówić, że nagłe czarne nastroje przydarzają mu się od czasów więzienia, ale prawda wyglądała tak, że spadały na niego, odkąd pamiętał. Czasami bez przyczyny ani ostrzeżenia. Ale w tym wypadku może dlatego, że Smith wspomniał o dzieciach, a on nie chciał wiedzieć, że człowiek, którego przed chwilą upokorzył, ma jakiegokolwiek życie poza pracą.

– Jeśli Smith nie wsiądzie do tego pociągu, jesteś gotów go zabić?

A może to po prostu dlatego, że Joe jest mrocznym facetem z tendencją do mrocznych nastrojów.

– Nie. – Joe zatrzymał się przy samochodzie i zczekał. – Zrobią to ludzie, którzy dla nas pracują. – Spojrzał na Diona. – Kto ja jestem, jakiś, kurwa, wyrobnik?

Dion otworzył mu drzwi i Joe wsiadł.

# ROZDZIAŁ 12

## MUZYKA I PISTOLETY

Joe poprosił Maso, żeby zakwaterował go w hotelu. W pierwszym miesiącu nie chciał myśleć o niczym z wyjątkiem interesów – między innymi o posiłkach, praniu pościeli i ubrań oraz o tym, jak długo będzie zajęta ubikacja. Maso powiedział, że umieści go w hotelu Tampa Bay. Nazwa wydała się Joemu przyjemna, choć mało oryginalna. Założył, że to jakiś przeciętny hotelik z przyzwoitymi wyrkami, nijakim, ale strawnym jedzeniem i płaskimi poduszkami.

Tymczasem Dion zatrzymał samochód przed pocztówkowym pałacem. Kiedy Joe powiedział, z czym mu się kojarzy budynek, Dion wyjaśnił:

– Tak go nazywają: Pałac Planta.

Henry Plant kupił ten budynek, tak jak większość Florydy, by zwabić tutaj spekulantów handlujących ziemią, którzy od dwóch dekad zjeżdżali się do miasta całymi chmarami.

Zanim Dion zdążył zatrzymać się przed frontowymi drzwiami, przed ich maską przejechał pociąg. Nie zabawka, choć pewnie takie też tutaj mieli, lecz transkontynentalna lokomotywa, długa na jakieś czterysta metrów. Joe i Dion zatrzymali się tuż przed parkingiem i patrzyli, jak pociąg wypłuka bogatych mężczyzn, bogate kobiety i ich bogate dzieci. Czekając, Joe naliczył ponad sto okien w hotelu. Na szczycie budynku z czerwonej cegły znajdowały się okna na poddaszu – założył, że to apartamenty. Jeszcze wyżej sześć wieżyczek godziło w twarde białe niebo – rosyjski pałac zimowy w środku spieczonego słońcem bagna Florydy.

Z pociągu wysiadła szykowna para w wykrochmalonej bieli. Za nimi podążyły trzy nianie i troje szykownych dzieci. Na pięty następowali im dwaj czarni tragarze, pchali wózki wyładowane stertą kufrów.

– Wracajmy – zarządził Joe.

– Co? Możemy zaparkować i przenieść twoje bagaże. Znajdę...

– Przyjedziemy tutaj znowu. – Joe patrzył, jak para wchodzi do środka takim krokiem, jakby wychowała się w dwa razy większych pałacach. – Nie będę czekać w

kolejce.

Wyglądało, że Dion zamierzał powiedzieć coś więcej, ale tylko westchnął cicho. Wrócili na drogę, a z niej małymi drewnianymi mostkami przejechali obok pola golfowego. Para starszych ludzi siedziała w rikszy, ciągniętej przez drobnego Latynosa w białej koszuli z długimi rękawami i białych spodniach. Małe drewniane tabliczki wskazywały drogę na boisko do shuffleboarda, lasu do polowań, łódek, kortów tenisowych i torów wyścigowych. Przejechali obok pola golfowego, dziwnie zielonego w tym upale. Większość napotkanych osób nosiła się na białą i miała parasolki, nawet mężczyźni, a ich śmiech brzmiał odległe i sucho.

Joe i Dion pojechali na Lafayette i do centrum. Dion powiedział Joemu, że Suarezowie nieustannie kursują na Kubę i z powrotem i że niewiele osób coś o nich wie. Mówiono, że Ivelia była żoną człowieka, który w 1912 roku zginął podczas buntu robotników w fabryce cukru. Mówiono także, że ta historia stanowi przykrywkę dla jej lesbijskich preferencji.

– Esteban – dodał Dion – ma mnóstwo firm, tutaj i tam. Młody chłopak, dużo młodszy od siostry. Ale mądry. Jego ojciec robił interesy z samym Yborem, kiedy ten...

– Czekał – przerwał mu Joe. – To miasto jest nazwane na cześć człowieka?

– No. Vincente Ybor. Gość od cygar.

– No, no. Oto władza. – Joe wyjrzał przez okno. Na wschodzie rysowało się Ybor City, z daleka przyjemne dla oka. Znowu przypomniało Joemu Nowy Orlean, ale na mniejszą skalę.

– Czy ja wiem... – powiedział Dion. – Coughlin City? – Pokręcił głową. – Jakoś mi nie brzmi.

– Nie – zgodził się Joe. – Ale hrabstwo Coughlin?

Dion zachichotał.

– Wiesz co? Niezłe.

– Chwytili, nie?

– O ile rozmiarów powiększyło ci się ego w więzieniu?

– Ograniczaj się, skoro chcesz, wolna wola.

– To może Kraj Coughlina? Nie, zaraz – Kontynent Coughlina.

Joe parsknął śmiechem, Dion zarechotał i klepnął kierownicę. Joe z zaskoczeniem poczuł, że tęsknił za przyjacielem i że cierpiałby, gdyby pod koniec tego tygodnia musiał kazać go zlikwidować.

Dion przejechał ulicą Jefferson w stronę sądów i budynków rządowych. Włączyli

się w ruch i upał znowu wtargnął do samochodu.

– Co dalej? – spytał Joe.

– Chcesz heroinę? Morfinę? Kokainę?

Joe pokręcił głową.

– Odstawiłem na czas Wielkiego Postu.

– No, gdybyś kiedykolwiek postanowił dać w żyłę, to najlepsze miejsce, brachu. Tampa w stanie Floryda – centrum nielegalnych narkotyków na Południu.

– Izba handlowa o tym wie?

– I rozpacza z tego powodu. W każdym razie poruszam temat, bo...

– A, poważny temat.

– Muszę go czasem poruszać.

– Zatem proszę łaskawie kontynuować.

– Jeden z chłopaków Estebana, Arturo Torres został w zeszłym tygodniu aresztowany z powodu kokainy. Normalnie wyszedłby w pół godziny po fakcie, ale w tej chwili jest tutaj oddział specjalny policji federalnej. Z początkiem lata zjawili się faceci z urzędu skarbowego z bandą sędziów, no i się zaczęło. Arturo będzie deportowany.

– Co nas to obchodzi?

– On jest najlepszym gorzelnikiem Estebana. Jeśli zobaczysz w Ybor butelkę rumu z inicjałami Torresa na korku, będzie kosztować dwa razy tyle, ile zwykła.

– Kiedy mają go deportować?

– Za dwie godziny.

Joe zakrył twarz kapeluszem i rozsiadł się na fotelu. Nagle poczuł zmęczenie po długiej podróży pociągiem, upale, rozmyślanii, znużenie po tej osobliwej paradzie żyjących w luksusie białych ludzi w luksusowych białych ciuchach.

– Obudź mnie, kiedy dojedziemy.

Po spotkaniu z sędzią przeszli do wydziału policji, by złożyć wizytę towarzyską dowódcy Irvingowi Figgisowi.

Kwaterna główna policji znajdowała się na rogu ulic Florida i Jackson. Joe zorientował się w okolicy na tyle, by wiedzieć, że będzie musiał ją mijać codziennie, jadąc z hotelu do pracy w Ybor. Policjanci są pod tym względem jak zakonnice – zawsze dają ci do zrozumienia, że na ciebie patrzą.

– Poprosił, żebyś do niego wpadł – wyjaśnił Dion, idąc po schodach – żeby on nie

musiał wpadać do ciebie.

– Jaki jest?

– To policjant, czyli palant. Poza tym w porządku.

Figgis siedział otoczony zdjęciami tych samych trzech osób – żony, syna i córki, rudowłosych i uderzająco atrakcyjnych. Dzieci miały skórę tak idealną, jakby anioły wyszorowały ją do czysta. Dowódca uściśnął rękę Joego, spojrzał mu prosto w oczy i poprosił o zajęcie krzesła. Irving Figgis nie był wysoki, nie miał też potężnej postury czy muskulatury. Był szczupły, niski, a siwe włosy nosił krótko przystryżone. Wyglądał na człowieka, który potrafi się odgryźć, jeśli go atakujesz, ale robi ci dwa razy większe piekło, jeśli go zlekceważysz.

– Nie będę pana obrażać, pytając o naturę pańskich interesów – powiedział – więc i mnie proszę nie obrażać kłamstwem. Stoi?

– Stoi.

– Naprawdę jest pan synem kapitana policji?

Joe przytaknął.

– Zatem pan rozumie.

– Co?

– Że właśnie tak – powiódł palcem między swoją piersią i piersią Joego – będziemy żyć. Ale wszystko inne... – Wskazał zdjęcia. – To dlatego żyjemy.

Joe skinął głową.

– I nigdy ci dwaj się nie spotkają\*.

Dowódca Figgis skwitował to uśmiechem.

– Słyszałem, że jest pan także wykształcony. – Zerknięcie na Diona. – W pańskim fachu to się nieczęsto zdarza.

– Podobnie jak w pańskim – odpalił Dion.

Figgis uśmiechnął się i skłonił głowę. Spojrzał łagodnie na Joego.

– Zanim się tutaj ustatkowałem, byłem żołnierzem, a potem szeryfem. Zabiłem siedmiu mężczyzn – oznajmił bez odrobiny dumy.

Siedmiu? pomyślał Joe. Chryste.

Dowódca wciąż patrzył łagodnie i spokojnie.

---

\* Cytat z „Ballady o Wschodzie i Zachodzie” Rudyarda Kiplinga

– Zabiłem ich, bo tego wymagał ode mnie mój zawód. Nie czerpałem z tego przyjemności i, szczerze mówiąc, ich twarze nawiedzają mnie prawie co noc. Ale gdybym jutro miał zabić ósmego, żeby chronić to miasto i służyć mu... Proszę pana, zrobiłbym to bez drgnienia powieki. Nadaża pan?

– Tak – odparł Joe.

Dowódca Figgis stanął pod wiszącą na ścianie mapą miasta i palcem powoli narysował kółko wokół Ybor City.

– Jeśli ograniczy pan swoje interesy do tego terenu – na północ od Second, na południe od Twenty-seventh, na zachód od Thirty-fourth i na wschód od Nebraski – nie będziemy mieli powodów do zwady. – Uniósł lekko brew. – Jak to brzmi?

– Brzmi dobrze. – Joe zastanawiał się, kiedy dowódca dojdzie do swojej ceny.

Policjant chyba zobaczył to pytanie w jego oczach, bo zmarszczył brwi.

– Nie przyjmuję łapówek. Gdybym przyjmował, trzech z tych siedmiu zabitych nadal by żyli. – Przysiadł na brzegu biurka i powiedział bardzo cichym głosem: – Nie mam złudzeń, młody panie Coughlin, w jaki sposób w tym mieście załatwia się pańskie interesy. Gdyby spytał mnie pan prywatnie, co sędzę o ustawie Volsteada, ujrzałby pan moje całkiem udane naśladownictwo czajnika z wrzącą wodą. Wiem, że służę miastu pławiącemu się w korupcji. Wiem, że żyjemy w upadłym świecie. Ale proszę nie sądzić, że tylko dlatego, iż oddycham zepsutym powietrzem i ocieram się o zepsutych ludzi, ja także stałem się podatny na zepsucie.

Joe przyjrzał się mu, szukając chwalipięctwa, dumy czy samozachwyty – typowych słabych stron ludzi, którzy sami doszli do wszystkiego.

Z oczu policjanta spojrzała na niego cicha siła.

Joe uznał, że dowódcy Figgisa nie należy lekceważyć.

– Nie popełnię tego błędu – zapewnił.

Figgis wyciągnął rękę, a Joe ją uścisnął.

– Dziękuję za wizytę. Proszę uważać na słońce. – Przez twarz policjanta przemknął cień uśmiechu. – Taka skóra jak pańska, może się zająć ogniem.

– Miło było pana poznać.

Joe poszedł do wyjścia. Dion otworzył je; za progiem stała nastoletnia dziewczyna, koncentrat szalonej energii. Była to córka z fotografii, piękna i rudowłosa, o różanozłotej skórze, tak idealnej, że stała się promienna jak łagodne słońce. Joe podejrzewał, że dziewczyna ma jakieś siedemnaście lat. Jej uroda chwyciła go za gardło, na chwilę je zacisnęła, zatrzymała słowa, które chciały wyjść z jego ust, więc udało mu się wykrztusić tylko:

– Panienko...

Ale ta uroda nie obudziła w nim nic zmysłowego. Była na to zbyt czysta. Piękno córki dowódcy Irvinga Figgisa nie należało do rodzaju, które by się chciało skalać – raczej miało się ochotę je beatyfikować.

– Ojczy, przepraszam. Myślałam, że jesteś sam.

– Zgadza się, Loretto. Ci panowie już wychodzą. Gdzie twoje maniery?

– Tak, ojczy. Przepraszam. – Odwróciła się i lekko dygnęła przed Joem i Dionem. – Jestem Loretta Figgis, panowie.

– Joe Coughlin, panno Loretto. Miło panienkę poznać.

Kiedy Joe uściśnął jej dłoń, naszała go przedziwna ochota, żeby przyklęknąć. To wrażenie zostało z nim przez cały dzień – świadomość, jak przezczysta, jak delikatna jest ta dziewczyna i jak trudno musi być rodzicowi tak kruchej istoty.

Tego wieczoru zjedli kolację w Vedado Tropicale przy stoliku z prawej strony sceny, zapewniającym doskonały widok na tancerki i zespół. Było wcześniej, więc muzycy – perkusista, pianista, trębacz i puzonista – grali energicznie, ale jeszcze nie pełną parą. Tancerki wyszły na scenę ubrane w coś, co niewiele różniło się od halki, lśniącego jak lód i dopasowanego kolorem do stroika na głowie, a te były w różnych odcieniach. Parę dziewczyn miało cekinowe opaski z egretami na środku czoła, inne srebrne siatki na włosach z kryształkami i frędzelkami na czole. Tańczyły z jedną ręką na biodrze, a drugą uniesioną w górę lub wskazującą na widownię. Pokazywały dokładnie tyle ciała i śmiałych ruchów, by nie urazić pań, lecz sprawić, by panowie wrócili o późniejszej godzinie.

Joe spytał Diona, czy ten posiłek też jest najlepszy w mieście.

Dion uśmiechnął się z ustami pełnymi *lechón asado* i smażonej juki.

– W kraju.

Joe też się uśmiechnął.

– Niezły, muszę przyznać. – Zamówił *ropa vieja* z czarną fasolą i żółtym ryżem. Wytarł talerz kawałkiem chleba i pożałował, że porcja nie była większa.

Kierownik podszedł i powiadomił ich, że gospodarze czekają z kawą. Joe i Dion poszli za nim – podłoga była z białych kafelków – minęli scenę i weszli za czarną aksamitną zasłonę. Za nią znajdował się korytarz z wiśniowego dębu, z takiego robi się baryłki na rum; Joe zastanowił się, czy gospodarze przywieźli ze sobą z kraju kilka setek takich baryłek specjalnie po to, żeby zbudować ten korytarz. Chyba musieli przywieźć dużo więcej, bo gabinet wyłożono tym samym drewnem.

W pomieszczeniu panował chłód. Posadzka składała się z ciemnych kamiennych płyt, zwisające z belek pod sufitem żelazne wentylatory obracały się ze skrzypieniem i klekotem. Miodowe żaluzje były uchylone; wpadało przez nie wieczorne powietrze i nieprzerwany brzęk ważek.

Suarez okazał się szczupłym mężczyzną o nieskazitelnej cerze w kolorze słabej herbaty. Oczy miał bladożółte jak kot, a zaczesane do tyłu włosy przypominały kolorem ciemny rum w butelce na jego stole, Esteban wystąpił w smokingu z czarną jedwabną muszką. Podeszedł do nich z szerokim uśmiechem i energicznie uścisnął im dłonie. Zaprowadził ich do foteli, ustawionych wokół miedzianego stolika. Na nim czekały cztery małe filiżaneczki z kubańską kawą, cztery szklanki z wodą i butelka rumu Suarez Reserve w plecionym koszyku.

Siostra Estebana wstała i wyciągnęła do nich rękę. Joe uklonił się, ujął dłoń Ivelii i lekko musnął wargami. Jej skóra pachniała imbirem i trocinami. Kobieta była dużo starsza od brata, miała napiętą skórę na końskiej szczęce, wydatnych kościach policzkowych i czole. Gęste brwi wydawały się zrosnięte, a szeroko rozstawione oczy – uwięzione w czaszce. Wyglądały, jakby bezskutecznie usiłowały się z niej wyrwać na zewnątrz, wychodząc z orbit.

– Jak smakował obiad? – spytał Esteban, kiedy usiedli.

– Wybornie – powiedział Joe. – Dziękujemy.

Esteban nalał im rumu i uniósł szklaneczkę w toaście.

– Za owocną współpracę.

Wypili. Trunek był zaskakująco subtelny i mocny. Więc tak smakuje alkohol, pomyślał Joe, gdy ma się na jego destylację więcej niż godzinę i więcej niż tydzień na fermentację. Boże.

– Coś nadzwyczajnego.

– Piętnastoletni – wyjaśnił Esteban. – Nigdy nie zgadzałem się z hiszpańską opinią, że jaśniejszy rum jest lepszy. – Potrząsnął głową i skrzyżował nogi w kostkach. – Oczywiście my, Kubańczycy, przystawaliśmy na to ze względu na nasze przekonanie, że wszystko, co jasne, jest lepsze – włosy, skóra, oczy.

Suarezowie mieli jasną skórę, odziedziczoną po hiszpańskich, nie afrykańskich przodkach.

– Tak – przyświadczył Esteban, jakby czytając w myślach Joego. – Moja siostra i ja nie pochodzimy z plebsu. Co nie znaczy, że zgadzamy się z ustrojem na naszej wyspie.

Pociągnął kolejny łyk rumu. Joe zrobił to samo.

– Miło byłoby sprzedawać coś takiego na północy – odezwał się Dion.

Ivelia parsknęła śmiechem. Bardzo ostrym i bardzo krótkim.

– Może kiedyś. Gdy wasz rząd znowu zacznie nas traktować jak dorosłych.

– Nie ma pośpiechu – wtrącił Joe. – Wtedy wszyscy stracilibyśmy robotę.

– Moja siostra i ja poradzimy sobie – oznajmił Esteban. – Mamy tę restaurację, dwie w Hawanie i jedną w Key West. Mamy też plantację cukru w Cardenas i plantację kawy w Marianao.

– Więc po co w ogóle to robicie?

Esteban wzruszył ramionami w idealnie skrojonej marynarce.

– Kasa.

– Raczej: więcej kasy.

Esteban wypił za to.

– Poza tym istnieją rzeczy, na które można wydawać pieniądze lepiej niż na... – powiódł dłonią dokoła – ...rzeczy.

– I to mówi ktoś, kto ma mnóstwo rzeczy – powiedział Dion, a Joe rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

Joe dopiero teraz zauważył, że zachodnia ściana gabinetu jest wytapetowana czarno-białymi zdjęciami – głównie przedstawiającymi ulice, fasady nocnych klubów, nieliczne twarze, wioski tak podupadłe, że domy mogłyby się rozpaść przy silniejszym wietrze.

Ivelia poszła za jego spojrzeniem.

– Mój brat je zrobił.

– Tak?

Esteban skinął głową.

– Podczas wycieczek do domu. Takie hobby.

– Hobby – prychnęła jego siostra. – Te zdjęcia zostały opublikowane w „Timesie”.

Wzruszył ramionami.

– Są dobre – pochwalił Joe.

– Może kiedyś zrobię zdjęcie panu, panie Coughlin.

Joe pokręcił głową.

– Niestety, pod tym względem przypominam Indian.

Esteban uśmiechnął się krzywo.

– A skoro mowa o uwięzionych duszach, z przykrością dowiedziałem się o odejściu

*senora* Ormino.

– Czyżby? – rzucił Dion.

Esteban skwitował to tak cichym śmiechem, że nie sposób było go odróżnić od głośniejszego oddechu.

– A przyjaciele twierdzą, że ostatnio widziano Gary’ego L. Smitha w pociągu Seabord Limited, z żoną w jednym wagonie i *puta maestra* w drugim. Podobno bagaże wyglądały na pospiesznie spakowane, ale za to mieli ich dużo.

– Czasami zmiana scenerii pozwala spojrzeć na życie pod innym kątem – oznajmił Joe.

– Czy tak było z panem? – spytała Ivelia. – Przybył pan do Ybor, by zacząć nowe życie?

– Przybyłem, by rafinować, destylować i rozprowadzać diabelnie dobry rum. Ale nie będę mógł tego robić przy nieregularnych dostawach.

– Nie mamy kontroli nad każdą łodzią, każdym celnikiem, każdym dokiem – powiedział Esteban.

– Ależ macie.

– Nie mamy kontroli nad przyprawami.

– To nie przyprawy zwolniły przybywanie łodzi do Miami.

– Nie mamy nic wspólnego z łodziami przybywającymi do Miami.

– Wiem – zgodził się Joe. – Zarządza nimi Nestor Famosa. I zapewnił moich współpracowników, że tego lata morze było spokojne i przewidywalne. Rozumiem, że na słowie Nestora Famosy można polegać.

– Przez co sugeruje pan, że na moim nie można. – Esteban nalał im kolejną porcję rumu. – Przywołuje pan także nazwisko *senora* Famosy, żebyśmy się zaniepokoił, iż mógłby on przejąć moje trasy dostawy, gdybyśmy nie doszli do porozumienia.

Joe przyjął szklaneczkę i pociągnął łyk trunku.

– Przywołuję nazwisko Famosy – Jezu, ten rum jest idealny – żeby dowieść, iż morze było tego lata spokojne. Nietypowo spokojne, jak słyszałem. *Senor* Suarez, nie mam rozdwojonego języka i nie mówię zagadkami. Proszę o to spytać Gary’ego L. Smitha. Chcę usunąć wszelkich pośredników i załatwiać interesy bezpośrednio z panem. Z tego powodu może pan nieco podnieść swoją cenę. Wykupię całe pańskie zapasy melasy i cukru. Proponuję również, byśmy wspólnie sfinansowali lepszą aparaturę destylacyjną, bo tą żywimy wszystkie gryzonie na całej Seventh Avenue. Nie odziedziczyłem jedynie obowiązków Lou Ormino, ale także wszystkich prawników, policjantów i sędziów, których miał w kieszeni. Wielu nie zechce z panem rozmawiać, ponieważ jest pan

Kubańczykiem, choć szlachetnie urodzonym. Poprzez mnie zyska pan do nich dostęp.

– Proszę pana, *señor* Ormino miał dostęp do tych sędziów i policjantów wyłącznie dlatego, że *señor* Smith był jego publicznym przedstawicielem. Ci ludzie nie tylko odmawiają robienia interesów z Kubańczykiem, ale również z Włochem. Wszyscy jesteśmy dla nich Latynosami, ciemnoskórymi psami, nadającymi się do pracy fizycznej, do niczego więcej.

– Zatem dobrze się składa, że jestem Irlandczykiem – odparł Joe. – Rozumiem, że zna pan niejakiego Arturo Torresa.

Brwi Estebana drgnęły.

– Słyszałem, że dzisiaj ma zostać deportowany – dodał Joe.

– Też tak słyszałem.

Joe pokiwał głową.

– W geście dobrej woli pół godziny temu Arturo został zwolniony z więzienia i prawdopodobnie w tej chwili jest już w tym budynku.

Przez chwilę długa twarz Ivelii jeszcze bardziej wydłużyła się ze zdziwienia, nawet zachwytu. Zerknęła na brata, który skinął głową. Podeszła do jego biurka, żeby zatelefonować. Czekali w milczeniu, popijając rum.

Odłożyła telefon i wróciła na swoje miejsce.

– Jest w barze.

Esteban usiadł wygodniej i wyciągnął ręce; popatrzył na Joego.

– Rozumiem, że chce mieć pan wyłączność na naszą melasę.

– Niekoniecznie. Ale nie może jej pan sprzedać organizacji White'a ani nikomu, kto jest z nią związany. Wszelkie małe firmy, które nie mają związku z nimi czy nami nadal mogą prowadzić z państwem interesy. Z czasem nasza organizacja przyjmie je na swoje łono.

– A w zamian otrzymam dostęp do waszych polityków i policji.

Joe skinął głową.

– I moich sędziów. Nie tych, których mamy w tej chwili, lecz tych, których sobie zjednamy.

– Sędzia, z którym pan dzisiaj rozmawiał, został mianowany przez rząd.

– I ma troje dzieci z czarną kobietą z Ocala, a ta wiadomość nadzwyczaj zaskoczyłaby jego żonę i Herberta Hoovera.

Esteban długo spoglądał na siostrę, po czym odwrócił się do Joego.

– Albert White jest dobrym klientem. Współpracujemy od jakiegoś czasu.

– Od dwóch lat, odkąd ktoś poderzwał gardło Clive’owi Greenowi w burdelu na East Twenty-fourth.

Esteban uniósł brwi.

– Od marca 1927 roku siedziałem w więzieniu, *señor* Suarez. Nie miałem do roboty nic oprócz dowiadywania się tego i owego. Czy Albert White może panu przedstawić taką ofertę jak ja?

– Nie – przyznał Esteban. – Ale nie stać mnie na rozpoczęcie z nim wojny, do której by doszło, gdybym odciął mu dostawy. Żałuję, że nie poznałem pana dwa lata temu.

– Poznał mnie pan teraz. Zaproponowałem panu sędziów, policję, polityków oraz tak scentralizowany model produkcji alkoholu, żebyśmy obaj mogli się dzielić zyskami po połowie. Wylimitowałem dwa najsłabsze ogniwa w mojej organizacji i uchroniłem pańskiego cennego gorzelnika przed deportacją. Zrobiłem to wszystko, by zechciał pan rozważyć swoje embargo na operacje Pescatore w Ybor, ponieważ sądziłem, że przestał nam pan wiadomość. Zjawiłem się, by potwierdzić, że ją usłyszałem. A jeśli powie mi pan, czego pan potrzebuje, zdobędę to. Ale i ja muszę dostać to, czego potrzebuję.

Rodzeństwo znów wymieniło spojrzenie.

– Jest coś, co mógłby nam pan dostarczyć – odezwała się Ivelia.

– Dobrze.

– Ale to coś pilnie strzeżonego. Nie zostanie oddane bez walki.

– Świetnie, świetnie. Zdobędziemy to.

– Nawet nie wie pan, o co chodzi.

– Jeśli to zdobędziemy, przetniecie wszystkie więzy, łączące was z Albertem Whitem i jego ludźmi?

– Tak.

– Nawet, jeśli dojdzie do rozlewu krwi?

– Z całą pewnością dojdzie – powiedział Suarez.

– Owszem – potwierdził Joe.

Jego rozmówca przez chwilę zamyślił się boleśnie, aż smutek wypełnił pomieszczenie. Potem Esteban wciągnął go znowu w siebie.

– Jeśli zrobi pan to, o co poproszę, Albert White nie zobaczy ani kropli melasy Suarezów, ani ich rumu. Ani kropli.

– Będzie mógł kupować od pana cukier?

- Nie.
- Umowa stoi. Czego pan potrzebuje?
- Broni.
- Dobrze. Proszę określić model.

Esteban sięgnął za siebie i wziął z biurka kartkę. Poprawił okulary i przebiegł ją wzrokiem.

– Automatyczne karabiny Browninga, automatyczne pistolety i karabiny maszynowe kaliber pięćdziesiąt ze stojakiem.

Joe spojrzął na Diona i obaj zachichotali.

- Coś jeszcze?
- Tak. Granaty. I miny skrzynkowe.
- Co to jest mina skrzynkowa?
- Znajduje się na statku.
- Na jakim?

– Wojskowym transportowcu – wyjaśniła Ivelia. – Przystań numer siedem. – Wskazała głową ścianę. – Dziewięć przecznic stąd.

– Mamy okraść okręt marynarki?

– Tak. – Esteban spojrzął na zegarek. – W ciągu dwóch dni, jeśli łaska, zanim opuści port. – Podał Joemu złożoną kartkę. Ten rozłożył ją i zobaczył zagłębienie na środku. Pamiętał, jak przekazywał takie kartki ojcu. Przez dwa lata przekonywał siebie, że to nie ciężar ich treści zabił Thomasa Coughlina. W niektóre noce nawet sobie wierzył.

*Circulo Cubano, ósma rano.*

– Pójdziecie tam rano – powiedział Esteban. – Spotkacie się z kobietą, Graciela Corrales. Przyjmiecie rozkazy od niej i jej partnera.

Joe schował kartkę do kieszeni.

- Nie przyjmuję rozkazów od kobiety.
- Przyjmie pan, jeśli chce się pan pozbyć Alberta White'a z Tamy.

# ROZDZIAŁ 13

## DZIURA PO SERCU

Dion po raz drugi odwiózł Joego do hotelu. Szef kazał mu poczekać, dopóki nie zdecyduje, czy zostanie tutaj na noc. Boy hotelowy był ubrany jak cyrkowa małpka w czerwony aksamitny frak i takiż fez. Wskoczył zza doniczkowej palmy na werandzie i wyjął walizki Joego z ręki Diona. Zaprowadził Joego do środka. Dion został przy samochodzie. Joe podszedł do marmurowej recepcji i wpisał się do księgi gości złotym piórem, podanym mu przez surowego Francuza o olśniewającym uśmiechu i martwych oczach lalki. Otrzymał mosiężny klucz na krótkim jedwabnym czerwonym sznurku. Na drugim końcu sznurka znajdował się ciężki złoty kwadrat z numerem pokoju: 509.

Pokój okazał się apartamentem z łóżem wielkości południowego Bostonu, delikatnymi francuskimi krzeselkami i delikatnym francuskim biurkiem pod oknem z widokiem na jezioro. Apartament miał własną łazienkę, większą od celi w Charlestown. Boy wyjaśnił, gdzie znajdują się gniazda elektryczne i jak włączać lampy i wentylatory pod sufitem. W pokoju stała też cedrowa szafa na ubrania i radio, to stanowiło wyposażenie każdego pokoju. Radio przywiodło Joemu na myśl Emmę i wielkie otwarcie hotelu Statler. Dał napiwek boyowi i wyprosił go, a potem usiadł na delikatnym francuskim krzeselku, zapalił papierosa, spojrzął na mroczne jezioro i odbijający się w nim potężny hotel – metry kwadratowe światła padały ukośnie na czarną taflę – i zastanowił się, co widzi w tej chwili ojciec i co widzi Emma. Czy widzą jego? Czy widzą przeszłość i przyszłość, czy też bezkresne światy, niedostępne jego wyobraźni? A może nic nie widzą? Nic nie widzą, bo stali się nicością. Są martwi, obrócili się w proch, kości w skrzynce, a kości Emmy nawet nie znajdują się w tym samym miejscu.

Bał się, że nie ma nic więcej. Nie tylko się bał. Siedząc na tym idiotycznym krzeselku z widokiem na żółte, ukośne okna na wodzie, zrozumiał, że to prawda. Nie idziesz po śmierci w żadne lepsze miejsce, tutaj ono jest, bo żyłeś. Niebo nie znajduje się w chmurach, niebo to powietrze w twoich płucach.

Powiódł wzrokiem po pokoju o wysokim suficie, z żyrandolem nad ogromnym łóżem i zasłonami grubymi jak jego udo. Zapragnął wyjść z własnej skóry.

– Przepraszam – szepnął do ojca, choć wiedział, że ojciec go nie słyszy. – To nie miało być... – Rozejrzał się znowu po pokoju – ...tak.

Zgasił papierosa i wyszedł.

Oprócz Ybor Tampa była całkowicie biała. Dion pokazał mu parę lokali poza Twenty-fourth Street z drewnianymi szyldami, jasno stwierdzającymi stanowisko właścicieli w tej sprawie. W grocerni na Nineteenth Avenue ogłaszano, że zakaz wstępu do niej mają psy i Latynosi. Na aptecce na Columbus po lewej stronie drzwi wisiała tabliczka: *Latynosom wstęp wzbroniony*, a po prawej – *Makaroniarzom wstęp wzbroniony*.

Joe spojrzął na Diona.

– Tobie to nie przeszkadza?

– Oczywiście, że przeszkadza, ale co zrobić?

Joe napił się z piersiówki Diona i oddał mu ją.

– Gdzieś tutaj muszą leżeć jakieś kamienie.

Zaczęło padać, ale upał nie zelżał. Deszcz przypominał raczej pot. Zbliżała się północ i zrobiło się jeszcze goręcej. Wilgoć przy każdym ruchu oblepiała człowieka wełnianym uściskiem. Joe usiadł za kierownicą i czekał z włączonym silnikiem, a Dion roztrzaskał obie wystawy apteki, po czym wskoczył do samochodu i wrócili do Ybor. Wyjaśnił, że w tej okolicy mieszkają Włosi – na ulicach o wyższej numeracji między Fifteenth i Twenty-third. Latynosi o jaśniejszej skórze rozlokowali się między Tenth i Fifteenth, ci ciemnoskórzy – od Tenth Street w dół i na zachód od Twelfth Avenue, gdzie znajdowała się większość wytwórni cygar.

Znaleźli lokal na końcu czegoś w rodzaju drogi, która mijała wytwórnię cygar Vayo i znikła w chaszczach namorzynów i cypryśników. Lokal był właściwie tylko rozklekotaną chatynką na palach z oknami wychodzącymi na bagno. Na drzewach wzdłuż brzegów zawieszono sieci, które zakryły chatę, jej ganek na tyłach i tanie drewniane stoły obok.

W środku grała muzyka, ale jaka! Joe nigdy nie słyszał nic takiego – kubańska rumba, tylko bardziej dzika i niebezpieczna, a ludzie na parkiecie robili coś, co wyglądało bardziej jak rżnięcie niż taniec. Nie widziało się tutaj nikogo oprócz kolorowych – niektórzy byli Amerykanami, ale większość Kubańczykami – a ci, którzy mieli po prostu brązową skórę, nie przypominali rysami arystokratycznych Kubańczyków czy Hiszpanów. Ich twarze były okrągłejsze, włosy bardziej kędzierzawe. Połowa obecnych znała Diona. Barmanka, starsza kobieta, nie czekając na zamówienie, dała mu butelkę rumu i dwie szklaneczki.

– Ty jesteś nowym szefem? – spytała Joego.

– Chyba tak. Jestem Joe. A ty?

- Phyllis. – Podała mu suchą dłoń. – To mój lokal.
- Niezły. Jak się nazywa?
- Lokal Phyllis.
- No jasne.
- Co o nim sądzisz? – spytał Dion Phyllis.
- Za ładny – oznajmiła. – Ktoś musi cię trochę potargać.
- Popracujemy nad tym.
- Zobaczymy – mruknęła i odwróciła się do następnego klienta.

Wynieśli butelkę na tylny ganek i postawili ją na stoliku, przy którym stały dwa fotele na biegunach. Spojrzeli przez siatkę na bagno; deszcz przestał padać i wróciły ważki. Coś ciężkiego przedzierało się przez zarośla. A coś innego, też ciężkiego, poruszało się pod gankiem.

- Gady – powiedział Dion.
- Joe uniósł stopy z podłogi.
- Co?
  - Aligatory.
  - Jaja sobie robisz.
  - Nie, ale one mogą ci je odgryźć.

Joe uniósł kolana wyżej.

- Co my, do kurwy nędzy, robimy w miejscu, gdzie żyją aligatory?

Dion wzruszył ramionami.

– Przed nimi nie uciekniesz. Są wszędzie. Gdy zobaczysz gdzieś wodę, to wiadomo, że tam siedzi ich od razu dziesięć i tylko łypią ślepiami. – Poruszył palcami i wybałuszył oczy. – I czekają, aż jakiś głupi Jankes przyjdzie się wykapać.

Cielsko pod nimi odpełzło i znowu zanurzyło się z trzaskiem w namorzynach. Joe nie wiedział, co powiedzieć. Dion zachichotał.

- Po prostu nie włącz do wody.
- Ani w jej pobliże.
- To też.

Usiedli na ganku i pili, a resztki deszczowych chmur odpłynęły. Powrócił księżyc i Joe zobaczył Diona tak wyraźnie, jakby siedzieli w oświetlonym pomieszczeniu. Dawny

przyjaciół przyglądał się mu, więc on także mu się przyjrzał. Przez dłuższą chwilę żaden się nie odzywał, ale Joe miał wrażenie, że i tak prowadzą rozmowę. Ulżyło mu – i widział, iż Dionowi także – że wreszcie z tym skończyli.

Dion pociągnął spory łyk kiepskiego rumu, wytarł wargi wierzchem dłoni.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – spytał.

– Bo wiedziałem, że nie ja.

– Mógł być mój brat.

– Twój brat, świeć Panie nad jego duszą, nie miał dość rozumu, żeby przejść przez ulicę i wrócić.

Dion skinął głową i przez chwilę wpatrywał się w swoje buty.

– To by było błogosławieństwo.

– Co?

– Śmierć. – Dion spojrzał na niego. – Mój brat zginął przeze mnie. Wiesz, jak się żyje z taką świadomością?

– Mam pewne pojęcie.

– Skąd?

– Uwierz, mam.

– Był ode mnie starszy o dwa lata, ale to ja byłem starszym bratem, kapujesz? To ja miałem nad nim czuwać. Pamiętasz, jak zaczęliśmy się kumplować, jak przewracaliśmy kioski – Paolo i ja mieliśmy jeszcze jednego brata. Nazywaliśmy go Seppi.

Joe przytaknął. Śmieszne, od lat nie myślał o tym dzieciaku.

– Dostał polio.

Dion skinął głową.

– Zmarł, kiedy miał jakieś... osiem lat. Matka nigdy po tym do siebie nie doszła. Powiedziałem Paolo, że nie mogliśmy w żaden sposób ocalić Seppiego. Po prostu Bóg tak chciał, a na to nie ma rady. Ale my? – Zahaczył o siebie kciuki, uniósł pięści do ust. – Powinniśmy się nawzajem chronić.

Za nimi chata trzęsła się od tańczących ciał i basu. Przed nimi moskity unosiły się z bagna jak pyłki kurzu i frunęły w stronę światła księżyca.

– I co teraz? Wyciągnąłeś mnie z więzienia. Kazałeś im znaleźć mnie w Montrealu i sprowadzić aż tutaj, dałeś mi dobre życie. Po co?

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytał Joe.

- Bo on mi kazał.
- Albert? – szepnął Joe.
- Któż by inny?

Joe zamknął na chwilę oczy. Przypomniawszy sobie, że ma powoli oddychać.

- Kazał ci nas wsypać?
- Tak.
- Zapłacił ci?
- A skąd. Chciał, ale nie wziąłbym tych zasranych pieniędzy. Niech się wali.
- Nadal dla niego pracujesz?
- Nie.
- Czemu miałbyś mówić prawdę?

Dion wyjął nóż zza cholewki botka. Położył go na stoliku, a po nim – dwie trzydziestkiósemki z długimi lufami i jedną trzydziestkędwójkę z krótką. Dodał do tego ołowianą pałkę i mosiężny kastet. Wytarł ręce i pokazał dłonie Joemu.

– Kiedy mnie nie będzie – powiedział – rozpytaj się w Ybor o niejakiego Brucie Bluma. Czasem można go zobaczyć na Sixth Avenue. Dziwnie chodzi, dziwnie mówi, nie ma pojęcia, że był sławny. Pracował dla Alberta. Pół roku temu. Babki za nim szalały, sztywnie się ubierał. Teraz kuśtyka z kubkiem, żebrze, sika w gacie, nie potrafi sam sobie zawiązać butów. Co zrobił na chwilę, zanim przestał być sławny? Podszedł do mnie w knajpie na Palm i powiedział: „Albert chce z tobą pogadać. Bo jak nie, to zobaczysz”. No to postanowiłem zobaczyć i rozwaliłem mu ten kurewski łeb. Więc nie, nie pracuję już dla Alberta. To była jednorazowa robota. Spytaj Brucie Bluma.

Joe pociągnął łyk ohydny rumu i nie odpowiedział.

- Sam to zrobisz, czy wyślesz kogoś innego?

Joe spojrzał mu w oczy.

- Sam cię zabiję.
- Dobra.
- Jeśli cię zabiję.
- Wolałbym, żebyś się zdecydował, w tę czy w tę.
- W dupie mam, co byś wolał.

Teraz to Dion zamilkł. Łomoty i muzyka przycichły. Coraz więcej samochodów opuszczało teren knajpy i odjeżdżało gliniastą ścieżką w stronę fabryki cygar.

– Mój ojciec nie żyje – powiedział Joe. – Emma nie żyje. Twój brat nie żyje. Moi bracia się rozjechali. Cholera, tylko ty mi zostałeś. Jeśli cię stracę, kim będę, do kurwy nędzy?

Dion gapił się na niego, a łzy spływały mu po tłustej twarzy jak groch.

– Czyli nie zdradziłeś mnie dla pieniędzy – podjął Joe. – A dla czego?

– Przez ciebie wszyscy byśmy zginęli – odpowiedział Dion po chwili, oddychając ciężko. – Przez tę dziewczynę. Nie byłeś sobą. Nawet tego dnia w banku. Chciałeś nas wpakować w coś, z czego byśmy już nie wyszli. A mój brat zapłaciłby za to życiem – przez tę swoją powolność. On nie był jak my. Pomyślałem, pomyślałem... – Odetchnął jeszcze parę razy. – Pomyślałem, że przez rok przesiedzimy w pudle. Taka była umowa. Albert znał jednego sędziego. Mieliśmy dostać rok, dlatego nie wyciągnęliśmy broni na robocie. Jeden rok. Wystarczy, żeby dziewczyna Alberta o tobie zapomniała i żebyś być może ty zapomniał o niej.

– O Jezu. I wszystko to dlatego, że zakochałem się w jego kobiecie?

– Ty i Albert wariowaliście na jej punkcie. Ty tego nie rozumiałeś, ale kiedy ona wchodziła w grę, normalnie wam odbijało. Ja tego nigdy nie zrozumieję. Nie różniła się od miliona innych bab.

– Nieprawda. Różniła się.

– Czym? Czego nie widziałem?

Joe dopił rum.

– Dopóki jej nie spotkałem, nie wiedziałem, że mam dziurę, o tu – klepnął się w pierś. – Dokładnie tu. Nie czułem jej, dopóki Emma nie pojawiła się i jej nie wypełniła. Teraz ona nie żyje, a dziura wróciła. A ja chcę, żeby Emma znowu ożyła i żeby dziura znikła.

Dion spojrzał na niego, łzy wyschły mu na policzkach.

– Joe, kiedy się na to patrzyło z zewnątrz... to ona była tą dziurą.

Gdy Joe wrócił do hotelu, recepcjonista sięgnął pod kontuar i podał Joemu kilka wiadomości. Wszystkie były od Maso.

– Macie centralę czynną przez całą dobę? – upewnił się Joe.

– Oczywiście.

Wrócił do pokoju, zadzwonił na centralę i poprosił o połączenie. Na północnym brzegu Bostonu zadzwonił telefon i Maso podniósł słuchawkę. Joe zapalił papierosa i zreferował mu ten długi dzień.

– Statek? – spytał Maso. – Chcą, żebyś okradł statek?

– Okręt marynarki. Tak.

– A to drugie? Dowiedziałeś się?

– Tak.

– I?

– To nie Dion mnie wydał. – Joe zdjął koszulę i rzucił ją na podłogę. – To jego brat.

# ROZDZIAŁ 14

## BUM

Circulo Cubano był najnowszym z towarzyskich klubów Ybor. Pierwszy, Centro Español, zbudowali Hiszpanie na Seventh Avenue w latach dziewięćdziesiątych. Na przełomie wieków grupa Hiszpanów z północy odłączyła się od Centro Español, by utworzyć Centro Asturiano na rogu Ninth i Nebraski.

Klub Włoski znajdował się parę przecznic od Centro Español na Seventh – oba adresy lokowały się w najlepszej okolicy w Ybor. Ale Kubańscy, ze względu na swój niższy status społeczny, musieli się zadowolić o wiele mniej modną dzielnicą. Circulo Cubano znajdował się na rogu Ninth Avenue i Fourteenth Street. Po drugiej stronie ulicy urzędowali szwaczka i aptekarz, względnie szacowni, ale tuż obok działał burdel Silwany Padilli, obsługujący robotników z fabryki cygar, nie dyrektorów, dlatego często dochodziło tam do walk na noże, a dziwki bywały chore i zaniedbane.

Gdy samochód Diona i Joego zatrzymał się przy krawężniku, z zaułka dwa budynki dalej wyłoniła się dziwka we wczorajszej wymiętej sukience. Minęła ich, wygładzając falbanki; wyglądała na zdruzgotaną, bardzo starą i spragnioną drinka. Joe podejrzewał, że ma około osiemnastu lat. Mężczyzna, który wyłonił się z zaułka po niej, był ubrany w garnitur i biały kapelusz. Odszedł w przeciwnym kierunku, pogwizdując, a Joe nie wiadomo dlaczego poczuł ochotę, by wyskoczyć z samochodu, dogonić gościa i tłuc jego głową o ceglana ścianę budynku. Tłuc tak długo, aż krew pójdzie mu z uszu.

– To nasze? – Joe wskazał głową burdel.

– Część.

– W takim razie nasza część mówi, że dziewczyny nie pracują na świeżym powietrzu.

Dion spojrział na niego, jakby upewniał się, że to nie żart. – Dobrze. Dopilnuję, proszę ojca. Możemy się skupić na zadaniu?

– Właśnie się skupiam – Joe poprawił krawat, spoglądając w lusterko wsteczne i wysiadł z samochodu. Ruszyli chodnikiem, o ósmej już tak rozprażonym, że parzył nawet przez podeszwy solidnych butów. W upale ciężko się myślało – a Joe musiał myśleć. Mnóstwo innych facetów było twardszych, odważniejszych, lepiej strzelało, ale on potrafił

każdemu dorównać w myśleniu i czuć, że może wygrać w tej walce. Choć nie zaszkodziłoby, gdyby ktoś wyłączył ten kurewski żar.

Skup się. Skup się. Zaraz staniesz przed problemem, który musisz rozwiązać. Jak uwolnić marynarke USA od sześćdziesięciu skrzyni broni, nie dając się zabić ani okaleczyć?

Wchodzili po schodach Circulo Cubano, kiedy w drzwiach stanęła kobieta.

Prawdę mówiąc, Joe nie miał pojęcia, jak wynieść broń, ale w tej chwili problem wywierał mu z głowy, bo patrzył na kobietę, a ona na niego i przypomniał sobie, że to ją zobaczył wczoraj na peronie – tę o skórze koloru mosiądzu, z długimi gęstymi włosami, czarnymi jak nic na świecie – może z wyjątkiem jej oczu, tak samo ciemnych i wpatrzonych w niego.

– *Señor Coughlin?* – Kobieta wyciągnęła rękę.

– Tak. – Joe uściskał ją.

– Graciela Corrales. – Cofnęła dłoń. – Spóźniliście się.

Zaprowadziła ich do wnętrza o czarno-białej ceramicznej posadzce i z marmurowymi schodami. W środku było chłodniej, wysokie sufity, ciemna boazeria i tyle ceramicznych i kamiennych płytek, by bronić się przed upałem jakieś parę godzin dłużej.

Graciela Corrales przemówiła, nie odwracając się do Joego i Diona.

– Jest pan z Bostonu, tak?

– Tak – przyznał Joe.

– Wszyscy bostończycy gapią się tak obleśnie na kobiety przechodzące przez peron?

– Staramy się nie robić tego zawodowo.

Obejrzała się na nich przez ramię.

– To bardzo niegrzeczne.

– Ja pochodzę z Włoch – odezwał się Dion.

– Także ojczyzna prostaków. – Prowadziła ich przez salę balową na szczycie schodów, na ścianach wisiały zdjęcia, przedstawiające licznych Kubańczyków, zgromadzonych w tymże pomieszczeniu. Niektóre ujęcia były pozowane, inne oddawały nastrój zabawy w pełni – uniesione ręce, rozkołysane biodra, wirujące spódnice. Szli szybko, ale Joe zdążył zauważyć, że na jednym z tych zdjęć znajdowała się Graciela. Nie był tego pewien, ponieważ osoba na zdjęciu się śmiała, odchylając głowę do tyłu i miała rozpuszczone włosy, a on nie potrafił sobie wyobrazić tej kobiety z rozpuszczonymi włosami.

Za salą balową znajdowała się sala bilardowa. Joe zaczął podejrzewać, że niektórzy Kubańcy żyją na niezłym poziomie. Dalej ujrzeli bibliotekę z grubymi białymi zasłonami i czterema drewnianymi krzesłami. Czekający na nich mężczyzna podszedł z szerokim uśmiechem i energicznie uściśnął im dłonie.

Esteban. Zachowywał się tak, jakby wczorajszego spotkania nie było.

– Esteban Suarez, panowie. Dobrze, że przyszliście. Siadajcie.

Zajęli miejsca.

– Jest was dwóch? – spytał Dion.

– Słucham?

– Wczoraj spędziliśmy razem godzinę. Dzisiaj wita się pan z nami jak z obcymi.

– Cóż, wczoraj poznaliście właściciela El Vedado Tropicale. Dzisiaj rano poznajecie sekretarza Circulo Cubano.

– Uśmiechnął się do nich jak nauczyciel, łagodnie traktujący dzieci, które pewnie i tak zostaną na drugi rok. – W każdym razie, dziękuję za pomoc.

Joe i Dion skłonili głowy, ale nie odpowiedzieli.

– Mam trzydziestu ludzi – mówił Esteban – ale przypuszczam, że będę potrzebować jeszcze trzydziestu. Ile możecie...

– Nie poświęcimy żadnych ludzi. Nie poświęcimy niczego – przerwał Joe.

– Nie? – Graciela spojrzała na Estebana. – Nie rozumiem.

– Przybyliśmy, by was wysłuchać – oznajmił Joe. – Czy zechcemy się zaangażować, to się dopiero okaże.

Graciela usiadła obok Estebana.

– Proszę nie zachowywać się, jakbyście mieli wybór. Jesteście gangsterami, których los zależy od produktu dostarczanego przez tylko jednego człowieka. Jeśli nam odmówicie, wasze zapasy się skończą.

– W tym wypadku pójdziemy na wojnę – odparł Joe. – I wygramy, ponieważ mamy ludzi, a pan, Estebanie, nie. Przyjrzałem się zagadnieniu. Chce pan, żebym ryzykował życie w starciu z wojskiem Stanów Zjednoczonych? Tak samo mogę spróbować wygrać z paroma dziesiątkami Kubańczyków na ulicach Tampy. Przynajmniej będę wiedział, o co walczę.

– O zysk – zauważyła Graciela.

– Takie życie.

– Przestępcze życie.

– A czym pani się zajmuje? – Joe pochylił się i omiótł pomieszczenie wzrokiem. – Siedzi tutaj pani i liczy orientalne dywany?

– Zwijam cygara, proszę pana, w La Trocha. Siedzę na drewnianym krześle i robię cygara od dziesiątej rano do ósmej wieczorem, dzień w dzień. Wczoraj, kiedy przyglądał mi się pan tak obleśnie...

– Wcale nie obleśnie...

– ...miałam pierwszy wolny dzień od dwóch tygodni. A kiedy nie pracuję, działam tutaj jako wolontariuszka. – Uśmiechnęła się gorzko. – Niech ta ładna sukienka pana nie zwiedzie.

Sukienka była jeszcze bardziej zniszczona niż ta, którą Graciela miała na sobie wczoraj – bawełniana, z cygańskim paskiem na falbaniastej spódnicy, niemodna co najmniej od roku, może od dwóch, prana i noszona tyle razy, że nabrała nie całkiem białego, nie całkiem beżowego odcienia.

– Ten klub utrzymuje się z datków – powiedział Esteban gładko. – By jego drzwi mogły być zawsze otwarte. Kiedy Kubańcy wychodzą w piątkowy wieczór, chcą iść tam, gdzie mogą się ładnie ubrać, gdzie czują się jak w Hawanie, w miejsce, które ma styl. Tip top, tak? – Strzelił palcami. – Tutaj nikt nie nazywa nas czarnuchami ani smoluchami. Możemy mówić naszym językiem, śpiewać nasze piosenki i recytować nasze wiersze.

– O, jak miło. Może mi pan wyjawi, dlaczego miałbym romantycznie napadać na okręt marynarki wojennej zamiast zlikwidować całą waszą organizację?

Kobieta otworzyła usta, w oczach pojawił się błysk, ale Esteban powstrzymał Gracielę, kładąc jej rękę na kolanie.

– Ma pan rację – prawdopodobnie zlikwidowałyby moją organizację. Ale co by pan na tym zyskał z wyjątkiem kilku budynków? Moje trasy dostawcze, moje kontakty w Hawanie, wszyscy ludzie, dla których pracuję na Kubie – nigdy nie zgodzą się pana zaopatrywać. Więc czy naprawdę chce pan zabić kurę znoszącą złote jajka dla paru budynków i kilku starych skrzynek rumu?

Joe odpowiedział na jego uśmiech uśmiechem.

– To pan zrobił te zdjęcia w korytarzu?

– Większość.

– Czy pan czegoś nie potrafi?

Esteban zdjął rękę z kolana Gracieli i usiadł prosto.

– Czy zna pan sytuację polityczną Kuby?

– Nie. I nie muszę. To mi nie pomoże w wykonaniu tego zadania.

Esteban skrzyżował nogi.

– A Nikaragui?

– Jeśli dobrze pamiętam, parę lat temu stłumiliśmy tam bunt.

– Tam właśnie trafi broń – oznajmiła Graciela. – I nie było żadnego buntu. Twój kraj okupuje Nikaraguę i okupuje Kubę, ponieważ tak mu się podoba.

– To dodatek do poprawki Platta.

Graciela uniosła brew.

– Wykształcony gangster?

– Nie jestem gangsterem, tylko wyjętym spod prawa – powiedział, choć nie był pewien, czy to nadal prawda. – A tam, gdzie spędziłem ostatnie dwa lata, nie miałem innych rozrywek niż czytanie. Więc dlaczego marynarka wojenna przewozi broń do Nikaragui?

– Otworzyli tam akademię wojskową – odparł Esteban. – Chcą wykształcić żołnierzy i policjantów Nikaragui, Gwatemali i Panamy, żeby przypomnieć wieśniakom, gdzie jest ich miejsce.

– A pan zamierza ukraść broń marynarce USA i oddać ją nikaraguańskim buntownikom?

– Nie walczę o Nikaraguę.

– Zatem zamierza pan uzbroić kubańskich buntowników.

Skinienie głowy.

– Machado to nie prezydent. To raczej pospolity złodziej, tyle że z bronią.

– Więc okradnie pan nasze wojsko, żeby pokonać własne?

Esteban lekko skinął głową.

– To panu przeszkadza? – Graciela zmierzyła go wzrokiem.

– Gównu mnie to obchodzi. – Joe spojrzał na Diona. – Ciebie to rusza?

– Przyszło wam do głowy – Dion zwrócił się do Grabieli – że gdybyście potrafili sami zaprowadzić dyscyplinę w kraju i może wybrać przywódcę, który nie ukradnie wam ostatnich koszul pięć minut po wyborach, pewnie nasze wojska nie wkroczyłyby na wasz teren?

Przygwoździła go nieruchomym spojrzeniem.

– Gdybyśmy nie mieli dochodowych upraw, które chcieliście zagarnąć, nigdy nie dowiedzielibyście się o istnieniu Kuby.

Dion spojrział na Joego.

– Co tam, posłuchajmy, jaki mają plan.

Joe odwrócił się do Estebana.

– Bo macie plan, prawda?

W oczach Estebana po raz pierwszy pojawiła się uraza.

– Mamy kogoś, kto jutro zamelduje się na okręcie i zastosuje dywersję w przedniej ładowni...

– Jaką dywersję? – spytał Dion.

– Pożar. Kiedy będą go gasić, przedostaniemy się do ładowni i wyniesiemy z niej broń.

– Będzie zamknięta.

Esteban uśmiechnął się spokojnie.

– Na to mamy piły do rygli.

– Widział pan ten zamek?

– Opisano mi go.

Dion pochylił się ku niemu.

– Ale nie wie pan, z jakiego jest materiału. Piły mogą go nie ruszyć.

– Wtedy go przestrelimy.

– A to zwróci uwagę ludzi gaszących pożar. I pewnie ktoś zginie od rykoszetu.

– Będziemy działać szybko.

– Jak szybko można biec z sześćdziesięcioma skrzyniami karabinów i granatów?

– Będziemy mieć trzydziestu mężczyzn. I drugie tyle, jeśli ich zapewnicie.

– Oni będą mieli trzystu – zauważył Joe.

– Ale nie trzystu *Cubanos*. Żołnierz amerykański walczy dla własnej dumy. *Cubano* walczy dla kraju.

– O Jezu – mruknął Joe.

– Wątpi pan w naszą odwagę? – Uśmiechnął się z wyższością.

– Nie. Wątpię w waszą inteligencję.

– Nie boję się śmierci – oznajmił Esteban.

– A ja się boję. – Joe zapalił papierosa. – A gdybym się nie bał, wolałbym umrzeć

za ważniejszą sprawę. Do podniesienia skrzynki z karabinami trzeba dwóch facetów. To znaczy, że sześćdziesięciu ludzi musi dwa razy wejść na płonący okręt wojenny. Nadal uważa pan, że to możliwe?

– Dowiedzieliśmy się o tym statku zaledwie dwa dni temu – odezwała się Graciela.  
– Gdybyśmy mieli więcej czasu, obmyślilibyśmy lepszy plan, ale ten statek odbija jutro.

– Nie musi.

– Jak to?

– Powiedziała pani, że możecie wprowadzić kogoś na ten okręt.

– Tak.

– To znaczy, że już tam kogoś macie?

– Bo co?

– O Jezuu, bo spytałem, dobra, Estebanie? Jeden z tych marynarzy dla was pracuje?

– Tak – odpowiedziała Graciela.

– Jakie ma obowiązki?

– Służy w maszynowni.

– Co ma dla was zrobić?

– Spowodować usterkę silnika.

– To mechanik?

Dwa skinienia głowy.

– Przyjdzie naprawić silnik, doprowadzi do wybuchu pożaru, a wy złupicie ładownię.

– Tak.

– Częściowo jest to dobry plan.

– Dziękuję.

– Proszę mi nie dziękować. Jeśli jest dobry częściowo, znaczy, że druga część jest zła. Kiedy zamierzaliście to zrobić?

– Dzisiaj wieczorem. O dziesiątej. Księżyc będzie świecił słabo.

– Idealna byłaby północ, a nawet trzecia nad ranem. Wtedy prawie wszyscy śpią. Żadnych bohaterów, którymi trzeba by się martwić, niewielu świadków. Tylko wtedy wasz człowiek ma szansę zejść z tego okrętu. – Joe zaplótł ręce za głowę, zastanowił się jeszcze chwilę. – Wasz mechanik to Kubańczyk?

- Tak.
- Bardzo czarny?
- Nie rozu... – zaczął Esteban.
- Tak jak pan czy jak ona?
- Ma bardzo jasną skórę.
- Czyli może ujść za Hiszpana.

Esteban spojrział na Gracielę, a potem na Joego.

- Z pewnością.
- Dlaczego to takie ważne? – chciała wiedzieć Graciela.
- Bo kiedy tak potraktujecie okręt marynarki wojennej USA, ten facet zostanie zapamiętany. I będzie ścigany.
- Zatem, jak potraktujemy okręt marynarki wojennej USA? – spytała Graciela.
- Na początek wyrwiecie w nim dziurę.

Bomba nie była domoróbką z gwoździ i stalowych podkładek, kupioną za grosze od pierwszego lepszego anarchisty. To produkt o wiele bardziej wyrafinowany i precyzyjny. Przynajmniej tak im powiedziano.

Barman z lokalu Pescatore na Central Avenue w St. Petersburg, niejaki Sheldon Boudre, spędził sporą część życia od trzydziestki do czterdziestki, rozbijając bomby dla marines. W 1915 roku stracił nogę na Haiti z powodu awarii sprzętu łącznościowego podczas okupacji Port-au-Prince i do tej pory miał o to pretensję. Wytwarzał bomby najlepsze z najlepszych – stalowe prostopadłościany wielkości pudełka na dziecięce buty. Wyjawiał Joemu i Dionowi, że wkłada do niego łożyska kulkowe, mosiężne gałki do drzwi i tyle prochu, że można by przebić tunel w pomniku Waszyngtona.

– Tylko żeby umieścili to dokładnie pod silnikiem. – Sheldon przesunął w ich stronę po blacie baru opakowaną w szary papier bombę.

- Nie chcemy rozwalić silnika – zaznaczył Joe. – Zamierzamy zniszczyć burtę.

Sheldon wciągnął i wypuścił powietrze, zassał przy tym i wypchnął górny rząd sztucznych zębów, spuścił wzrok na bar. Joe uświadomił sobie, że go obraził. Odczekał chwilę.

– Jak ci się wydaje, co się stanie – mówił Sheldon – kiedy silnik wielkości zasranego studebakera przeleci przez burtę do zatoki Hillsborough?

- Ale nie chcemy wysadzać w powietrze portu – przypomniał mu Dion.

– W tym całe piękno sytuacji. – Sheldon poklepał paczkę. – Ta maleńka jest precyzyjna. Nie rozleci się na wszystkie strony. Po prostu nie chcesz stać przed nią, gdy już eksploduje.

– Bardzo wybuchowa jest ta... maleńka? – spytał Joe.

W oczach Sheldona pojawiła się duma.

– Możesz ją walić cały dzień młotkiem, a ci wybaczy. – Pogłaskał paczkę jak kota. – Jeśli rzucisz ją w powietrze, nawet nie będziesz musiał przed nią uskakiwać.

Pokiwał parę razy głową, wciąż poruszając ustami; Joe i Dion wymienili spojrzenia. Jeśli to wariat, właśnie czekało ich przewiezienie samochodu bomby jego roboty przez całą zatokę Tampa.

Sheldon uniósł palec.

– Jest tylko jedna mała klauzula.

– Jedno małe co?

– Szczegół, o którym powinniście wiedzieć.

– Mianowicie?

Sheldon uśmiechnął się przepraszająco.

– Ten, kto ją zapali, powinien być prędko w nogach.

Z St. Petersburg do Ybor było jakieś czterdzieści kilometrów, a Joe zapamiętał każdy metr. Każdy wykrot, każde drgnienie samochodu. Każdy szcęk w podwoziu wydawał mu się zapowiedzią rychłej śmierci. Nie rozmawiał z Dionem o strachu, bo nie musiał. Strach wypełniał ich oczy, samochód, nadawał potowi metaliczny zapach. Spoglądali na ogół przed siebie, czasem na zatokę, kiedy przejeżdżali przez most Gandy, a pasmo brzegu po obu stronach odcinało się jaskrawą bielą od intensywnie niebieskiej wody. Pelikany i czaple zrywały się do lotu z balustrady. Pelikany często łowiły w locie, więc spadały z nieba, jakby ktoś je postrzelił. Pikowały w stronę spokojnego morza i znowu wzbijały się z trzepoczącą rybą w dziobie, otwierały go i po chwili ryba, bez względu na rozmiar, zniknęła.

Dion najechał na dziurę, potem metalowy krawężnik, potem kolejną dziurę. Joe zamknął oczy.

Słońce atakowało przednią szybę i ziało ogniem przez szkło.

Dotarli na drugi koniec mostu; brukowana droga zmieniła się w jezdnię wysypaną tłuczonymi muszelkami i żwirem, dwa pasy przeszły w jeden, nawierzchnia stała się raptem patchworkiem różnych odcieni i faktur.

– A niech mnie – mruknął Dion i zamilkł.

Telepali się przez jakąś przecznicę, potem stanęli w korku, a Joe musiał walczyć z pokusą, by wyskoczyć z samochodu, porzucić Diona, uciec od tego całego pomysłu. Kto normalny przewozi w samochodzie zasraną bombę? Kto?

Wariat. Samobójca. Ktoś, kto uważa, że szczęście to kłamstwo, które ma otępić człowieka. Ale Joe widział już szczęście, poznał je. I teraz ryzykował, że nigdy więcej go nie poczuje, przewożąc środek wybuchowy tak potężny, że mógł cisnąć trzydziestotonowy silnik przez wykładaną stalowymi płytami burtę statku.

Nie będzie co zbierać. Ani z niego, ani z samochodu. Jego zęby rozprysną się w zatoce jak grosze wrzucone do fontanny. Będzie miał szczęście, jeśli znajdą choć kciuk, żeby go pochować w rodzinnym grobowcu w Cedar Grove.

Ostatnie mile okazały się najgorsze. Za mostem pojechali piaszczystą drogą wzdłuż torów; nawierzchnia była przechylona w prawo i spękana w najbardziej niewłaściwych miejscach. Śmierdziało pleśnią i stworzeniami, które zdechły w tym ciepłym błocie, a teraz powoli zmieniały się w skamieliny. Wjechali w kępę wysokich namorzynów; ziemia była pełna kałuż i niespodziewanych głębokich dziur; po paru minutach wyboistej jazdy dotarli do chaty Daniela Desouzy, jednego z najbardziej odpowiedzialnych konstruktorów urządzeń kamuflujących.

Zrobił dla nich skrzynkę narzędziową z podwójnym dnem. Ubrudził ją, i to nie tylko tak, że cuchnęła olejem, smarem i brudem, ale także starością. Jednak narzędzia, które do niej włożył, były najlepszego gatunku i zadbane; niektóre owinięte w ceratę, wszystkie niedawno wyczyszczone i naoliwione.

Przy kuchennym stole w jednoizbowej chacie pokazał im, jak otworzyć dno skrzynki. Jego ciężarna żona przeszła obok nich rozkołysanym krokiem, kierując się na podwórze, a dwójka dzieci bawiła się na podłodze lalkami zszytymi z gałganów z precyzją rzeźnika. Joe zauważył dwa materace na podłodze: jeden dla dzieci, jeden dla rodziców, bez poduszek i prześcieradeł. Wokół kręcił się węszący kundel, wszędzie brzęczały muchy i moskity. Daniel Desouza sprawdził dzieło Sheldona – z ciekawości lub z powodu czystego obłędu, Joe już sam nie wiedział, był odrętwiały ze strachu i spodziewał się spotkania ze Stwórcą, kiedy Desouza wbił w bombę śrubokręt, a jego żona wróciła i przegoniła psa. Dzieci zaczęły się kłócić o lalki, wrzeszcząc wniebogłosy, aż Desouza rzucił żonie spojrzenie. Kobieta zostawiła psa i zaczęła bić smarkaczy po twarzach i karkach. Dzieci zawyły z bólu i oburzenia.

– Chłopcy, macie tutaj małe arcydziełko, ot co – odezwał się Desouza. – Narobi huk.

Młodszy chłopiec, mniej więcej pięcioletni, przestał płakać tak nagle, jakby ktoś zgasił zapalnik w jego wnętrzu. Jego twarz się wygładziła. Podniósł z podłogi klucz

francuski i uderzył nim psa w głowę. Kundel warknął i przyczał się, jakby chciał się rzucić na gnojka, ale rozmyślił się, uciekł z chaty.

– Zabiję kiedyś albo tego psa, albo bachora – odezwał się Desouza, nie odrywając wzroku od skrzynki narzędziowej. – Jednego albo drugiego zabiję na pewno.

Joe spotkał się z Mannym Bustamente, który miał podłożyć bombę, w bibliotece Circulo Cubano, gdzie wszyscy oprócz Joego – nawet Graciela – palili cygara. Na ulicach widziało się to samo – dziewięciu- i dziesięcioletnie dzieci chodziły z wielkimi jak kłody cygarami w zębach. Za każdym razem, gdy Joe zapalał swojego cieniutkiego murada, miał wrażenie, że całe miasto się z niego śmieje, ale od cygar bolała go głowa. Tej nocy rozglądając się po bibliotece, w której pod sufitem wisiała brązowa zawieszina dymu, doszedł do wniosku, że do bólu głowy będzie musiał jednak przywyknąć.

Manny Bustamente był w Hawanie cywilnym inżynierem. Na nieszczęście jego syn wstąpił do federacji studenckiej na uniwersytecie, opowiadającej się przeciwko reżimowi Machado. Prezydent zamknął uniwersytet i rozwiązał federację. Pewnego dnia parę minut po wschodzie słońca kilku umundurowanych mężczyzn wpadło do domu Manny'ego Bustamente. Kazali jego synowi uklęknąć w kuchni i strzelili mu w twarz, a potem zastrzelili żonę Manny'ego, kiedy nazwała ich zwierzętami. Manny wylądował w więzieniu. Po wyjściu zasugerowano mu, że opuszczenie kraju byłoby fantastycznym pomysłem.

Opowiedział to wszystko Joemu o dziesiątej w bibliotece. Joe podejrzewał, że chce go w ten sposób przekonać o swojej lojalności. Nie kwestionował jego lojalności, tylko prędkość. Manny miał metr pięćdziesiąt cztery i był zbudowany jak baryłka. Po wejściu po schodach ciężko się zasapał.

Zapoznali się z planami statku. Manny zrobił przegląd silnika, kiedy statek przybił do portu.

Dion spytał, dlaczego marynarze nie mają swoich mechaników.

– Mają – odparł Manny. – Ale jeśli mogą zdobyć... hm... *y especialista*, który zajmie się rupieciami, to go ściągną. Statek ma dwadzieścia pięć lat. Był zbudowany jako... – Strzelił palcami i rzucił coś szybko po hiszpańsku do Gracieli.

– Luksusowy liniowiec – rzuciła w przestrzeń.

– Tak – potwierdził. Znowu powiedział coś szybko po hiszpańsku, parę zdań. Kiedy skończył, Graciela wyjaśniła, że statek został sprzedany marynarce podczas wielkiej wojny, a potem przerobiono go na okręt medyczny. Ostatnio znowu stał się transportowcem z trzystuosobową załogą.

– Gdzie jest maszynownia? – spytał Joe.

Manny znowu zwrócił się do Gracieli, która przetłumaczyła jego słowa. W ten

sposób rozmowa szła szybciej.

– Na dole statku, na rufie.

– Gdybyś został wezwany na statek w środku nocy, kto by cię powitał?

Zaczął odpowiadać Joemu, ale potem odwrócił się do Gracieli i zadał jej pytanie.

– Policja? – spytała kobieta, marszcząc brwi.

Pokręcił głową i znowu coś mówił,

– Ach... – zrozumiała. – *Veo, veo, sí.* – Odwróciła się do Joego. – Chodzi mu o żandarmerię marynarki.

– Patrol przybrzeżny – powiedział Joe do Diona. – Kontrolujesz go?

Dion skinął głową.

– Nawet się nie spodziewasz, jak bardzo.

– No, więc miniesz patrol – zwrócił się Joe do Manny’ego – i wejdiesz do maszynowni. Gdzie jest najbliższa koja?

– Jeden pokład wyżej, na drugim końcu statku.

– Więc obok ciebie będzie się znajdował tylko personel i dwaj mechanicy?

– Tak.

– A jak ich stamtąd wywabisz?

– Wiemy z dobrego źródła, że główny mechanik jest pijakiem – odezwał się siedzący przy oknie Esteban. – Jeśli w ogóle przyjdzie do maszynowni, żeby sprawdzić pracę naszego człowieka, to długo nie zostanie.

– A jeśli zostanie?

Wzruszył ramionami.

– Będą improwizować.

Joe pokręcił głową.

– My nie improwizujemy.

Manny zaskoczył wszystkich – sięgnął za cholewkę buta i wyjął z za niej jednostrzałowego derringera z kolbą wykładaną masą perłową.

– Zajmę się nim.

Joe spojrzał na Diona, który siedział bliżej Manny’ego.

– Daj to – burknął Dion, wyszarpując derringera z ręki mężczyzny.

– Zabiłeś kiedyś kogoś? – spytał Joe.

Manny wyprostował się.

– Nie.

– Dobrze. Bo dzisiaj nie zaczniesz.

Dion rzucił broń Joemu, ten ją złapał, zanim Manny zdążył to zrobić.

– Nie obchodzi mnie, kogo zabijesz. – Joe zastanowił się, czy rzeczywiście – ale gdyby cię obszukali, znaleźliby to. Wtedy bardzo dokładnie przyjrzeliby się twojej skrzynce i znaleźliby bombę. Twoje podstawowe zadanie na dzisiaj, Manny, to nie spieprzyć tej roboty. Myślisz, że dasz radę?

– Tak – odparł Manny. – Tak.

– Jeśli główny mechanik zostanie z tobą, nareperujesz silnik i sobie pójdiesz.

Esteban oderwał się od parapetu.

– Nie!

– Tak – powiedział Joe. – Planujemy tutaj akt zdrady stanu przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych. Pojmujesz? Nie robię takiej akcji po to, żeby mnie złapali i powiesili w Leayenworth. Jeśli cokolwiek się spapra, Manny, bierzesz dupę w troki i wychodzisz, a my wymyślimy inny sposób. I, Manny – spójrz na mnie – nie improwizuj. *Comprende?*

Po długiej chwili Manny skinął wreszcie głową.

Joe wskazał bombę w płóciennym worku u swoich stóp.

– Ma bardzo, bardzo krótki lont.

– Rozumiem. – Manny strzepnął z rzes kroplę potu, która spadła mu z brwi, a potem wytarł czoło wierzchem dłoni. – Jestem w pełni oddany tej sprawie.

No świetnie, pomyślał Joe, ma nadwagę i jeszcze w dodatku nadciśnienie.

– Doceniam to. – Joe przez chwilę spoglądał w oczy Gracieli i widział w nich pewnie tę samą troskę, którą czuł. – Ale, Manny... Musisz chcieć wykonać zadanie i zejść żywy z tego statku. Mówię ci to nie dlatego, że jestem takim klawym gościem i troszczę się o ciebie. Nie jestem i się nie troszczę. Ale jeśli zginiesz i zidentyfikują cię jako kubańskiego nacjonalistę, plan runie w ułamku chwili.

Manny pochylił się ku niemu; między palcami trzymał cygaro grube jak trzonek młotka.

– Chcę wolności dla mojego kraju. Chcę, żeby Machado umarł. Chcę, żeby Stany Zjednoczone opuściły mój kraj. Ponownie się ożeniłem, proszę pana. Mam troje dzieci,

żadne nie skończyło jeszcze sześciu lat. Mam żonę, którą kocham – Boże, wybacz – bardziej niż poprzednią. Jestem już na tyle stary, że wolałbym żyć jako człowiek słaby niż umrzeć jako odważny.

Joe uśmiechnął się do niego z wdzięcznością.

– Zatem jesteś człowiekiem, któremu chcę powierzyć to zadanie.

USS „Mercy” ważył dziesięć tysięcy ton. Był to mierzący sto dwadzieścia metrów długości i piętnaście metrów szerokości statek z ołowianym dziobem, dwoma kominami i dwoma masztami. Na grotmaszcie znajdowało się bocianie gniazdo, które wyglądało, jakby pochodziło z innych czasów, gdy po morzach grasowali korsarze. Na kominach widniały dwa spłowiałe krzyże, co potwierdzało, że kiedyś okręt pełnił funkcję pływającego szpitala. Statek wyglądał na wysłużony, ale jego biel lśniła jasno na tle czarnej wody i nocnego nieba.

Stali na balkoniku na dachu silosu przy końcu McKay Street – Joe, Dion, Graciela i Esteban – spoglądając na statek zakotwiczony w przystani numer 7. Skupił się tutaj tuzin dwudziestometrowych silosów, w których dzisiaj po południu złożono resztę ziarna ze statku „Cargill”. Przekupiony nocny strażnik miał następnego dnia powiedzieć policji, że związali go jacyś Hiszpanie. Dion ogłuszył go dwoma ciosami ołowianej pałki, żeby wyglądało to przekonująco.

Graciela spytała Joego, co myśli.

– O czym?

– O naszych szansach. – Jej cygaro było długie i cienkie. Wydmuchnęła kółka dymu nad balustradą wiaduktu i przyjrzała się, jak płyną nad wodą.

– Szczerze? Bliskie zera.

– A jednak obmyśliłeś taki plan.

– Najlepszy, jaki wpadł mi do głowy.

– Wydaje się nawet dobry.

– To komplement?

Pokręciła głową, choć wydawało mu się, że jej usta drgnęły nieznacznie.

– Stwierdzenie. Gdybyś dobrze grał na gitarze, powiedziałabym to, mimo że cię nie lubię.

– Bo spojrzałem na ciebie obłeśnie?

– Bo jesteś arogantem.

– Ach.

– Jak wszyscy Amerykanie.

– A Kubańcy są...?

– Dumni.

Uśmiechnął się lekko.

– Gazety twierdzą też, że jesteście leniwi, zapalczywi, niezdolni do odkładania pieniędzy i dziecinni.

– Sądysz, że to prawda?

– Nie. Uważam, że uogólnienia dotyczące całego kraju lub narodu są z zasady kurewsko głupie.

Zaciągnęła się cygarem i przyjrzała mu się przez chwilę. Znowu przeniosła wzrok na statek.

Światła portu zabarwiły krawędź nieba rozbieloną, kredową czerwienią. Za kanałem leżało uspione, spowite mgiełką miasto. Daleko na horyzoncie cienkie kreski piorunów rozbłyskiwały jak kręte białe żyły na skórze świata. Ich blade i nagłe światło wylaniało z mroku nabrzmiałe chmury, ciemne jak śliwki i nacierające niczym wroga armia. Mały samolot śmignął nad ich głowami – cztery światełka na niebie, jeden lichej silnik, oddalony od nich o setki metrów, pewnie leciał z jakąś legalną misją, choć trudno było sobie wyobrazić, co legalnego można robić o trzeciej nad ranem. Nie wspominając już o tym, że przez krótki czas swojego pobytu w Tampie Joe nie natykał się zbyt często na działalność zgodną z prawem.

– Naprawdę jest ci obojętne, czy Manny przeżyje, czy umrze?

Widzieli Manny'ego – siedł ze skrzynką w ręce w stronę statku.

Joe oparł się łokciami o balustradę.

– Mówiąc szczerze: tak.

– Jak można stać się takim zimnym?

– To przychodzi łatwiej, niż się wydaje.

Manny przystanął na trapie, gdzie zatrzymali go dwaj marynarze z patrolu nabrzeża. Uniósł ręce; jeden żandarm obszukał go, drugi otworzył skrzynkę. Przejrzał górną tacę, potem wyjął ją i położył na ziemi.

– Jeśli dobrze pójdzie – odezwała się Graciela – przejmiesz dystrybucję rumu w Tampie.

– Właściwie w połowie Florydy – poprawił ją Joe.

– Staniesz się wielki.

- Pewnie tak.
- Twoja arogancja osiągnie nowy poziom.
- Cóż... mam nadzieję.

Żandarm przestał obszukiwać Manny'ego, ale stanął obok swojego partnera i obaj spojrzeli na coś w skrzynce. Zaczęli się naradzać ze spuszczonej głowami; jeden trzymał rękę na kolbie czterdziestkiątki.

Joe spojrział na Diona i Estebana. Stali jak zahipnotyzowani, wyciągając szyje, wpatrywali się w skrzynkę.

Żandarmi polecieli Manny'emu podejść. Mężczyzna stanął między nimi i także spojrział w dół. Na dany znak sięgnął do skrzynki i uniósł dwie półlitrowe butelki rumu.

- Cholera – mruknęła Graciela. – Kto mu kazał ich przekupić?
- Nie ja – powiedział Esteban.
- Robi, co mu przyjdzie do głowy – rzucił Joe. – No świetnie, kurwa. Po prostu cudownie.

Dion uderzył ręką w balustradę.

- A przecież podkreślałem: nie improwizować. Powiedziałem...
- Wzięli – odezwała się Graciela.

Joe zmrużył oczy; obaj żandarmi schowali po butelce i odstępili na bok.

Manny zamknął skrzynkę i poszedł trapem na statek. Przez chwilę na dachu silosu było bardzo cicho.

- Prawie się zesrałem ze strachu – mruknął Dion.
- Udało się. – Graciela westchnęła z ulgą.
- Przeszedł – przyznał Joe. – Jeszcze musi wykonać robotę i wrócić.

Spojrział na zegarek ojca: dochodziła trzecia nad ranem. Przeniósł wzrok na Diona, który powiedział, jakby czytał mu w myślach:

- Podejrzewam, że zaczęli rozróbę dziesięć minut temu.

Zaczekali. Metal balkonu nadal oddawał ciepło po dniu w prażącym sierpniowym słońcu.

Pięć minut później jeden z żandarmów podszedł do dzwoniącego telefonu na pokładzie. Po chwili pobiegł trapem i klepnął partnera po ramieniu. Przebiegł parę metrów do samochodu. Ruszyli nabrzeżem i skręcili w lewo, w stronę Ybor i klubu na Seventeenth, gdzie w tej chwili dziesięciu chłopców Diona robiło siekanke z około dwu-

dziestu marynarzy.

– Na razie... – Dion uśmiechnął się do Joego. – Przyznaj.

– Co mam przyznać?

– Że idzie jak w zegarku.

– Na razie.

Za ich plecami Graciela zaciągnęła się cygarem.

Dobiegł ich dźwięk – echo dziwnie głuchego łupnięcia. Niezbyt efektowny, ale balkonik kołysał się przez chwilę, a wszyscy rozłożyli ramiona, jakby stali na tym samym rowerze. Statek USS „Mercy” zadrżał. Woda wokół niego wzburzyła się i małe falki uderzyły o brzeg. Z dziury wielkości fortepianu, która pojawiła się w burcie okrętu, buchnął kłęb gęstego i szarego jak stalowa wata dymu.

Dym zgęstniał, pociemniał i po paru chwilach w jego głębi rozkwitła żółta kula, pulsująca jak żywe serce. Joe gapił się tak długo, aż zobaczył czerwone płomienie, mieszały się z żółcienią. Oba kolory znikły za obłokami dymu, który teraz stał się czarny jak świeża smoła. Zasnuł kanał i zasłonił miasto, zasłonił całe niebo.

Dion zaczął się śmiać. Joe spojrzał mu w oczy, a Dion wciąż się śmiał, kręcił głową i kiwał do niego.

Joe wiedział, co znaczy to skinienie głowy – właśnie dlatego żyli na marginesie społeczeństwa: żeby poczuć to, czego nigdy nie doświadczą sprzedawcy ubezpieczeń, kierowcy ciężarówek, prawnicy, księgowi, stolarze i agenci handlu nieruchomościami. Chwile w świecie bez więzów – nikt cię nie złapie, nikt cię nie spęta. Joe spojrzał na Diona i przypomniał sobie, co poczuł, kiedy po raz pierwszy w wieku trzynastu lat przewrócił kiosk na Bowdoin Street: pewnie umrzemy młodo.

Ale ilu ludzi, wstępujących w mroczną krainę ostatniej godziny, gdy idą ciemnymi polami ku mgłę świata, który rozciąga się za kresem, może obejrzeć się przez ramię i powiedzieć „Kiedyś rozwaliłem dziesięcotonowy statek”?

Joe spojrzał znowu w oczy Diona i zachichotał.

– Nie wyszedł. – Graciela stała obok niego, patrząc na statek, teraz niemal całkowicie zasłonięty dymem.

Joe nie odpowiedział.

– Manny – dodała niepotrzebnie.

Joe skinął głową.

– Nie żyje?

– Nie wiem – powiedział, ale pomyślał: mam taką nadzieję.

# ROZDZIAŁ 15

## OCZY JEGO CÓRKI

O świcie marynarze wyładowali broń i ułożyli ją na nabrzeżu. Skrzynki stały w blasku wschodzącego słońca, obsypane kroplami parującej powoli rosy. Przybyło kilka mniejszych statków; marynarze wysiedli na ląd, za nimi oficerowie i wszyscy obejrzeni rozerwaną burtę. Joe, Esteban i Dion wmieszali się w tłum za kordonem policyjnym i usłyszeli, że okręt opada na dno zatoki i że nie wiadomo, czy da się go uratować. Marynarka wysłała z Jacksonville barkę z żurawiem, żeby znaleźć odpowiedź na to pytanie. Co do broni, szukano statku, który mógłby ją przewieźć. Na razie zamierzano ją gdzieś przechować.

Joe opuścił nabrzeże. Spotkał się z Gracielą w kawiarni na Ninth. Usiedli na dworze pod kamiennym portykiem i patrzyli, jak tramwaj sunie torami środkiem ulicy i zatrzymuje się tuż przed nimi. Wsiadło do niego kilku pasażerów, kilku wysiadło i pojazd znowu ruszył z kłopotem.

– Widziałeś go? – spytała Graciela.

Joe pokręcił głową.

– Ale Dion go wypatruje. I rozmieścił w tłumie paru swoich ludzi, więc... – Wzruszył ramionami i pociągnął łyk kubańskiej kawy. Przez całą noc nie zmrużył oka, poprzedniej także spał mało, ale dopóki mógł się wspomagać kubańską kawą, czuł się na siłach funkcjonować bez odpoczynku przez cały tydzień.

– Co oni do tego dodają? Kokainę?

– To tylko kawa – powiedziała Graciela.

– Tak jak wódka jest tylko sokiem z ziemniaków. – Dopił kawę i odstawił filiżankę na spodeczek – Tęsknisz za nią?

– Za Kubą?

– Tak.

Skinęła głową.

– Bardzo.

– To po co tutaj siedzisz?

Spojrzała na ulicę, jakby po jej drugiej stronie widziała Hawanę.

– Nie lubisz upału.

– Co?

– Nie lubisz. Zawsze wachlujesz się ręką albo kapeluszem. Krzywisz się i spoglądasz na słońce, jakbyś je ponaglał, żeby już zaszło.

– Nie sądziłem, że to takie oczywiste.

– Robisz tak w tej chwili.

Miała rację. Wachlował się kapeluszem.

– No, bo straszny upał. Niektórzy mogliby powiedzieć, że to tak, jakby się mieszkało na powierzchni Słońca. Ja mówię, że żyjemy w słońcu. Jezu Chryste. Jak ci ludzie tutaj wytrzymują?

Graciela odchyliła się na oparcie; jej śliczna brązowa szyja wygięła się, dotykając kutego żelaza.

– Dla mnie nigdy nie jest zbyt ciepło.

– Więc masz nie po kolei w głowie. – Roześmiała się, a on patrzył, jak jej szyja faluje od śmiechu, jakby pełzł jej gardłem. Zamknęła oczy.

– No, więc nienawidzisz upału, ale tutaj jesteś.

– Tak.

Otworzyła oczy, przechyliła głowę, spojrzała na niego.

– Dlaczego?

Podejrzewał – nie, wiedział – że uczucie, które obudziła w nim Emma, to miłość. Na pewno miłość. Zatem to, co czuł do Gracieli Corrales, musiało być żądzą. Ale takiej jeszcze nie doświadczył. Czy kiedykolwiek widział piękniejsze czarne oczy? Każdy jej ruch był płynny – czy szła, czy paliła cygaro, czy brała ołówek – potrafił sobie wyobrazić ten płynny ruch, kiedy jej ciało oplotłoby go, wzięło w siebie, gdy odetchnęłaby przeciągle do jego ucha. Ta płynność nie przypominała lenistwa, lecz precyzję. Czas jej nie naginał; to ona zakrzywiała czas tak, jak jej się podobało.

Nic dziwnego, że zakonnice zaciekle tępią grzech pożądliwości i rozwiązłości. Te namiętności mogą człowieka opanować bardziej niż rak. I zabić dwa razy szybciej.

– Dlaczego? – powtórzył, nawet nie wiedząc, o czym właściwie rozmawiają.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Tak, dlaczego?

– Bo to moja robota.

– Ja przybyłam tutaj z tego samego powodu.

– Żeby zwijać cygara?

Wyprostowała się i skinęła głową.

– Płacą o wiele lepiej niż gdziekolwiek w Hawanie. Większość zarobku wysyłam rodzinie. Gdy mój mąż wyjdzie z więzienia, zdecydujemy, gdzie zamieszkać.

– Och... Masz męża.

– Tak.

Zobaczył w jej oczach błysk triumfu, czy tylko go sobie wyobraził?

– Ale jest w więzieniu.

Znowu przytaknęła.

– Ale nie za to samo, co robisz.

– A co robię?

Machnęła ręką.

– Popelniasz małe podłe przestępstwa.

– A, no to teraz już wiem, co robię. – Pokiwał głową. – Bo się zastanawiałem.

– Adan walczy o sprawę większą od siebie.

– Ile za to dają?

Jej twarz spochmurniała. Żarty się skończyły.

– Torturowano go, żeby wydał współników – mnie i Estebana. Ale nic im nie powiedział. Bez względu na to, co mu robili. – Wysunęła szczękę, a jej oczy błysnęły w sposób, który przypomniał Joemu wczorajsze cienkie błyskawice. – Nie wysyłam pieniędzy mojej rodzinie, bo jej nie mam. Wysyłam je krewnym Adana, żeby mogli go wyciągnąć z zasranego więzienia i przysłać do mnie.

Czy to pożądanie, czy coś, czego nie potrafił jeszcze zdefiniować? Może zmęczenie, dwa lata więzienia i upał. Może. Pewnie tak. A jednak nie mógł się pozbyć uczucia, że coś go ciągnie do Gracieli, bo wyczuwa w niej coś złamanego, przerażonego, rozgniewanego i pełnego nadziei jednocześnie. Coś głęboko ukrytego w jej sercu przemawiało do czegoś też głęboko ukrytego w jego sercu.

– Szczęściarz – powiedział.

Graciela otworzyła usta i uświadomiła sobie, że nie ma się przed czym bronić.

– Bardzo szczęśliwy człowiek. – Joe wstał i położył na stole parę monet. – Pora na ten telefon.

Zadzwonili z automatu na tyłach upadłej fabryki cygar we wschodniej części Ybor. Siedzieli na zakurzonej podłodze w pustym gabinecie i Joe wykręcał numer, a Graciela po raz ostatni przeglądała wiadomość, którą wczoraj koło północy Joe napisał na maszynie.

– Ratusz – odezwał się męski głos po drugiej stronie i Joe oddał słuchawkę Gracieli.

– Biorę odpowiedzialność za ostatni triumf nad amerykańskim imperializmem – przeczytała Graciela. – Słyszał pan o wybuchu bomby na USS „Mercy”?

Głos męczyzny wyraźnie dobiegł Joego:

– Tak, słyszałem.

– Przyznaje się do niego Zjednoczony Naród Andaluzji. Zapowiadamy bezpośredni atak na załogę statku i wszystkie amerykańskie siły zbrojne, dopóki Kuba nie wróci do swoich prawowitych właścicieli, narodu hiszpańskiego. Żegnam.

– Zaraz, zaraz! Ci marynarze. Proszę mi powiedzieć o ataku...

– Kiedy odłożę słuchawkę, będą już martwi.

Rozłączyła się i spojrzała na Joego.

– Teraz zaczniesz się dziać – powiedział.

Joe dotarł na miejsce w samą porę, by zobaczyć, jak ciężarówki konwoju suną nabrzeżem. Marynarze wysiadali grupkami po pięćdziesiąt osób. Poruszali się szybko, wodząc spojrzeniem po dachach.

Ciężarówki – każda wiozła około dwudziestu marynarzy – przemknęły po nabrzeżu jedna za drugą, a potem natychmiast się rozdzieliły. Jedna skierowała się na wschód, druga na południowy zachód, trzecia na północ i tak dalej.

– Widzisz Manny’ego? – spytał Joe.

Dion pokiwał głową ponuro i wskazał palcem coś za skrzyniami z bronią. Tam, na skraju nabrzeża, leżał płócienny worek ze zwłokami, związany w nogach, na piersi i szyi. Po jakimś czasie pojawiła się biała furgonetka, sanitariusze zabrali zwłoki i wywieźli je wraz z eskortą patrolu nabrzeża.

Wkrótce potem ostatnia ciężarówka konwoju włączyła silnik, zawróciła, zatrzymała się ze zgrzytem skrzyni biegów piskliwym jak wrzask mew, a potem podjechała tyłem do skrzyń. Marynarz wyskoczył z szoferki i otworzył pakę. Nieliczni pozostali na USS „Mercy” marynarze zaczęli schodzić na ląd. Wszyscy mieli automatyczne karabinki, a

większość – pistolety lub rewolwery. Bosman czekał na nich na nabrzeżu przy trapie.

Sal Urso, który pracował w centrali zakładów bukmacherskich Pescatore w południowej części Tamy, podszedł dyskretnie i podał Dionowi kluczyki.

Dion przedstawił go Joemu, który uścisnął mu rękę.

– Jest jakieś dwadzieścia metrów za nami. Pełen bank, mundury na siedzeniu. – Zmierzył Diona wzrokiem. – Niełatwo znaleźć coś dla pana.

Dion pacnął go w głowę, ale niezbyt mocno.

– Jak tam jest?

– Wszędzie gliny. Ale szukają Hiszpanów.

– Nie Kubańczyków?

Sal pokręcił głową.

– Narobiłeś hałasu w tym mieście, synku.

Ostatni marynarz zameldował swoją obecność i bosman zaczął wydawać rozkazy, wskazując skrzynki.

– Czas na nas – powiedział Joe. – Miło mi było, Sal.

– Wzajemnie. Do zobaczenia.

Wyplątali się z tłumu i znaleźli furgonetkę, o której mówił Sal. Dwutonowa ciężarówka ze stalową paką osłoniętą stalowymi prętami, na których rozpięto brezentową budę. Joe i Dion wskoczyli do szoferki, Joe wrzucił pierwszy bieg i ruszyli ze zrywem na Nineteenth Street.

Dwadzieścia minut później zatrzymali furgonetkę na poboczu trasy 41. Rósł tam las, sosny długoigielne – Joe nie spodziewał się, że drzewo może osiągnąć taką wysokość – oraz niższe gatunki, wyrastające z gęstej plataniny przerośniętych palm sabałowych, dębów zimozielonych i wrzośców. Sądząc po zapachu, gdzieś niedaleko na wschodzie znajdowały się bagna. Graciela czekała na nich przy drzewie, które podczas ostatniej burzy pękło na pół. Przebrała się ze zwykłej sukienki w krzykliwą wieczorową suknię z zygzakowatym rąbkiem. Złote paciorki, czarne cekiny i głęboki dekolt podkreślały jej piersi, a wyglądające zza materiału brzeżki stanika dopełniały wrażenia szampańskiej dziewczyny, która wczorajszego dnia zabalowała i obudziła się w o wiele bardziej niemiłym miejscu.

Joe spojrzał na nią i nie wysiadł. Usłyszał własny oddech.

– Mogę cię wyręczyć – zaproponował Dion.

– Nie. Mój plan, mój obowiązek.

– Nie masz problemu z przekazywaniem obowiązków w innych sprawach.

Joe odwrócił się i spojrział na Diona.

– Twierdzisz, że mam ochotę to zrobić?

– Widzę, jak na siebie patrzycie. – Wzruszył ramionami. – Może ona lubi na ostro. Może ty też.

– Co ty pieprzysz? Jak my na siebie patrzymy? Lepiej byś się zajął robotą, nie nią.

– Z całym szacunkiem – ty też.

Cholera, pomyślał Joe. Ledwie się upewnił, że go nie zabiję, a już zaczyna podskakiwać.

Wysiadł z furgonetki. Graciela patrzyła na niego, nie ruszając się z miejsca. Sama też już się przygotowała – w sukience na lewej łopatce miała rozdarcie, lekkie zadrapania na lewej piersi, a na dolnej wardze, którą przygryzła – krew. Właśnie ocierała ją chusteczką.

Dion wysiadł z ciężarówki. Oboje spojrzeli na niego. Trzymał mundur, który Sal Urso zostawił na siedzeniu.

– Róbcie swoje – powiedział. – Muszę się przebrać.

Zachichotał i poszedł na tył furgonetki.

Graciela wyciągnęła prawą dłoń.

– Nie masz wiele czasu.

Joe nagle zapomniał, jak bierze się kogoś za rękę. Wydało mu się, że to nienaturalne.

– Nie masz czasu – powtórzyła.

Ujął jej dłoń. Była twardsza niż ręce znanych mu kobiet. Jej wnętrze od całodziennego zwijania cygar zmieniło się w kamień, szczupłe palce były mocne jak kość słoniowa.

– Teraz? – spytał.

– Najlepiej.

Chwycił ją lewą ręką za nadgarstek, prawą za ramię. Przeciągnął po nim paznokciami. Kiedy dojechał do łokcia, przestał i odetchnął, bo miał wrażenie, że głowę wypełniły mu mokre gazety.

Wyrwała rękę z jego chwytu i obejrzała zadrapania.

– Muszą wyglądać prawdziwie.

– Dla mnie wyglądają jak cholera.

Wskazała na swój biceps.

– Są różowe. I zatrzymują się przy łokciu. Muszą krwawić, *bobo niño*, i sięgać aż do dłoni. Tak? Pamiętasz?

– Oczywiście, że pamiętam. To mój plan.

– To postępuj zgodnie z nim. – Wyciągnęła do niego rękę. – Wbij paznokcie i jedź.

Nie miał pewności, ale wydawało mu się, że zza ciężarówki dobiegł go śmiech. Tym razem mocno ścisnął ramię Gracieli i zatopił paznokcie w bladych śladach, które przed chwilą zostawił. Kobieta nie była aż tak odważna, jak się wydawało. Zacisnęła powieki i zadygotała.

– Cholera. Przepraszam.

– Szybko, szybko.

Spojrzała mu w oczy, a on pociągnął dłonią po wewnętrznej stronie jej ramienia, zdzierając skórę, rył głębokie wyrwy w jej ciele. Kiedy minął łokieć, syknęła i odwróciła ramię, żeby mógł rozedrzeć przedramię aż po nadgarstek.

Kiedy puścił jej rękę, uderzyła go nią.

– Chryste, przecież nie robię tego, bo mi to sprawia przyjemność.

– Tak twierdzisz. – Uderzyła go znowu, tym razem trafiając w szczękę i górną część szyi.

– Hej! Nie mogę się pokazać gwardzistom z pobitą głową.

– Więc lepiej mnie powstrzymaj. – Znowu się na niego zamachnęła.

Tym razem ustąpił, bo jej przekaz był wystarczająco wyraźny i zrobił to, co uzgodnili – i o czym lepiej się gadało, niż robiło, przynajmniej dopóki nie uderzyła go do krwi. Wierzch jego dłoni, o twardych kostkach, spotkał się z jej twarzą. Cios miotnął ją w bok, włosy zasłoniły twarz i tak przez chwilę stała, ciężko dysząc. Kiedy się wyprostowała, twarz jej poczerwieniała, skóra koło prawego oka drgała. Graciela splunęła w krzaki na poboczu.

Nie spojrzała na niego.

– Dalej sama sobie poradzę.

Chciał coś powiedzieć, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc podszedł do szoferki. Dion czekał już w niej na niego. Joe zatrzymał się, otwierając drzwi i obejrzał się na Gracielę.

– Czuję się z tym ohydnie.

– A jednak – splunęła na drogę – taki plan obmyśliłeś.

Na drodze Dion powiedział:

– Hej, ja też nie lubię ich bić, ale czasami one szanują tylko to.

– Nie uderzyłem jej dlatego, że zasłużyła.

– Nie, uderzyłeś ją, żeby mogła zdobyć karabiny dla swoich kochanych przyjaciół na Wyspie Grzechu. – Wzruszył ramionami. – Gówniany fach, więc robimy gówniane rzeczy. Poprosiła cię o zdobycie broni. Ty znalazłeś sposób, żeby to zrobić.

– Na razie jej nie zdobyłem – odparł Joe.

Zatrzymali się po raz ostatni, żeby Joe mógł się przebrać w mundur. Dion zapukał w ścianę między szoferką i tyłem furgonetki, mówiąc:

– Wszyscy mają siedzieć cicho jak myszy, kiedy kot jest w pobliżu. *Comprende?*

Z tyłu dobiegło chóralne „*Sí*”, a potem słychać było już tylko wszechobecne owady w drzewach.

– Gotowy? – spytał Joe.

Dion klepnął dłonią w drzwi.

– A niby dlaczego codziennie wstaję, brachu?

Arsenał Gwardii Narodowej znajdował się w części Tamy, niepodlegającej żadnemu gangowi, na północnym końcu Hillsborough County, w dzikiej okolicy pełnej gajów cytrusowych, bagien porośniętych cypryśnikami i łąk, na których wysuszone przez słońce, kruche chwasty tylko czekały na okazję, żeby zająć się ogniem i zmienić całe hrabstwo w zgliszcza.

Przy bramie stali dwaj strażnicy, jeden z coltem kaliber czterdzieści pięć, drugi z automatycznym karabinem Browninga, dokładnie z taką bronią, jaką zamierzali ukraść. Strażnik z coltem był wysoki, chudy, miał czarne sterczące włosy i zapadnięte policzki bardzo starego człowieka albo bardzo młodego człowieka z fatalnym uzębieniem. Chłopiec z karabinem ledwie wyrósł z pieluch; nastolatek o ciemnorudych włosach i patrzył tępo. Czarne wągry obsiały mu twarz jak pieprz.

Ten nie stanowił problemu, ale chudzielec niepokoił Joego. Było w nim coś zbyt przyczajonego, zbyt ostrego. Nie spieszył się, patrząc na człowieka i nie obchodziło go, co inni o tym pomyślą.

– To was wysadzili? – Jego zęby, zgodnie z podejrzeniami Joego, były szare i przekrzywione; kilka odchyliło się do środka, jak stare nagrobki na zalanym cmentarzu.

Dion skinął głową.

– Wyrwało nam dziurę w burcie.

Chudy chłopak spojrzał na niego.

– E, gruby, ile zapłaciłeś, żeby przejść ostatni test kondycyjny?

Ten niski wyszedł z szopy z karabinem opartym leniwie na ramieniu i lufą biegnącą przez biodro. Przeszedł wzdłuż furgonetki, nieco uchylając usta, jakby miał nadzieję, że zacznie padać.

Strażnik przy drzwiach powiedział:

– Zadałem ci pytanie, gruby.

Dion uśmiechnął się sympatycznie.

– Pięćdziesiąt dolców.

– Tyle zapłaciłeś?

– No.

– To okazyjna cena. A komu zapłaciłeś?

– Że co?

– Nazwisko i ranga osoby, której dałeś pieniądze.

– Starszy bosman Brogan – palnął Dion. – A co, zamierzasz iść w moje ślady?

Chłopak mrugnął i uśmiechnął się zimno, ale milczał. Po prostu stał, aż jego uśmiech się rozwiął.

– Ja nie przyjmuję łapówek.

– Dobrze – odezwał się Joe. Nerwy nie wytrzymały.

– Dobrze?

Joe skinął głową i powstrzymał ochotę, by uśmiechnąć się jak idiota, pokazać, jaki jest miły.

– Wiem, że to dobrze. Wiem.

Joe milczał.

– Wiem, że dobrze – powtórzył chłopak. – Robię wrażenie, jakbym potrzebował w tej sprawie porady?

Joe nie odpowiedział.

– Nie potrzebuję – oznajmił chłopak.

Na tyle ciężarówky coś łupnęło i chłopak spojrział w tamtą stronę, szukając swojego partnera, a kiedy znowu przeniósł wzrok na Joego, spojrział prosto w lufę savage'a kaliber trzydzieści dwa.

Oczy chłopaka spojrzały zezem w czerń lufy; jego oddech stał się ciężki i przeciągły. Dion wysiadł z furgonetki, podszedł do chłopaka i uwolnił go od colta.

– Koś, kto ma takie zęby jak ty – powiedział Dion – nie powinien się czepiać innych. Ktoś z takimi zębami powinien trzymać głowę na kłódkę.

– Tak jest – szepnął chłopak.

– Jak się nazywasz?

– Perkin, proszę pana.

– No, to Perkinproszępana, ja i mój kolega zastanowimy się, czy pozwolimy ci dalej żyć. Jeśli podejmiemy decyzję korzystną dla ciebie, zorientujesz się, bo nie umrzesz. Jeśli nie, zrobimy to dlatego, żebyś nauczył się uprzejmości. A teraz ręce na plecy, gnoju.

Najpierw z ciężarówky wysiedli gangsterzy Pescatore – czterech osiłeków w letnich garniturach i kwiecistych krawatach. Popchnęli przed sobą rudego chłopaka, Sal Urso wbił mu lufę karabinu w plecy. Chłopak bełkotał, że nie chce dziś umrzeć, nie dziś. Po nich wysiedli Kubańczycy, około trzydziestu, na ogół ubrani w białe spodnie ściągane sznurkiem i białe koszule z rozszerzonym dołem, które Joemu skojarzyły się z piżamami. Wszyscy mieli karabiny lub pistolety. Jeden niósł maczetę, inny dwa wielkie noże. Dowodził nimi Esteban. Miał na sobie ciemnozieloną tunikę i także spodnie, strój robotnika rolnego – jak założył Joe – w sam raz dla rewolucjonistów z republiki bananowej. Skinął głową Joemu, wchodząc wraz ze swoimi ludźmi na teren arsenału i rozstawił ich wzdłuż zaplecza budynku.

– Ilu ludzi jest w środku? – spytał Joe Perkina.

– Czternastu.

– Czemu tak mało?

– Środek tygodnia. Jakbyście przyszli w weekend... – W oczach chłopaka pojawił się cień dawnej złośliwości. – ...to byście dopiero zobaczyli.

– Na pewno. – Joe wysiadł z ciężarówky – Ale na razie, Perkin, muszę się zadowolić tobą.

Jedynym facetem, który nie stchórzył na widok trzydziestu uzbrojonych Kubańczyków, zalewających korytarze arsenału, był olbrzym. Joe podejrzewał, że miał pewnie ze dwa metry, może więcej. Ogromna głowa, końska szczeka i bary ciężarowca.

Rzucił się na trzech Kubańczyków, którzy mieli rozkaz nie strzelać. Mimo to otworzyli ogień. Niecelny. Kule ominęły go o jakieś sześć metrów i trafiły innego Kubańczyka, który biegł za plecami olbrzyma.

Joe i Dion znajdowali się tuż za rannym Kubańczykiem. Chłopak obrócił się wokół własnej osi i runął im do stóp jak przewrócony kręgiel. Joe krzyknął:

– Przerwać ogień!

– *Dejar de disparar! Dejar de disparar!* – ryknął Dion.

Przestali strzelać, ale Joe nie wiedział, czy nie tylko po to, żeby przeładować rozklekotane karabiny. Chwycił broń trafionego Kubańczyka, złapał ją za lufę i zamachnął się na olbrzyma, który przykucnął, gdy zaczęła się strzelanina, a teraz właśnie się prostował. Joe walnął go kolbą w skroń; olbrzym odbił się od ściany i rzucił się na niego, wywijając ramionami. Joe zmienił chwyt i grzmotnął kolbą, przebijając się przez wiatrak rąk i trafił olbrzyma w nos. Usłyszał trzask i odgłos gruchotanej kości policzkowej, gdy kolba ześliznęła się z twarzy mężczyzny. Upuścił karabin, kiedy olbrzym upadł. Wyjął z kieszeni kajdanki, Dion sięgnął po rękę faceta, Joe po drugą i skuli mu je na plecach. Mężczyzna sapał głośno, a kałuża jego krwi rosła na podłodze.

– Przeżyjesz? – spytał go Joe.

– Zabiję cię.

– Znaczący przeżyjesz. – Joe odwrócił się do trzech skorych do strzelania Kubańczyków. – Weźcie jeszcze jednego i zanieście tego gościa do celi.

Spojrzał na rannego Kubańczyka, który kulił się na podłodze z otwartymi ustami, chrapliwie łapiąc powietrze. Niedobrze to brzmiało i niedobrze wyglądało – chłopak był biały jak kreda, a z jego brzucha płynęło zbyt dużo krwi. Joe przykląkł przy nim, ale w tej samej chwili Kubańczyk przestał oddychać. Oczy miał otwarte, wzniesione w górę i trochę w prawo, jakby usiłował sobie przypomnieć datę urodzin żony albo gdzie zostawił portfel. Leżał na boku, przygniatając sobie rękę, druga spoczywała nad jego głową. Koszulę miał zadartą, brzuch odsłonięty.

Trzej mężczyźni, którzy go zabili, przeżegnali się i wywlekli olbrzyma, mijając z nim chłopaka i Joego.

Zmarły – Joe zamknął mu oczy — wyglądał bardzo młodo. Mógł mieć dwadzieścia lat, ale równie dobrze szesnaście. Joe przewrócił go na plecy i złożył mu rękę. Z rany wielkości dziesiątaka tuż pod ostatnimi żebrami zmarłego wypłynęła ciemna krew.

Dion i jego ludzie ustawili strażników po ścianą. Kazano im się rozebrać do bielizny.

Zastrzelony chłopiec miał na palcu obrączkę. Wyglądała jak zrobiona z blachy. Pewnie można by znaleźć gdzieś przy nim zdjęcie żony, ale Joe nie zamierzał szukać.

Chłopak nie miał jednego buta. Pewnie mu spadł, kiedy dostał postrzał, ale Joe za cholere nie mógł go znaleźć. Gdy strażnicy przemaszerowali obok niego w bieliźnie, zaczął szukać buta na korytarzu.

Nic z tego. Może chłopiec go przygniótł. Mógłby znowu przetoczyć ciało, żeby sprawdzić – znalezienie buta wydawało mu się ważne – ale oczekiwano go przy bramie i musiał się przebrać w inny mundur.

Czuł na sobie spojrzenie znudzonych lub obojętnych bogów, gdy obciągnął zadartą koszulę chłopca, zasłaniając mu brzuch i zostawił go tak, z jedną stopą obutą, drugą bosą, w kałuży własnej krwi.

Broń przybyła pięć minut później, kiedy do bramy podjechała furgonetka. Kierował nią marynarz nie starszy od chłopca, którego śmierć Joe widział przed chwilą, ale obok niego siedział bosman po trzydziestce, z opalenizną na stałe wżartą w twarz. Miał na biodrze colta kaliber czterdzieści pięć z kolbą wytartą od częstego używania. Jedno spojrzenie w jego jasne oczy wystarczyło, by Joe zrozumiał, że gdyby na niego napadło w korytarzu tych trzech Kubańczyków, to oni w tej chwili leżeliby na podłodze, nakryci prześcieradłami.

Dokumenty, które wręczyli, wystawiono na nazwiska starszego marynarza Orwitta Pluffa i bosmana Waltera Craddicka. Joe oddał im dokumenty wraz z podpisanymi rozkazami.

Craddick przekrzywił głowę i zostawił jego rękę zawieszoną w powietrzu.

– To do waszych akt.

– Racja. – Joe cofnął rękę. Uśmiechnął się przepaszająco, ale bez wielkiej skruchy. – Wczoraj za bardzo zabalowałem w Ybor. Wiesz, jak to jest.

– Nie, nie wiem. – Craddick pokręcił głową. – Ja nie piję. To wbrew prawu. – Spojrzał przed siebie. – Mamy podjechać do tej rampy?

– Tak. Możecie to wyładować, a my zabierzemy wszystko do środka.

Craddick przyjrzał się naszywkom Joego.

– Mamy rozkazy dostarczyć i zabezpieczyć broń, kapralu. Zaniesiemy ją do samego magazynu.

– Doskonale – powiedział Joe. – Podjedźcie do tej rampy.

Podniósł szlaban, po drodze łapiąc spojrzenie Diona. Ten mruknął coś do Lewusa Downera, najcwańszego z czterech facetów, których ze sobą zabrał, i odszedł do arsenału.

Joe, Lewus i trzej inni ludzie Pescatore – wszyscy przebrani za kaprali – zbliżyli się do stojącej przy rampie wyładunkowej ciężarówki. Lewus został wybrany do tej roboty,

bo miał łeb i nie tracił spokoju. Pozostali trzej: Cormarto, Fasani i Parone – znaleźli się w tej grupie, ponieważ mówili po angielsku bez akcentu. Wyglądali niemal jak niedzielni żołnierze z gwardii, tyle że Parone miał za długie włosy nawet jak na gwardzistę.

Joe nie spał dobrze – właściwie prawie nie zmrzył oka – od dwóch dni i teraz dawało się to we znaki przy każdym kroku, każdej myśli, którą usiłował sformułować.

Gdy ciężarówka zbliżała się do rampy, poczuł na sobie wzrok Craddicka. Nie wiedział, czy facet jest po prostu podejrzliwy z natury, czy też miał powód, żeby się zaniepokoić. Potem dotarła do niego myśl, która ścisnęła mu żołądek aż do mdłości.

Opuścił swój posterunek.

Zostawił bramę bez ochrony. Żaden żołnierz by tego nie zrobił, nawet skacowany gwardzista.

Obejrzał się nerwowo, pewny, że zobaczy puste miejsce przy bramie, w każdej chwili spodziewając się strzału w plecy z colta Craddicka, alarmu, ale w strażnicy stał na baczność Esteban Suarez w mundurze kaprała, dla każdego z wyjątkiem najbardziej dociekliwych obserwatorów nieodróżnialny od żołnierza.

Estebanie, pomyślał Joe, prawie cię nie znam, ale mógłbym cię ucałować w czoło.

Obejrzał się na ciężarówkę; Craddick już na niego nie patrzył. Mówił coś do starszego marynarza, który zaciągnął hamulec, a potem wyłączył silnik. Wyskoczył z szoferki, krzyknął rozkaz i zanim Joe do niego doszedł, marynarze stali już na rampie, a paka ciężarówki była otwarta.

Craddick podał mu dokument.

– Parafka na pierwszej i trzeciej stronie, podpis na drugiej. Wyraźnie stwierdzamy, że zostawiamy tę broń pod waszą opieką na nie mniej niż trzy godziny i nie więcej niż trzydzieści sześć godzin.

Joe podpisał się „Albert White, sierż. sztab. GNUSA”, złożył inicjały tam, gdzie mu kazano i oddał dokument.

Craddick spojrzął na Lewusa, Cormarto, Fasaniego i Parone, po czym przeniósł spojrzenie na Joego.

– Pięciu ludzi? Tylu tylko macie?

– Powiedziano nam, że wy przywieziecie tragarzy. – Joe wskazał dwunastu marynarzy na rampie.

– Całe wojsko – oznajmił Craddick. – Zakłada ręce, kiedy przychodzi do ciężkiej orki.

Joe zmrzył oczy w ostrym słońcu.

– I dlatego się spóźniliście? Bo tak ciężko pracowaliście?

– Słucham?

Joe najeżył się – nie tylko dlatego, że go poniosło, ale żeby nie obudzić podejrzeń.

– Mieliście tutaj być pół godziny temu.

– Piętnaście minut. I coś nas zatrzymało.

– Co?

– Nie powiedziałbym, że to powinno was zainteresować, kapralu. – Craddick podszedł bliżej. – Ale prawda wygląda tak, że zatrzymała nas kobieta.

Joe spojrzął na Lewusa i jego ludzi, parsknął śmiechem.

– Tak, kobiety to ciężka orka.

Lewus zachichotał, podobnie jak jego chłopcy.

– Dobra, dobra. – Craddick uniósł rękę i uśmiechnął się, by pokazać, że docenia żart. – No, to akurat była piękność, chłopaki. Zgadza się, Pluff?

– Tak jest. Miła dla oka. I pewnie nie tylko dla oka.

– Trochę za ciemna jak na mój gust – powiedział Craddick. – Ale stała na środku drogi, nieźle wytarמושona przez swojego faceta. Dobrze, że ten czarnuch jej nie pociął, bo strasznie są prędcy do noża.

– Zostawiliście ją tam?

– Pilnuje jej marynarz. Zabierzemy go po drodze – jeśli wreszcie pozwolicie nam wyładować tę broń.

– Dobra – przyzwolił Joe i cofnął się o krok.

Craddick może trochę odpuścił, ale pozostał czujny. Wszystko zauważał. Joe nie opuszczał go ani na krok; gdy Craddick ujął sznurkowy uchwyt skrzyni, Joe chwycił ten po drugiej stronie. Idąc korytarzem, który prowadził z rampy do magazynu, widzieli przez okna następny korytarz i biura za nim. Dion umieścił w pomieszczeniach biurowych wszystkich jasnoskórych Kubańczyków, kazał im siedzieć tyłem do okien i pisać byle co na maszynach lub trzymać przy uchu słuchawki telefonów – widełki blokowali palcem. Mimo to, gdy przemierzał po raz drugi tę samą trasę, uświadomił sobie, że wszystkie widoczne przez okna głowy mają czarne włosy. Ani jednego blondyna czy rudego.

Craddick szedł, wyglądając przez okno. Na razie nie zauważył, że w korytarzu, który dzielił ich od biur, niedawno doszło do zbrojnego napadu i śmierci człowieka.

– Gdzie służyłeś za granicą? – spytał Joe.

Craddick nie odwracał wzroku od okien.

– Skąd wiecie, że byłem za granicą?

Dziury po kulach, pomyślał Joe. Zastrani szybkostrzelni Kubańczycy zostawili w ścianach dziury.

– Wyglądasz na kogoś, kto był w akcji.

Craddick spojrzał na niego.

– Rozpoznajesz żołnierzy, którzy walczyli?

– Dzisiaj tak. Przynajmniej w twoim przypadku.

– Omal nie zastrzeliłem tej czarnej na drodze – rzucił Craddick lekko.

– Naprawdę?

– Cholerne brudasy chciały nam wysadzić statek. A moi chłopcy jeszcze nie wiedzą, że zagroziły też całej załodze. Powiedziały, że wszystkich nas dzisiaj zabijają.

– Tego nie słyszałem.

– Bo jeszcze nie nagłośniono. Kiedy zobaczyłem tę czarną, machającą do nas na środku autostrady, pomyślałem: Walterze, strzel tej dziwce między cyce.

Dotarli do magazynu i ustawili skrzynię na pierwszej stercie po lewej. Cofnęli się, a Craddick przyłożył chusteczkę do spoconego czoła. Marynarze z ostatnimi skrzyniami przeszli obok nich.

– I zrobiłbym to, ale miała oczy mojej córki.

– Kto?

– Ta czarna. Mam córkę z czasów, kiedy służyłem na Dominikanie. Nie widuję jej, ale jej mama przysyła mi zdjęcia. Ma takie wielkie czarne oczy jak większość kobiet z Karaibów. Dzisiaj zobaczyłem te oczy i schowałem broń.

– Bo już ją wyjąłeś?

– Wyjmowałem. Nie mogłem przestać myśleć: po co ryzykować? Zlikwiduj sukę. Białego nie czeka za to więcej niż nagana. Ale... – Wzruszył ramionami. – Oczy mojej córki.

Joe nie odpowiedział. Szumiało mu w uszach.

– Kazałem to zrobić chłopakowi.

– Co?

Craddick pokiwał głową.

– Jednemu z naszych, chyba nazywa się Cyrus. Rwie się na wojnę, tylko na razie żadnej nie znalazł. Ta czarna zobaczyła jego spojrzenie i zaczęła uciekać. Ale Cyrus

wychował się na bagnach niedaleko granicy Alabamy. Dziewczynę powinien znaleźć bez problemu.

– Gdzie ją zabierzecie?

– Nigdzie. Ona nas zaatakowała. A jeśli nie ona, to jej bracia. Cyrus zrobi z nią, co zechce, a resztę zostawi gadom.

– Włożył do ust krótkie cygaro i potarł zapałkę o podeszwę. Spojrzał na Joego przez płomień. – Potwierdzam twój domysł – tak, synu, widziałem wojnę. Zabiłem jednego człowieka na Dominikanie, a na Haiti całe tłumy. Parę lat temu jedną serią skasowałem trzech na Panamie, bo zbili się w grupkę i modlili, żebym tego nie zrobił. Prawda jest taka – i nie daj sobie wmówić, że jest inaczej... – Craddick zapalił cygaro i wyrzucił zapałkę za siebie – ...że to sprawia przyjemność.

# ROZDZIAŁ 16

## GANGSTER

Od razu po odjeździe marynarzy Esteban rzucił się do samochodu. Joe przebrał się w zwykłe ubranie. Dion podjechał ciężarówką do rampy, na którą Kubańczycy znowu zaczęli przenosić skrzynie.

– Panujesz nad tym? – spytał Joe.

Dion uśmiechnął się szeroko.

– Czy panuje? Jak król. Leć po nią. Zobaczymy się za godzinę w umówionym miejscu.

Esteban podjechał dżipem, Joe wskoczył do niego i ruszyli trasą 41. Po pięciu minutach zobaczyli ciężarówkę transportową oddaloną o jakiś kilometr i jadącą drogą tak prostą i płaską, że na jej końcu widać było Alabamę.

– Skoro my widzimy ich, to oni widzą nas – powiedział Joe.

– Już niedługo – mruknął Esteban.

Po lewej stronie pojawiła się droga. Biegła wśród krzaków, przecinała autostradę wysypaną tłuczniem i znowu zniknęła wśród zarośli po drugiej stronie. Esteban skręcił w lewo; nawierzchnia składała się ze żwiru i ziemi, przy czym ziemia miejscami zmieniała się w błoto. Esteban prowadził tak, jak Joe się czuł – dziko i bez litości.

– Jak się nazywał? – odezwał się Joe. – Ten chłopiec, który zmarł?

– Guillermo.

Joe zobaczył znowu oczy zabitego. Nie chciał znaleźć Gracieli z takim samym spojrzeniem.

– Nie powinniśmy jej tam zostawiać. – Esteban pokręcił głową.

– Wiem.

– Powinniśmy założyć, że zostawią z nią kogoś.

– Wiem.

– Powinniśmy zostawić z nią kogoś z naszych, w ukryciu.

– Kurwa, wiem! Czy to nam teraz pomoże?

Esteban dodał gazu i samochód przeskoczył wyrwę w drodze. Spadł na ziemię po drugiej stronie tak gwałtownie, że Joe przestraszył się, czy rozpedzony dżip nie przeokołkuje, lądując na ich durnych łbach.

Ale nie kazał Estebanowi zwolnić.

– Znam ją, odkąd była nie większa od psów w mojej rodzinnej posiadłości.

Joe nie odpowiedział. Z lewej za sosnami majaczyło bagno. Po ich obu stronach przemykały cypryśniki, ambrowce i rośliny, których Joe nawet nie rozpoznawał, zlewały się ze sobą tak, że zielenie i żółcienie wyglądały jak plamy na obrazie.

– Pochodzi z rodziny wędrownych wyrobników. Powinieneś zobaczyć tę wioskę, którą raz na parę miesięcy nazywała domem. Ameryka nie wie, co to bieda, jeśli nie widziała takich wiosek. Mój ojciec zauważył, że Graciela jest inteligentna i spytał jej rodzinę, czy mógłby ją zatrudnić jako pokojówkę. Tak naprawdę wynajął mi przyjaciółkę. Nie miałem żadnej życzliwej duszy oprócz koni i bydła.

Kolejny wykrot na drodze.

– Dziwną porę wybrałaś, żeby mi o tym opowiedzieć – zauważył Joe.

– Kochałem ją – oznajmił Esteban, przekrzykując silnik.

– Teraz kocham kogoś innego, ale przez wiele lat myślałem, że kocham Gracielę.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na Joego, który pokręcił głową i wskazał przed siebie.

– Patrz na drogę, Esteban.

Samochód tak podskoczył na kolejnym wykrocie, że wstrząs poderwał ich z siedzeń.

– Powiedziała, że robi to wszystko dla swojego męża.

– Rozmowa pomagała w opanowaniu strachu, sprawiała, że Joe czuł się mniej bezradny.

– Ach... To żaden mąż. Żaden mężczyzna.

– Myślałem, że to rewolucjonista?

Esteban splunął.

– To złodziej, to... to... *estafador*. Nazywacie ich oszustami, tak? Odgrywa rolę rewolucjonisty, recytuje wiersze, a ona się w nim zakochuje. Traci dla niego wszystko – rodzinę, pieniądze, których nie miała wiele, większość przyjaciół z wyjątkiem mnie. – Pokręcił głową. – Teraz nawet nie wie, gdzie go szukać.

– Myślałem, że siedzi w więzieniu.

– Wyszedł dwa lata temu.

Kolejny wykrot. Tym razem rzuciło ich w bok i tylny błotnik po stronie Joego zahaczył o małą sosenkę, zanim znowu wrócili na drogę.

– Ale ona nadal wysyła pieniądze jego krewnym.

– Bo ją okłamują. Mówią, że uciekł, że ukrywa się w górach, że ścigają go *los chacales* z więzienia Nieves Morejón oraz ludzie Machado. Wmawiają jej, że nie może wrócić na Kubę, żeby się z nim spotkać, bo narazi na niebezpieczeństwo ich oboje. Josephie, tego człowieka nie ściga nikt oprócz wierzycieli. Ale nie możesz tego powiedzieć Gracieli; ona nie chce słuchać.

– Dlaczego? To inteligentna kobieta.

Esteban zerknął na niego i wzruszył ramionami.

– Wszyscy chcemy wierzyć w kłamstwa, które sprawiają nam większą ulgę niż prawda. Ona też. Jej kłamstwo jest po prostu większe.

Przegapili zjazd, ale Joe dostrzegł go kątem oka i kazał Estebanowi się zatrzymać. Przejechali poślizgiem jeszcze dwadzieścia metrów, zanim wreszcie stanęli. Wtedy wrócili i skręcili na jezdnię.

– Ilu ludzi zabiłeś? – spytał Esteban.

– Żadnego.

– Ale jesteś gangsterem.

Joe nie widział sensu w roztrząsaniu różnicy między gangsterem i wyjętym spod prawa, bo nie wiedział, czy sam ją jeszcze dostrzega.

– Nie wszyscy gangsterzy zabijają.

– Ale pewnie jesteś gotowy.

Joe przytaknął.

– Tak, jak ty.

– Jestem biznesmenem. Zapewniam ludziom produkt, którego pragną. Nikogo nie zabijam.

– Dostarczasz broń kubańskim rewolucjonistom.

– To dla sprawy.

– Przez tę sprawę zginą ludzie.

– Istnieje między nami różnica. Ja zabijam za coś.

– Tak? Za jakiś zasrany ideał?

- Dokładnie.
- A co to za ideał, Estebanie?
- Nikt nie powinien rządzić innymi.
- Zabawne. Wyjęci spod prawa zabijają z tego samego powodu.

Nie było jej.

Wyjechali z sosnowego lasu, zbliżyli się do trasy 41 i nigdzie nie widzieli Gracieli ani marynarza, który miał na nią polować. Nic, tylko upał, brzęk ważek i biała droga.

Przejechali jeszcze kilometr trasą, potem wrócili na ubitą drogę i przebyli nią kolejny kilometr na północ. Gdy znowu zawrócili, Joe usłyszał coś, co wydało mu się skrzeczeniem wrony lub jastrzębia.

- Wyłącz silnik, wyłącz silnik.

Esteban usłuchał. Obaj wstali i spojrzeli na drogę, sosny, trzęsawisko za nimi i rozpalone niemiłosierne niebo, tak samo białe jak jezdnia.

Nic. Nic, tylko brzęk ważek, który chyba nigdy nie cichł – rano, w południe, czy w nocy, jakby żyło się z uchem wiecznie przyłożonym do szyn tuż po przejeździe pociągu.

Esteban usiadł. Joe także zaczął opadać na siedzenie, ale nagle się poderwał.

Wydawało mu się, że zobaczył coś na wschodzie, tam, skąd przyjechali, coś, co...

- Tam – wskazał, a kiedy to zrobił, Graciela wybiegła zza kępy sosen. Nie rzuciła się w ich stronę; Joe zrozumiał dlaczego, docenił jej inteligencję. Gdyby tak zrobiła, musiałaby przebiec jakieś pięćdziesiąt metrów przez zarośla niskich palm i sosenek.

Esteban włączył silnik; zjechali z pobocza w rów i zawrócili. Joe przytrzymał się przedniej szyby. Teraz słyszał już strzały; ostre trzaski, dziwnie stłumione, choć wokół nich nic się nie działo. Ze swojego miejsca nie widział strzelającego, ale widział bagno i wiedział, że Graciela kieruje się w jego stronę. Trącił stopą Estebana i machnął ręką w lewo, bardziej na południowy zachód.

Skręcili i Joe zobaczył nagle błysk ciemnego błękitu, krótką eksplozję, a potem głowę mężczyzny. Huknął strzał. Graciela upadła w bagno na kolana; Joe nie wiedział, czy dostała, czy tylko się potknęła. Zjechali z twardego gruntu, mijając strzelca po prawej stronie. Esteban zwolnił, wjeżdżali w bagno. Joe wyskoczył z samochodu.

Czuł się, jakby wylądował na księżycu – gdyby księżyc był zielony. Szyszki cypryśnika wisały niczym wielkie jaja nad mlecznozieloną wodą, prehistoryczne banany o tuzinie lub więcej pni trzymały straż niczym pałacowi gwardziści. Esteban skręcił w prawo w tej samej chwili, gdy Graciela śmignęła między dwa drzewa po jego lewej

stronie. Coś nieprzyjemnie ciężkiego przepęzło Joemu po stopach; usłyszał huk broni, tym razem bliższy. Kula wyrwała kawał kory z pnia drzewa, za którym kryła się Graciela.

Młody marynarz wyszedł zza cypryśnika jakieś trzy metry dalej. Wzrostem i budową ciała przypominał Joego, włosy miał całkiem rude, twarz bardzo chudą. Trzymał springfielda uniesionego do strzału, spoglądał w celownik, lufę skierował w stronę drzewa. Joe wyciągnął automatyczny pistolet i odetchnąwszy głęboko, strzelił do marynarza. Karabin drgnął, podskoczył w górę i upadł. Joe założył, iż trafił właśnie w niego, ale chwilę później w wodę koloru herbaty osunął się także marynarz; spod jego lewej pachy wypłynęła krew, zabarwiając trzęsawisko.

– Graciela! – krzyknął Joe. – To ja. Żyjesz?

Wyjrzała zza drzewa i Joe skinął głową. Esteban podjechał dżipem; Graciela wsiadła.

Joe wziął karabin i spojrzał na marynarza. Chłopak siedział w wodzie, otoczywszy kolana rękami, ze spuszczoną głową, jakby tylko się zasapał i usiłował złapać oddech.

Graciela wysiadła z dżipa. Właściwie prawie z niego wypadła. Joe podtrzymał ją; poczuł, że jej ciało dygocze od adrenaliny, jakby ktoś ją poraził prądem.

Za marynarzem w namorzynach coś się poruszało. Coś długiego i tak ciemnozielonego, że wydawało się prawie czarne.

Marynarz, otwartymi ustami, łapiąc powietrze, patrzył na Joego.

– Jesteś biały.

– Tak.

– To po cholere do mnie strzeliłeś?

Joe spojrzał na Estebana, a potem na Graciele.

– Jeśli go tutaj zostawimy, coś go za parę minut zeżre. Więc albo go weźmiemy, albo...

Słyszał chłupot coraz liczniejszych stworzeń, tym liczniejszych, im dłużej krew marynarza wsączała się w zielone bagno.

– Albo go weźmiemy, albo... – powtórzył Joe.

– Za dobrze się jej przyjrzał – powiedział Esteban.

– Wiem.

– Dla niego to była zabawa – odezwała się Graciela.

– Co?

– Polowanie na mnie. Chichotał jak dziewczyna.

Joe spojrział na marynarza, a ten spojrział na niego. Gdzieś w głębi oczu chłopaka lśnił strach, ale poza tym widać było tylko zuchwałość i zawziętość wieśniaka z dziczy.

– Jeśli chcesz, żebym błagał, to się...

Joe strzelił mu w twarz; z rany wylotowej bryznął róż, ochlapując okoliczne paprocie. Aligatory w bagnie miotnęły się z nadzieją.

Graciela krzyknęła mimowolnie; mało brakowało, a Joe też by sobie na to pozwolił. Esteban spojrział na niego i skinął głową – chyba dziękując za wyręczenie w nieuniknionej robocie, na którą nikt nie miał ochoty. Cholera jasna. Joe stał w zapachu prochu, z hukiem wystrzału jeszcze brzęczącym w uszach, z trzydziestkądwójką, z której lufy sączyła się smużka dymu nie większa niż ta z papierosa – nie mógł uwierzyć, że to naprawdę zrobił.

U jego stóp leżał martwy człowiek. Właściwie stracił życie tylko dlatego, że Joe się urodził.

Bez słowa wsiedli do dżipa. Dwa aligatory, jakby tylko na to czekały, jednocześnie rzuciły się na ciało – jeden wypelzł z namorzynów, człapiąc rozkołysanym krokiem jak zapasiony pies, drugi podpłynął wodą wśród lilii wodnych tuż obok dżipa. Dotarły do zwłok w tym samym czasie. Jeden szarpnął za rękę, drugi zajął się nogą.

Tymczasem Esteban ruszył wśród sosen na południowy wschód, wzdłuż bagien i równoległe do jezdni, choć jeszcze na nią nie skręcił.

Joe i Graciela siedzieli z tyłu. Tego dnia ludzie i aligatory nie byli jedynymi drapieżnikami na trzęsawisku: na jego skraju stała pantera, chleptała rdzawą wodę. Jej sierść zlewała się z brązem kory niektórych drzew; Joe by jej nie zauważył, gdyby nie podniosła na niego oczu, kiedy ją minęli, oddaleni o dwadzieścia metrów. Mogła mieć co najmniej półtora metra długości; wyglądała jak wcielenie wdzięku i siły. Jej podbrzusze i szyja były w odcieniu kremowej bieli, z mokrego futra unosiła się para. Zwierzę przyglądało się samochodowi – nie, właściwie nie samochodowi, a Joemu. Spojrział w jego przejrzyste oczy – prastare, żółte i bezlitosne jak słońce. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy w głowie głos zwierzęcia:

*Nie uciekniesz przed tym.*

Przed jakim „tym”? chciał spytać, ale Esteban skręcił, oddalił się od trzęsawiska, najechał gwałtownie na korzenie przewróconego drzewa, samochodem zatrzęsło, a kiedy Joe znowu się obejrzał, pantera znikła. Powiódł wzrokiem wśród drzew, szukając jej, ale już nie zobaczył.

– Widziałaś ją?

Graciela spojrzała na niego pytająco.

– Panterę – dodał.

Zmrużyła oczy, jakby podejrzewała, że dostał udaru słonecznego. Pokręciła głową. Wyglądała strasznie – spod zadrapań prawie nie było widać jej skóry. Twarz była spuchnięta – owszem, od jego uderzenia, ale też od ukąszeń moskitów i końskich much, a także jadowitych mrówek, które zostawiły na jej stopach i łydkach białe pasy z czerwonymi obrączkami. Sukienkę miała rozdartą na ramieniu i lewym biodrze, dół spódnicy zmienił się w strzępy. Gdzieś zgubiła buty.

– Możesz to już schować – powiedziała.

Joe poszedł za jej spojrzeniem i uświadomił sobie, że w prawej ręce nadal trzyma broń. Zabezpieczył ją i włożył do kabury na plecach.

Esteban skręcił na trasę i wdepnął pedał gazu tak mocno, że dżip zadygotał, zanim wyprysnął naprzód. Joe zapatrzył się na uciekającą spod kół nawierzchnię z kruszonych muszelek, na bezlitosne słońce na bezlitosnym niebie.

– Mogłam przez ciebie zginąć. – Wiatr rozrzucił mokre włosy Gracieli po jej twarzy i szyi.

– Wiem.

– Polował na mnie jak na wiewiórkę na obiad. Ciągłe powtarzał „Kotku, kotku, strzelę ci w nogę, a potem sobie poużywam”. Czy „poużywam” znaczy...?

Joe skinął głową.

– A gdybyś mu darował życie, aresztowaliby mnie. A potem ciebie.

Przytaknął. Zauważył ślady po ukąszeniach owadów widoczne na jej kostkach, powiódł spojrzeniem po łydkach, sukience, aż do oczu. Wytrzymała, gdy mierzyli się wzrokiem, potem odwróciła głowę. Patrzyła na gaj pomarańczowy. Po chwili znowu na niego.

– Myślisz, że mam wyrzuty sumienia? – spytał.

– Nie wiem.

– Nie mam.

– Nie powinienes.

– Ale nie czuję się dobrze.

– Też nie powinienes.

– I nie czuję się źle.

To mniej więcej opisywało sytuację.

Nie jestem już wyjętym spod prawa, pomyślał Joe. Jestem gangsterem. A to mój gang.

Ostry zapach cytrusów znowu ustąpił miejsca smrodowi bagiennych wyziewów. Graciela patrzyła Joemu w oczy przez cały kilometr. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem, dopóki nie dojechali do zachodniej dzielnicy Tamy.

# ROZDZIAŁ 17

## SPRAWY TEGO DNIA

W Ybor Esteban wysadził Gracielę i Joego przed budynkiem, w którym wynajmowała pokój nad restauracją. Joe odprowadził ją na górę; Esteban i Sal Urso zajęli się porzuceniem dzipa w południowej części Tamy.

Pokój Gracieli okazał się bardzo mały i bardzo czysty. Żelazne łóżko było białe, podobnie jak porcelanowa umywalka pod owalnym lustrem. Ubrania wisały w zniszczonej szafie z sosnowego drewna, chyba starszej od tego budynku, ale wolnej od kurzu i pleśni, co w tym klimacie wydawało się Joemu niemożliwe. Jedyne okno wychodziło na Eleventh Avenue; Graciela zostawiła zamknięte żaluzje, żeby w pokoju było chłodno. Miała parawan z tego samego surowego drewna, co szafa. Weszła za niego, dając Joemu znak, żeby się odwrócił.

– Więc teraz jesteś królem – powiedziała, kiedy uniósł żaluzję i wyjrzał na ulicę.

– Słucham?

– Podbiłeś rynek rumu. Będziesz królem.

– Może księciem. Jeszcze muszę się policzyć z Albertem White'em.

– Dlaczego mi się wydaje, że już wiesz, jak to zrobić?

Zapalił papierosa i usiadł na parapecie.

– Plany są tylko marzeniami, dopóki nie zostaną urzeczywistnione.

– Tego zawsze chciałeś?

– Tak.

– No, to gratulacje.

Obejrzał się na nią. Brudna wieczorowa suknia wisała na parawanie, Graciela miała obnażone ramiona.

– Chyba nie mówisz szczerze.

Machnęła ręką, żeby się odwrócił.

– Mówię. Chciałeś tego, i zdobyłeś. Godne podziwu, w pewnym sensie.

Roześmiał się pod nosem.

– W pewnym sensie.

– Ale jak utrzymasz władzę? To dopiero ciekawe pytanie.

– Myślisz, że brakuje mi sił? – Znowu na nią spojrział. Tym razem nie protestowała, bo już miała na sobie białą bluzkę.

– Nie wiem, czy jesteś wystarczająco okrutny. – Jej ciemne oczy lśniły. – A jeśli jesteś, to smutne.

– Ludzie o wielkiej władzy nie muszą być okrutni.

– Ale przeważnie są. – Pochyliła się, wkładając spódnice. – Skoro widziałeś, jak się przebieram, a ja widziałam, jak strzelasz do człowieka, czy mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Jasne.

– Kim ona jest?

– Kto?

Głowa Gracieli znowu ukazała się ponad parawanem.

– Ta, którą kochasz.

– Kto powiedział, że kogoś Kocham?

– Ja. – Wzruszyła ramionami. – Kobiety to wyczuwają. Mieszka na Florydzie?

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Odeszła.

– Od ciebie?

– Umarła.

Graciela drgnęła, a potem przyjrzała mu się uważnie, jakby sprawdzała, czy jej nie nabiera. Kiedy upewniła się, że nie, powiedziała:

– Przepraszam.

– Jesteś zadowolona z broni? – spytał, zmieniając temat.

Oparła ręce o parawan.

– Bardzo. Gdy nadejdzie czas, by położyć kres panowaniu Machado – a ten dzień nadejdzie – będziemy mieć... mieć... – Strzeliła palcami i spojrziała na niego. – Pomóż.

– Arsenał.

– Arsenał, tak.

– Więc to nie jest wasza jedyna broń.

– Nie pierwsza i nie ostatnia. Kiedy nadejdzie czas, będziemy gotowi. – Wyszła zza parawanu w standardowym stroju robotnicy z fabryki cygar – biała bluzka związana troczkiem i brązowa spódnica. – Uważasz, że popełniam głupstwo.

– Wcale nie. Uważam, że to szlachetna sprawa. Ale nie moja.

– A co jest twoją sprawą?

– Rum.

– Nie chcesz być szlachetny? Choć trochę?

– Nie mam nic przeciwko szlachetnym ludziom, ale zauważyłem, że rzadko dożywają czterdziestki.

– Jak gangsterzy.

– To prawda. Ale gangsterzy jadają w lepszych lokalach.

Graciela wzięła z szafy dopasowane do koloru spódnicy buty na płaskich obcasach i usiadła na łóżku, żeby je włożyć.

Joe został przy oknie.

– Powiedzmy, że pewnego dnia będziesz miała tę swoją rewolucję.

– Tak.

– Czy coś się zmieni?

– Ludzie się zmieniają. – Włożyła jeden but.

Pokręcił głową.

– Świat może się zmienić, ale ludzie – nie. Zostają tacy sami. Więc nawet jeśli wymienicie Machado na kogoś innego, całkiem możliwe, że wymienicie go na gorszy model. A przy tym możesz zostać okaleczona albo...

– Zabita. – Pochyliła się, by włożyć drugi but. – Pewnie tak to się skończy, Josephie.

– Joe.

– Josephie. Mogę zginąć, bo towarzysz zdradzi mnie dla pieniędzy. Mogę trafić w ręce chorych ludzi – tak chorych, jak ten dzisiaj albo gorszych, a oni będą mnie torturować tak długo, że moje ciało tego nie wytrzyma. I w mojej śmierci nie będzie nic szlachetnego, bo śmierć nigdy nie jest szlachetna. Człowiek płacze, błaga o litość, a potem umiera we własnym gównie. A oprawcy śmieją się i plują na jego zwłoki. I zostanę szybko zapomniana. Jakbym – strzeliła palcami – nigdy nie istniała. Wiem to wszystko.

– Więc dlaczego to robisz?

Wstała i wygładziła spódnicę.

– Kocham mój kraj.

– Ja kocham mój, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Na tym polega różnica między nami. Ty swój kraj widzisz przez to okno. Tak?

Joe przytaknął.

– No, właściwie...

– Mój kraj jest tutaj. – Dotknęła piersi, a potem skroni. – I wiem, że nie podziękuję mi za moje wysiłki. Nie odwzajemni mojej miłości. To niemożliwe, ponieważ nie kocham tylko narodu, budynku, zapachu mojej ojczyzny. Kocham jej ideę. A to coś, co sobie wymyśliłam, więc kocham coś, co nie istnieje. Tak jak ty kochasz tę nieżyjącą dziewczynę.

Nie przyszła mu do głowy żadna odpowiedź, więc tylko patrzył, jak Graciela przechodzi przez pokój i zdejmuje z parawanu sukienkę, w której była na trzęsawisku. Podała mu ją, wychodząc razem z nim z pokoju.

– Spal to, dobrze?

Broń została wysłana do prowincji Pinar del Rio na zachód od Hawany. Opuściła St. Petersburg na pięciu łodziach, które o trzeciej po południu wypłynęły z zatoki Boca Ciega. Dion, Joe, Esteban i Graciela stali na nabrzeżu, odprowadzając je wzrokiem. Joe zmienił garnitur ubrudzony na bagnach, włożył najłżejszy, jaki posiadał. Graciela przyglądała się, gdy palił swoje ubranie razem z jej sukienką. Chwile, gdy była zwierzyną łowną na bagnach, wyczerpały ją. Ciągle przysypiała na ławce pod latarnią, ale nie zgadzała się usiąść w samochodzie ani dać się odwieźć do Ybor.

Kiedy ostatni kapitan łodzi uścisnął ich dłonie i odbił od brzegu, spojrzeli na siebie. Joe uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, co teraz. Co mogłoby przebić ostatnie dwa dni? Niebo poczerwieniało. Gdzieś za poszarpaną linią brzegową, za płataniną namorzynów, na gorącym wietrze trzepotał płócienny żagiel lub płachta brezentu. Spojrzał na Estebana. Spojrzał na Gracielę, opartą z zamkniętymi oczami o latarnię. Spojrzał na Diona. Nad jego głową przeleciał pelikan z workiem większym niż brzuch. Joe spoglądał na łodzie, które odpłynęły już całkiem daleko i wyglądały jak papierowe łódki. Zaczął się śmiać; nie mógł się powstrzymać. Dion i Esteban poszli w jego ślady i po chwili wszyscy trzej pokładali się ze śmiechu. Graciela na chwilę zasłoniła twarz, a potem i ona zaczęła się śmiać, właściwie, zauważył Joe, śmiać się i płakać, jak mała dziewczynka. Opuściła ręce, śmiała się, płakała, raz po raz przesuwając dłońmi po włosach, a potem wytarła twarz

kołnierzykiem bluzki. Podeszli na skraj nabrzeża, śmiech zmienił się w chichot, potem w echo chichotu, a potem patrzyli na wodę, która pod czerwonym niebem stawała się fioletowa. Łodzie kolejno ukazywały się na horyzoncie i chowały się za nim, jedna po drugiej.

Joe niewiele pamiętał z reszty tego dnia. Poszli do lokalu Maso, tego za weterynarzem na rogu Fifteenth i Nebraski. Esteban kazał przysłać skrzynkę ciemnego rumu – leżakował w baryłkach z wiśniowego dębu – i rozesłał wiadomość do wszystkich, którzy brali udział w akcji. Wkrótce oprychy Pescatore spotkały się z rewolucjonistami Estebana. Potem przybyły kobiety w jedwabnych sukniach i kapelusikach z cekinami. Muzycy weszli na scenę. Po chwili zaczęła się szampańska zabawa, aż ściany się trzęsły.

Dion tańczył z trzema kobietami naraz, z zaskakującą zwinnością przerzucał je za swoimi potężnymi plecami i przesuwał pod krótkimi nogami. Jednak jeśli chodzi o taniec, to Esteban okazał się mistrzem. Poruszał się lekko jak kot na wysokiej gałęzi, ale tak władczo, że wkrótce zespół zaczął dostosowywać piosenki do jego tempa, nie odwrotnie. Zdaniem Joego Esteban wyglądał jak Valentino w filmie o torreadorze – tyle miał w sobie, męskiej gracji. Po chwili połowa kobiet w lokalu zaczęła go naśladować lub uwodzić.

– Nigdy nie widziałem, żeby facet tak się poruszał – powiedział Joe do Graceli.

Siedziała w kącie niszy, on na krześle naprzeciwko. Pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

– Tym się zajmował, kiedy tutaj przyjechał.

– Jak to?

– Tak zarabiał. Jako płatny tancerz w lokalu w centrum miasta.

– Żartujesz. – Spojrzał na nią bacznie. – Czy jest coś, czego ten człowiek nie robi dobrze?

– W Hawanie był zawodowym tancerzem. Bardzo dobrym. Nigdy nie dostał głównej roli w żadnym filmie, ale cieszył się popularnością. Tak zarabiał na utrzymanie podczas studiów prawniczych.

Joe prawie się zakrztusił drinkiem.

– Jest prawnikiem?

– W Hawanie tak.

– Powiedział mi, że wychował się w posiadłości.

– To prawda. Moja rodzina dla niego pracowała. Byliśmy, e... – Spojrzała na niego.

– Wędrownymi wyrobnikami?

– Tak to się nazywa? – Skrzywiła się, co najmniej tak pijana, jak on. – Nie, nie.

Byliśmy dzierżawcami.

– Twój ojciec wynajął część ziemi od jego ojca i spłacał mu ją w plonach?

– Nie.

– To jest dzierżawienie. Tym się zajmował mój dziadek w Irlandii. – Joe usiłował wyglądać na trzeźwego i uczonego, ale zadanie go przerosło. – Wyrobnicy wędrują z gospodarstwa do gospodarstwa i najmują się do pracy przy siewie lub zbiorach, zależnie od pory roku.

– Aha – mruknęła, niezadowolona. – Jakiś ty mądry, Josephie. Wszystko wiesz.

– Sama spytałaś, *chica*.

– Nazwałeś mnie „*chica*”?

– Chyba tak.

– Masz okropny akcent.

– Twój iryjski też nie zachwyca.

– Co?

Machnął ręką.

– Pracuję nad sobą.

– Jego ojciec był wielkim człowiekiem. – Oczy jej zabłyśły. – Przygarnął mnie, dał mi własny pokój z czystą pościelą. Prywatny guwerner uczył mnie angielskiego. Mnie, wieśniaczkę.

– A czego jego ojciec zażądał w zamian?

Dobrze zrozumiała wyraz jego oczu.

– Jesteś obrzydliwy.

– To zwykłe pytanie.

– Nie żądał niczego. Może zaczął o sobie trochę lepiej myśleć z powodu tego wszystkiego, co zrobił dla małej prostytutki, ale to wszystko.

Joe uniósł rękę.

– Przepraszam, przepraszam.

– Dostrzegasz najgorsze w najlepszych ludziach – powiedziała, kręcąc głową – i najlepsze w najgorszych.

Nie potrafił znaleźć na to odpowiedzi, więc wzruszył ramionami i zaczął, aż cisza i alkohol złagodzą nastrój.

– Chodź. – Graciela wysunęła się z niszy. – Zatańczymy.

Pociągnęła go za rękę.

– Ja nie tańczę.

– Dzisiaj wszyscy tańczą.

Pozwolił jej pociągnąć się za sobą, choć nazywanie tego, co robił tańcem i dzielenie parkietu z Estebanem czy choćby Dionem wołało o pomstę do nieba.

Oczywiście Dion otwarcie się z niego śmiał, ale Joe był zbyt pijany, żeby się przejąć. Pozwolił Gracieli prowadzić, poddał się jej ruchom i wkrótce znalazł rytm, któremu potrafił sprostać. Zostali na parkiecie przez jakiś czas, podając sobie butelkę ciemnego rumu Suarezów. W pewnej chwili zaczął widzieć Gracielę podwójnie; w jednej wizji biegła przez trzęsawisko jak przerażona ofiara, w drugiej – tańczyła o parę kroków od niego, kołysała biodrami, ramionami i głową, unosząc butelkę do ust.

Dla tej kobiety zabił człowieka. Dla siebie też. Ale jeśli istniało pytanie, na które nie potrafił odpowiedzieć przez cały dzień, to brzmiało ono: „Dlaczego strzeliłem temu marynarzowi w twarz?” Czegoś takiego nie robi się na chłodno. Na chłodno strzela się człowiekowi w pierś. A Joe rozwalil temu chłopakowi twarz. To była sprawa osobista. A dlatego, uświadomił sobie, zapamiętując się w ruchach Gracieli, że w oczach marynarza zauważył wyraźną pogardę dla tej kobiety. Ponieważ miała smagłą skórę, zgwałcenie jej nie było grzechem, tylko korzystaniem z łupów wojennych. A to, czy poużywałyby sobie na żywej, czy martwej, nie stanowiło dla niego różnicy.

Graciela uniosła nad głowę ręce – w jednej trzymała butelkę – skrzyżowała je w nadgarstkach, splotła przedramiona jak węże, jej posiniaczoną twarz rozjaśnił uśmiech, przymknęła oczy.

– O czym myślisz?

– O sprawach tego dnia.

– Jakich? – spytała, ale potem zobaczyła to w jego oczach. Opuściła ręce, podała mu butelkę, zeszli z parkietu, stanęli przy stoliku i znowu zaczęli pić.

– On mnie nie obchodzi – powiedział Joe. – Ale chyba bym wolał, żeby był inny sposób.

– Nie było.

Przytaknął.

– Dlatego nie żałuję, że to zrobiłem. Żałuję tylko, że do tego doszło.

Odebrała mu butelkę.

– Jak się dziękuje mężczyźnie, który uratował ci życie – po tym, gdy je zagroził?

– Zagroził?

Wytarła usta kostkami palców.

– Tak. Jak?

Przechylił głowę.

Odczytała jego spojrzenie i parsknęła śmiechem.

– A inny sposób, *chico*?

– Po prostu powiedz „dziękuję”. – Wyjął butelkę z jej ręki i pociągnął łyk.

– Dziękuję.

Uklonił się nisko, stracił równowagę i padł na Gracielę. Pisnęła, palnęła go w głowę, ale pomogła mu się wyprostować. Roześmiani, zdyszani, dowlekli się do stołu.

– Nigdy nie będziemy kochankami – powiedziała.

– A to dlaczego?

– Każde z nas kocha kogoś innego.

– No, moja nie żyje.

– Mój pewnie też.

– Ach, tak.

Parę razy potrząsnęła głową, żeby oprzytomnieć.

– Więc kochamy duchy.

– Tak.

– Czyli sami jesteśmy duchami.

– Upiłeś się.

Roześmiała się i wskazała go palcem.

– Sam się upiłeś.

– Nie wątpię.

– Nie będziemy kochankami.

– To ty tak mówisz.

Gdy pierwszy raz kochali się w jej pokoju nad restauracją, to było jak katastrofa samochodowa. Zwarli się, tłukąc sobie kości, spadli z łóżka, przewrócili krzesło, a kiedy Joe w nią wszedł, ugryzła go w ramię aż do krwi. Wszystko to zajęło tyle czasu, ile trzeba,

żeby wytrzeć talerz.

Za drugim razem, pół godziny później, oblała mu pierś rumem i zlizwała go. On zrewanżował się tym samym i powoli nauczyli się swoich rytmów. Powiedziała, żeby jej nie całować, ale to przestało obowiązywać wraz z umową, że nie będą kochankami. Przetestowali powolne i mocne pocałunki, pocałunki ze skubnięciem, pocałunki, przy których dotykają się tylko języki.

Zaskoczyło go, ile dawało im to radości. Miał w życiu siedem kobiet, ale kochał się – w sensie, w jakim rozumiał to słowo – tylko z Emmą. A choć ich seks bywał szalony i czasem natchniony, Emma zawsze coś przed nim ukrywała. Przyłapywał ją na przyglądaniu się im, kiedy się kochali. A potem zawsze wycofywała się jeszcze głębiej w swoją pancerną skrytkę.

Graciela niczego nie powstrzymywała. To niosło ze sobą realne zagrożenie zdrowia – szarpała go za włosy, ścisnęła go za szyję silnymi rękami robotnicy tak, że prawie bał się o swój kark, zatapiała mu zęby w ciele niemal do kości. Ale w ten sposób otulała sobą, przesuwając granice tego aktu w stronę czegoś, co Joemu kojarzyło się ze zniknięciem, jakby miał się rano obudzić sam, bo Graciela rozplynęła się w nim – lub odwrotnie.

Kiedy rzeczywiście obudził się rano, uśmiechnął się do tej niemądrej myśli. Graciela spała na boku, odwrócona do niego plecami, jej splątane włosy rozsypały się po poduszce i wezgłowiu. Zastanowił się, czy nie wykraść się z łóżka, chwycić ubrania i spłynąć, zanim rozpocznie się nieunikniona dyskusja o zbyt dużej ilości alkoholu i zmaconym rozumie. Zanim żal skamienieje na dobre. Ale on pocałował ją leciutko w ramię, a ona natychmiast się do niego odwróciła. Otuliła go. Więc żal, pomyślał Joe, musi poczekać do jutra.

– To będzie profesjonalny angaż – wyjaśniła mu przy śniadaniu w kawiarni na dole.

– Jak to? – Zjadł kawałek tostów. Nie potrafił przestać głupio się uśmiechać.

– Będziemy zaspokajać tę – ona także się uśmiechnęła, szukając właściwego słowa – potrzebę przez tak długi czas, aż...

– „Przez tak długi czas”? – podchwycił. – Ten guwerner dobrze cię wykształcił.

Wyprostowała się.

– Bardzo dobrze mówię po angielsku.

– Zgoda, zgoda. Pominąwszy fakt, że mówisz „zagroził” zamiast „naraził na zagrożenie”, twój angielski jest bez skazy.

Lekko uniosła się z krzesła.

– Dziękuję.

Wciąż uśmiechał się głupio.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Więc będziemy zaspokajać swoją, hm... potrzebę aż do kiedy?

– Aż wrócę na Kubę do męża.

– A ja?

– Ty? – Ukłuła widelcem sadzone jajko.

– No tak. Ty wrócisz do męża. A co ze mną?

– Ty zostaniesz królem Tampy.

– Księciem.

– Książę Joseph. Nieźle, ale niestety, to do ciebie nie pasuje. I czy książę nie powinien być wspaniałomyślny?

– W odróżnieniu od...?

– Gangstera, który dba tylko o siebie.

– I swój gang.

– I swój gang.

– Co jest rodzajem wspaniałomyślności.

Rzuciła mu spojrzenie, w którym malowało się coś między frustracją i niesmakiem.

– Jesteś księciem czy gangsterem?

– Nie wiem. Lubię myśleć, że jestem wyjęty spod prawa, ale nie wiem, czy to już nie tylko fantazja.

– No cóż, będziesz moim wyjętym spod prawa księciem, dopóki nie wrócę do domu. Co ty na to?

– Z radością przyjmę rolę twojego wyjętego spod prawa księcia. Jakie będę miał obowiązki?

– Musisz się rewanżować.

– Dobrze. – Na tym etapie mogłaby zażądać, żeby jej oddał trzustkę, a on powiedziałby „dobrze”. Spojrzał na nią. – Skąd zaczniemy?

– Manny. – Spojrzała na niego z nagłą powagą w ciemnych oczach.

– Miał rodzinę. Żonę i trzy córki.

– Pamiętasz.

– Oczywiście.

– Powiedziałeś, że nie obchodzi cię, czy umrze.

– Trochę przesadzałem.

– Zajmiesz się jego rodziną?

– Jak długo?

– Do końca życia – odparła, jakby to było całkowicie naturalne. – On oddał życie za ciebie.

Joe pokręcił głową.

– Z całym szacunkiem, oddał życie za ciebie. Ciebie i twoją sprawę.

– Więc... – Zatrzymała w powietrzu rękę z kawałkiem tostu.

– Więc – przez wzgląd na twoją sprawę – chętnie wyślę worek pieniędzy rodzinie Bustamente... kiedy tylko zdobędę worek pieniędzy. Czy to cię zadowala?

Uśmiechnęła się i zjadła tost.

– Zadowala.

– Zatem załatwione. Nawiasem mówiąc, czy ludzie nazywają cię inaczej niż Graciela?

– Niby po co?

– Nie wiem. Gracie?

Skrzywiła się, jakby usiadła na gorących węglach.

– Grazi?

Kolejny grymas.

– Ella? – Nie ustawał.

– Ale po co? Graciela to imię, które dali mi rodzice.

– Moi rodzice też dali mi imię.

– Które przeciąłeś na pół.

– Nazywam się Joe. Jak José.

– Wiem. – Skończyła jeść. – Ale José znaczy Joseph, nie Joe. Powinieneś się nazywać Joseph.

– Mówisz, jak mój ojciec. Nazywał mnie wyłącznie Josephem.

– Bo to twoje imię. Jesz bardzo powoli, jak ptaszek.

– Już mi to mówiono.

Podążyła wzrokiem ku czemuś za jego plecami; Joe odwrócił się i zobaczył wchodzącego przez tylne drzwi Alberta White'a. Nie postarzał się ani o jeden dzień, był tylko bardziej zaokrąglony – nad paskiem zaczął mu się zawiązywać brzuszek bankiera – i wciąż lubił białe garnitury, kapelusze i getry. Nadal chodził w sposób sugerujący, że świat został stworzony dla jego przyjemności. Przyszedł w towarzystwie Bonesa i Brenny'ego Loomisa. Po drodze wziął krzesło. Jego chłopcy zrobili to samo. Postawili krzesła przy stoliku Joego i usiedli – Albert koło Joego, Loomis i Bones po obu stronach Gracieli, wpatrzeni w Joego.

– Ile to? – zagadnął Albert. – Trochę ponad dwa lata?

– Dwa i pół roku – poprawił Joe i pociągnął łyk kawy.

– Skoro tak twierdzisz... Ty siedziałeś, a jeśli coś wiem o skazanych, to, że bardzo dobrze potrafią liczyć dni. – Sięgnął na talerz Joego i zabrał z niego parówkę. Zaczął ją jeść jak kurze udko. – Dlaczego nie chwyciłeś za gnata?

– Może go nie mam.

– Nie, ale serio.

– Podejrzewam, że jesteś biznesmenem, Albercie, a to miejsce jest ciut zbyt publiczne na strzelaninę.

– Nie zgodziłbym się. – Obrzucił wewnątrz spojrzeniem. – Wygląda całkiem przyzwoicie. Dobrze oświetlone, niezbyt zagracone, ładne linie strzału.

Właścicielka restauracji, nerwowa Kubanka koło pięćdziesiątki, zdenerwowała się jeszcze bardziej. Umiała odczytać energię przepływającą między gośćmi i chciała, żeby ta energia się stąd wyniosła, przez okna czy drzwi, byle szybko. Przy barze obok niej siedzieli starsi państwo; nieświadomi niczego spierali się, czy obejrzyć dzisiaj film w Tampa Theatre, czy załapać się na występ Tito Broki w Tropicale.

Poza nimi w restauracji nie było nikogo.

Joe zerknął na Gracielę. Jej oczy rozszerzyły się trochę, a żyłka, której dotąd nie widział, pulsowała jej na środku szyi, ale poza tym dziewczyna wydawała się niewzruszona. Jej ręce były tak samo spokojne jak oddech.

Albert ugryzł kawałek parówki i pochylił się w stronę Gracieli.

– Jak się nazywasz, kochanie?

– Graciela.

– Jesteś jasnoskórą Murzynką, czy ciemnoskórą Latynoską? Nie potrafię zgadnąć.

Uśmiechnęła się.

– Pochodzę z Austrii. Nie widać?

Ryknął śmiechem. Klepnął się po udzie, klepnął w stół, aż starsi państwo przy barze obejrzelili się na niego.

– A to dobre! – powiedział do Loomisa i Bonesa. – Z Austrii!

Nie załapali.

– Z Austrii! – powtórzył, wyciągając do nich obie ręce, w jednej wciąż miał parówkę. Westchnął. – Nieważne. – Znów zwrócił się do kobiety. – Gracielo z Austrii, jak brzmi twoje pełne nazwisko?

– Graciela Dominga Maela Corrales.

Gwizdnął.

– Gęba pełna imion. Ale ty pewnie często miewasz coś w buzi, prawda, skarbie?

– Przestań – odezwał się Joe. – Normalnie... Albert, przestań. Jej w to nie mieszaj.

Albert odwrócił się do niego, dojadając resztkę parówki.

– Doświadczenie uczy nas, że coś takiego kiepsko mi wychodzi.

Joe pokiwał głową.

– Czego chcesz?

– Chcę wiedzieć, dlaczego więzienie niczego cię nie nauczyło. Za bardzo zajmowało cię dawanie dupy? Wyszedłeś, przyjechałeś tutaj i po dwóch dniach chcesz mi dosrać? Zgłupiałeś tam do końca, Joe?

– Może chciałem tylko zwrócić twoją uwagę.

– Więc odniosłeś druzgoczący sukces. Dzisiaj zacząłem dostawać wiadomości z moich barów, restauracji, kręgielni, wszystkich lokali, które mam stąd do Sarasoty, że nie będą mi dłużej płacić. Płacą tobie. Więc naturalnie poszedłem pogadać z Estebanem Suarezem i widzę, że nagle pojawiło się u niego więcej uzbrojonych strażników, niż mają w mennicy USA. Nie ma czasu na spotkanie ze mną. Myślisz, że ty i gang makaroniarzy i... nie wiem, czarnuchów...

– Kubańczyków.

Albert poczęstował się tostem Joego.

– Myślisz, że mnie wygryziesz?

Joe przytaknął.

– Myślę, że już to zrobiłem, Albercie.

White wzruszył ramionami.

– Kiedy tylko umrzesz, Suarezowie odzyskają rozum, tak jak i dostawcy.

– Gdybyś chciał mnie zabić, już byś to zrobił. Przyszedłeś negocjować.

Albert pokręcił głową.

– Chcę twojej śmierci i tu nie ma negocjacji. Miałem tylko ochotę udowodnić ci, że się zmieniłem. Złagodniałem. Wyjdziemy tylnymi drzwiami i zostawimy dziewczynę. Włos z głowy jej nie spadnie, choć nie odczułaby jego braku. – Wstał. Zapiął marynarkę, kryjąc zaokrąglony brzuch. Wyprostował rondo kapelusza. – Jeśli będziesz się awanturować, zabierzemy ją z nami i zabijemy oboje.

– To twoja oferta?

– Tak.

Joe skinął głową. Wyjął z kieszeni marynarki kartkę i położył ją na stole. Wygładził ją. Spojrzał na Alberta i zaczął odczytywać spisane na niej nazwiska.

– Pete McCafferty, Dave Kerrigan, Gerard Mueller, Dick Kipper, Fergus Dempsey, Archibald...

Albert wyjął kartkę z jego ręki, przeczytał do końca.

– Nie możesz ich znaleźć, co? Wszyscy twoi najlepsi żołnierze nie odbierają telefonów, nie otwierają drzwi. Ciągłe sobie wmawiasz, że to zbieg okoliczności, ale wiesz, że nie. Wyhaczyliśmy ich. Jednego po drugim. I, Albercie – bardzo mi przykro, ale oni nie wrócą do ciebie.

White roześmiał się, ale jego twarz, zwykle rumiana, przybrała kolor słoniowego kła. Spojrzał na Bonesa i Loomisa i znowu się roześmiał. Bones zawtórował mu, ale Loomis wyglądał, jakby miał się porzygać.

– Skoro już poruszamy temat ludzi z twojej organizacji – dodał Joe – skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć?

Albert zerknął na Gracielę i jego twarz odzyskała w miarę normalny kolor.

– Jesteś prosty w obsłudze, Joe – wystarczy iść za suczką.

Graciela zacisnęła zęby, ale nic nie powiedziała.

– Niezły tekst – pochwalił Joe – ale skoro nie wiedziałeś, gdzie znaleźć mnie zeszłej nocy – a nie wiedziałeś, bo nikt nie wiedział – nie mogłeś tutaj za mną trafić.

– Przyłapałeś mnie. – Uniósł ręce. – Pewnie mam inne metody.

– Na przykład kreta w mojej organizacji?

Uśmiech błysnął w oczach Alberta, zanim został zduszony.

– Tego samego, który powiedział ci, żeby mnie zdjąć w restauracji, nie na ulicy?

W oczach Alberta nie było już uśmiechu. Zmieniły się w dwa płaskie pieniążki.

– Powiedział, że jeśli zdejmiesz mnie w lokalu, nie będę się szarpać ze względu na dziewczynę? Powiedział, że zaprowadzę cię do hotelu w Hyde Parku, gdzie zakopowałem torbę z pieniędzmi?

– Zastrzel go szefie – odezwał się Brendan Loomis. – Natychmiast.

– Powinieneś mnie być zastrzelić, ledwie stanąłeś w progu – powiedział Joe.

– Kto twierdzi, że tego nie zrobię?

– Ja – oznajmił Brendan, stając za Loomisem i Bonesem. Celował w nich z trzydziestkiósemki o długiej lufie. Sal Urso wszedł głównymi drzwiami, Lewus Downer pojawił się za nim. Obaj nosili trencze, choć dzień był bezchmurny.

Właścicielka restauracji i starsi państwo przy ladzie omal nie umarli ze strachu. Staruszek klepał się po piersi. Restauratorka przesuwiała w palcach różaniec, gorączkowo poruszając wargami.

– Mogłabyś im powiedzieć, że nie zrobimy im krzywdy? – zwrócił się Joe do Gracieli.

Skinęła głową i wstała.

– A więc zdrada to twoja cecha wrodzona, grubasku? – zagadnął Albert Diona.

– To był tylko jeden raz, ty wystrojony pojebie – odparł Dion. – Powinieneś się dogłębnie zastanowić nad tym, co zrobiłem z twoim Blumem w zeszłym roku, zanim kupiłeś moją bajeczkę.

– Ilu chłopaków mamy na dworze? – spytał go Joe.

– Cztery pełne samochody.

Joe wstał.

– Albercie, nie chcę nikogo zabić w tym lokalu, ale to nie znaczy, że nie zabiję, jeśli z czymś wyskoczysz.

White uśmiechnął się, pewny siebie jak zawsze, nawet teraz, gdy szczęście się od niego odwróciło.

– Naskoczyć to ty mi możesz. I co powiesz?

Joe splunął mu w twarz.

Oczy Alberta zrobiły się małe jak ziarnka pieprzu.

Bardzo długo nikt się nie poruszył.

– Teraz sięgnę po chusteczkę – powiedział Albert.

– Sięgnij po cokolwiek, to łeb ci odstrzelimy – ostrzegł Joe. – Wytrzymaj się rękawem.

Albert zrobił to i znowu się uśmiechnął, ale w jego oczach pozostała żądza mordy.

– Więc albo mnie zabijesz, albo wypędzisz z miasta.

– Zgadza się.

– Co wybierasz?

Joe spojrział na kobietę z różańcem i Graciele, która trzymała jej rękę na ramieniu.

– Chyba cię dzisiaj nie zabiję, Albercie. Nie masz broni ani funduszy na rozpoczęcie wojny i będziesz potrzebował lat na nawiązanie nowych kontaktów, tak dobrych, żebym zaczął się bać własnego cienia.

White usiadł, swobodnie, jakby składał wizytę starym przyjaciom. Joe nadal stał.

– Planowałeś to od czasu tamtego zaułka – powiedział Albert.

– Jasne.

– Przynajmniej powiedz, że to tylko interesy.

Joe pokręcił głową.

– To w stu procentach osobista sprawa.

Albert przemyślał to i skinął głową.

– Chcesz o nią spytać?

Joe poczuł na sobie spojrzenie Gracieli. I Diona.

– Nieszczególnie. Ty ją rznąłeś, ja ją kochałem, a potem ją zabiłeś. O czym tu jeszcze gadać?

Albert wzruszył ramionami.

– Ja też ją kochałem. Bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić.

– Mam cholernie bujną wyobraźnię.

– Nie aż tak.

Joe spróbował dostrzec twarz ukrytą za fasadą, którą Albert pokazywał światu i poczuł to samo, co w podziemnym korytarzu służbowym hotelu Statler – że uczucie Alberta do Emmy dorównywało jego uczuciu.

– Więc dlaczego ją zabiłeś?

– Nie ja ją zabiłem, lecz ty. W chwili, gdy wsadziłeś jej swojego fiuta. W tym mieście jest tysiąc innych dziewczyn, z ciebie w dodatku taki ładny chłopczyk, ale postanowiłeś wziąć sobie akurat moją kobietę. Jeśli przyprawisz mężczyźnie rogi, ma dwa wyjścia – zarznąć siebie albo ciebie.

– Ale nie zarznąłeś mnie, tylko ją.

Albert wzruszył ramionami i Joe wyraźnie dostrzegł, że ta świadomość nadal go boli. Chryste, pomyślał, Emma ciągle ma nas w garści.

White rozejrzył się po lokalu.

– Twój pan wypędził mnie z Bostonu. Teraz ty wypędzasz mnie z Tampy. Taki jest scenariusz?

– Mniej więcej.

Albert wskazał Diona.

– Wiesz, że to on cię sprzedał w Pittsfield? Że przez niego spędziłeś dwa lata w pudle?

– Aha, wiem. Ej, Dion.

Dion nie odrywał wzroku od Bonesa i Loomisa.

– No?

– Rozwał łeb Albertowi.

Albert otworzył szeroko oczy, właścicielka restauracji wrzasnęła, a Dion podszedł z wyciągniętą ręką. Sal i Lewus wyjęli karabiny spod płaszczy, żeby trzymać na muszce Loomisa i Bonesa. Dion przyłożył broń do skroni Alberta. White zacisnął oczy i uniósł ręce.

– Stój – rzucił Joe.

Dion znieruchomiał.

Joe podciągnął nogawki i przykucnął przed Albertem.

– Spójrz w oczy mojego przyjaciela.

Albert podniósł wzrok na Diona.

– Widzisz w nich miłość do siebie, Albercie?

– Nie. – Zamrugał. – Nie, nie widzę.

Joe skinął głową Dionowi, a ten odjął broń od głowy gangstera.

– Przyjechałeś samochodem?

– Co?

– Samochodem przyjechałeś?

– Tak.

– Dobrze. To teraz wsiądziesz do tego samochodu i wyjedziesz na północ.

Proponuję Georgię, bo obecnie kontroluję Alabamę, wybrzeże Missisipi i każde miasto stąd do Nowego Orleanu. – Uśmiechnął się. – A w przyszłym tygodniu odbędę w Nowym Orleanie spotkanie.

– Skąd mam wiedzieć, że na drodze nie czekają na mnie twoi ludzie?

– Albercie, do cholery, przecież to jasne, że wyślę za tobą moich ludzi. Będą ci towarzyszyć aż do granicy stanu. Czyż nie, Sal?

– Samochody zatankowane, szefie.

Albert spojrzął na karabin Sala.

– Skąd mam wiedzieć, że nie zabiją nas na drodze?

– Nie możesz. Ale jeśli nie wyjedziesz z Tampy w tej chwili i na dobre, dam ci, kurwa, gwarancję, że nie dożyjesz jutra. A wiem, że chcesz dożyć jutra, bo wtedy zaczniesz planować odwet.

– To dlaczego pozwolił mi żyć?

– Żeby wszyscy wiedzieli, że zabrałem ci wszystko, co miałeś, a ty nie byłeś na tyle mężczyzną, żeby mi w tym przeszkodzić. – Joe wstał. – Pozwalam ci zachować życie, Albercie, bo nie przychodzi mi na myśl ani jedna żywa dusza, która by była nim zainteresowana.

# ROZDZIAŁ 18

## NICZYJ SYN

W dobrych latach Dion mawiał do Joego:

– Passa się kończy.

Powtarzał to często.

Joe uściślał:

– Dobra i zła.

– Twoja passa od tak dawna jest dobra, że nikt nie pamięta o złej – odpowiadał Dion.

Joe zbudował dla siebie i Gracieli dom na rogu Ninth i Nineteenth. Zatrudnił hiszpańskich i kubańskich robotników, Włochów do marmurów i architektów sprowadzonych z Nowego Orleanu; ci mieli dopilnować, żeby mnogość stylów zlała się w styl latynoskiego odpowiednika Dzielnicy Francuskiej w Nowym Orleanie. On i Graciela wyprawili się tam kilka razy, by znaleźć natchnienie. Odbyli też wiele długich spacerów po Ybor. Opracowali projekt, który łączył klasycyzm z hiszpańskim stylem kolonialnym. Dom miał fasadę z czerwonych cegieł, z balkonami z jasnego cementu i balustradami z kutego żelaza. Okna, zielone, zawsze zasłaniali żaluzjami tak, że z ulicy budynek prezentował się skromnie i trudno było poznać, kiedy znajdują się w nim domownicy.

Ale w jego głębi okna przestronnych pokoi z wysokimi miedzianymi sufitami i smukłymi łukami wejść wychodziły na dziedziniec, basen i ogród, w którym mięta, fiołki i uczepek kwitły obok europejskich palm. Gipsowe ściany porastał algierski bluszcz. Zimą bugenwille rozchylały kielichy obok kipiącego bogactwa żółtych kwiatów jaśminu; obie rośliny przekwitały na wiosnę, a wtedy zastępował je milin, rubinowy jak czerwone pomarańcze. Kamienne ścieżki wiły się wokół fontanny na dziedzińcu, a potem prowadziły pod loggią do półkolistych schodów, wznoszących się ku kremowym ścianom domu.

Wszystkie drzwi w budynku miały co najmniej piętnaście centymetrów grubości, zawiasy wygięte w kształt baranich rogów i klamki z czarnego żelaza. Joe pomagał zaprojektować salon na drugim piętrze z kopułą oraz ganek, który wychodził na zaułek za

domem. Ganek prezentował się skromnie – w porównaniu z balkonem na piętrze, biegnącym wokół całego domu i galeryjką z kutego żelaza na drugim piętrze, z werandą szeroką jak ulica – i Joe często zapominał o jego istnieniu.

Kiedy już raz zaczął, nie potrafił przestać. Goście, zaszczytzeni zaproszeniem na jedną z imprez dobroczynnych Gracieli, nie mogli nie zauważyć salonu czy wielkiej sali z podwójnymi schodami, importowanych jedwabnych draperii, włoskich foteli, stojącego lustra w stylu Napoleona III, kominków z marmuru z Florencji czy oprawnych w złote ramy obrazów z polecanej przez Estebana paryskiej galerii. Ściany z gołych cegieł sąsiadowały ze ścianami krytymi atłasową lub wzorzystą tapetą czy też modnie spękany tynkiem. Parkiety na froncie domu w głębi budynku ustępowały miejsca kamiennym, trzymającym chłód posadzkom. W lecie meble nakrywano białymi bawełnianymi pokrowcami, a żyrandole okręcano gazą, by chronić je przed owadami. Nad łóżkiem Joego i Gracieli wisiała moskitiera, podobnie jak nad wanną na lwich łapach w łazience, gdzie często siadali pod koniec dnia z butelką wina, słuchając odgłosów ulic.

Przez te luksusy Graciela straciła przyjaciół. Byli to głównie jej znajomi z fabryki i ci, którzy w początkach Circulo Cubano zgłosili się wraz z nią na ochotnika. Nie chodziło o to, że zazdrościli jej nowego bogactwa i szczęścia (choć niektórzy zazdrościli), raczej bali się, że rozbiją tutaj coś cennego. Nie potrafili usiedzieć spokojnie i wkrótce skończyły im się wspólne tematy, więc nie mieli o czym rozmawiać.

W Ybor nazywano ten dom El Alcalde de la Mansion – Dwór Burmistrza – ale Joe dowiedział się o tym dopiero po roku, bo głosy z ulicy nigdy nie wznosiły się na tyle wysoko, żeby je wyraźnie usłyszał.

Tymczasem układ Coughlin-Suarez tworzył godną zazdrości stabilność, rzadką w biznesie. Joe i Esteban założyli gorzelnię w Landmark Theater na Seventh, a potem drugą, za kuchnią hotelu Romero. Obie były czyste i ciągle zajęte produkcją. Zaopiekowali się także wszystkimi małymi firmami, nawet tymi, które pracowały dla Alberta White'a, dając im lepszy zysk i produkt. Kupili szybsze łodzie i wymienili wszystkie silniki w furgonetkach i samochodach transportowych. Kupili też dwuosobowy hydroplan do ochrania transportów wysyłanych drogą morską. Pilotem hydroplanu był Farruco Diaz, niegdyś meksykański rewolucjonista, tak utalentowany, jak szalony. Farruco, z twarzą posiekaną głębokimi dziobami i z długimi jasnymi włosami, zlepionymi w strąki przypominające mokry makaron, optował za zainstalowaniem pistoletu maszynowego na siedzeniu dla pasażera, „tak na wszelki wypadek”. Gdy Joe zauważył, że skoro lata sam, nikt nie będzie mógł strzelać z broni, gdyby nastąpił ów „wszelki wypadek”, Farruco poszedł na kompromis – pozwolili mu zainstalować stojak, ale nie karabin.

Jeśli chodzi o stały ład, wykupili prawa do tras na południu i na wschodnim wybrzeżu. Joe zakładał, że jeśli zapłacą różnym gangom za użytkowanie ich dróg, gangi uregulują rachunki z miejscową policją, a liczba aresztowań i straconych ładunków spadnie o trzydzieści-trzydzieści pięć procent.

Spadła o siedemdziesiąt.

W mgnieniu oka Joe i Esteban zmienili przedsięwzięcie przynoszące milion dolarów rocznie w molocha, co zwiększyło dochód do sześciu milionów dolarów.

A to wszystko podczas globalnego kryzysu finansowego, który stawał się coraz gorszy – po jednej fali przychodziła następna, dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Ludzie potrzebowali pracy, schronienia i nadziei. Gdy tego nie znajdowali, zadowalali się piciem.

Występek, pomyślał Joe, jest odporny na Wielki Kryzys.

Tak jak wszystko inne. Choć on nie odczuł tego na własnej skórze, był tak samo zdumiony jak wszyscy nagłym załamaniem, które gospodarka przeżyła przez parę ostatnich lat. Od fiaska w 1929 roku dziesięć tysięcy banków kopnęło w kalendarz, a trzynaście milionów osób straciło pracę. Hoover, mając przed sobą przedwyborczą walkę, głądził o światełku w tunelu, ale ludzie uważali, że tym światełkiem są najprawdopodobniej reflektory pociągu, który ich rozjedzie. Dlatego Hoover wykonał ostatni wysiłek i podniósł wysokość podatków dla najbogatszych z bogaczy z dwudziestu pięciu do sześćdziesięciu trzech procent. W ten sposób stracił jedynych zwolenników.

W Tampie, co dziwne, gospodarka kwitła – przemysł stoczniowy i produkcja konserw działały pełną parą. Ale w Ybor wyglądało to inaczej. Wytwórnice cygar padły szybciej niż banki. Robotnicy zostali zastąpieni przez maszyny, lektorzy przez radio. Papierosy, kosztujące grosze, stały się nowym legalnym nałogiem narodu, a sprzedaż cygar spadła o ponad pięćdziesiąt procent. Robotnicy z tuzina fabryk zaczęli strajkować, ale ich protest został zdławiony przez wynajętych oprychów, policję i Ku Klux Klan. Włosi tłumnie opuszczali Ybor. Hiszpanie także zaczęli się wynosić.

Graciela straciła pracę, zastąpiona przez maszynę. Joemu to nie przeszkadzało – od miesięcy chciał ją wyciągnąć z La Trocha. Była zbyt cenna dla jego organizacji. Spotykała się z Kubańczykami, którzy dopiero przybyli do kraju, i sprowadzała ich do klubu, szpitali czy kubańskich hoteli, zależnie od potrzeb. Jeśli zauważyła kogoś, kto według niej sprawdziłby się jako pracownik Joego, składała mu wyjątkową propozycję pracy.

W dodatku jej skłonności do filantropii oraz to, że Joe i Esteban musieli gdzieś prac pieniądze, skłoniły Joego do kupienia mniej więcej pięciu procent Ybor City. Jego własnością stały się dwie upadłe fabryki cygar, gdzie na nowo zatrudnił robotników, a także zbankrutowany sklep, który stał się szkołą, i takiż sklep z akcesoriami hydraulicznymi, zmieniony w darmową klinikę. Urządził tajne lokale w ośmiu pustych budynkach, choć z ulicy wciąż wyglądały jak dawniej: galanteria, sklep tytoniowy, dwie kwaciarnie, trzy jatki i grecka restauracja, która ku zdumieniu wszystkich – a najbardziej Joego – odniosła taki sukces, że trzeba było sprowadzić resztę rodziny kucharza z Aten i otworzyć siostrzaną knajpę kilka przecznic dalej na wschód.

Graciela tęskniła za swoją fabryką. Brakowało jej żartów i opowieści innych

robotników, słuchania lektora, czytającego jej ulubione powieści po hiszpańsku, brakowało jej mówienia przez cały dzień w ojczystym języku.

Mimo że każdą noc spędzała w domu zbudowanym dla niej przez Joego, zachowała swój pokój nad restauracją, choć o ile wiedział, tam tylko się przebierała, a i to niezbyt często. Joe zapełnił szafę w domu ubraniami dla niej.

– To ubrania, które ty kupiłeś mnie – przypomniała Graciela, gdy ją spytał, dlaczego nie nosi ich częściej. – Lubię sama kupować sobie rzeczy.

Ale nigdy nie miała pieniędzy, bo wszystkie wysyłała na Kubę, albo rodzinie niepoprawnego męża, albo przyjaciółom z organizacji działającej przeciwko Machado. Czasem także Esteban wyprawiał się na Kubę w jej imieniu, z misją dobroczynną, która przypadkiem zbiegała się z otwarciem tego czy innego nocnego klubu. Wracił z wieściami i nową nadzieją dla organizacji, które – jak nauczyło Joego doświadczenie – pierzchały podczas następnej wyprawy. Wracił także ze zdjęciami – oko miał coraz lepsze, a aparat trzymał jak wielki skrzypek trzymając smyczek. Wyrobił sobie imię w latynoamerykańskich kręgach powstańczych – zbudowane w niemałym stopniu na akcji na USS „Mercy”.

– Masz w rękach bardzo zagubioną kobietę – powiedział Joemu po ostatniej wyprawie Esteban.

– Tyle to i ja wiem – mruknął Joe.

– A wiesz, dlaczego się zagubiła?

Joe nalał dwie szklaneczki Suarez Reserve.

– Nie, nie wiem. Możemy kupić i zrobić wszystko, co chcemy. Stać ją na najlepsze ciuchy, chodzenie do najlepszych fryzjerów i najlepszych restauracji...

– Również latynoskich.

– To się rozumie samo przez się.

– Czy na pewno? – Esteban pochylił się ku niemu, postawił stopę na podłodze.

– Chcę przez to powiedzieć, że wygraliśmy, ona i ja. Możemy odetchnąć. Razem się zestarzeć.

– I myślisz, że ona tego chce? Życia żony bogacza?

– A nie tego chce większość kobiet?

Esteban uśmiechnął się dziwnie.

– Kiedyś powiedziałeś, że nie urodziłeś się biedny jak większość gangsterów.

Joe przytaknął.

– Nie byliśmy bogaci, ale...

– Ale miałeś ładny dom, pełen brzuch, mogłeś chodzić do szkoły.

– Tak.

– A twoja matka była szczęśliwa?

Joe długo nie odpowiadał.

– Rozumiem, że nie – odezwał się po chwili Esteban.

– Moi rodzice zachowywali się raczej jak dalecy kuzyni – wyznał Joe. – Graciela i ja jesteśmy inni. Cały czas rozmawiamy. Cały czas – zniżył głos – się rżniemy. Naprawdę lubimy swoje towarzystwo.

– Więc?

– Więc dlaczego mnie nie kocha?

Esteban parsknął śmiechem.

– Oczywiście, że cię kocha.

– Ale tego nie mówi.

– Kogo to obchodzi?

– Mnie. I nie chce się rozwieść z Pojebem.

– Na to nie umiem odpowiedzieć. I za tysiąc lat nie pojmem, co ona widzi w tym *pendejo*.

– Spotkałeś się z nim?

– Za każdym razem, gdy idę do najgorszej dzielnicy Starej Hawany, on siedzi w którymś z barów i przepija jej pieniądze.

Moje pieniądze, pomyślał Joe. Moje.

– Nadal jej tam szukają?

– Jej nazwisko znajduje się na liście.

Joe zastanowił się.

– Ale mogę jej skombinować fałszywe dokumenty w dwa tygodnie. Prawda?

Esteban skinął głową.

– Oczywiście. Może szybciej.

– Więc mógłbym ją tam posłać, żeby zobaczyła tego gnoja, siedzącego przy barze i... I co? Myślisz, że to wystarczy, żeby go zostawiła?

Esteban wzruszył ramionami.

– Josephie, posłuchaj: ona cię kocha. Znam ją przez całe życie i widziałem ją już zakochaną. Ale z tobą... Uff! – Zrobił wielkie oczy i powachlował się kapeluszem. – Czegoś takiego jeszcze nie czuła. Lecz musisz pamiętać, przez ostatnie dziesięć lat uważała się za rewolucjonistkę, a teraz okazuje się, że tak naprawdę chce to wszystko rzucić – te przekonania, ojczyznę, powołanie i tak, również swojego głupiego męża – żeby być z amerykańskim gangsterem. Myślisz, że przyzna to przed samą sobą?

– Dlaczego nie?

– Bo wtedy będzie musiała przyznać, że jest kawiarnianą buntowniczką, oszustką. A tego nie robi. Z dwa razy większą energią rzuci się do działania, a ciebie odsunie. – Pokręcił głową i zamyślił się, spoglądając w sufit. – Gdy się to powie na głos, brzmi jak bredzenie wariata.

Joe potarł twarz.

– Masz rację.

Przez parę lat wszystko szło jak po maśle – w tej branży to cholernie długo – aż do miasta zjechał Robert Drew Pruitt.

W poniedziałek, po rozmowie Joego z Estebanem, zjawił się Dion i oznajmił, że RD okradł kolejny ich klub. Rober Drew Pruitt, nazywany RD, budził strach w mieszkańcach Ybor od ośmiu tygodni, gdy wyszedł z więzienia i pokazał się tutaj, by urządzić się w tym świecie.

– Może po prostu skasujemy gnoja?

– Ku Klux Klan nie będzie zachwycony.

KKK ostatnio zyskał w Tampie wielkie wpływy. Jego członkowie zawsze byli fanatykami prohibicji – nie dlatego, że sami nie pili, bo pili i to nieustannie – ale ponieważ uważali, że alkohol to przyczyna, która sprawia, że czarnuchy nabijają sobie głowy marzeniami o władzy i dopuszczają się nierządu z białymi – a także, że papiści chcą za jego pomocą zasiać słabość wśród wyznawców prawdziwej religii, by katolicy mogli przejąć władzę nad światem.

Aż do Wielkiego Kryzysu Ku Klux Klan nie ingerował w sprawy Ybor. Gdy gospodarka runęła, przesłanie białej siły zaczęło znajdować zdesperowanych wyznawców. Na tej samej zasadzie kaznodzieje wieszczący koniec świata odnotowali wzrost liczby wiernych. Ludzie czuli się zagubieni i przerażeni, a skoro nie mogli zlinczować bankierów ani maklerów giełdowych, szukali bardziej dostępnych ofiar.

Znaleźli je w osobach robotników z fabryk cygar; ci od dawna byli znani z

radykalnych przekonań i działalności na rzecz praw ludzi pracy. Klan położył kres ostatniemu strajkowi. Gdy strajkujący zaczęli się zbierać, członkowie KKK wpadali na ich zebranie; strzelali i ogłuszali kolbami pistoletów każdego w zasięgu ręki. Spalili krzyż na trawniku jednego z uczestników strajku, wysadzili w powietrze dom drugiego i zgwałcili dwie robotnice wracające do domu z fabryki Celestino Vegi.

Strajk został odwołany.

RD Pruitt wstąpił do klanu jeszcze przed odbyciem dwuletniej kary w stanowym więzieniu w Raiford, dlatego nie należało liczyć, że po wyjściu nie przypomni sobie o dawnych przyjaciółach. Pierwszy lokal, na jaki napadł – kłitka na tyłach bodegi na Twenty-seventh – znajdował się naprzeciwko chatki po drugiej stronie torów, podobno stanowiącej kwatery główną miejscowego Ku Klux Klanu pod wodzą Kelvina Beauregarda. RD poczęstował się napitkiem, wskazał najbliższą torów ścianę i powiedział: „Będziemy mieć na was oko, więc nie wzywać mi tu żadnych glin”.

Gdy Joe o tym usłyszał, zrozumiał, że ma do czynienia z debilem – kto, do kurwy nędzy, wzywa policję po napadzie na nielegalny lokal? Ale to „my” go zastanowiło, bo klan tylko czekał, żeby podskoczył mu ktoś taki, jak on. Jankes, katolik, który pracuje z Latynosami, Włochami i czarnuchami, gzi się z Kubanką i zarabia na sprzedaży grzesznego rumu – czy mogli go nie nienawidzić?

Właściwie, doszedł do wniosku, dokładnie to robili. Usiłowali go sprowokować. Szeregowcy klanu mogli być bandą wiejskich głupków z byle jakim wykształceniem w byle jakich szkołach, ale ich przywódcy mieli trochę więcej rozumu. Oprócz Kelvina Beauregarda, właściciela miejscowej fabryki konserw i radnego miejskiego, w organizacji znajdował się podobno sędzia Franklin z trzynastego sądu, tuzin glin i nawet Hopper Hewitt, wydawca „Tampa Examiner”.

Inne, o wiele bardziej znaczące utrudnienie, stanowił w oczach Joego fakt, że szwagrem RD był Irving Figgis, zwany także Irvem Sokole Oko, a bardziej oficjalnie – dowódcą policji w Tampie.

Po pierwszym spotkaniu w 1929 roku dowódca Figgis zaprosił Joego na kilka przesłuchań, żeby jasno dać mu do zrozumienia, iż są przeciwnikami. Joe siedział w jego gabinecie i Irv czasem posyłał sekretarkę po lemoniadę. Joe oglądał zdjęcia na jego biurku – fotografie pięknej żony i dwojga rudowłosych dzieci: chłopca, Caleba, podobnego do ojca jak dwie krople wody i dziewczynki, Loretty, nadal tak pięknej, że Joe przy każdym spojrzeniu na nią kompletnie głupiał. Została królową na zjeździe licealistów i od dzieciństwa zbierała wszystkie możliwe nagrody w miejscowym teatrze, dlatego nikogo nie zdziwiło, że po maturze wyruszyła do Hollywood. Jak wszyscy inni, Joe spodziewał się zobaczyć ją lada dzień na wielkim ekranie. Miała w sobie światło, które sprawiało, że ludzie ciągnęli do niej jak ćmy.

Otoczony obrazami swojego idealnego życia Irv nieraz ostrzegał Joego, że jeśli jego

wydział znajdzie cokolwiek łączącego go ze sprawą „Mercy”, posadzą go na resztę życia. A kto wie, na czym federalni zechcą go posadzić – może na krześle elektrycznym? Ale poza tym Irv dawał żyć Joemu, Estebanowi i ich ludziom, o ile nie zbliżali się do białej Tamy. A teraz RD Pruitt napadł na czwarty lokal Pescatore, a dokonał tego w jednym miesiącu. Jak widać błagał, żeby Joe się zemścił.

– Wszyscy czterej barmani mówili o tym szczytu tak samo – oznajmił Dion. – Padalec. To w nim widać. Tylko patrzeć, a kogoś zabije.

Joe znał w więzieniu mnóstwo facetów, którzy odpowiadali temu opisowi i zwykle zostawiali człowiekowi tylko trzy drogi – skaptowanie ich do pracy, ignorowanie lub zabicie. Nie chciał, żeby RD dla niego pracował, a RD w życiu nie przyjąłby rozkazów od katolika czy Kubańczyka, zatem zostawało wyjście numer dwa i trzy.

Pewnego lutowego poranka Joe spotkał się z dowódcą Figgisem w Tropicale. Dzień był ciepły i suchy. Joe nauczył się już, że od późnego października do początków kwietnia tutejszy klimat jest po prostu zachwycający. Popijali kawę z kroplą Suarez Reserve, a dowódca Figgis spoglądał, rozjątrzony, na Seventh i kręcił się na krześle.

Ostatnio coś się w nim działo i nie chciało się uspokoić. Jakieś tętno drugiego serca, pulsujące w jego uszach, w gardle, za oczami – tak bardzo, że wypychało je czasem z orbit.

Joe nie miał pojęcia, co złego działo się w życiu policjanta – może żona go zostawiła, może zmarł mu ktoś kochany – ale coś go na pewno zżerało, odebrało mu siły i pewność siebie.

– Słyszałeś, że zamykają fabrykę Pereza? – spytał.

– Cholera – mruknął Joe. – Czterystu robotników na ulicę?

– Pięciuset. Pięćset nowych osób bez pracy, pięćset par rąk, bez zajęcia, tylko czekających, żeby zacząć szatańskie dzieło. Ale, cholera, w tych czasach nawet szatan nie daje roboty. Więc będą tylko pić, bić się i kraść, i jeszcze bardziej utrudniać mi pracę. Przynajmniej ją mam.

– Słyszałem, że Jeb Paul zamyka swój sklep – zagadnął Joe.

– Też to słyszałem. Należał do jego rodziny w czasach, gdy to miasto nie miało jeszcze nazwy.

– Szkoda.

– Cholerna szkoda, ot co.

Przez chwilę pili. Z ulicy wszedł RD Pruitt, wystrojony w brązowy garnitur z szerokimi klapami, pumpy, białą czapkę do golfa i dwukolorowe oxfordy, jakby wybierał się na pole golfowe. W zębach trzymał wykałaczkę.

Ledwie usiadł, Joe ujrzał w jego twarzy – jasno jak w dzień – strach. Ten strach gnieździł się gościowi w oczach, sączył się z porów. Ludzie na ogół tego nie dostrzegali, bo brali to, co pokazywał publicznie – nienawiść i złość – za wściekłość. Ale Joe badał ten temat przez dwa lata w Charlestown i odkrył, że więźniowie budzący największe przerażenie sami bali się najbardziej – o to, że ktoś zdemaskuje ich jako tchórzy, albo gorzej – ofiary innych przerażających i przerażonych ludzi. Bali się, że ktoś skazi ich jeszcze gorszym jadem. Bali się, że ktoś może im zabrać jad. Przeważenie przetaczało się w ich oczach jak krople rtęci; trzeba to zauważyć w pierwszej chwili, w pierwszej minucie, inaczej przepadnie na zawsze. Ale w momencie pierwszego spotkania oni dopiero przygotowują się na starcie, więc można zobaczyć zwierzę strachu, wycofujące się do swojej nory. Joe ze smutkiem przekonał się, że zwierzę RD Pruitta jest wielkie jak dzik, co znaczyło, że przeciwnik będzie dwa razy bardziej podły i dwa razy bardziej nieracjonalny, bo bał się dwa razy bardziej niż inni.

RD usiadł. Joe wyciągnął do niego rękę.

RD pokręcił głową.

– Nie podaję ręki papistom. – Uśmiechnął się i uniósł dłonie. – Bez urazy.

– Bez urazy. – Joe nie cofnął ręki. – A jeśli powiem, że przez pół życia nie byłem w kościele?

RD zachichotał i znowu pokręcił głową. Joe zabrał rękę i usiadł.

– RD – odezwał się dowódca Figgis – krąży plotka, że wróciłeś w Ybor do swoich dawnych zwyczajów.

RD spojrzał na swojego szwagra wielkimi, niewinnymi oczami.

– I co?

– Słyszymy, że napadasz na lokale.

– Jakie lokale?

– Z alkoholem.

– Ach... – rzucił RD, a jego oczy stały się nagle małe i czarne. – Czyli lokale, jakich nie powinno być w praworządym mieście?

– Tak.

– Znaczą lokale, co są nielegalne i dlatego trza je zamknąć.

– Dokładnie te lokale – zgodził się Figgis.

RD pokręcił małą głową, a jego twarz znowu przybrała wyraz anielskiej niewinności.

– Nie mam żadnej wiedzy na ten temat.

Joe i Figgis wymienili spojrzenie. Joe nabrał przekonania, że obaj z całych sił powstrzymują westchnienie.

– Ha, ha – dodał RD. – Ha, ha. – Wycelował w nich palec. – Pogrywam se z wami i dobrze o tym wiecie.

Dowódca Figgis skinął głową w stronę Joego.

– RD, to biznesmen, który chciałby zrobić z tobą interes. Jestem tutaj, by zasugerować, że powinienesz to zrobić.

– Wiesz o tym, nie? – spytał RD Joego.

– Jasne.

– A w co z tobą pogrywam?

– W żarty.

– Tak. Wiesz. Wiesz. – RD uśmiechnął się do policjanta. – Wie.

– No, to dobrze – rzucił Figgis. – Czyli jesteśmy przyjaciółmi. RD przewrócił oczami jak aktor wodewilu.

– Tego nie powiedziałem.

Figgis parę razy mrugnął nerwowo.

– W każdym razie rozumiemy się dobrze.

– Ten gość – RD wskazał palcem Joego – przemyca alkohol i gzi się z czarnymi kobietami. Należałoby go wytarzać w smole i pierzu, a nie robić z nim interesy.

Joe uśmiechnął się. Zastanowił się, czy go nie chwycić za palec, nie przygnieść do stołu, nie złamać w stawie. Zanim to zrobił, RD cofnął rękę i oznajmił, bardzo głośno:

– Żarty se robię! Znasz się na żartach, nie?

Joe nie odpowiedział.

RD trącił go pięścią w ramię.

– Znasz się na żartach? Co? Co?

Joe spojrzał w najsympatyczniejszą twarz, jaką pewnie zobaczył w życiu. Twarz, której właściciel życzył mu wyłącznie jak najlepiej. Patrzył i patrzył, aż zauważył, jak zwierzę strachu przemyka przez chore, przyjazne oczy RD.

– Znam się na żartach.

– Byle nie żartować z ciebie, co? – dodał RD.

Joe przytaknął.

– Przyjaciele mówią, że często bywasz w Parisian.

RD zmrużył oczy, jakby usiłował sobie przypomnieć ten adres.

– Słyszałem, że smakuje ci koktajl French 75.

RD poprawił nogawkę.

– A jeśli?

– Powiedziałbym, że powinieneś stać się kimś więcej niż stałym gościem.

– Czyli?

– Partnerem.

– Z jakimi udziałami?

– Dziesięć procent od zysku.

– Zrobiłbyś to?

– Jasne.

– Dlaczego?

– Powiedzmy, że szanuję ambicję.

– To wszystko?

– I potrafię dostrzec talent.

– No, to powinno być warte więcej niż dziesięć procent.

– Ile byś proponował?

Twarz RD stała się bezosobowo piękna jak pole pszenicy.

– Myślałem o sześćdziesięciu.

– Chcesz sześćdziesiąt procent zysku jednego z najpopularniejszych klubów w mieście?

RD skinął głową, uroczy i nijaki.

– A konkretnie za co?

– Jeśli mi dasz sześćdziesiąt procent, moi przyjaciele mogą spojrzeć na ciebie mniej nieprzyjaźnie.

– Kim są twoi przyjaciele?

– Sześćdziesiąt procent – powiedział RD, jakby po raz pierwszy.

– Synu, nie dam ci tyle – oznajmił Joe.

– Nie jestem twoim synem – odparł RD łagodnie. – Nie jestem niczyim synem.

– Ku wielkiej uldze twojego ojca.

– Że co?

– Piętnaście procent.

– Pobię cię na śmierć – szepnął RD.

Przynajmniej Joemu wydawało się, że tak szepnął.

– Co?

RD potarł szczękę mocno – do uszu Joego dobiegł chrobot zarostu – i spojrzał na niego oczami jednocześnie tępyimi i zbyt rozjaśnionymi.

– Wiesz, to brzmi jak przyzwoita propozycja.

– Co brzmi?

– Tych piętnaście procent. Nie podbijesz do dwudziestu?

Joe spojrzał na dowódcę Figgisa, a potem na RD.

– Myślę, że piętnaście to dość za robotę, której nie będziesz wykonywać.

RD znowu podrapał się po brodzie i przez chwilę siedział z wzrokiem wbitym w blat stołu. Wreszcie podniósł głowę i uśmiechnął się chłopięco.

– Ma pan rację, panie Coughlin. To uczciwa umowa. A ja cieszę się jak prosię w deszcz, że ją zawrzemy.

Dowódca Figgis odchylił się na krześle, założywszy ręce na płaskim brzuchu.

– Wspaniale to słyszeć, Robercie Drew. Wiedziałem, że dojdziemy do zgody.

– I doszliśmy. Jak odbiorę moją dolę?

– Co drugi wtorek wpadaj do baru koło siódmej wieczorem – powiedział Joe. – Spytaj o Sian McAlpin.

– Schwan?

– Blisko.

– To też papista?

– To ona i nigdy jej nie pytałem.

– Sian McAlpin. Parisian. We wtorek wieczorem. – RD klepnął dłońmi w stół i wstał. – No, to świetnie, powiadam wam. Szanowanko, panowie. – Uchylił kapelusz przed nimi i na poły pomachał, na poły zasalutował, wychodząc.

Przez całą minutę żaden z nich się nie odzywał.

Joe lekko odwrócił się w stronę dowódcy Figgisa.

– Jak bardzo nierówno pod sufitem ma ten chłopak?

– Bardzo.

– Tego się obawiałem. Myślisz, że naprawdę uszanuje umowę?

Figgis wzruszył ramionami.

– Czas pokaże.

RD zjawił się w Parisian po swój udział i podziękował Sian McAlpin za pieniądze. Poprosił, żeby mu przeliterowała swoje imię, a kiedy to zrobiła, oznajmił, że „jest ładne jak ta lala”. Powiedział, że ma nadzieję, iż ich znajomość będzie trwać długo i szczęśliwie, po czym napił się przy barze. Odnosił się uprzejmie do wszystkich. Potem wyszedł, wsiadł do samochodu i minął wytwórnię cygar Vayo, jadąc do Phyllis's Place, lokalu, w którym Joe napił się pierwszego drinka w Ybor.

Bomba, którą wrzucił do niego, wcale nie musiała być wielka. Główne pomieszczenie knajpy było tak małe, że wysoki mężczyzna nie mógłby w nim klasnąć w dłonie, nie stukając łokciami o ściany.

Nikt nie zginął, ale wybuch urwał lewy kciuk perkusiście Coeowi Cole'owi, kładąc kres jego karierze, a siedemnastoletnia dziewczyna, która przysłała odwiedzić ojca do domu, straciła stopę.

Joe wysłał trzy dwuosobowe zespoły, żeby znalazły tego popaprańca, ale RD Pruitt zniknął bez śladu. Przeczesał całe Ybor, a potem zachodnią Tampę, a następnie jej centralną część. Nikt go nie znalazł.

Tydzień później RD wszedł do kolejnego lokalu Joego po wschodniej stronie, odwiedzanego niemal wyłącznie przez czarnych Kubańczyków. Wszedł, gdy zespół grał pełną parą i wszyscy tańczyli. Przecisnął się do sceny, strzelił puzoniście basowemu w kolano, a wokaliście w brzuch. Rzucił kopertę na scenę i wyszedł tylnymi drzwiami.

Koperta była zaadresowana do pana Josepha Coughlina Co Rżnie Czarne Suki. W środku znajdowała się karteczka z dwoma słowami:

*Sześćdziesiąt procent*

Joe poszedł na spotkanie z Kelvinem Beauregardem w fabryce konserw. Zabrał ze sobą Diona oraz Sala Urso i udali się do biura Beauregarda na tyłach budynku. Okna pomieszczenia wychodziły na dział puszkowania. Kilkadziesiąt kobiet w fartuchach i opaskach na głowach stało w dusznej sali wśród serpentyn ruchomych pasów. Beauregard przyglądał im się przez okno biegnące od sufitu do podłogi. Nie wstał, gdy Joe i jego

ludzie weszli do gabinetu. Nie spojrział na nich przez całą minutę. Potem odwrócił się, uśmiechnął i wskazał kciukiem szybę.

– Zapatrzyłem się na nową – wyjaśnił. – I co powiecie?

– Nowa bryka staje się stara, kiedy tylko wyjedziesz nią z parkingu – zauważył Dion.

Kelvin Beauregard uniósł brew.

– Słusznie, słusznie. Panowie, co mogę dla was zrobić?

Wyjął cygaro z humidora, ale nie poczęstował gości.

Joe założył nogę na nogę i podciągnął zaprasowaną nogawkę.

– Chcielibyśmy spytać, czy zdoła pan przemówić do rozsądku RD Pruittowi.

– Niewielu osobom się to udało – zauważył Beauregard.

– Może i tak, ale chcielibyśmy, żeby pan spróbował.

Beauregard odgryzł koniec cygara i wypluł do kosza na śmieci.

– RD jest dorosłym mężczyzną. Nie prosił mnie o radę, więc dawanie jej byłoby dowodem braku szacunku. Nawet gdybym uważał, że istnieje ku temu powód. No właśnie, powiedzcie, bo się pogubiłem, jaki to powód?

Joe odczekał, aż Beauregard zapali cygaro, spojrzy na niego przez płomień zapalki, a potem przez dym.

– Ten powód to jego dobrze pojęty interes – powiedział. – RD musi przestać napadać na moje kluby i spotkać się ze mną, żebyśmy musieli dojść do porozumienia.

– Kluby? Jakie kluby?

Joe spojrział na Diona i Sala, nie odpowiedział.

– Kluby brydzowe? – ciągnął Beauregard. – Rotariańskie? Ja sam należę do Klubu Rotariańskiego w Większej Tampie i nie przypominam sobie, że bym was widział...

– Przyszedłem do pana jako człowiek dorosły, żeby porozmawiać o interesach, a pan mi tu, kurwa, wyjeżdża z jakimiś gierkami.

Kelvin Beauregard oparł stopy o blat biurka.

– Rzeczywiście?

– Wysłał pan na nas tego chłopca. Wiedział pan, że mały ma wystarczającego świra, żeby to zrobić. To pan doprowadzi do jego śmierci.

– Kogo wysłałem?

Joe odetchnął przeciągle przez nos.

– Jest pan tutaj wielkim mistrzem klanu. Świetnie, gratulacje. Ale myśli pan, że się przebiliśmy, bo dawaliśmy się poniewierać takim zwyrodniałym wypierdkom jak pan i pańscy przyjaciele?

– Ohoho, chłopcze – odparł Beuregard ze zmęczonym śmiechem. – Jeśli uważasz nas za kogoś takiego, popełniasz groźny błąd. Jesteśmy miejskimi urzędnikami, szeryfami, strażnikami więziennymi i bankierami. Policjantami, zastępcami. Mamy wśród nas nawet sędziego. I podjęliśmy pewną decyzję. – Zdjął nogi z biurka. – Postanowiliśmy, że przyciśniemy pana, pańskich czarnuchów i makaroniarzy, aż uciekniecie z tego miasta. Jeśli będziecie na tyle durni, żeby z nami walczyć, ogień piekielny spadnie na pana i wszystkich, których pan kocha.

– Więc straszy mnie pan ludźmi, mającymi więcej władzy niż pan?

– Dokładnie.

– To dlaczego z panem rozmawiam? – spytał Joe i skinął na Diona.

Kelvin Beuregard zdążył jeszcze wykrztusić „Co?”, po czym Dion podszedł i obryzgał jego mózgiem wielkie okno za nim.

Potem podniósł cygaro, które upadło Kehdnowi Beuregardowi na pierś, i wsadził mu je w usta. Odkręcił tłumik maxima i syknął, wrzucając go do kieszeni prochowca.

– Gorący, skubaniec.

– Ostatnio straszna z ciebie niunia – powiedział Sal Urso.

Opuścili gabinet i metalowymi schodami zeszli do hali fabrycznej. Idąc, nasunęli fedory na czoło i przysłonili jasnymi prochowcami kolorowe garnitury, żeby robotnice wiedziały, z kim mają do czynienia – z gangsterami – i nie przyglądały się im zbyt długo. Wyszli tą samą drogą, którą tutaj weszli. Jeśli ktoś rozpoznał w nich mieszkańców Ybor, znałby ich reputację i to by wystarczyło, żeby wszystkie robotnice w dziale puszkowania nagle doznały gwałtownego pogorszenia wzroku.

Joe siedział na ganku dowódcy Figgisa w Hyde Parku, z roztargnieniem otwierał i zamykał zegarek ojca. Otwierał i zamykał, otwierał i zamykał. Dom był klasycznym bungalowem w stylu Arts and Crafts. Brązowy, z piaskowymi futrynymi. Dowódca zbudował ganek z szerokich hikorowych desek, a na nim ustawił rattanowe meble i huśtawkę w tym samym piaskowym kolorze, co futryny.

Figgis wysiadł z samochodu i zbliżył się ścieżką z czerwonej cegły, biegnącą przez idealnie wypielęgnowany trawnik.

– Przyszedłeś do mojego domu? – spytał.

– Oszczędziłem ci kłopotu wzywania mnie na posterunek.

– Dlaczego miałbym to zrobić?

– Moi ludzie twierdzą, że mnie szukałeś.

– A tak, prawda. – Figgis dotarł do ganku i na chwilę zatrzymał się ze stopą na schodkach. – Strzeliłeś Kelvinowi Beauregardowi w głowę?

Joe zmrużył oczy.

– Kim jest Kelvin Beauregard?

– I oto nastał kres mojego przesłuchania. Chcesz piwa? No, powiedzmy niedopiwa. Ale da się pić.

– Wielce zobowiązany – powiedział Joe.

Figgis poszedł do domu i wrócił z dwoma niedopiwami i psem. Piwa były zimne, a pies – szary posokowiec z uszami wielkości liści bananowca – stary. Położył się na ganku między Joem i drzwiami, ucinając sobie drzemkę z otwartymi oczami.

– Muszę się skontaktować z RD – oznajmił Joe, podziękowawszy za piwo.

– Spodziewałem się tego.

– Wiesz, jak to się skończy, jeśli mi nie pomożesz.

– Nie. Nie wiem.

– Skończy się następnymi trupami, rozlewem krwi, gazetami piszącymi o „Morderstwie w mieście cygar” i tak dalej. No i wykolegują cię stąd.

– Ciebie też.

Joe wzruszył ramionami.

– Może.

– Różnica polega na tym, że ty zostaniesz wykolegowany kulką w łeb.

– Jeśli on zniknie, wojna się zakończy. Powróci pokój.

Figgis pokręcił głową.

– Nie sprzedam brata mojej żony.

Joe spojrział na ulicę. Była urocza, z ceglana nawierzchnią i kilkoma schludnymi bungalowami, pomalowanymi na wesołe kolory, a także starymi domami, takimi, jakie spotyka się na Południu i nawet kilkoma dostatnimi kamieniczkami z wypukłą fasadą. Dęby stały dostojne i wysokie, w powietrzu unosił się zapach gardenii.

– Nie chcę tego robić – powiedział Joe.

– Czego?

- Tego, do czego mnie zmuszasz.
- Do niczego cię nie zmuszam, Coughlin.
- Chyba jednak – mruknął Joe.

Wyjął pierwsze fotografie z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył je na ganku przed dowódcą. Figgis wiedział, że nie powinien na nie patrzeć. Po prostu wiedział. I przez chwilę odwracał głowę. Ale potem spojrzął na to, co Joe położył na jego ganku, dwa schodki od drzwi wejściowych – i twarz mu pobladła.

Spojrzał na Joego, potem na zdjęcie i szybko odwrócił wzrok, a Joe zaatakował.

Położył drugą fotografię obok pierwszej.

- Nie dojechała do Hollywood, Irv. Zatrzymała się w Los Angeles.

Irving Figgis zerknął na drugie zdjęcie – na tyle długo, żeby sparzyło mu oczy. Zamknął je i szepnął kilka razy:

- Tak się nie godzi, tak się nie godzi.

Zapłakał. Właściwie zaszlochał. Zasłonił rękami twarz, spuścił głowę, dygocząc gwałtownie.

Ucichł i siedział z twarzą w dłoniach. Pies podszedł, położył się obok niego, przytulił łeb do uda Figgisa i zatrząsł się, aż wargi mu załopotwały.

- Załatwiliśmy jej specjalnego doktora – powiedział Joe.

Figgis opuścił ręce i spojrzął na niego z nienawiścią w czerwonych oczach.

- Jakiego doktora?

- Takiego, który odzwyczajają ludzi od heroiny, Irv.

Figgis uniósł palec.

– Niech pan nigdy więcej nie nazywa mnie po imieniu. Będzie pan do mnie mówił „dowódcu Figgis” do końca naszej znajomości. Czy to jasne?

– Nie my jej to zrobiliśmy. My tylko ją znaleźliśmy. I wyciągnęliśmy ją stąd, gdzie była, a była w dość paskudnej dziurze.

– A potem doszliście do wniosku, że możecie na tym zyskać. – Figgis wskazał zdjęcie córki z trzema mężczyznami, metalową obrożą i łańcuchem. – Wy się tym zajmujecie. Czy chodzi o moją, czy czyjąś inną córkę.

– Ja nie. – Joe zdawał sobie sprawę, jak słabo brzmi jego głos. – Ja tylko sprzedaję rum.

Figgis wytarł oczy wnętrzem dłoni, a potem palcami. – Zyski ze sprzedaży rumu

zapewniają organizacji inne rzeczy. Proszę nie udawać, że nie. Niech pan poda cenę.

– Co?

– Pańską cenę. Za informację, gdzie jest moja córka. – Dowódca odwrócił się i spojrzał na Joego. – Proszę mi powiedzieć. Chcę wiedzieć, gdzie ona jest.

– Ma dobrego doktora.

Figgis walnął pięścią w ganek.

– Znajduje się w czystym ośrodku – dodał Joe.

Figgis uderzył jeszcze raz.

– Nie mogę powiedzieć – odparł Joe.

– Aż...?

Joe patrzył na niego długo.

Figgis wstał, a pies wstał razem z nim. Dowódca wszedł do domu i Joe usłyszał, jak wykręca numer. Kiedy się odezwał, jego głos brzmiał wyżej i bardziej ochryple niż zwykle.

– RD, spotkasz się znowu z tym chłopcem i koniec dyskusji.

Czekający na ganku Joe zapalił papierosa. Na Howard parę przecznic dalej ryczały klaksony.

– Tak – mówił Figgis do słuchawki. – Ja też przyjdę.

Joe zdjął z języka płatek tytoniu i rzucił go na lekki wietrzyk.

– Będziesz bezpieczny, przysięgam.

Dowódca odłożył słuchawkę i przez jakiś czas stał w progu. Potem otworzył drzwi i razem z psem wrócił na ganek.

– Spotka się z panem na Longboat Key, gdzie budują Ritza, dzisiaj o dziesiątej wieczorem. Powiedział, żeby przyszedł pan sam.

– Dobrze.

– Kiedy dostanę jej adres?

– Kiedy wrócę żywy ze spotkania z RD.

Joe ruszył do samochodu.

– Niech pan to zrobi sam.

– Co? – spytał Joe, oglądając się.

– Jeśli zamierza go pan zabić, niech pan będzie mężczyzną na tyle, żeby samemu

pociągnąć za spust. Nie ma się co szczyścić, że się pan wyręcza innymi, kiedy brak panu sił.

– W ogóle niewieloma rzeczami można się szczyścić.

– Nieprawda. Ja budzę się co rano, spoglądam w lustro i wiem, że idę właściwą ścieżką. A pan? – Pytanie zawisło w powietrzu.

Joe otworzył drzwi samochodu i pochylił się, żeby wsiąść.

– Chwileczkę – usłyszał.

Spojrzał na mężczyznę na ganku, który teraz był już mniej mężczyzną, bo Joe ukradł mu jego ważną część i zamierzał z nią odjechać.

Figgis wskazał wzrokiem marynarkę Joego. Głos mu drżał.

– Ma pan tego więcej?

Joe czuł ciężar zdjęć w kieszeni, odrażających jak bezzębne dziąsła.

– Nie.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

# ROZDZIAŁ 19

## NIE MA LEPSZYCH DNI

John Ringling, cyrkowy impresario i wielki dobroczyńca Sarasoty, zbudował w 1926 roku Ritz-Carltona na Longboat Key, po czym wpadł w kłopoty finansowe i zostawił stojący nad wodą, odwrócony tyłem do zatoki budynek – pokoje bez mebli, niewykończone ściany.

W czasach tuż po przyjeździe do Tamy Joe wiele razy przemierzył wybrzeże, szukając miejsca na wyładowywanie kontrabandy. Wraz z Estebanem sprowadzali na łodziach melasę do portu Tamy i tak uszczelnili granice miasta, że tracili tylko jeden na dziesięć transportów. Ale także opłacali import do Zachodniej Florydy Środkowej rumu w butelkach, hiszpańskiej anyżówki i winiaku prosto z Hawany. Dzięki temu omijali proces destylacji na terenie USA, co wyeliminowało zajmujący czas etap, ale za to narażali łodzie na większą interwencję bojowników Prohibicji, w tym pracowników skarbowki, straży przybrzeżnej, policji i agentów rządowych. I choćby pilot Farruco Diaz wspinał się na szczyty talentu i szaleństwa, mógł najwyżej dostrzec zbliżających się przeciwników. Nie potrafił ich zatrzymać. (I dlatego nadal opowiadał się za uzupełnieniem stojaka pistoletem maszynowym wraz z obsługującym go strzelcem).

Jednak jak długo Joe i Esteban wzdrali się przed wydaniem otwartej wojny straży przybrzeżnej i ludziom J. Edgara, małe wysepki wzdłuż brzegu – Longboat Key, Casey Key, Siesta Key i wiele innych – stanowiły idealne kryjówki lub tymczasowe przechowalnie towaru.

Stanowiły także idealną pułapkę, ponieważ miały tylko dwie drogi ucieczki – morską, w łodzi, oraz przez most. Jeden jedyny most. Więc gdyby przedstawiciele prawa zrobili obławę i zbliżali się z rykiem megafonów i w blasku reflektorów, a człowiek nie miałby czym nawiać, wtedy, panie dziejku, lądowało się w pierdłu.

W czasie tej działalności złożyli też na jakiś czas z tuzin ładunków w Ritzu. Sam Joe tego nie zrobił, ale słyszał opowieści o tym budynku. Ringling wzniósł jego szkielet, nawet zainstalował kanalizację i zrobił wylewki, ale potem się zwinął. Po prostu zostawił ten trzystupokojowy hotel w stylu śródziemnomorskim, tak wielki, że gdyby zapalili w nim światło, widziano by je pewnie z Hawany.

Joe dotarł na miejsce godzinę wcześniej. Przyniósł latarkę – poprosił Diona o

wybranie mu dobrej i rzeczywiście zła nie była, ale potrzebowała częstych odpoczynków; promień stopniowo przygasał, potem zaczynał migotać i całkiem znikał. Joe musiał wyłączać ją co parę minut, potem włączał i wszystko zaczynało się od nowa. Gdy tak czekał w ciemnościach pomieszczenia, które miało być chyba restauracją na drugim piętrze, przyszło mu do głowy, że ludzie to latarki – ich blask wybucha, potem traci na sile, migocze i gaśnie. Ponura i dziecinna myśl, ale jadąc tutaj, czuł ponurą i być może trochę dziecinną urazę do RD Pruitta, ponieważ wiedział, że to tylko jeden z wielu. Nie wyjątek, a zasada. I jeśli Joe usunie dzisiaj ten problem, wkrótce pojawi się nowy RD Pruitt.

A to dlatego, że ten biznes był nielegalny i przez to brzydki. A brzydkie sprawy przyciągają brzydkich ludzi. Ludzi o małych rozumkach i wielkim okrucieństwie.

Wyszedł na werandę z białego wapienia; stojąc tam przysłuchiwał się szumowi fal i sprowadzonych przez Ringlinga palm, których liście szeleściły na ciepłym nocnym wietrzyku.

Zwolennicy prohibicji przegrywali; kraj buntował się przeciwko Osiemnastej Poprawce. Wkrótce sytuacja miała się zmienić. Może nie za dziesięć lat, a może już za dwa. W każdym razie akt zgonu został już wypisany, tylko jeszcze go nie opublikowano. Joe i Esteban wykupili udziały w firmach importowych na całym wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej i wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Spłukali się, ale kiedy tylko alkohol znowu stanie się legalny, wcisną przełącznik i ich organizacja wyłoni się, promieniejąc, w jasnym świetle nowego dnia. Wszystkie gorzelnie działały, firmy przewozowe obecnie specjalizowały się w szkle – fabrykach butelek, zaopatrujących wytwórnie napojów gazowanych. Popołudniem tego pierwszego dnia będą już pracować pełną parą, gotowe do przejścia tego, co według nich znajdowało się w ich zasięgu: od szesnastu do osiemnastu procent amerykańskiego rynku rumowego.

Joe zamknął oczy i odetchnął morskim powietrzem, zastanawiając się, z ilu jeszcze RD Pruittami będzie musiał się rozprawić, zanim osiągnie ten cel. Prawdę powiedziawszy, nie rozumiał RD, chłopaka, który przyszedł na świat, chcąc wygrać w jakimś konkursie, który istniał tylko w jego głowie, i bez wątpienia stoczyć walkę do ostatniej kropli krwi, bo śmierć była jedynym błogosławieństwem i spokojem, jaki mógł znaleźć na tym świecie. I może nie tylko RD i jemu podobni martwili Joego, także to, co trzeba z nimi zrobić, żeby ich uspokoić. Człowiek musiał uklęknąć w brudzie obok nich. Trzeba było pokazać dobremu człowiekowi, jak Irving Figgis, zdjęcia jego pierworodnej z fiutem w dupie, obrozą na szyi i siniakami w zgięciach łokci, wijącymi się wzdłuż żył jak spieczone na słońcu grzechotniki.

Los oszczędził mu położenia kolejnych zdjęć przed Irvingiem Figgisem, ale zrobiłby to, gdyby musiał przyspieszyć sprawę. W biznesie, z którym związał swój los, najbardziej martwiło go, że kiedy musiał sprzedać kolejny kawałek duszy, przychodziło mu to z coraz większą łatwością.

Wczorajszego wieczoru wyszedł z Gracielą na drinka w Rivierze i na kolację w Columbian. Potem załapali się na program w Satin Sky. Towarzyszył im Sal Urso, który został pełnoetatowym szoferem Joego. Za ich samochodem jechał Lewus Downer – pilnował ich, kiedy Dion zajmował się innymi sprawami. Barman w Rivierze potknął się i upadł na kolano, usiłując odsunąć krzesło Gracieli, zanim ta doszła do stołu. Kiedy kelnerka rozlała drinka na stół i nieco płynu ściekło na spodnie Joego, przeproszał go szef kelnerów, kierownik sali, a także właściciel lokalu. Joe usiłował ich przekonać, żeby nie wyrzucali kelnerki. Tłumaczył, że nie chciała, a poza tym obsługiwała ich bez zarzutu za każdym razem, kiedy mieli to szczęście, że siadali przy stoliku, który podlegał jej obsłudze (Obsługiwać, uwielbiał to słowo). Oczywiście mężczyźni ustąpili, ale – co uświadomiła mu Gracielą w drodze do Satin Sky – co innego mogli powiedzieć? Sprawdź, czy w przyszłym tygodniu kelnerka nadal będzie tam pracować, powiedziała. W Satin Sky wszystkie stoliki były zajęte, ale zanim Joe i Graciela zdążyli zawrócić do samochodu, gdzie czekał na nich Sal, kierownik sali Pepe podbiegł do nich i zapewnił, że czworo klientów właśnie wychodzi. Joe i Graciela patrzyli, jak dwaj mężczyźni podchodzą do stolika, gdzie siedziały dwie pary, szepczą gościom coś do ucha i popędzają ich do wyjścia, dla pewności trzymając pod ręce.

Usiedli i przez jakiś czas nie odzywali się do siebie. Pili, przyglądali się zespołowi. Graciela wodziła wzrokiem po sali, potem spojrzała na Sala, który stał przy samochodzie, nie spuszczać z nich oka. I na gości oraz kelnerów, udających, że ich nie obserwują.

– Stałam się taka, jak ludzie, dla których pracowali moi rodzice – powiedziała.

Joe nie odpowiedział, bo wszystko, co mu przychodziło do głowy, byłoby kłamstwem.

Coś w nich zgasło, coś, co żyło za dnia – tam, gdzie mieszkają przyzwoici ludzie, sprzedawcy ubezpieczeń i bankierzy, gdzie odbywają się spotkania społeczne i powiewają chorągiewki na paradach, gdzie sprzedaje się prawdę o sobie w zamian za swoją historię.

Ale na chodnikach oświetlonych mdłym żółtym światłem latarni, w zaułkach i na opuszczonych działkach ludzie zebrali o jedzenie i koce. A gdy się ich mijало, za zakrętem obskakiwały cię ich dzieci.

Szczerze mówiąc, Joemu podobała się jego historia. O wiele bardziej niż prawda o nim. Przedstawiała się bowiem tak, że był drugorzędny, niechlujny i niedopasowany. Nadal mówił z bostońskim akcentem, nie umiał się ubierać i miał zbyt wiele pomysłów, które większość osób uznałaby za „osobliwe”. Prawda wyglądała tak, że był wystraszonego chłopczykiem w pustym domu, czekającym, aż ktoś zapuka do drzwi jego sypialni i spyta, czy wszystko dobrze.

Natomiast jego historia opowiadała o księciu gangsterów. O człowieku, który miał szofera i ochroniarza na pełny etat. O człowieku posiadającym pozycję i bogactwo. Sprawiał, że ludzie opuszczali swoje miejsca tylko dlatego, że on chciał je zająć.

Graciela miała rację – stali się ludźmi, dla których pracowali jej rodzice. Ale byli ich lepszą wersją. A jej przymierający głodem rodzice by to pochwalili. Z bogaczami się nie walczy. Można zrobić tylko jedno: stać się nimi do takiego stopnia, żeby inni przychodzili do ciebie po to, czego nie mają.

Wrócił z werandy do hotelu. Włączył latarkę, ujrzał wielką obszerną salę, w której najlepsze towarzystwo miało pić, jeść, tańczyć i robić to, co robi najlepsze towarzystwo.

Czyli co?

Nie potrafił na to znaleźć od razu odpowiedzi.

Co robią inni ludzie?

Pracują. Jeśli mają pracę. A nawet jeśli nie mają, zajmują się rodziną, prowadzą samochody, jeśli stać ich na ich utrzymanie i benzynę. Chodzą do kina, słuchają radia, bywają w teatrach. Pałą.

A bogacze?

Grają w hazardowe gry.

Joe zobaczył to jak w potężnym rozbłysku światła. Podczas gdy reszta narodu stała w kolejce po zupę i błagała o grosze, bogaci wciąż byli bogaci. I leniwi. I znudzeni.

Restauracja, przez którą przeszedł, wcale nią nie była – była kasynem. Joe widział ruletkę na środku, stoliki do gry w kości pod południową ścianą, stoliki do gry w karty pod ścianą północną. Zobaczył perski dywan, kryształowe żyrandole z rubinowymi i brylantowymi zawieszkami.

Wyszedł z pomieszczenia i ruszył głównym korytarzem. Sale konferencyjne, które mijał, stały się music hallami – w jednej big band, w drugiej wodewil, w trzeciej kubański jazz, może nawet kino w czwartej.

Pokoje. Pobiegł na trzecie piętro i spojrział przez okna wychodzące na zatokę. Jezu, widok zapierał dech w piersiach. Na każdym piętrze urzędowałby inny kamerdyner, stojący w pogotowiu przy windach; do usług wszystkich gości przez całą dobę. Oczywiście w każdym pokoju byłoby radio. I wentylator pod sufitem. I może te francuskie toalety, o których słyszał, te, z których woda tryska ci w tyłek. Masażystki byłyby gotowe na każde wezwanie, dwudziestoczwierogodzinna obsługa, dwóch, nie, trzech recepcjonistów. Wrócił na pierwsze piętro. Latarka potrzebowała odpoczynku, więc ją wyłączył, bo już znał te schody. Na pierwszym piętrze znalazł centralnie umieszczoną salę balową, z wielkim, biegnącym w górze balkonem widokowym, po którym można było się przechadzać w ciepłe wiosenne wieczory i przyglądać pod gwiazdami namalowanymi na kopule dachu tańczącym posiadaczom niezmierzonej fortuny.

Teraz widział – tak wyraźnie, że nie wyobrażał sobie nic wyraźniejszego – że bogaci przychodziliby tutaj po splendor, elegancję i możliwość utraty tego wszystkiego w

nieuczciwej grze, tak nieuczciwej jak ta, którą od stuleci prowadzili z biedakami.

A on by na to przymykał oko. Zachęcałby ich do tego. I bogacił się na tym.

Nikt – ani Rockefeller, ani Du Pont, Carnegie czy J.P. Morgan – nie rozbijał banku. Chyba że sam nim był. W tym kasynie tylko Joe był bankiem.

Potrząsnął parę razy latarką. Zapaliła się.

Z jakiegoś powodu zaskoczył go ich widok – RD Pruitta i dwóch innych mężczyzn. RD – w sztywnym brązowym garniturze i czarnym krawacie z rzemyka, z mankietami spodni kończącymi się zbyt wysoko nad czarnymi butami, tak że ukazywały białe skarpetki – zjawiał się w towarzystwie dwóch chłopaków, przemysłowców bimbru, sądząc po ich wyglądzie. Zalatywało od nich kukurydzą, zacierem i metanolem. Nie mieli garniturów, tylko koszule z krótkimi krawatami i wełniane spodnie z szelkami.

Skierowali latarki na Joego, a on usiłował nie mrugać.

– Więc przyszedłeś – powiedział RD.

– Przyszedłem.

– Gdzie mój szwagier?

– Nie przyszedł.

– I dobrze. – RD wskazał chłopaka po prawej. – To Carver Pruitt, mój kuzyn. – Wskazał chłopaka po lewej. – To jego kuzyn z strony matki, Harold LaBute. – Spojrzał na nich. – Chłopaki, to on zabił Kelvina. Ostrożnie z nim, bo może będzie chciał i was pozabijać.

Carver Pruitt uniósł strzelbę.

– Nie sądzę.

– Co za gość. – RD ruszył wokół sali balowej, mierząc palcem w Joego. – Podstępny szcurek. Nie spuszczaaj oczu z tej pukawki, bo zaraz ci ją świsnie.

– Ej, zawstydzasz mnie – odezwał się Joe.

– Dotrzymujesz słowa? – spytał RD.

– Zależy komu je daję.

– Więc nie przyszedłeś sam, jak rozkazałem.

– Nie. Nie przyszedłem sam.

– No, to gdzie są?

– No co ty, RD, jeśli ci powiem, zepsuję całą zabawę.

– Przyglądaliśmy się, jak wchodzisz – oznajmił RD. – Siedzimy tu od trzech godzin.

Pojawiłeś się godzinę wcześniej. Myślałeś, że nas zaskoczysz? – Zachichotał. – Dlatego wiemy, że przyszedłeś sam. I co teraz?

– Zaufaj mi – powiedział Joe. – Nie jestem sam.

RD szedł przez salę balową, a jego ochroniarze podążali za nim, aż znaleźli się na środku.

Sprężynowiec, który Joe ze sobą przyniósł, był już otwarty, z trzonkiem wsuniętym pod pasek zegarka, wkładanego specjalnie na takie okazje. Wystarczyłoby tylko poruszyć nadgarstkiem, a nóż zsunąłby się w dłoń.

– Wisi mi te sześćdziesiąt procent.

– Wiem.

– To jak ci się widzi, czego chcesz?

– Nie wiem. Podejrzewam... Podejrzewam powrót do... no, nie wiem, tego, co było? Ciepło?

– Gorąco jak na patelni.

– Ale nie ma takiej opcji. W tym problem, RD. Przez dwa lata w więzieniu zajmowałem się tylko czytaniem. Wiesz, czego się dowiedziałem?

– Nie. Ale mi powiesz, co?

– Dowiedziałem się, że zawsze mamy przesrane. Zawsze się zabijamy, gwałcimy, kradniemy i upijamy. Tacy jesteśmy, RD. Nie ma żadnego „tego, co było”. Nie ma lepszych dni.

– Aha – mruknął RD.

– Wiesz, co tutaj mogłoby być? – mówił Joe. – Zdajesz sobie sprawę, co moglibyśmy zrobić z tym budynkiem?

– Nie.

– Zbudować największe kasyno w Stanach Zjednoczonych.

– Nikt nie da pozwolenia na hazard.

– Nie mogę się z tobą zgodzić. Cały kraj upadł, banki zbankrutowały, podobnie jak miasta, ludzie nie mają pracy.

– Bo mamy komunistę za prezydenta.

– Nie. Nie trafiłeś. Ale nie przyszedłem, żeby dyskutować z tobą o polityce. Chcę ci powiedzieć, że prohibicja się skończy, ponieważ...

– W bogobojnym kraju prohibicja się nie skończy.

– Skończy się, skończy. Bo ten kraj potrzebuje milionów, których od dziesięciu lat nie dostawał z opłat celnych, podatków za import i dystrybucję, opłat za transport międzystanowy i cholera, sam już nie wiem za co. Wyrzekli się miliardów dolarów. A teraz poproszą mnie i ludzi do mnie podobnych – na przykład ciebie – żeby zarabiali miliony dolarów na sprzedaży legalnego alkoholu i uratowali ich kraj. I dokładnie dlatego, zgodnie z duchem chwili, pozwolą temu stanowi zalegalizować hazard. Tylko musimy kupić komisje właściwych hrabstw, właściwych doradców miejskich i senatorów stanowych. Damy radę. A ty możesz w tym brać udział, RD.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

– To dlaczego tutaj przyszedłeś?

– Żeby ci powiedzieć w twarz, facet, że jesteś rakiem. Jesteś szkodnikiem, przez którego ten kraj upadł na kolana. Ty, ta twoja czarna kurwa, twoje znajome brudasy i makaroniarze. Wezmę se to Parisian. Nie sześćdziesiąt procent – wszystko. A potem? Potem wezmę se wszystkie twoje kluby. Wezmę se wszystko, co masz. Może nawet pójde do tego twojego wypindrzonego domu i zerżnę trochę tę czarną szmatę, zanim poderżnę jej gardło. – Obejrzał się ze śmiechem na swoich chłopców i znowu spojrzął na Joego. – Jeszcze to do ciebie nie dotarło, ale wyjeżdżasz z miasta, chłopaku. Tylko zapomniałeś się spakować.

Joe spojrzął w jasne, podłe oczy RD. Patrzył w nie tak głęboko, aż minął to, co jasne i dotarł do podłości. Całkiem, jakby patrzył w ślepią psa, którego tak długo bito, głodzano poniżano, że teraz miał do pokazania światu tylko zęby.

I poczuł do niego litość.

RD Pruitt zobaczył tę litość w oczach Joego. W jego oczach pojawiło się wycie oburzenia. I nóż. Joe zobaczył ten nóż w jego oczach, a kiedy spuścił wzrok na rękę RD, ten już mu wbił ostrze w brzuch.

Joe chwycił jego przegub, chwycił ze wszystkich sił, więc RD nie mógł poruszyć nożem w prawo, lewo, w górę ani w dół. Sprężynowiec Joego upadł ze szczękiem na podłogę. RD szarpał się w chwycie Joego. Obaj zaciskali zęby.

– Mam cię – wydyszał RD. – Mam cię.

Joe puścił jego rękę i dolnymi częściami dłoni uderzył go w splot słoneczny, odpychając od siebie. Nóż wysliznęła się z rany, Joe upadł na podłogę, RD roześmiał się i dwaj jego chłopcy też się roześmiali.

– Mam cię! – RD podszedł do Joego.

Joe patrzył na swoją krew, skapującą z ostrza. Uniósł rękę.

– Jeszcze nie.

RD przystanął.

– Każdy tak mówi.

– Nie mówiłem do ciebie. – Spojrzał w mrok na gwiazdy zdobiące kopułę nad okrągłym balkonem wokół sali. – Dobrze. Teraz.

– Do kogo mówisz? – spytał RD, o krok w tyle, zawsze o krok w tyle, co pewnie sprawiało, że był tak głupio podły.

Dion i Sal zapalili reflektory, które popołudniem tego dnia wciągnęli na balkon wokół sali. Jakby księżyc w pełni wyłonił się zza burzowych chmur. W sali balowej zrobiło się białe.

Gdy runął grad kul, RD Pruitt, Carver i jego kuzyn Harold zaczęli podrygiwać w cementarnym fokstrocie, jakby dostali straszliwego ataku kaszlu podczas biegu przez gorące węgle. Dion ostatnio stał się wirtuozem pistoletu maszynowego; wyhaftował krzyżyk na górnej połowie jednego boku RD Pruitta i dolnej drugiego. Kiedy przestali strzelać, strzepy ciał całej trójki fruwały po sali balowej.

Na schodach rozległ się tupot, Dion i Sal podbiegli do Joego.

W progu Dion zawołał do Sala:

– Sprowadź lekarza, szybko!

Kroki Sala oddaliły się. Dion podbiegł do Joego i rozerwał mu koszulę.

– Oż ty w życiu.

– Co? Żle?

Dion zdjął płaszcz, a potem własną koszulę, zwinął ją w kłęb i przycisnął do rany.

– Przytrzymaj to.

– Żle? – powtórzył Joe.

– Dobrze nie jest. Jak się czujesz?

– Zimno mi w stopy. I pali mnie żołądek. I właściwie chce mi się krzyczeć.

– To krzycz. Nikt nie usłyszy.

Joe krzyknął. Przestraszył się, tak głośno to zabrzmiało, echo rozniosło się po hotelu.

– Lepiej ci?

– Wiesz co? Nie.

– To już nie krzycz. On już idzie. Lekarz.

– Zabraliście go ze sobą?

Dion skinął głową.

– Jest na łodzi. Sal już włączył reflektor sygnalizacyjny. W te pędy go sprowadzi.

– To dobrze.

– Dlaczego nie wydałeś jakiegoś dźwięku, kiedy ci sprzedał kosę? W tych kurewskich ciemnościach nic nie widzieliśmy. Czekaliśmy na sygnał.

– Nie wiem. Wydało mi się ważne, żeby mu nie dać satysfakcji. O Jezu, boli.

Dion podał mu rękę. Joe ścisnął ją kurczowo.

– Dlaczego pozwoliłeś mu podejść tak blisko, skoro nie chciałeś go dźgnąć?

– Dlaczego tak?

– Dlaczego tak blisko? Z nożem? To ty miałeś sprzedać kosę jemu.

– Nie powinienem mu pokazywać tych zdjęć.

– Pokazałeś mu zdjęcia?

– Nie. Co? Nie. Mówię o Figgisie. Nie powinienem był tego robić.

– Chryste. Trzeba, żeby uciszyć tego wściekłego psa.

– To niesprawiedliwa cena.

– Ale taka jest cena. Nie wolno wystawiać się na ciosy jakiegoś gnoja, bo cena jest, jaka jest.

– Jasne.

– Hej. Nie śpij.

– Przestań mnie bić po twarzy.

– To przestań zamykać oczy.

– Tutaj będzie ładne kasyno.

– Co?

– Zaufaj mi – powiedział Joe.

## ROZDZIAŁ 20

### MI GRAN AMOR

Pięć tygodni. Tak długo leżał w szpitalu. Najpierw w klinice Gonzaleza na Fourteenth, o przecznice od Circulo Cubano, potem – jako Rodrigo Marinez – w szpitalu Centro Asturiano dwanaście przecznic na wschód. Kubańczycy mogli się wadzić z Hiszpanami, a Hiszpanie z południa mogli się wadzić z Hiszpanami z północy, a wszyscy razem mogli drzeć koty z Włochami i amerykańskimi czarnuchami, ale jeśli chodziło o opiekę medyczną, Ybor zmieniało się w kolektyw wzajemnej pomocy. Wszyscy wiedzieli, że nikt z białej Tamy nie ruszy palcem, żeby zaszyć im dziurę w sercu, jeśli w pobliżu będzie biały wymagający leczenia paznokcia.

Nad Joem pracował zespół zebrany przez Gracię i Estebana – kubański chirurg, który wykonał laparotomię, hiszpański torakochirurg, który czuwał nad rekonstrukcją powłok brzusznych podczas drugiej, trzeciej i czwartej operacji, oraz amerykański doktor z farmakologicznej awangardy, mający dostęp do szczepionki przeciwko tężcowi i czuwający nad dawkami morfiny.

Wszelkie wstępne zabiegi, jakim został poddany Joe – obmycie rany, zdezynfekowanie jej, zbadanie, usunięcie ciał obcych i zaszywanie – zostały wykonane w klinice Gonzaleza, ale informacja o pobycie Joego rozeszła się po mieście. Drugiej nocy pojawili się nocni jeźdźcy KKK, galopujący konno po Ninth. Oleisty smród ich pochodni wpełzł do szpitala przez kraty w oknie. Joe o tym nie wiedział – z pierwszych dwóch tygodni po ataku zachował bardzo mgliste wspomnienia – ale Gracię opowiedziała mu o tym podczas ciągnącej się miesiącami rekonwalescencji.

Gdy jeźdźcy odjechali w łomocie końskich kopyt i przy huku oddawanych w powietrze strzałów, Dion posłał za nimi ludzi – po dwóch na jednego jeźdźcę. Tuż przed świtem nieznanymi napastnikami wtargnęli do domów ośmiu mieszkańców Większej Tamy i St. Petersburga. Pobili owych mężczyzn niemal na śmierć, niektórych na oczach rodzin. Gdy w Temple Terrace żona jednego z nich interweniowała, złamali jej obie ręce kijem baseballowym. Gdy pewien syn w Egypcie Lake usiłował im przeszkodzić, przywiązali go do drzewa na pastwę mrówek i moskitów. Najbardziej szacowny z napadniętych, dentysta Victor Toll, który podobno zastąpił Kelvina Beauregarda na stanowisku dowódcy miejscowego Ku Klux Klanu, został przywiązany do maski swojego samochodu. Musiał pławić się we własnej krwi i smrodzie swojego palącego się do fundamentów domu.

To doprowadziło do podkopania władzy Ku Klux Klanu w Tampie na trzy lata, ale rodzina Pescatore oraz gang Coughlina i Suareza nie mogli o tym wiedzieć, dlatego Joe został przeniesiony do szpitala Centro Asturiano. Tam założono mu dren, ponieważ chory dostał wewnętrznego krwotoku, którego przyczyn poprzedni doktor nie potrafił rozpoznać. Dlatego posłano po drugiego, delikatnego Hiszpana o najpiękniejszych palcach, jakie kiedykolwiek widziała Graciela.

Na tym etapie Joemu nie groził już wstrząs w wyniku krwotoku – główna przyczyna śmierci ofiar dźgniętych nożem w brzuch. Drugą jest uszkodzenie wątroby, a wątrobie Joego nic nie dolegało. A to, jak powiedzieli mu później lekarze, dzięki zegarkowi ojca, który zyskał nowe draśnięcie na kopercie. Czubek noża przejechał po nim, lekko zmieniając kierunek.

Pierwszy doktor starał się, jak mógł, oszacować uszkodzenia dwunastnicy, odbytnicy, jelita grubego, pęcherzyka żółciowego, śledziony i jelita krętego, ale ich stan nie był idealny. Joe leżał na brudnej podłodze opuszczonego budynku, a potem został przetransportowany na drugą stronę zatoki łodzią. Zanim dotarł do sali operacyjnej, minęła ponad godzina.

Drugi doktor, który zbadał Joego, podejrzewał – ze względu na kąt, pod jakim ostrze przebiło powłoki brzuszne – uszkodzenie śledziony, więc zrobiono drugą operację. Hiszpański doktor miał łeb. Zacerował rozdarcie śledziony i usunął toksyczną żółć, która zaczęła przeżerać ścianę brzucha, choć doszło już do pewnych szkód. Joe potrzebował jeszcze dwóch operacji, a to wszystko przed upływem miesiąca.

Po drugiej obudził się i zobaczył kogoś siedzącego w nogach jego łóżka. W oczach mgliło mu się do tego stopnia, że powietrze wyglądało jak gaza – a jednak zdołał zobaczyć dużą głowę i długie szczęki. I ogon. Ogon uderzył o jego przykryte pościelą nogi i obraz się wyostrzył. Pantera. Patrzyła na niego głodnymi żółtymi oczami. Gardło Joego zacisnęło się kurczowo, a pot spływał strugami.

Pantera oblizwała sobie nos i górną wargę.

Ziewnęła, a Joe zapragnął zamknąć oczy, żeby nie widzieć fantastycznych zębów, białych jak kości, które miażdżyły i oczyszczały z mięsa.

Paszczka się zamknęła i żółte ślepia znowu go odnalazły. Kot położył przednie łapy na jego brzuchu i przeszedł po ciele do głowy.

– Jaki kot? – spytała Graciela.

Joe zapatrzył się na nią, mrugając, bo oczy zalewał mu pot. Był ranek; przez okno wpadało chłodne powietrze, przesycone zapachem kamelii.

Po operacji zabroniono mu seksu przez trzy miesiące. Także alkoholu, kubańskiego jedzenia, skorupiaków, orzechów i kukurydzy. Jeśli obawiał się, że separacja odsunie go od Gracieli (a obawiał się, i ona też), to mógł odetchnąć, bo zadziałała dokładnie

odwrotnie. Pod koniec drugiego miesiąca nauczył się ją zaspokajać ustami – sposób, który odkrył przypadkiem i parę razy zastosował przez te lata, a który teraz stał się jedyną metodą dawania jej rozkoszy. Kiedy klęczał przed nią, obejmując jej tyłek, z ustami na wejściu do łona – wejściu, które uważał za święte, grzeszne i cudownie śliskie jednocześnie – poczuł, że wreszcie znalazł coś, dla czego warto ugiąć kolana. Jeśli musiał zrezygnować z wszystkich przesądów odnośnie do tego, co mężczyzna powinien dawać kobiecie i od niej otrzymywać, by poczuć się tak czystym i użytecznym, jak się czuł, gdy pochylał głowę nad udami Gracieli, to żałował, że nie stracił tych przesądów lata temu. Jej pierwsze protesty – nie, nie możesz, mężczyzna tak nie robi, muszę się umyć, nie spodoba ci się smak – ustąpiły miejsca czemuś graniczącemu z uzależnieniem. Joe uświadomił sobie, że przez ostatni miesiąc zakazu robili to średnio pięć razy dziennie.

Kiedy lekarze wreszcie dali mu pozwolenie, Joe i Graciela zamknęli okiennice domu na Ninth, napełnili lodówkę na piętrze jedzeniem i szampanem i przez dwa dni nie wychodzili z łóża z baldachimem i wanny na lwich łapach. Pod koniec drugiego dnia, gdy leżeli w czerwonym półmroku, przy otwartych okiennicach, a wentylatory pod sufitem chłodziły ich spocone ciała, Graciela powiedziała:

– Nigdy nie będzie innego.

– Słucham?

– Mężczyzny. – Przesunęła dłonią po jego połatany brzuchu. – Jesteś moim mężczyzną aż do śmierci.

– Tak?

Przycisnęła otwarte usta do jego szyi i wypuściła powietrze z płuc.

– Tak, tak, tak.

– A Adan?

Po raz pierwszy zobaczył pogardę w jej oczach na wspomnienie jej męża.

– Adan nie jest mężczyzną. Ty, *mi gran amor*, jesteś.

– Ty z pewnością wystarczysz mi za wszystkie kobiety. Chryste, ależ się w tobie zagubiłem.

– A ja w tobie.

– Skoro tak... – Joe rozejrzył się po pokoju. Tak długo czekał na ten dzień, że nie wiedział, jak się zachować, kiedy wreszcie nadszedł. – Nie dostaniesz rozwodu na Kubie, prawda?

Pokręciła głową.

– Nawet gdybym mogła wrócić do własnego nazwiska, Kościół na to nie pozwoli.

– Więc zawsze pozostaniesz jego żoną.

– Tylko nazwiskiem.

– A czymże jest nazwisko?

Parsknęła śmiechem.

– Słusznie.

Położył ją na sobie i powiódł wzrokiem po jej brązowym ciele aż do brązowych oczu.

– *Tú eres mi esposa.*

Obiema rękami wytarła oczy. Wyrwał jej się cichy, łzawy śmiech.

– A ty jesteś moim mężem.

– *Para siempre.*

Położyła ciepłe dłonie na jego piersi i skinęła głową.

– Na zawsze.

# ROZDZIAŁ 21

## PORTAL

Interesy kwitły.

Joe zaczął smarować, komu trzeba, jeśli chodzi o umowę w sprawie Ritza. John Ringling zgadzał się sprzedać budynek, ale nie ziemię. Dlatego Joe kazał swoim prawnikom popracować nad Ringlingiem i spróbować osiągnąć porozumienie zadowolające dla obu stron. Ostatnio sprawdzali kwestię dzierżawy na dziewięćdziesiąt dziewięć lat, ale utknęli na negocjacjach z hrabstwem co do praw do przestrzeni nad nieruchomością. Joe wysłał grupę swoich ludzi, którzy mieli przekupić inspektorów hrabstwa Sarasota, drugą do Tallahassee, ta pracowała nad miejscowymi politykami, i trzecią do Waszyngtonu, by namierzała pracowników skarbowki i senatorów odwiedzających burdele, salony hazardu i palarnie opium, gdzie rodzina Pescatore miała swoje udziały.

Najnowszym sukcesem Joego była legalizacja bingo w hrabstwie Pinellas. Potem doprowadził do prac nad ustawą o legalizacji bingo w całym stanie; miała zostać przedstawiona na jesiennej sesji i prawdopodobnie poddana głosowaniu już w 1932 roku. Jego przyjaciele z Miami, miasta o wiele łatwiejszego do przekupienia, pomogli zmiekczyć rząd jeszcze bardziej, gdy hrabstwa Dade i Broward zalegalizowały totalizatory. Joe i Esteban zaryzykowali, kupując ziemię od przyjaciół z Miami, a teraz na terenach tych powstawały końskie tory wyścigowe.

Przyleciał Maso, żeby przyjrzeć się Ritzowi. Wyszedł cało ze starcia z rakiem, choć nikt z wyjątkiem jego i lekarzy nie wiedział, jakiego rodzaju. Maso twierdził, że nic mu już nie dolega, choć wyłysiał i wyglądał kiepsko. Szeptano nawet, że umysł zaczyna mu szwankować, choć Joe nic takiego nie zauważył. Budynek mu się spodobał i spodobało mu się rozumowanie Joego – jeśli można było mówić o idealnym momencie ataku na zakaz hazardu, to tylko teraz, gdy prohibicja tragicznie ginęła na ich oczach. Pieniądze wyłożone na legalizację alkoholu trafiły prosto do kieszeni rządu, ale suma wydana na podatki od legalnych kasyn i torów wyścigowych miała być dużo mniejsza niż zysk, jaki przyniosą im ludzie na tyle głupi, żeby wdawać się w hazard.

Zbierający haracze raportowali, że Joe miał nosa. Kraj stał się tak słaby, że to się mogło udać. Jak Floryda długa i szeroka – jak kraj długi i szeroki – gminy potrzebowały

pieniędzy. Joe wysłał swoich ludzi ze zobowiązaniami o nieskończonych dywidendach – podatki od kasyn, hoteli, żywności i napojów, rozrywek, licencji na alkohol plus – wszyscy politycy to uwielbiali – podatek od nadmiernego dochodu. Jeśli któregoś dnia kasyno zarobiło ponad osiemset tysięcy dolarów, oddawało z tego dwa procent państwu. Prawda wyglądała tak, że gdy jakieś kasyno choćby zbliżyło się do zarobku ośmiuset kawałków, starannie to ukrywało. Ale wieczne głodni politycy nie musieli o tym wiedzieć.

U schyłku 1931 roku Joe miał już w kieszeni dwóch młodszych senatorów, dziewięciu członków Izby Reprezentantów, czterech starszych senatorów, trzynastu reprezentantów hrabstw, jedenastu miejskich radców i dwóch sędziów. Przekupił także swojego dawnego rywala z KKK, Hoppera Hewitta, wydawcę „Tampa Examiner”, który zaczął publikować wstępniaki i artykuły, podważające sens skazywania tak wielu osób na głód, kiedy pierwszorzędne kasyno na florydzkim wybrzeżu Zatoki Meksykańskiej mogłoby zapewnić wszystkim miejsca pracy, mogliby wykupić przejęte przez bank domy, co z kolei dałoby zajęcie przy konstruowaniu umów prawnikom, stojącym obecnie w kolejkach po darmową żywność, zaś ci potrzebowaliby urzędników do ładnego spisania tychże umów.

Gdy Joe odwoził Maso na pociąg powrotny, szef powiedział:

– Zrób wszystko, co trzeba.

– Dzięki – odparł Joe. – Zrobię.

– Odwaliłeś kawał bardzo dobrej roboty. – Maso poklepał go po kolanie. – Nie myśl, że to nie zostanie wzięte pod rozwagę.

Joe nie wiedział, jakie jego osiągnięcia zostaną „wzięte pod rozwagę”. Zbudował tutaj coś z niczego, a Maso zachowywał się, jakby chodziło o nowego sklepikarza do obrobienia. Może jednak plotki o tym, że Maso ostatnio niedomaga na umyśle, nie były całkiem bezpodstawne.

– Ach, prawda – dodał Maso, gdy zbliżali się do Union Station. – Podobno nadal masz tutaj buntownika. Tak?

Joe zastanawiał się przez parę sekund.

– Znaczy tego bimbrownika, który nie chce płacić haraczu?

– Właśnie.

Bimbrownik nazywał się Turner John Belkin. Wraz z trzema synami sprzedawał biber własnej roboty w Palmetto, niepodlegającym żadnemu gangowi. Belkin nie chciał nikogo krzywdzić, chciał tylko sprzedawać swój towar ludziom, których zaopatrywał przez całe życie, organizować gry w swoim salonie, mieć parę dziewczyn, pracujących dla niego na ulicy. Ale nie chciał się podporządkować, bez względu na wszystko. Nie płacił

haraczu, nie sprzedawał produktu Pescatore, po prostu zajmował się własnym interesem, tak jak robił to przez całe życie i jak robili to przed nim jego ojciec, dziadek i ich dziadkowie, od czasów, gdy Tampę nazywano jeszcze Fort Brooke, a ludzie trzy razy częściej umierali z powodu żółtej febry niż ze starości.

- Pracuję nad nim – odpowiedział Joe.
- Słyszałem, że pracujesz tak już pół roku.
- Trzy miesiące.
- Więc się go pozbądź.

Samochód się zatrzymał. Seppe Carbone, osobisty ochroniarz Maso, otworzył drzwi przed szefem i stanął w promieniach słońca, czekając.

- Moi chłopcy pracują nad tym – powtórzył Joe.
- Nie chcę, żeby twoi chłopcy nad tym pracowali. Chcę, żebyś z tym skończył. Własnoręcznie, jeśli będziesz musiał.

Maso wysiadł z samochodu, a Joe odprowadził go do pociągu, choć szef twierdził, że to nie jest konieczne. Ale tak naprawdę Joe chciał zobaczyć, że Maso wyjeżdża, potrzebował tego, żeby móc znowu swobodnie oddychać, znowu się uspokoić. Obecność Maso przypominała sytuację, kiedy wujek wprowadza się do ciebie na parę dni i nie chce się wyprowadzić. Co gorsza, jeszcze uważa, że robi ci wielką łaskę.

Parę dni po wyjeździe Maso Joe posłał paru chłopców, żeby trochę postraszyli Turnera Jona, ale okazało się, że to on postraszył ich. Jednego pobił tak, że trafił do szpitala – a to bez pomocy synów czy broni.

Tydzień później Joe spotkał się z Turnerem Johnem.

Kazał Salowi zostać w samochodzie i stanął na piaszczystej drodze przed chałupą krytą dachem z miedzianej blachy, z gankiem zapadniętym z jednej strony i z lodówką na coca-cole z drugiej, tak czerwoną i lśniącą, że chyba polerowano ją codziennie.

Synowie Turnera Johna, trzy osiłki w długich bawełnianych kalesonach i prawie niczym więcej, nawet bez butów (choć jeden z jakiejś niepojętej przyczyny miał na sobie czerwony wełniany sweter w płatki śniegu) obszukali Joego i zabrali mu savage'a kaliber trzydzieści dwa, po czym znowu go obszukali.

Następnie Joe poszedł do chaty i usiadł naprzeciwko Turnera Johna przy drewnianym chybotliwym stole. Spróbował unieruchomić mebel, skapitulował, a potem spytał Turnera Johna, dlaczego pobił jego ludzi. Turner John, wysoki, chudy, surowy mężczyzna o oczach i włosach tak samo brązowych, jak jego garnitur wyjaśnił, że zjawili się z tak wyraźną groźbą w oczach, iż nie było sensu czekać, aż padnie ona z ich ust.

Joe spytał go, czy zdaje sobie sprawę, iż teraz będzie musiał zginąć, żeby Joe mógł zachować twarz. Turner John powiedział, że tak podejrzewał.

– No, to dlaczego pan to robi? – spytał Joe. – Dlaczego nie zapłaci pan haraczu?

– Panie, pański ojciec żyje? – usłyszał w odpowiedzi.

– Nie, umarł.

– Ale pan nadal jesteś jego synem, nie?

– Tak.

– I dalej pan będziesz, nawet jeśli się panu urodzi dwadzieścioro wnucząt.

Joe nie spodziewał się tej fali emocji, która go zalała. Musiał odwrócić głowę, zanim ta fala dotarła do jego oczu.

– Tak.

– Chcesz pan, żeby ojciec był z pana dumny, nie? Żeby uważał pana za mężczyznę?

– Tak. Oczywiście.

– No, ze mną jest tak samo. Miałem fajnego tatkę. Bił mnie mocno tylko, gdy zasłużyłem i nigdy, kiedy zaczął pić. Na ogół grzmocił mnie po łbie, bo chrapałem. Jestem mistrzem w chrapaniu, panie, a mój tatko tego nie znosił, kiedy czuł się zmęczony. Poza tym był najlepszym z ludzi. A syn chce, by ojciec mógł na niego spojrzeć i zobaczyć, że jego nauki się zakorzeniły. W tej chwili tatko patrzy na mnie i mówi: „Synu, nie wychowałem cię, żebyś płacił człowiekowi, co sobie nie ubrudził rąk przy robocie, za którą chce pieniędzy”. – Pokazał Joemu wielkie, posiekane bliznami dłonie. – Chcesz pan moich pieniędzy? To zabieraj się pan do roboty ze mną i moimi chłopakami przy zacierze i na farmie, zabieraj się pan do orki, siewu, dojenia krów. Nadążasz pan?

– Nadążam.

– No, to nie ma o czym gadać.

Spojrzał na Turnera Johna, a potem na sufit.

– Naprawdę pan sądzi, że on patrzy?

Turner John błysnął uśmiechem pełnym srebrnych zębów.

– Panie, ja to wiem.

Joe rozpiął rozporek i wyjął derringera, którego parę lat temu zabrał Manny’emu Bustamente. Wymierzył go w pierś Turnera Johna.

Turner John powoli, przeciągle odetchnął.

– Jeśli się zaczyna robotę, to trzeba ją skończyć – powiedział Joe. – Prawda?

Turner John oblizał dolną wargę, nie odrywając spojrzenia od lufy.

– Wiesz, co to za broń? – spytał Joe.

– Damski derringer.

– Nie. To „Co się mogło wydarzyć”. – Wstał. – W Palmetto możesz robić, co chcesz. Łapiesz?

Turner John mrugnął, twierdząco.

– Ale żebym nie zobaczył twojej marki ani nie posmakował twojego produktu w hrabstwie Hillsborough czy Pinellas. Ani w Sarasota, Turnerze Johnie. Jasne?

Turner John znowu mrugnął.

– Muszę usłyszeć, jak to mówisz.

– Jasne – powiedział Turner John. – Masz pan moje słowo.

Joe skinął głową.

– Co teraz myśli twój ojciec?

Turner oderwał wzrok od lufy derringera, przesunął go wzdłuż ramienia Joego aż do jego oczu.

– Myśli, że cholernie mało brakowało, żeby znowu musiał znosić moje chrapanie.

Gdy Joe czynił podchody, żeby zalegalizować hazard i kupić hotel, Graciela pracowała nad własnym przedsięwzięciem. Joe celował w towarzystwo pijące szampana, ona budowała mieszkania dla sierot i porzuconych. Hańbą tego narodu było, że w obecnych czasach mężczyźni opuszczali swoje rodziny jak żołnierze w czasie wojny. Opuszczali slumsy, zamieszkiwane przez bezdomnych i kamienice czynszowe lub – w przypadku Tamy – szałas, które miejscowi nazywali *casitas*, wychodzili po mleko lub papierosy, lub gdy doszła ich pogłoska o pracy. I już nie wracali. Kobiety, pozbawione ochrony mężczyźni, padały czasem ofiarą gwałtów albo zostawały zmuszone do potajemnej prostytucji. Dzieci, nagle bez ojców, a czasem i matek, wychodziły na ulice, gdzie rzadko spotykało je coś dobrego.

Graciela przyszła do Joego pewnego wieczoru, gdy siedział w wannie. Przyniosła dwa kubki kawy z rumem. Zdjęła ubranie i usiadła w wodzie naprzeciwko niego. Spytała, czy może przybrać jego nazwisko.

– Chcesz za mnie wyjść?

– Nie w kościele. Nie mogę.

– Dobrze...

– Ale jesteśmy małżeństwem, prawda?

– Tak.

– Więc chciałabym nosić twoje nazwisko.

– Graciela Dominga Maela Rosario Maria Concetta Corrales Coughlin?

Trzepnęła go w ramię.

– Nie mam aż tylu imion.

Pochylił się, pocałował ją i znowu się wyprostował.

– Graciela Coughlin?

– *Sí*.

– Będę zaszczycony.

– Ach. Dobrze. Kupiłam parę budynków.

– Parę budynków?

Spojrzała na niego brązowymi oczami niewinnymi jak u sarenki.

– Trzy. To, ee... kompleks? Tak. Ten kompleks przy starej fabryce Pereza.

– Na Palm?

Skinęła głową.

– I chciałabym tam urządzić schronisko dla opuszczonych żon i ich dzieci.

Wcale go to nie zdziwiło. Ostatnio nie mówiła o niczym innym, tylko o tych kobietach.

– Co się stało ze sprawą latynoamerykańskiej polityki?

– Zakochałam się w tobie.

– I co?

– I ograniczyłeś moją mobilność.

Parsknął śmiechem.

– Tak?

– Straszliwie. – Uśmiechnęła się. – To się może udać. Całkiem prawdopodobne, że pewnego dnia nawet na tym zyskamy. I damy przykład reszcie świata.

Graciela marzyła o reformie rolnej, prawach rolników i równym podziale dóbr. Krótko mówiąc, wierzyła w sprawiedliwość – koncepcję, która znikła ze świata razem z jednorożcami.

– Z tym przykładem to nie wiem.

– Dlaczego to się nie może udać? Sprawiedliwy świat. – Ochlapała go pianą, żeby pokazać, iż nie mówi całkiem poważnie, choć tak naprawdę nie było mowy o żartach.

– Chodzi ci o taki świat, w którym wszyscy zadowolają się tym, co mają, śpiewają pieśni i, cholera, no nie wiem, uśmiechają się na okrągło?

Chlapnęła mu mydlinami w twarz.

– Wiesz, o czym mówię. Dobry świat. Dlaczego nie może istnieć?

– Chciwość – powiedział. Uniósł ręce, obejmując ich gestem łazienkę. – Spójrz, jak żyjemy.

– Ale ty się rewanżujesz. W zeszłym roku oddałeś jedną czwartą pieniędzy klinice Gonzaleza.

– Uratowali mi życie.

– A rok wcześniej ufundowałeś bibliotekę.

– Żeby sprowadzili książki, które lubię czytać.

– Ale wszystkie są po hiszpańsku.

– A jak ci się wydaje, jak nauczyłem się tego języka?

Oparła mu stopę na ramieniu i potarła swędzącym podbiciem o jego włosy. Zostawiła tak stopę, a on ją pocałował i poczuł – jak często w takich chwilach – spokój tak totalny, że nie potrafił sobie wyobrazić, żeby w niebie mógł znaleźć coś lepszego. Lepszego niż głos tej kobiety w jego uszach, przyjaźń w kieszeni, jej stopa muskająca mu ramię.

– Możemy zrobić coś dobrego. – Spuściła głowę.

– Robimy.

– Uczyniwszy tyle złego.

Spoglądała w mydliny pod swoimi piersiami, zanurzyła się w sobie, znikła z tej wanny. Za chwilę sięgnie po ręcznik.

– Hej – powiedział.

Uniosła powieki.

– Nie jesteśmy źli. Może nie jesteśmy dobrzy. Nie wiem. Wiem, że się boimy.

– Kto się boi?

– Kto się nie boi? Cały świat się boi. Wmawiamy sobie, że wierzymy w tego czy innego boga, w to życie wieczne czy inne i może tak jest, ale prawdę mówiąc, mamy

wątpliwości. „A jeśli się mylę? A jeśli to wszystko, co istnieje? Bo jeśli tak, cholera, to lepiej, żebym miał wielki dom, wielki samochód i całą kolekcję ładnych szpilek do krawata, i laskę z perłową rączką i...”

Graciela śmiała się na głos.

– „... .toaletę, która mi umyje tyłek i jeszcze pachy na dodatek. Bo potrzebuję tego wszystkiego”. – On też się śmiał, ale śmiech szybko utonął w mydlinach. – „Ale, czekajcie, wierzę w Boga. Tak dla bezpieczeństwa. W chciwość też wierzę. Tak dla bezpieczeństwa”.

– I to wszystko? Boimy się?

– Nie wiem, czy wszystko. Wiem, że się boimy.

Otuliła sobie szyję pianą jak szalikiem i skinęła głową.

– Chcę, by to, że tutaj jesteśmy, miało znaczenie.

– Wiem. Słuchaj, masz ochotę ratować te kobiety i ich dzieci? Dobrze. Kocham cię za to. Ale trafią się źli ludzie, którzy będą chcieli zatrzymać ich przy sobie.

– Wiem – rzuciła ostro, a Joe zrozumiał, iż wcale nie jest naiwna. – Dlatego będę potrzebować kilku twoich chłopców.

– Kilku?

– No, na początek czterech. Ale, *mi amado* – uśmiechnęła się do niego – najtwardszych, jakich masz.

Tego samego roku Loretta, córka dowódcy Irvinga Figgisa, wróciła do Tampy.

Wysiadła z pociągu w towarzystwie swojego ojca, trzymając go pod rękę. Spowita od stóp do głów w czern wyglądała, jakby była w żałobie. Irv podtrzymywał ją troskliwie, może więc była.

Ojciec zamknął ją w swoim domu w Hyde Parku i przez cały sezon się nie pokazywali. Irv poszedł na zwolnienie, żeby pojechać do LA. po córkę, a kiedy wrócił, przedłużył je sobie na całą jesień. Jego żona się wyprowadziła, zabierając ze sobą syna, a sąsiedzi mówili, że jedynym dźwiękiem, który dochodzi z domu, jest odgłos modlitwy. Lub zaklęć. Co do tego nie byli zgodni.

Gdy pod koniec października ojciec i córka wyłonili się z domu, Loretta była ubrana na białą. Na spotkaniu w namiocie zielonoświątkowców, które odbyło się tego wieczoru, wyznała, że decyzji o włożeniu bieli nie podjęła ona, lecz Jezus Chrystus, któremu wkrótce zostanie poślubiona. W namiocie na Fiddlers Cove Field wygłosiła przemówienie; opisywała swoje wejście w świat występku, demonów, alkoholu, heroiny i marihuany, od tego się zaczęło; mówiła o rozwiązłości, która doprowadziła ją do

prostytcji, i o nocy tak grzesznej rozpusty, że Jezus wymazał je z jej pamięci, żeby nie odebrała sobie życia. A dlaczego postanowił zachować ją przy życiu? Otóż chciał, żeby wyjawiała jego prawdę grzesznikom Tamy, St. Petersburga, Sarasoty i Bradenton. A jeśli taka będzie jego wola, Loretta poniesie przesłanie Jezusa na całą Florydę lub nawet Stany Zjednoczone.

Od wielu innych kaznodziejów odróżniało ją to, że nie mówiła o siarce i ogniu piekielnym. Nigdy nie podnosiła głosu. Mówiła tak cicho, że wielu słuchaczy musiało się ku niej pochylać. Od czasu do czasu zerkała na ojca, który od jej powrotu stał się surowy i niedostępny, składała płaczliwe świadectwo upadłego świata. Nie twierdziła, że zna wolę bożą, lecz że słyszy rozpacz Chrystusa z powodu tego, jakie stały się jego dzieci. Z tego świata da się wiele ocalić, można znaleźć w nim dużo dobra i cnót, o ile najpierw się je w nim zasieje.

– Mówią, że ten kraj wkrótce znowu powróci w bagno konsumpcji alkoholu: rumu, który sprawia, że mężowie biją żony, żytniówki, która sprawia, że ludzie przynoszą do domu choroby weneryczne, popadają w lenistwo i tracą pracę, ginu, przez który banki wyrzucają maluczkich na ulicę. Nie wińcie banków. Nie wińcie banków – szeptała. – Wińcie czerpiących korzyści z grzechu, z handlu ciałami i osłabiania ich dusz. Wińcie handlarzy alkoholu i właścicieli domów rozpusty, i tych, którzy pozwalają im szerzyć tę ohydę w naszym pięknym mieście, na oczach Boga. Módlcie się za nich. A potem poproście Boga o radę.

Bóg jak widać poradził niektórym dobrym obywatelom Tamy, żeby napadli na parę klubów Coughlina i Suareza, rozbili butelki z rumem oraz beczki z piwem. Gdy Joe się o tym dowiedział, kazał Dionowi skontaktować się z facetem z Valrico, robiącym stalowe beczki. Umieścili je we wszystkich lokalach, wstawili do nich drewniane baryłki i zaczęli, aż ci, którzy podniosą na nie rękę, wyrwą sobie święte łokcie z zasranych świętych stawów.

Joe siedział w biurze swojej firmy eksportującej cygara – całkowicie legalnej korporacji. Co roku tracili pieniądze na eksportowanie wyborczego tytoniu do krajów takich jak Irlandia, Szwecja i Francja, gdzie cygara nigdy się nie przyjęły – gdy w drzwiach stanął Irv z córką.

Dowódca skinął szybko głową, omijając go wzrokiem. Odkąd Joe pokazał Irwinowi zdjęcia, ten ani razu nie spojrzał mu w oczy, a minęli się na ulicy co najmniej trzydzieści razy.

– Moja Loretta ma panu coś do powiedzenia.

Joe spojrzał na ubraną w białą sukienkę ładną młodą kobietę o jasnych, wilgotnych oczach.

– Tak. Proszę usiąść, jeśli pani łaskawa.

– Wolę stać.

– Jak pani woli.

– Proszę pana – zaczęła, zaciskając dłonie na udach. – Mój ojciec powiedział, że nigdy było w panu dobro.

– Nie miałem pojęcia, że już sobie poszło.

Loretta odkaszlęła.

– Wiemy o pańskiej działalności filantropijnej. I o działalności kobiety, z którą postanowił pan kohabitować.

– Kobiety, z którą postanowiłem kohabitować – powtórzył Joe, tylko po to, żeby to wypróbować.

– Tak, tak. Rozumiemy, że bardzo zaangażowała się w działalność charytatywną w społeczności Ybor, a nawet Większej Tampy.

– Ta kobieta ma imię.

– Ale jej dobre uczynki są ze swojej natury przemijające. Kobieta ta odwraca się od wszelkich religijnych powiązań i odrzuca próby przyjęcia jej na łono jedyne prawdziwego Pana.

– Ma na imię Graciela. I jest katoliczką.

– Dopóki publicznie nie przyzna, że kieruje nią ręka Pana, pomimo dobrych intencji wspomaga diabła.

– O kurczę – zdziwił się Joe. – Tego nie rozumiem.

– Na szczęście ja rozumiem pana. Mimo wszystkich pańskich dobrych uczynków oboje wiemy, że jest pan niepoprawny w swoim złym postępowaniu i oddalaniu się od Boga.

– Jak to?

– Czerpie pan zyski z nielegalnych nałogów. Czerpie pan zyski z ludzkiej słabości, z pragnienia lenistwa, nieumiarkowania w jedzeniu i piciu i pożądlivosti. – Spojrzała na niego ze smutnym, dobrym uśmiechem. – Ale może się pan od tego uwolnić.

– Nie chcę.

– Ależ chce pan.

– Panno Loretto – powiedział Joe. – Wydaje się pani cudowną osobą. I podobno trzódka pastora Ingallsa potroiła się, odkąd zaczęła panienka wygłaszać kazania.

Irv, nie odrywając wzroku od podłogi, uniósł pięć palców.

– O, przepraszam. Liczba wiernych powiększyła się pięciokrotnie. Coś takiego.

Uśmiech Loretty nie zniknął z jej twarzy. Był łagodny i smutny. Jakby wiedziała, co powiesz, zanim to powiesz i uznała te słowa za bezwartościowe, zanim jeszcze padły z twoich ust.

– Loretto – podjął Joe. – Sprzedaję produkt, który ludzie lubią tak bardzo, że osiemnasta poprawka w ciągu roku zostanie wycofana.

– To nieprawda – odezwał się Irv przez zaciśnięte zęby.

– A może prawda. W każdym razie to już koniec prohibicji. Rząd chciał za jej pomocą okiełznać biedaków, ale się nie udało. Chciał zachęcić klasę średnią do większej pracowitości, a zachęcił do większej ciekawości. Przez ostatnie dziesięć lat wypito więcej alkoholu niż kiedykolwiek, a to dlatego, że ludzie go pragnęli i nie podobało im się, że im go zakazywano.

– Ale – odezwała się rozsądnie Loretta – to samo można powiedzieć o cudzołóstwie. Ludzie tego chcą i nie podoba im się, że się go im zakazuje.

– Bo to błąd.

– Słucham?

– Błąd. Jeśli ludzie chcą cudzołożyć, nie widzę powodu, by ich powstrzymywać.

– A jeśli chcą współżyć ze zwierzętami?

– A chcą?

– Słucham?

– Czy ludzie chcą współżyć ze zwierzętami?

– Niektórzy tak. I ich występki się rozprzestrzeni, jeśli im się na to pozwoli.

– Obawiam się, że nie widzę związku picia ze współżyciem ze zwierzętami.

– Ale nie chodzi o to, że takiego związku nie ma, Loretta usiadła, splatając dłonie na kolanach.

– Oczywiście. Tak właśnie powiedziałem.

– To tylko pańska opinia.

– Jak niektórzy określiliby pani wiarę w Boga.

– Więc nie wierzy pan w Boga?

– Nie, Loretto. Po prostu nie wierzę w pani Boga.

Joe spojrział na Irva, ponieważ czuł jego wściekłość, ale ten jak zwykle nie patrzył mu w oczy, lecz na swoje zaciśnięte w pięści dłonie.

– Ale mój Bóg wierzy w pana – odparła Loretta. – Wyrzeknie się pan swoich niegodziwych obyczajów. Po prostu to wiem. Widzę to. Odbędzie pan pokutę i ochrzci się pan w Jezusie Chrystusie. I stanie się pan wielkim prorokiem. Widzę to tak wyraźnie, jak bezgrzeszne miasto na wzgórzu – tutaj, w Tampie. I tak, zanim zacznie pan ze mnie drwić – zdaję sobie sprawę, że w Tampie nie ma wzgórz.

– No, trudno by je zobaczyć, nawet gdyby się jechało bardzo szybko.

Uśmiechnęła się, ale tak naprawdę, tak, jak zapamiętał ze spotkań sprzed paru laty, gdy spoglądała na niego znad kranu z wodą albo sekcji kolorowych pism w sklepie Morina.

Potem ten uśmiech znowu posmutniał i zlodowaciał, oczy jej się rozświeciły, a Loretta wyciągnęła do niego rękę w rękawiczce. Uścisnął ją, myśląc o bliznach po igłach, które kryły.

– Pewnego dnia porwę pana z tej ścieżki. Może być pan tego pewny. Czuję to w kościach.

– To, że pani tak czuje, jeszcze nic nie znaczy.

– Ale też nie znaczy, że tak się nie stanie.

– Przyznaję to pani. – Joe spojrzał na nią. – Dlaczego pani nie może przyznać, że moje opinie mogą być słuszne?

Smutny uśmiech Loretty pojaśniał.

– Bo nie są.

Na nieszczęście dla Joego, Estebana i rodziny Pescatore, w miarę jak rosła popularność Loretty, rosło też jej znaczenie. Po paru miesiącach wygłaszane przez nią kazania zaczęły zagrażać sprawie kasyna. Początkowo ci, którzy wspominali o niej publicznie, robili to, żeby ją wyśmiać albo ekscytować się okolicznościami, jakie doprowadziły ją do takiego stanu – córka prawego amerykańskiego dowódcy policji jedzie do Hollywood i wraca jako szalejąca wariatka ze śladami igieł na rękach, a kmioty biorą to za stygmaty. Ale ton rozmów zaczął się zmieniać nie tylko wtedy, gdy w dniach występów Loretty na drogach pojawiały się tłumy samochodów i pieszych, ale także podczas jej spotkań ze zwykłymi mieszkańcami miasta. Dziewczyna, daleka od ukrywania się przed ludźmi, szukała z nimi kontaktu. Nie tylko w Hyde Parku, także w zachodniej Tampie, porcie i Ybor, gdzie lubiła kupować kawę – swoją jedyną używkę.

Za dnia niewiele mówiła o religii. Zachowywała się z nieskazitelną uprzejmością, zawsze pamiętała, by spytać rozmówcę o zdrowie jego lub najbliższych. Nigdy nie zapominała nazwisk. I pozostała – choć trudny rok jej „prób”, jak to nazywała, dodał jej lat – uderzająco piękna. I to piękna w amerykański sposób – pełne usta tego samego

koloru, co burgundowe włosy, oczy szczerne i błękitne, skóra tak gładka i biała, jak śmietanka w butelce śniadaniowego mleka.

Omdlenia zaczęły się pojawiać pod koniec 1931 roku, gdy kryzys europejskiej bankowości wessał resztę świata w swój wir i zabił całą nadzieję na finansowe ozdrowienie. Omdlenia zjawily się bez ostrzeżenia i teatralnych sztuczek. Mówiła o niegodziwości picia, oddawania się cudzołożeniu i (ostatnio coraz częściej) hazardowi – zawsze tym cichym, lekko drżącym głosem – a także zesłanych jej przez Boga wizjach Tamy spalonej na węgiel przez własne grzechy, spowitych dymem pustkowiach poczerńiałej ziemi, dogasających stertach drewna, które niegdyś były domami. Przypominała im o żonie Lota i błagała, by się nie oglądali, nigdy się nie oglądali, by spoglądali ku lśniącemu miastu białych domów, białych strojów i białych ludzi, zjednoczonych w miłości do Chrystusa, modlitwie i szczerym pragnieniu, by zostawić po sobie świat, z którego ich dzieci będą dumne. Gdzieś w trakcie tego kazania jej oczy zaczynały błyskać białkami, kołysała się, a potem osuwała na ziemię. Czasami chwytaly ją konwulsje, czasem z pięknych ust wysączała się strużka śliny, ale na ogół Loretta wyglądała, jakby spała. Sugerowano (ale tylko w najbardziej cynicznych kręgach), że jej popularność wynikała częściowo z tego, jak pięknie się prezentowała, leżąc na scenie – osłonięta tylko cienką białą krepą, tak delikatną, że rysowały się pod nią jej małe, idealnie kształtne piersi i szczupłe, zgrabne nogi.

Gdy tak leżała na scenie, była dowodem na istnienie Boga, bo tylko Bóg mógł stworzyć coś tak pięknego, tak kruchego i obdarzonego tak wielką mocą.

Dlatego rosnące szeregi jej zwolenników traktowały jej przemowy bardzo osobiście – podobnie jak działalność miejscowego gangstera, usiłującego dręczyć społeczeństwo plagą hazardu. Wkrótce kongresmeni i radni odpowiedzieli ludziom Joego „Nie” lub „Potrzebujemy więcej czasu, żeby rozważyć wszystkie ewentualności”, choć, jak zauważył, pieniędzy mu nie oddali.

Okno zamykało się szybko.

Gdyby Lorette Figgis miał spotkać przedwczesny koniec – jednak mogący uchodzić za wiarygodny nieszczęśliwy wypadek – po stosownym okresie żałoby pomysł kasyna mógłby znowu rozkwitnąć. Joe myślał, że skoro Loretta tak bardzo kocha Jezusa, rychłe spotkanie z nim uznałaby za przysługę.

Dlatego wiedział, co musi zrobić – ale musiał jeszcze wydać rozkaz.

Poszedł, żeby posłuchać jej kazania. Przez jeden dzień się nie golił i ubrał się jak człowiek, który sprzedaje narzędzia rolnicze albo ma sklep z paszą – czyste drelichowe spodnie, biała koszula, rzemyk zamiast krawata, sportowa kurtka z ciemnego płótna i słomkowy kowbojski kapelusz, naciągnięty na czoło. Kazał Salowi podwieźć się na skraj obozowiska, gdzie tej nocy pojawił się wielebny Ingalls, i ruszył wąską piaszczystą dróżką przez mały sosnowy zagajnik, którą dotarł na tyły tłumu.

Na brzegu jeziora zbudowano z desek scenę. Loretta stanęła na niej, miała ojca po lewej i wielebnego po prawej stronie. Obaj mężczyźni stali ze spuszczonej głowami. Mówiła o ostatniej wizji czy śnie (Joe przybył za późno, żeby się zorientować). Stojąc plecami do ciemnego stawu, w białej sukience i takimż czepeczku, wyglądała jak księżyc na oczyszczonym z gwiazd niebie. Powiedziała, że trzyosobowa rodzina – matka, ojciec, malutkie dziecko – przybyła do obcego kraju. Ojciec, biznesmen, wysłany do tego obcego kraju przez swoją firmę, miał poczekać na kierowcę w budynku stacji kolejowej i nie wychodzić na zewnątrz. Ale w zamkniętym pomieszczeniu było gorąco, a oni przyjechali z daleka i chcieli zobaczyć nowy kraj. Wyszli na zewnątrz i natychmiast dopadł ich lampart, czarny jak wnętrze wiadra na węgiel. Zanim rodzina zdołała się zorientować, zwier rozszarpał im gardła. Mężczyzna leżał, konając, widział, jak lampart syci się krwią jego żony. Potem pojawił się inny człowiek i zastrzelił drapieżnika. Ten mężczyzna powiedział umierającemu biznesmenowi, że to on jest kierowcą wynajętym przez firmę i że mieli na niego czekać.

Ale nie poczekali. Dlaczego nie poczekali?

– Tak samo jest z Jezusem – ciągnęła Loretta. – Czy możecie poczekać? Czy potraficie nie oddawać się ziemskim pokusom, które rozedrą wasze rodziny na strzępy? Czy możecie znaleźć sposób, by uchronić wasze rodziny przed drapieżnikami, dopóki nie nadejdzie Pan nasz, Zbawiciel? A może brak wam sił?

– Nie!

– Bo wiem, że w mojej najczarniejszej godzinie zabrakło mi sił.

– Nie!

– Tak! Ale on daje mi siły! – Loretta wskazała niebo. – On wypełnia moje serce. Tylko musicie mi pomóc wypełnić jego wolę. Potrzebuję waszej siły, by dalej głosić jego słowo, wykonywać jego dzieło i bronić czarnym lampartom pożarcia naszych dzieci i skażenia naszych serc grzechem wiecznym. Pomóżcie mi?

Ludzie odpowiadali „Tak”, „Amen” i „O, tak!” Kiedy Loretta zamknęła oczy i zaczęła się kołysać, tłum otworzył oczy i zbliżył się do niej. Westchnęła, a tłum jęknął. Gdy upadła na kolana, zadrżał. A gdy znieruchomiała, leżąc na boku, tłum wypuścił z płuc wstrzymywane powietrze. Ludzie wyciągnęli do niej ręce, nie podchodząc, jakby dostępu broniła im jakaś niewidzialna bariera. Sięgali po coś, co nie było Loretą. Wołali do tego. Przysięgali mu wszystko.

Loretta była bramą, portalem, przez który wchodzili do świata bez grzechu, mroku, lęku. Do świata, w którym nikt nigdy nie jest sam – bo ma Boga. I Loretę.

– Dziś w nocy – powiedział Dion na galerijce drugiego piętra domu Joego. – Musi zniknąć.

– Uważasz, że o tym nie myślałem? – spytał Joe.

– Myślenie nie wystarczy. Trzeba działać, szefie.

Joe wyobraził sobie Ritza ze światłem, które leje się przez okna na czarne morze, muzyką, jaka się roznosi pod portykami na całą zatokę, kośćmi rozrzuconymi na stolikach, tłumami oklaskującymi zwycięzców, i z nim samym na czele tego wszystkiego, ubranym we frak.

Zadał sobie pytanie, które często do niego powracało w ostatnich tygodniach: czym jest jedno życie?

Ludzie zawsze ginęli podczas wznoszenia budynków lub kładzenia torów w pełnym słońcu. Umierali w wyniku porażenia prądem i innych wypadków, które codziennie wydarzają się na całym świecie. A dlaczego? Dlaczego, że budowali coś dobrego, coś, co stworzy miejsca pracy dla ich rodaków, da wyżywienie ludziom.

Czy śmierć Loretty byłaby inna?

– Mogłaby – powiedział na głos.

– Co? – Dion spojrzał na niego.

Joe uniósł przepaszającą rękę.

– Nie mogę tego zrobić.

– A ja mogę.

– Skoro już kupiłeś bilet na te tańce, wiesz, co ci grozi, a przynajmniej powinieneś. Ale ci ludzie, którzy śpią, podczas gdy my działamy... Którzy chodzą do pracy, koszą trawniki... Oni nie kupowali żadnego biletu. A to znaczy, że nie ponoszą takiej samej kary za swoje błędy.

Dion westchnął.

– Ona naraża cały ten zasrany interes.

– Wiem. – Dobrze, że słońce zaszło, że na galerii zrobiło się ciemno. Gdyby Dion zobaczył oczy Joego, zrozumiałby, ile nerwów kosztuje go ta decyzja, jak bliski jest bezpowrotnego przekroczenia granicy. Chryste, to tylko kobieta. – Ale podjąłem decyzję. Nikt nie może jej tknąć.

– Pożałujesz tego.

– Co ty powiesz.

Tydzień później, gdy służusy Johna Ringlinga poprosiły o spotkanie, Joe wiedział, że już po sprawie. Jeśli nie całkiem, to z pewnością na jakiś czas. Kraj wracał do picia alkoholu, z całym zapamiętaniem, ferworem i radością, ale Tampa – za sprawą Loretty Figgis – zmierzała w przeciwnym kierunku. Skoro nie mogli przewalczyć jej wpływu, jeśli

chodzi o alkohol, od którego legalizacji dzielił ich już tylko jeden podpis, to w przypadku hazardu mieli przesrane. Ludzie Johna Ringlinga powiedzieli Joemu i Estebanowi, że ich szef postanowił jeszcze trochę przetrzymać Ritza, przeczekać kryzys i później ponownie rozważyć opcje.

Spotkanie to odbyło się w Sarasocie. Po jego zakończeniu Joe i Esteban pojechali do Longboat Key i stanęli, wpatrzeni w śródziemnomorskie „Prawie się udało” nad Zatoką Meksykańską.

– To by było świetne kasyno – powiedział Joe.

– Będziesz miał drugą szansę. Sprawy się odmienią.

Joe pokręcił głową.

– Nie wszystkie.

## ROZDZIAŁ 22

### DUCHA NIE GAŚCIE

Loretta Figgis i Joe po raz ostatni widzieli się w 1933 roku. Od tygodnia lało. Tego ranka – pierwszego bezchmurnego dnia od jakiegoś czasu – podniosła się tak gęsta mgła, że ulice Ybor wyglądały, jakby ziemia stanęła do góry nogami. Roztargniony Joe szedł chodnikiem przez Palm Avenue, Sal Urso podążał za nim chodnikiem po drugiej stronie ulicy, a Lewus Downer jechał za nimi w ledwie pełznącym samochodzie. Joe właśnie dostał potwierdzenie plotki, że Maso zastanawia się nad ponowną wizytą w Tampie – po raz drugi tego roku. Maso go o tym nie uprzedził, co wydawało się niepokojące. Jakby tego było mało, poranne gazety stwierdzały, że prezydent elekt Roosevelt planuje podpisać ustawę Cullena-Harrisona, kiedy tylko ktoś mu poda pióro, skutecznie kończąc prohibicję. Joe wiedział, że na to się zanoszą, ale jakoś nie był przygotowany. A skoro on był nieprzygotowany, mógł sobie tylko wyobrazić, jak kiepsko przyjmą tę wiadomość wszystkie bandziory z takich wzbogaconych na bimbrze miast, jak Kansas City, Cincy, Chicago, Nowy Jork i Detroit. Tego ranka usiadł na łóżku i usiłował przeczytać artykuł, by zorientować się, kiedy konkretnie Roosevelt złoży ten najpopularniejszy podpis w kraju, ale nie mógł się skupić, bo Graciela wyrzygiwała wczorajszą paellę. Miała żelazny żołądek, ale ostatnio stres związany z prowadzeniem trzech schronisk i ośmiu różnych grup zbierających datki nadwątlił jej układ pokarmowy.

– Josephie. – Stanęła w progu, wycierając usta ręką. – Możliwe, że musimy spojrzeć prawdzie w oczy.

– Jakiej prawdziwej, laluniu?

– Zdaje się, że będę miała dziecko.

Przez parę chwil Joemu wydawało się, że Graciela zamierza mu sprowadzić bachora ze schroniska. Dopiero potem mu zaświtało.

– Jesteś...?

Uśmiechnęła się.

– W ciąży.

Wstał i podszedł do niej. Nie wiedział, czy powinien jej dotknąć, bał się ją

uszkodzić.

Zarzuciła mu ręce na szyję.

– W porządku. Będiesz ojcem. – Pocałowała go, dotknęła jego potylicy, a on poczuł mrowienie. Właściwie wszędzie je czuł, jakby się obudził w nowej skórze.

– Powiedz coś – poprosiła, zdziwiona.

– Dzięki. – Nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Dzięki? – Roześmiała się i znowu go pocałowała, rozgniatając mu wargi ustami. – Dzięki?

– Będiesz wspaniałą matką.

Oparła się czołem o jego czoło.

– A ty będziesz wspaniałym ojcem.

Jeśli przeżyję, pomyślał.

Wiedział, że ona też tak pomyślała.

Dlatego tego ranka był nieco roztargniony i wszedł do kawiarni Nino, nie zajrzawszy do niej najpierw przez wystawę.

W pomieszczeniu stały tylko trzy stoliki – zbrodnia, gdy w lokalu podaje się tak dobrą kawę – a przy dwóch siedzieli ludzie z Ku Klux Klanu.

Nikt z zewnątrz by ich nie rozpoznał, ale Joe bez trudu ujrzał kaptury, choć ich nie nosili – Clement Dover, Drew Altman, Brewster Engals przy jednym stoliku – stara, dobra gwardia. Przy drugim Julius Stanton, Haley Lewis, Carl Joe Crewson i Charlie Bailey, bez wyjątku idioci, którzy prędzej podpaliliby siebie niż krzyż. I jak wielu debili, którzy nie mają pojęcia, jacy z nich debile, byli podli i bezlitośni.

Już od progu zrozumiał, że to nie zasadzka. W ich oczach zobaczył wyraźnie, że nie spodziewali się go tutaj ujrzeć. Przyszli na kawę, może po to, żeby zastraszyć właścicieli i wymusić haracz. Sal stał tuż za drzwiami, ale to nie to samo, co tuż obok. Joe odsłonił połę marynarki i stanął z ręką o centymetr od broni, patrząc na Engalsa, przywódcę tej bandy, strażaka z samochodu numer 9 na Lutz Junction.

Engals skinął głową z uśmiechem i wskazał wzrokiem na kogoś siedzącego za plecami Joego, przy trzecim stoliku pod oknem. Joe zerknął i zobaczył Lorette Figgis – przyglądała się całemu zajściu. Zdjął rękę z biodra i zasłonił broń. Nikt nie będzie się wdawać w strzelaninę, gdy o pięć kroków dalej siedzi Madonna Tamy.

Joe skinął głową, a Engals powiedział:

– No, to innym razem.

Joe uchylił kapelusza i odwrócił się do wyjścia.

– Proszę usiąść, panie Coughlin. Proszę – odezwała się Loretta.

– Nie, nie. Nie będę panience zakłócać spokojnego popołudnia.

– Nalegam – rzuciła. Carmen Arenas, żona właściciela, podeszła do stolika.

Joe wzruszył ramionami i zdjął kapelusz.

– To, co zwykle, Carmen.

– Tak, proszę pana. Panienko?

– Tak, poproszę jeszcze jedną.

Joe usiadł i położył kapelusz na kolanie.

– Czy ci panowie pana nie lubią? – spytała Loretta.

Zauważył, że nie jest dzisiaj ubrana na biało. Jej sukienka miała odcień jasnej brzoskwini. U większości osób coś takiego nie rzucałoby się w oczy, ale czysta biel tak złała się z wizerunkiem Loretty Figgis, że bez niej dziewczyna wyglądała jak naga.

– Powiedzmy, że na razie nie zaproszą mnie na niedzielny obiad – wyjaśnił Joe.

– Dlaczego? – Pochyliła się ku niemu. Carmen przyniosła im kawę.

– Sypiam z brudasami, pracuję z brudasami, bratam się z brudasami. – Obejrzał się przez ramię. – Pomiąłem coś, Engals?

– Oprócz tego, że zabiłem czterech spośród nas?

Joe skinął głową z wdzięcznością i odwrócił się do Loretty.

– Aha, i według nich zabiłem im czterech przyjaciół.

– A zabił pan?

– Nie nosi panienka bieli.

– To prawie biel.

– Co na to powiedzą panienki... – usiłował znaleźć właściwe słowo, ale nie przyszło mu do głowy nic lepszego niż – wyznawcy?

– Nie wiem, proszę pana. – W jej głosie nie brzmiała fałszywa pogoda, a w oczach nie było rozpaczliwego spokoju.

Chłopcy z KKK wstali i przeszli obok niego. Każdy zdołał potraścić krzesło Joego lub kopnąć jego nogę.

– To na razie – powiedział Dover, a potem uchylił kapelusza przed Loretą. – Panienko...

Wyszli szeregiem i w kawiarni zostali tylko Joe i Loretta; było słychać kapanie nocnego deszczu, gdy spływał rynną na chodnik. Joe przyglądał się Lorecie, pijąc kawę. Straciła to ostre światło, które jaśniało w jej oczach od dwóch lat, odkąd wyszła z domu swojego ojca, zamieniwszy czarne żałobne suknie swojej śmierci na białą szatę odrodzenia.

– Dlaczego mój ojciec tak pana nienawidzi?

– Jestem przestępcą. A on był dowódcą policji.

– Ale wtedy pana lubił. Kiedyś, gdy byłam jeszcze w liceum, pokazał mi pana i powiedział: „To jest burmistrz Ybor. Utrzymuje tam spokój”.

– O, tak powiedział?

– Tak.

Joe napił się jeszcze kawy.

– To były chyba dni niewinności.

Loretta sączyła kawę.

– Więc czym pan zasłużył na jego gniew?

Pokręcił głową.

Teraz to ona przyglądała się mu przez długą, krępującą chwilę. Wpatrywała się w oczy, a on nie odwracał spojrzenia. Wpatrywała się tak długo, aż zrozumiała.

– To pan mu powiedział, jak mnie znaleźć.

Joe milczał, zacisnąwszy zęby.

– To pan. – Skinęła głową i spuściła wzrok. – Co pan miał?

Patrzyła na niego przez kolejną niemłą minutę, aż odpowiedział:

– Zdjęcia.

– I pokazał je mu pan.

– Pokazałem mu dwa.

– A ile pan miał?

– Dziesiątki.

Znowu spojrzała na niego, obróciła filiżankę na spodeczku.

– Wszyscy pójdziemy do piekła.

– Nie sądzę.

– Nie? – Poruszyła filiżanką. – Wie pan, jaką prawdę odkryłam przez te dwa lata

głoszenia kazań, mdlenia i oddawania duszy Bogu?

Pokręcił głową.

– Że niebo jest tutaj. – Wskazała ulicę, dach nad ich głowami. – Jesteśmy w niebie.

– A dlaczego wydaje się, że to piekło?

– Bo wszystko spieprzyliśmy. – Znów uśmiechnęła się słodko i spokojnie. – To jest raj. A my go utraciliśmy.

Joe nie spodziewał się, że poczuje tak dotkliwy żal z powodu jej utraty wiary. Z niewytłumaczalnego dla siebie powodu liczył, że jeśli ktoś ma bezpośrednie połączenie z Wszechmogącym, to właśnie ona.

– Ale na początku panienka wierzyła, prawda?

Spojrzała na niego przejrzystymi oczami.

– Z taką pewnością, że po prostu musiał przemawiać przeze mnie Bóg. Czułam się, jakby w żyłach płynął mi ogień. Nie parzył, to było ciągle ciepło, które nigdy nie zamiera. Czułam się tak chyba w dzieciństwie – bezpieczna, kochana i bardzo pewna, że życie na zawsze takie pozostanie. Że zawsze będę miała tatusia i mamusię, a świat to Tampa, wszyscy będą mnie znać i życzyć mi dobrze. Ale dorosłam i wyjechałam na zachód. A gdy wszystkie te przekonania okazały się kłamstwami... kiedy dowiedziałam się, że nie jestem wyjątkowa ani bezpieczna... – Odwróciła ręce, żeby pokazać ślady po igłach. – Żle przyjąłam te wiadomości.

– Ale potem wróciła pani tutaj, po tych...

– Próbach?

– Tak.

– Wróciłam, mój ojciec wygnał matkę z domu, wypędził ze mnie diabła i znowu nauczył się modlić, na kolanach, bez nadziei na zysk. Modlić się jak suplikantka. Modlić się jak grzesznica. I ogień wrócił. Na kolanach, przy łóżku, w którym spałam jako dziecko... na kolanach spędzałam cały dzień. Czuwałam prawie przez cały tydzień. I płomień odnalazł moją krew, moje serce i znowu poczułam tę pewność. Wie pan, jak bardzo mi jej brakowało? Bardziej niż narkotyków, miłości, jedzenia, może nawet bardziej niż Boga, który podobno mi ją podarował. Pewność, proszę pana. Pewność. To najcudowniejsze kłamstwo ze wszystkich.

Żadne z nich nie odzywało się przez długi czas. Na tyle, że Carmen pojawiła się z filiżankami kawy, by zastąpić te, które opróżnili.

– Moja matka zmarła w zeszłym tygodniu. Wiedział pan?

– Nie, Loretto. Bardzo mi przykro.

Skwitowała jego kondolencje machnięciem ręki i wypła trochę kawy.

– Przekonania ojca i moje wypędziły ją z naszego domu. Powiedziała do niego: „Nie kochasz Boga. Kochasz myśl, że jesteś dla niego wyjątkowy. Chcesz wierzyć, że on cię widzi”. Gdy dowiedziałam się o jej śmierci, zrozumiałam, co miała na myśli. Bóg nie dał mi pociechy. Nie znam Boga. Chciałam tylko do mamy. – Parę razy kiwnęła głową do swoich myśli. Do kawiarni weszła para; brzęk dzwonka przy drzwiach przywołał Carmen, która wyszła zza kontuaru, by wskazać im stolik.

– Nie wiem, czy Bóg istnieje. – Loretta powiodła palcami po uszku filiżanki. – Mam taką nadzieję. I mam nadzieję, że jest dobry. Fajnie by było, co?

– Fajnie.

– Nie wierzę, że wtrąca ludzi w wieczne płomienie za cudzołóstwo, jak pan zauważył. Ani za to, że wierzą w jego trochę odmienną wersję. Ale wierzę – albo chcę wierzyć – że za najgorsze grzechy uważa te, które popełniamy w jego imieniu.

Spojrzał na nią z uwagą.

– Albo te, które popełniamy na samych sobie w chwili rozpacz.

– Och – rzuciła pogodnie – nie jestem w rozpacz. A pan?

Pokręcił głową.

– Mowy nie ma.

– Co jest pańskim sekretem?

Roześmiał się cicho.

– To trochę intymne wyznanie jak na kawiarnianą pogawędkę.

– Chcę wiedzieć. Wydaje się pan... – Rozejrzała się po kawiarni i przez ulotną chwilę w jej oczach błysnęło dzikie zapamiętanie. – Wydaje się pan spełniony.

Uśmiechnął się i kilka razy pokręcił głową.

– Naprawdę – powiedziała.

– Nie.

– Naprawdę. Na czym polega pański sekret?

Joe przez chwilę wodził palcem po filiżance, nie odzywając się.

– Proszę, niech pan...

– Ona.

– Słucham?

– Ona. Graciela. Moja żona. – Popatrzył na Lorette. – Mam nadzieję, że Bóg też

istnieje. Mam gorącą nadzieję. Ale jeśli nie... Graciela mi wystarczy.

– A jeśli pan ją straci?

– Nie zamierzam jej stracić.

– Ale jeśli? – Pochyliła się ku niemu.

– Wtedy stanę się rozumem bez serca.

Siedzieli w milczeniu. Carmen podeszła, podgrzała ich filiżanki, Joe dodał do swojej kawy trochę cukru, spojrzął na Lorette i poczuł potężną, niewytłumaczalną potrzebę, by ją przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze.

– Co panienka teraz zrobi?

– Jak to?

– Stała się panienka filarem tego miasta. Stanęła przeciwko mnie, gdy znajdowałem się u szczytu władzy, i wygrała. Klan tego nie potrafił. Ani policja. A panienka tak.

– Nie pozbyłam się alkoholu.

– Za to hazardu – tak. A dopóki się panienka nie zjawiała, to było nie do pomyślenia.

Uśmiechnęła się i zasłoniła ten uśmiech dłońmi.

– Udało mi się, prawda?

Też się uśmiechnął.

– O, tak. Tysiące osób pójda za tobą w ogień, Loretto.

Roześmiała się przez łzy i spojrzała w blaszany sufit.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek za mną szedł.

– Powiedziałaś im to?

– On nie słucha.

– Irv?

Skinęła głową.

– Daj mu czas.

– Bardzo kochał moją matkę. Pamiętam, jak czasem drżał, kiedy się do niej zbliżył. Pragnął jej dotknąć. Ale nie mógł, dlatego że my, dzieci, byliśmy w pobliżu, a tak się nie godzi. Matka umarła, a on nawet nie poszedł na jej pogrzeb. Bo Bóg, którego sobie wyobraża, by tego nie pochwalił. Bóg, którego on sobie wyobraża, niczym się nie dzieli. Mój ojciec każdego wieczoru siada w fotelu i czyta Biblię, oszalały z wściekłości, bo mężczyźni mogli dotykać jego córkę tak, jak on dotykał żony. I gorzej. – Pochyliła się i zdjęła palcem wskazującym jeden zostawiony na blacie kryształek cukru. – Chodzi po

domu w ciemnościach, szepcząc w kółko dwa słowa.

– Jakie?

– Okaż skruchę. – Spojrzała na niego. – Okaż skruchę. Okaż skruchę. Okaż skruchę.

– Daj mu czas – powtórzył Joe, bo nic innego nie przyszło mu do głowy.

Po paru tygodniach Loretta wróciła do bieli. Na jej kazania nadal ściągały tłumy. Ale dodała parę nowych elementów – sztuczek, jak mówili pogardliwie niektórzy – mówienie językami, piana z ust. I przemawiała dwa razy gniewniej i głośniejsze.

Pewnego ranka Joe zobaczył jej zdjęcie w gazecie. Przemawiała do Rady Generalnej Stowarzyszeń Boga w hrabstwie Lee, a on w pierwszej chwili jej nie poznał, choć wyglądała dokładnie tak samo.

Dwudziestego trzeciego marca 1933 roku prezydent Roosevelt podpisał ustawę Cullena-Harrisona, legalizując wytwarzanie i sprzedaż piwa i wina o zawartości alkoholu nie wyższej niż trzy i dwie dziesiąte procenta. Zapowiedział, że pod koniec roku osiemnasta poprawka do konstytucji będzie już tylko wspomnieniem.

Joe spotkał się z Estebanem w Tropicale. Spóźnił się – ostatnio często mu się to przydarzało, bo zegarek ojca zaczął się psuć. W zeszłym tygodniu tracił pięć minut dziennie. Teraz doszedł do dziesięciu, czasem piętnastu. Joe ciągle chciał go naprawić, ale to by znaczyło rozłąkę z nim na czas naprawy, a on, choć wiedział, że to irracjonalna reakcja, nie mógł znieść tej myśli.

Gdy wszedł do gabinetu, Esteban właśnie oprawiał w ramkę kolejne zdjęcie, zrobione podczas ostatniej wyprawy do Hawany – z otwarcia Zoot, nowego klubu na starym mieście. Pokazał je Joemu – klub przypominał wszystkie inne – pijani, eleganccy bogacze i ich eleganckie żony, dziewczyny czy damy do towarzystwa, dziewczyny tańczące przed sceną, wszyscy z zaszklonym spojrzeniem i radości. Joe ledwie rzucił na to okiem i gwizdnął z podziwem. Esteban położył zdjęcie obrazkiem do dołu. Nalał dwa drinki, postawił je na biurku wśród elementów ramy, które zaczął ze sobą łączyć. Zapach kleju był tak silny, że zagłuszał nawet woń tytoniu, choć Joemu wydawało się to niemożliwe.

– Uśmiechnij się. – Esteban uniósł kieliszek. – Będziemy wyjątkowo bogaci.

– Jeśli Pescatore pozwoli mi odejść – odparł Joe.

– Jeśli będzie się opierać, pozwolimy mu się wkupić w legalny biznes.

– Nigdy nie wróci do legalnej działalności.

– Jest stary.

– Ma partnerów. Cholera, ma synów.

– Wiem wszystko o jego synach – jeden jest pederastą, drugi uzależnił się od opium, a trzeci bije żonę i wszystkie swoje dziewczyny, bo tak naprawdę woli mężczyzn.

– Mimo wszystko nie sadzę, żeby szantaż podziałał na Maso. A przyjeżdża jutro.

– Pośpieszył się. Jutro?

– Tak słyszałem.

– Ech... Przez całe życie współpracuję z ludźmi takimi jak on. Damy mu radę. – Esteban znowu podniósł kieliszek. – Jesteś tego wart.

– Dziękuję. – Joe tym razem wypił.

Esteban wrócił do pracy nad ramką.

– Więc się uśmiechnij.

– Staram się.

– Czyli chodzi o Graciełę.

– Tak.

– Co się stało?

Postanowili nikomu nie mówić, dopóki brzuch nie stanie się widoczny. Dzisiaj rano, gdy wychodziła do pracy, wskazała rysującą się jej pod suknią armatnią kulę i powiedziała, że sekret dzisiaj się pewnie wyda, tak czy inaczej.

Dlatego, chcąc pozbyć się skrywanego, zaskakująco wielkiego ciężaru, powiedział:

– Jest w ciąży.

Esteban, którego oczy wypełniły się łzami, klasnął w dłonie, wyszedł zza biurka i przytulił Joego. Poklepał go po plecach parę razy, o wiele mocniej, niż można by się spodziewać.

– Teraz stałeś się mężczyzną.

– Aha... Więc to tego trzeba?

– Nie zawsze, ale w twoim wypadku? – Esteban pokiwał dłonią. Joe udał, że wymierza mu cios pięścią, a on znowu go uściskał. – Jestem bardzo szczęśliwy, mój przyjacielu.

– Dziękuję.

– Ona promienieje?

– A wiesz co? Tak. To dziwne. Nie potrafię tego opisać. Ale tak, ta energia bije od niej w inny sposób.

Wypili toast za ojcostwo; za okiennicami Estebana, jego bujnym zielonym ogrodem, latarniami na drzewie i kamiennym murem rozkręcał się piątkowy wieczór w Ybor.

– Podoba ci się tutaj?

– Co?

– Kiedy przyjechałeś, byłeś strasznie blady. Miałeś okropną więzienną fryzurę i mówiłeś tak szybko...

Joe parsknął śmiechem. Esteban też się roześmiał.

– Tęsknisz za Bostonem.

– Tak – przyznał Joe, bo czasem tęsknił okropnie.

– Ale teraz to twój dom.

Przytaknął, choć ta świadomość go zaskoczyła.

– Na to wychodzi.

– Wiem, jak się czujesz. Nie znam reszty Tamy, choć minęło tyle lat. Ale znam Ybor tak dobrze, jak Hawanę i nie wiem, co bym zrobił, gdybym musiał wybierać.

– Myślisz, że Machado...?

– Machado jest skończony. To może jeszcze potrwać, ale już z nim koniec. Komuniści myślą, że go zastąpią, ale Ameryka nigdy na to nie pozwoli. Moi przyjaciele i ja mamy znakomitego kandydata – bardzo umiarkowanego, ale nie wiem, czy w tych czasach istnieje zapotrzebowanie na umiarkowanie. – Skrzywił się. – Za dużo trzeba by myśleć. Same z tym kłopoty. Ludzie lubią skrajności, nie subtelności.

Położył szkło na ramce, umieścił z tyłu korkowy prostokąt i dodał więcej kleju. Wytarł jego nadmiar szmatką i odsunął się, żeby ocenić efekty swojej pracy. Zadowolony zaniósł puste szklanki do baru i dolał do nich alkoholu. Oddał szklankę Joemu.

– Słyszałeś o Lorecie Figgis?

Joe wziął drinka.

– Ktoś ją widział, jak chodzi po wodach Hillsborough?

Esteban spojrzał na niego nieruchomym wzrokiem.

– Zabiła się.

Szklanka zatrzymała się w połowie drogi do ust Joego.

– Kiedy?

– Wczoraj w nocy.

– Jak?

Esteban parę razy pokręcił głową i poszedł za biurko.

– Jak?

Esteban spojrział na ogród.

– Znowu zaczęła brać heroinę.

– Aha...

– W przeciwnym razie to by się nie mogło wydarzyć.

– Estebanie.

– Odcięła sobie genitalia, Josephie. A potem...

– Kurwa. Kurwa, nie.

– Potem poderznęła sobie gardło.

Joe ukrył twarz w dłoniach. Miesiąc temu spotkał Loretę w kawiarni, widział ją jako dziewczynkę idącą po schodach posterunku policji, dziewczynkę w kraciastej spódniczce, białych skarpetkach i sandałkach, z książkami pod pachą. A potem tę, którą tylko sobie wyobrażał, ale widział ją dwa razy wyraźniej – okaleczającą się w wannie wypełnionej jej krwią, z ustami otwartymi w nieustającym krzyku.

– To było w wannie?

Esteban zmarszczył brwi.

– Co w wannie?

– Gdzie się zabiła?

– Nie. – Esteban pokręcił głową. – Zabiła się w łóżku. W łóżku swojego ojca.

Joe znowu zasłonił twarz dłońmi i tak został.

– Proszę, powiedz mi, że się o to nie obwiniasz – odezwał się Esteban po chwili.

Joe nie odpowiedział.

– Josephie, spójrz na mnie.

Joe opuścił ręce i westchnął przeciągle.

– Pojechała na zachód i jak wiele innych dziewcząt padła czyjąś ofiarą. Ale nie twoją.

– Ludzi z naszej branży. – Joe postawił drinka na brzegu biurka i zaczął krążyć po dywanie, usiłując znaleźć właściwe słowa. – W tym, co robimy... każda komórka karmi inne komórki. Za dochody z alkoholu finansujemy dziewczyny, dziewczyny finansują

narkotyki potrzebne, żeby inne dziewczyny bzykały się z obcymi mężczyznami, żebyśmy na tym zarobili. A dziewczyny, które usiłują rzucić narkotyki albo zapominają o pokorze, są bite, Estebanie, wiesz o tym. One chcą z tym zerwać, potem wpada im w oko jakiś sprytny gliniarz. Więc ktoś podrzyna im gardło i wrzuca je do rzeki. A my przez kolejne dziesięć lat strzelamy do konkurencji i siebie nawzajem. I za co? Za te zasrane pieniądze.

– To brzydka strona życia poza prawem.

– Oż, cholera. Nie jesteśmy wyjęci spod prawa. Jesteśmy gangsterami.

Esteban patrzył na niego przez chwilę.

– Nie można z tobą dyskutować, kiedy jesteś w takim stanie. – Odwrócił ramkę ze zdjęciem i spojrział na nie. – Nie jesteśmy stróżami brata naszego, Josephie. To wręcz obelga – zakładać, że nasz brat nie potrafi się sobą zająć.

Loretto, pomyślał Joe. Loretto, Loretto. Braliśmy od ciebie wciąż i wciąż i spodziewaliśmy się, że jakoś wytrzymasz bez tego, co ci ukradliśmy.

Esteban wskazywał na zdjęcie.

– Spójrz na tych ludzi. Tańczą, piją i żyją. Bo jutro mogą umrzeć. My też, ty i ja. Gdyby któryś z tych gości, powiedzmy ten... – wskazał ubranego w biały frak faceta z obwisłą twarzą buldoga i grupkę kobiet stojących za nim, jakby chciały wziąć tego grubego drania na ramiona, kobiet lśniących cekinami i lamą – ...miał umrzeć w drodze do domu, bo za bardzo się upił Suarez Reserve, czy to nasza wina?

Joe spojrział na te piękne kobiety za buldogiem, przeważnie Kubanki o włosach i oczach tego koloru, co włosy i oczy Gracieli.

– Czy to nasza wina? – powtórzył Esteban.

Z wyjątkiem jednej. Drobniejszej, odwróconej od obiektywu i patrzącej na coś poza ramką, jakby w chwili, gdy błysnął flesz, ktoś wszedł do sali i zawołał jej imię. Kobiety o włosach koloru piasku i oczach jasnych jak zima.

– Co? – spytał.

– Czy to nasza wina? Jeśli jakiś *mamón* postanowi...

– Kiedy to zrobiłeś? – przerwał Joe.

– Kiedy?

– Tak, tak. Kiedy?

– To otwarcie Zoot.

– Ale kiedy się odbyło?

– W zeszłym miesiącu.

Joe spojrział na Estebana.

– Jesteś pewien?

Esteban parsknął śmiechem.

– To moja restauracja. Oczywiście, że jestem.

Joe wypił drinka jednym haustem.

– Nie ma takiej możliwości, żeby to zdjęcie zostało zrobione kiedy indziej i wmieszało się między te sprzed miesiąca?

– Co? Nie. Jak to kiedy indziej?

– Na przykład sześć lat temu.

Esteban pokręcił głową, nadal roześmiany, choć jego oczy pociemniały z troski.

– Nie, nie, nie, Josephie. Nie. To zdjęcie zrobiłem miesiąc temu. Bo co?

– Bo ta kobieta – Joe wskazał Emmę Gould – nie żyje od 1927 roku.

CZĘŚĆ III

WSZYSTKIE OKRUTNE

DZIECI

1933-1935

# ROZDZIAŁ 23

## POSTRZYŻYNY

Jesteś pewien, że to ona? – spytał Dion następnego ranka w biurze Joego.

Joe wyjął z wewnętrznej kieszeni zdjęcie, które wczoraj Esteban usiłował oprawić w ramkę. Położył je na biurku przed Dionem.

– Ty mi powiedz.

Dion powiódł wzrokiem po fotografii, zatrzymał się i otworzył szeroko oczy.

– Aha, to ona, nie ma co. – Zerknął z ukosa na Joego. – Powiesz Gracieli?

– Nie. Dlaczego?

– Ty swoim kobietom mówisz wszystko?

– Gównu im mówię, ale z ciebie większy mięczak. Poza tym ona nosi twoje dziecko.

– To prawda. – Joe spojrział na miedziany sufit. – Na razie jej nie powiedziałem, bo nie wiem jak.

– To łatwe. Powiedz tak: „Kochanie, najdroższa, ukochana, pamiętasz tę pannę, która mi się podobała, zanim cię poznałem? Tę, co ci powiedziałem, że kopnęła w kalendarz? Otóż ona żyje, w dodatku w twoim rodzinnym mieście i nadal prezentuje się apetycznie. A propos, co na obiad?

Stojący w drzwiach Sal spuścił wzrok, żeby ukryć chichot.

– Dobrze się bawisz? – spytał Joe.

– Jak nigdy. – Dion trząśł się ze śmiechu.

– Dion. Mówimy o sześciu latach wściekłości, sześciu latach... – Uniósł ręce, nie potrafiąc tego nazwać. – Przetrwiałem w Charlestown dzięki tej wściekłości. Prawie spuściłem Maso z dachu przez tę wściekłość, wygoniłem Alberta White’a z Tampy, cholera...

– Z jej powodu zbudowałeś imperium.

– No.

– To kiedy się z nią spotkasz, podziękuj jej ode mnie.

Joe otworzył usta, ale nic nie powiedział.

– Słuchaj – powiedział Dion. – Nigdy nie lubiłem tej cizi. Wiesz o tym. Ale na pewno dała ci inspirację, szefie. Spytałem, czy powiesz Gracieli, bo ją lubię. Bardzo ją lubię.

– Ja też ją bardzo lubię – dodał Sal i obaj spojrzeli na niego. Uniósł prawą rękę. W lewej trzymał pistolet maszynowy. – Przepraszam.

– Mówimy tak do siebie – zwrócił się do niego Dion – bo w dzieciństwie laliśmy się na podwórku. Dla ciebie to pan szef.

– Już nie będę.

Dion odwrócił się do Joego.

– Nie biliśmy się w dzieciństwie – powiedział Joe.

– Biliśmy się.

– Nie. Ty mnie lałeś.

– Ty uderzyłeś mnie cegłą.

– Żebyś przestał mnie lać.

– Ach. – Dion milczał przez chwilę. – Miałem sprawę.

– Kiedy?

– Kiedy tu wszedłem. Musimy pogadać o wizycie Maso. A słyszałeś o Irvie Figgisie?

– Słyszałem o Lorecie.

Dion pokręcił głową.

– Wszyscy o niej słyszeliśmy. Ale wczoraj Irv wszedł do Arturo. Zdaje się, że to tam Loretta dostała ostatnią fiolkę towaru.

– Aha.

– No, i Irv pobił Arturo niemal na śmierć.

– Nie.

Dion pokiwał głową.

– Ciągłe powtarzał „Okaż skruchę, okażę skruchę” i tłukł, ile wlezie. Arturo mógł stracić oko.

– Cholera. A Irv?

Dion narysował kółko na skroni.

– Wsadzili go na sześćdziesiąt dni na obserwację w domu wariatów w Tempie Terrace.

– Chryste. Co myśmy zrobili tym ludziom?

Dion oblał się szkarłatem. Odwrócił się i wycelował palec w Sala Urso.

– Nie widziałeś tego, kurwa, jasne?

– Czego? – zdziwił się Sal, a wtedy Dion uderzył Joego w twarz.

Uderzył go tak mocno, że Joe wpadł na biurko. Oderwał się od niego i wyprostował się, wbijając trzydziestkędwójkę w fałdy pod brodą Diona.

– Nie pozwolę ci iść na kolejne spotkanie, które zadecyduje o naszym życiu lub śmierci, wiedząc, że chcesz umrzeć z powodu czegoś, na co nie miałeś wpływu. Chcesz mnie zastrzelić, tu i teraz? – Rozłożył ramiona. – To pociągnij za ten zasrany spust.

– Myślisz, że tego nie zrobię?

– Gówno mnie obchodzi, czy zrobisz. Bo nie będę patrzeć, jak po raz drugi chcesz się zabić. Jesteś moim bratem. Łapiesz, ty durna irlandzka mendo? Bratem. Bardziej niż Seppi czy Paolo, świeć Panie nad ich duszami. Bratem. I nie mogę stracić kolejnego brata. Nie mogę.

Dion chwycił Joego za nadgarstek, przykrył palcem palec spoczywający na spuście i wbił sobie broń jeszcze głębiej w szyję. Zamknął oczy i zacisnął zęby.

– Nawiasem mówiąc – spytał – kiedy tam pojedziesz?

– Gdzie?

– Na Kubę.

– Kto powiedział, że pojedę?

Dion zmarszczył brwi.

– Właśnie się dowiedziałeś, że dziewczyna, na punkcie której miałeś świra, żyje cała i zdrowa jakieś pięćset kilometrów na południe stąd i nic nie zrobisz?

Joe cofnął broń i schował ją do kabury. Zauważył, że Sal poszarzał na twarzy i ocieka potem.

– Pojadę od razu po spotkaniu z Maso. Wiesz, jak stary potrafi gadać.

– I właśnie z tą sprawą przyszedłem. – Dion otworzył moleskinowy notes, z którym się nie rozstawał, przejrzał strony. – Jest tu wiele rzeczy, które mi się nie podobają.

– Na przykład?

– On i jego faceci zajęli pół pociągu. Cholernie wielka świta.

– Jest stary – wszędzie towarzyszy mu pielęgniarka, może lekarz. I nieustannie ma przy sobie czterech strzelców.

Dion skinął głową.

– Teraz ma ich co najmniej dwudziestu. Nie dwadzieścia pielęgniarek. Zarezerwował hotel Romero na Eighth. Cały hotel. Dlaczego?

– Względy bezpieczeństwa.

– Ale zawsze zatrzymuje się w hotelu Tampa Bay. Wynajmuje tylko jedno piętro. W ten sposób ma gwarancję bezpieczeństwa. Po co mu cały hotel w środku Ybor?

– Jego paranoja się powiększa – stwierdził Joe.

Zastanawiał się, co powie na jej widok. Pamiętasz mnie?

A może to żalosne?

– Szefie – powiedział Dion – posłuchaj mnie przez sekundę. On nie przyjechał tutaj bezpośrednią linią Seaboard. Zaczął na Illinois Central. Zrobił przystanki w Detroit, Kansas City, Cincinnati i Chicago.

– Jasne. To nasi partnerzy od sprzedaży whisky.

– A także siedziba wszystkich szefów. Wszystkich, którzy się liczą – oprócz tych z Nowego Jorku i Providence. A zgadnij, gdzie się udał dwa tygodnie temu?

Joe spojrzał na przyjaciela.

– Do Nowego Jorku i Providence.

– Aha.

– Twoim zdaniem po co?

– Nie wiem.

– Myślisz, że jeździ po kraju i prosi o zgodę, żeby nas zdjąć?

– Może.

Joe pokręcił głową.

– To bez sensu. Przez pięć lat powiększyliśmy czterokrotnie zyski tej organizacji. Przyjechaliśmy do zasranej wiochy. W zeszłym roku ukręciliśmy – ile? – jedenaście milionów na samym rumie?

– Jedenaście pięćset. I zwiększyliśmy zyski bardziej, niż powiedziałeś.

– Więc po co spieprzyć to, co dobre? Nie kupuję tego „Josephie, jesteś dla mnie jak syn” tak samo, jak ty. Ale Maso szanuje liczby. A nasze liczby są pierwszorzędne.

Dion przytaknął.

– Zgadzam się, usunięcie nas nie ma sensu. Ale nie podobają mi się te oznaki. I to, co czuję w żołądku.

– Wczorajszą paellę.

Dion uśmiechnął się słabo.

– Jasne. Pewnie o to chodzi.

Joe wstał. Otworzył okiennice i spojrzał na halę fabryczną. Dion się martwił, ale dostawał pieniądze za to, żeby się martwić. Wykonywał swoją pracę. Joe wiedział, że w tej branży wszyscy robią to, co robią, żeby zdobyć jak najwięcej pieniędzy. Proste. A on zarabiał pieniądze. Całe worki pieniędzy, które wraz z rumem jechały wybrzeżem i wypełniały sejf w posiadłości Maso w Nahant. Joe co roku powiększał zyski. Maso był okrutny, a odkąd zaczął podupadać na zdrowiu, stał się nieco bardziej nieprzewidywalny. Ale górę brała chciwość. A Joe zaspokajał tę chciwość. Napychał mu żołądek. Maso nie miał logicznego powodu, by zastępować Joego i ryzykować, że znowu nadejdą chude lata. Bo po co miałyby go zastępować? Joe nie popełnił żadnego występku. Nie kręcił własnych interesów na boku. Nie stanowił zagrożenia dla władzy Maso.

Joe odwrócił się od okna.

– Zrób wszystko, co możesz, żeby zagwarantować mi bezpieczeństwo na tym spotkaniu.

– Nie mogę go zagwarantować – odparł Dion. – W tym rzecz. Wejdiesz do budynku, w którym Maso kupił wszystkie pokoje. Jego ludzie pewnie w tej chwili je przeczesują, więc nie mogę tam posłać moich żołnierzy, ukryć żadnej broni, nic. Wejdiesz na ślepo. A my będziemy na zewnątrz, także ślepi. Jeśli postanowią, że nie wyjdiesz z tego budynku żywy... – Parę razy uderzył wskazującym palcem w blat. – To nie wyjdiesz żywy.

Joe zastanawiał się przez jakiś czas.

– Co w ciebie wstąpiło?

– Przeczucie.

– Przeczucie to nie fakt. A fakty wyglądają tak, że nikt nie ma interesu mnie zabić. Nikt na tym nie zyska.

– O ile wiesz.

Hotel Romero mieścił się w dziesięciopiętrowym budynku z czerwonej cegły na rogu Eighth Avenue i Seventeenth Street. Gościł podróżujących handlowców, których firmy nie ceniły na tyle, by umieścić ich w hotelu Tampa. Sam hotel był znakomity – w każdym pokoju toaleta i umywalka, a pościel zmieniana co drugi dzień, obsługa hotelowa

dostępna rano i wieczorem w piątek i sobotę – lecz pod żadnym względem nie przypominał pałacu.

Joe, Sal i Lewus spotkali się przy drzwiach wejściowych z Adamo i Gino Valocco, braćmi z Kalabrii. Joe znał Gino z Charlestown. Pogawędzili sobie, idąc przez hol.

– Gdzie teraz mieszkasz? – spytał Joe.

– W Salem. Nie jest źle.

– Ustatkowałeś się?

Gino skinął głową.

– Znalazłem miłą Włoszkę. Mam już dwoje dzieci.

– Dwoje? Szybko działasz.

– Lubię duże rodziny. A ty?

Joe nie zamierzał zwierzać się zasranemu cynglowi, choćby się z nim przyjemnie gawędziło, ze swojego szczęścia.

– Jeszcze się zastanawiam.

– Nie czekaj za długo. Siły ci się przydadzą na czas, kiedy dzieci będą małe.

Była to jedna z właściwości tej branży, którą Joe zawsze uważał za uroczą i absurdalną jednocześnie – pięciu mężczyzn idzie do windy, czterech z pistoletami maszynowymi, wszyscy z bronią krótką, a dwaj prowadzą pogawędkę o żonie i dzieciach.

W drodze do windy Joe podpuścił Gino, żeby jeszcze trochę poopowiadał o dzieciach, a sam usiłował wyczuć smród zasadzki. Gdy już raz wsiedli do tej windy, wszelkie złudzenia, że znajdą drogę ucieczki, zgasły.

Ale tym właśnie były – złudzeniami. W chwili, gdy przekroczyli próg hotelu, zrezygnowali z wolności. Zrezygnowali z życia, gdyby Maso – z jakiegoś idiotycznego powodu, którego Joe nie potrafił sobie wyobrazić – zapragnął im je odebrać. Winda była tylko pudełkiem w większym pudełku. A oni dali się zamknąć w pudełku i z tym nie mogli się nie zgodzić.

Może Dion miał rację.

A może nie miał.

Istniał tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Opuścili braci Valocco i wsiedli do windy. Obsługiwał ją Ilario Nobile, wiecznie wychudły i poźółkły od chronicznego zapalenia wątroby, ale strzelec wyborowy. Powiadano, że potrafiłby przestrzelić pchle dupę podczas zaćmienia słońca i wypisać swoje imię na parapecie serią z pistoletu maszynowego, nie drasnawszy szyby.

Wjeżdżając na najwyższe piętro, Joe gawędził z Ilario tak swobodnie, jak z Gino Valocco. W przypadku Ilario sztuczka polegała na tym, żeby spytać go o psy. Hodował w Revere beagle i słynął z tego, że jego szczeniaki miały łagodny charakter i najbardziej miękkie uszy.

Ale kiedy wsiedli do kabiny, Joe znowu zaczął się zastanawiać, czy Dion nie miał racji. Bracia Valocco i Ilario Nobile byli znanymi strzelcami. Nie osiłkami, nie mózgami. Byli kilerami.

Na korytarzu dziesiątego piętra czekał na nich tylko Fausto Scarfone, kolejny mistrz broni. Nie towarzyszył mu nikt więcej, co znaczyło, że szanse są wyrównane – dwaj ludzie Maso, dwaj Joego.

Drzwi apartamentu Gasparilla, najładniejszego w całym hotelu, otworzył sam Maso. Objął Joego, ujął jego twarz w dłonie i ucałował w czoło. Znowu go objął i mocno klepnął w plecy.

– Jak się miewasz, mój synu?

– Bardzo dobrze. Dziękuję za troskę.

– Fausto, sprawdź, czy jego ludziom czegoś nie potrzeba.

– Zabrać im spluwy?

Maso zmarszczył brwi.

– Skąd. Panowie, rozgośćcie się. To nie powinno zająć nam wiele czasu. – Wycelował palec w Fausto. – Jeśli któryś zechce kanapkę czy coś innego, wezwij obsługę. Spełniaj ich każde życzenie.

Maso zaprowadził Joego do apartamentu i zamknął drzwi. Jeden rząd okien w pokoju wychodził na zaułek i budynek z żółtej cegły – własność wytwórcy fortepianów, który splajtował w 1929 roku. Na murze pozostało tylko płowiejące nazwisko jej właściciela – HORACE R. PORTER – oraz kilka zabitych deskami okien. Jednak inne okna apartamentu zapewniały widoki niekojarzące się z Wielkim Kryzysem – panoramę Ybor i kanały, które prowadziły do Hillsborough Bay.

Na środku salonu wokół dębowego stolika do kawy stały cztery fotele. Na blacie czekał srebrny dzbanek do kawy z takim samym dzbanuszkim na śmietanę i cukiernicą, a także butelka anyżówki i trzy małe, już napełnione nią szklaneczki. Średni syn Maso, Santo, czekał na nich przy stole. Spojrzał na Joego, nalewając sobie filiżankę kawy. Postawił filiżankę koło pomarańczy.

Santo Pescatore miał trzydzieści jeden lat i wszyscy nazywali go Szpadel, choć nikt, nawet on, nie pamiętał dlaczego.

– Pamiętasz Joego, Santo?

– Nie wiem. Może. – Santo uniósł się z fotela i podał Joemu zwiędłą, wilgotną dłoń.  
– Mów mi Szpadel.

– Miło cię znowu zobaczyć. – Joe usiadł naprzeciwko niego. Maso obszedł stół, zajmując miejsce obok syna.

Szpadel obrał pomarańczę, rzucając skórki na stolik. Na końskiej twarzy malował mu się permanentny wyraz niepewności i podejrzliwości, jakby usłyszał dowcip, którego nie rozumiał. Miał ciemne kędzierzawe włosy, przerzedzające się nad czołem, mięsisty podbródek i szyję oraz oczy swojego ojca, ciemne i małe jak czubki zaostrzonych ołówków. Ale było w nim coś tępego. Nie posiadał uroku ani przebiegłości swojego ojca, ponieważ ich nie potrzebował.

Maso nalał Joemu filiżankę kawy i podał mu ją.

– Jak się miewasz?

– Bardzo dobrze. A pan?

Maso poruszył ręką na boki.

– Mam dobre i złe dni.

Joe uniósł szklaneczkę.

– *Salud.*

Maso i Joe wypili. Szpadel wziął cząstkę pomarańczy i zaczął ją przeżuwać, nie zamykając ust.

Joe nie po raz pierwszy przypomniał sobie, że jak na tak brutalny biznes, spotyka się w nim zaskakująco wielu zwyczajnych ludzi – mężczyzn, którzy kochają swoje żony, chodzą z dziećmi na sobotnie spacerunki, dbają o swoje automobile, żartują w małych restauracjach i martwią się, co pomyślą o nich matki. Którzy chodzą do kościoła, by prosić Boga o wybaczenie za te wszystkie straszne rzeczy, jakie musieli zrobić na rozkaz aktualnego cesarza, by zarobić na chleb.

Ale był to też biznes, w którym spotykało się także wiele świń. Okrutnych pokurczy, mających dla innych ludzi tyle samo uczuć, co dla muchy tłukącej się o szybę pod koniec lata.

Szpadel Pescatore należał do tych drugich. I jak wielu mu podobnych też miał ojca będącego szefem organizacji, z którą wszyscy byli związani, spleceni, jej poddani.

Przez lata pracy Joe poznał trzech synów Maso. Poznał też jedyne syna Tima Hickeya, Buddyego. Poznał synów Cianciego z Miami, Barrone z Chicago i DiGiacomo z Nowego Orleanu. Ich ojcowie byli przerażającymi istotami, które wydzwignęły się na szczyt o własnych siłach. Ludźmi o żelaznej sile woli, dalekosiężnej wizji, nieznanymi współczucia nawet z widzenia. Ale ludźmi, bez wątpienia ludźmi.

A ich synowie, pomyślał Joe, słuchając ciamkania Szpadla, to hańba ludzkiego gatunku.

Szpadel zjadł pomarańczę, a potem drugą, a tymczasem Maso i Joe rozmawiali o podróży Maso, upale, Gracieli i dziecku, którego się spodziewała.

Gdy tematy rozmowy się skończyły, Maso wziął gazetę leżącą na fotelu obok niego. Zabrał butelkę i usiadł obok Joego. Nalał jeszcze dwa drinki i otworzył „Tampa Tribune”. Twarz Loretty Figgis spojrzała na nich spod tytułu

### *ŚMIERĆ MADONNY*

– To ta dziewczyna narobiła nam kłopotów z kasynem?

– Tak.

– Dlaczego jej wtedy nie skasowałeś?

– To by spowodowało zbyt gwałtowną reakcję. Cały stan ją obserwował.

Maso zdarł skórkę z pomarańczy.

– To prawda, ale nie dlatego odpuściłeś.

– Nie?

Stary pokręcił głową.

– Dlaczego w 1932 roku nie zabiłeś tego bimbrownika, jak ci kazałem?

– Turnera Johna?

Maso przytaknął.

– Bo zawarłem z nim ugodę.

– Nie rozkazałem ci zawierać ugody. Rozkazałem ci zabić sukinsyna. A nie zrobiłeś tego z tego samego powodu, dla którego nie zabiłeś tej *puttana pazzo* – bo nie jesteś zabójcą, Josephie. W tym problem.

– Tak? Od kiedy?

– Od teraz. Nie jesteś gangsterem.

– Chcesz zranić moje uczucia?

– Jesteś wyrzutkiem wyjętym spod prawa, bandytą w garniturze. A teraz słyszę, że chcesz rozpocząć legalną działalność?

– Zastanawiam się nad tym.

– Więc nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebyśmy cię tutaj zastąpili?

Joe uśmiechnął się, nie wiadomo dlaczego. Zachichotał. Znalazł papierosy i zapalił

jednego.

– Ta działalność przynosiła kiedyś milion rocznie.

– Wiem.

– A odkąd tutaj się znalazłem, zarabiamy średnio jedenaście milionów.

– Ale głównie na rumie. Te dni się kończą. Zaniebależ dziewczyny i narkotyki.

– Bzdura.

– Słucham?

– Skupiłem się na rumie, bo przynosił największe zyski. Ale sprzedaż narkotyków skoczyła w górę o sześćdziesiąt pięć procent. Co do dziewczyn, od mojego przyjazdu dodaliśmy tutaj cztery domy.

– Ale mogłeś dodać więcej. A dziwki twierdzą, że są rzadko bite.

Joe spuścił wzrok na patrzącą na niego z blatu stołu twarz Loretty. Podniósł oczy, znowu je spuścił. Teraz to on westchnął głośno.

– Maso...

– Panie Pescatore – poprawił go Maso.

Joe nie odpowiedział.

– Josephie, nasz przyjaciel Charlie chce wprowadzić parę zmian w sposobie, w jaki prowadzimy interesy.

„Przyjacielem Charliem” był Lucky Luciano z Nowego Jorku. Krótko mówiąc, król. Dożywotni cesarz.

– Jakie zmiany?

– Zważywszy, że prawa ręka Lucky’ego to Żyd, zmiany są trochę ironiczne, nawet niesprawiedliwe. Nie będę cię okłamywał.

Joe uśmiechnął się blado i czekał na dalszy ciąg.

– Charlie chce, żeby najważniejsze miejsca zajmowali Włosi i tylko oni.

Maso nie żartował – rzeczywiście był to szczyt ironii. Wszyscy wiedzieli, że bez względu na to, jak łebski jest Lucky – a był łebski jak cholera – bez Meyera Lansky’ego nic nie znaczy. Lansky, Żyd z dolnego East Side, zrobił więcej niż ktokolwiek w branży, by zmienić szereg małych inicjatyw w potężną korporację.

Rzecz w tym, że Joe nie miał życzenia dotrzeć na szczyt. Wystarczała mu jego mała lokalna działalność.

I to powiedział szefowi.

– Jesteś zbyt skromny.

– Nie jestem. Rządzą Ybor. I rumem, tak, ale to już skończone, jak sam powiedziałeś.

– Rządzisz dużo większym terenem niż Ybor i Tampa, Josephie. Wszyscy o tym wiedzą. Rządzisz wybrzeżem zatoki stąd do Biloxi. Masz kontrolę nad trasami przerzutowymi stąd do Jacksonville i połową prowadzących na północ. Przejrzałem dokumenty. Sprawiliś, że staliśmy się potęgą.

Zamiast powiedzieć „I tak mi za to dziękujesz?” Joe spytał:

– Więc skoro nie mogę rządzić, ponieważ Charlie stwierdził, że Irlandczykom już dziękuje, kim mogę zostać?

– Tym, kim ci każe. – Te słowa padły z ust Szpadla, który skończył drugą pomarańczę i wytarł lepkie ręce o boki fotela.

Maso rzucił Joemu spojrzenie mówiące „Nie przejmuj się nim” i powiedział:

– *Consigliere*. Zostaniesz ze Szpadlem, nauczysz go, co i jak, przedstawisz go ludziom z miasta, może nawet nauczysz go grać w golfa lub łowić ryby.

Szpadel przeszył Joego spojrzeniem małych oczu.

– Umiem się golić i zawiązywać buty.

Joe miał ochotę odpowiedzieć: „Ale musisz się nad tym zastanawiać, prawda?”

Maso klepnął go w kolano.

– Będziesz musiał trochę przystrzyc fryzurę – finansowo. Ale nie martw się, tego lata przejmujemy port i będzie mnóstwo roboty, damę słowo.

Joe skinął głową.

– Jak bardzo przystrzyc?

– Szpadel przejmie twoje udziały. Zbierzesz grupę i zatrzymasz to, co zarobicie – minus kontrybucję.

Joe wyjrzał przez okno. Przez chwilę patrzył w to wychodzące na zaułek. Potem w to od strony zatoki. Powoli odliczył od dziesięciu do zera.

– Degradujesz mnie do funkcji szefa grupy?

Maso znowu klepnął go w kolano.

– To przeszeregowanie, Josephie. Na rozkaz Charliego Luciano.

– Charlie powiedział „Wymień Joego Coughlina z Tamy”.

– Charlie powiedział „Na szczycie mają być sami Włosi”. – Głos Maso nadal

brzmiał spokojnie, nawet życzliwie, ale Joe słyszał zakradającą się do niego frustrację.

Joe przez chwilę milczał, żeby opanować głos, bo wiedział, jak szybko Maso odrzuca maskę starego uprzejmego dżentelmena i pokazuje kryjącego się za nią dzikiego kanibala.

– Maso, moim zdaniem Szpadel u steru to świetny pomysł. Nasza współpraca? Przejmiemy ten stan i Kubę na dodatek. Mam znajomości, które na to pozwolą. Ale moje zyski muszą pozostać zbliżone do tego, co zarabiam teraz. Jeśli zostanę szefem grupy, będę dostawać jedną dziesiątą moich obecnych zysków. I zajmować się napadaniem na związki dokerów i właścicieli fabryk cygar? Tu nie ma władzy.

– Może o to chodzi. – Szpadel uśmiechnął się po raz pierwszy; w górnych zębach utknął mu kawałek pomarańczy. – Przyszło ci to do głowy, cwaniaku?

Joe spojrzał na Maso.

Szef odpowiedział mu przeciągłym spojrzeniem.

– Ja to zbudowałem – powiedział Joe.

Maso przytaknął.

– Wyciągnąłem z tego miasta dziesięć do jedenastu razy więcej od tego, co zarabiał dla ciebie Lou Ormino.

– Bo ci pozwoliłem.

– Bo mnie potrzebowałeś.

– E, cwaniak – odezwał się Szpadel. – Nikt cię nie potrzebuje.

Maso poklepał powietrze między sobą i synem – takim gestem można by uspokajać psa. Szpadel rozparł się w fotelu, a Maso spojrzał na Joego.

– Możemy znaleźć dla ciebie zastosowanie, Josephie. Możemy. Ale wyczuwam brak wdzięczności.

– Ja też.

Tym razem ręka Maso została na jego kolanie i ścisnęła je.

– Pracujesz dla mnie. Nie dla siebie, nie dla tych brudasów i czarnuchów, którymi się otaczasz. Jeśli ci każę umyć moją zasraną muszlę, zgadnij, co zrobisz. – Uśmiechnął się, a jego głos pozostał łagodny. – Zabiję tę twoją pizdę i spalę twój dom do fundamentów, jeśli tak mi się spodoba. Wiesz o tym, Josephie. Trochę przewróciło ci się w głowie, ot co. Już to widywałem. – Zdjął rękę z kolana Joego i poklepał go po twarzy. – Więc jak, chcesz zostać szefem grupy? Czy chcesz sprzątać moje zasrane kible w dniu biegunki? Przyjmuję zgłoszenia na oba miejsca.

Jeśli Joe się zgodzi, zyska parę dni na rozmowę ze wszystkimi swoimi kontaktami,

zebranie sił i właściwe rozmieszczenie pionków na szachownicy. Gdy Maso i jego zbiry zasiądą w pociągu zmierzającym na północ, Joe poleci do Nowego Jorku, porozmawia bezpośrednio z Luciano, położy mu na biurku księgi rachunkowe i udowodni, że on przyniesie mu zysk, podczas gdy taki debil, jak Szpadel Pescatore doprowadzi go do ruiny. Istnieje spora szansa, że Lucky dozna olśnienia i że wyjdą z tego z minimalnym rozlewem krwi.

– Będę szefem grupy. – Joe pokiwał głową.

Ach... – Maso uśmiechnął się szeroko. – Mój chłopczyk. – Uszczypnął Joego w policzki. – Mój chłopczyk.

Szef wstał, więc Joe także. Uścisnęli sobie ręce. Objęli się. Maso pocałował Joego w oba policzki, dokładnie w miejsca, które uszczypnął.

Joe uściśnął dłoń Szpadla i powiedział, że bardzo się cieszy, iż będzie z nim pracował.

– Dla – przypomniał mu Szpadel.

– Tak. Dla ciebie – poprawił się Joe.

Ruszył do drzwi.

– Dzisiaj kolacja? – spytał Maso.

Joe zatrzymał się w progu.

– Jasne. Tropicale o dziewiątej może być?

– Wspaniale.

– Dobrze. Zarezerwuję najlepszy stolik.

– Wspaniale – powtórzył Maso. – I żeby on do tego czasu już nie żył.

– Co? – Joe zdjął rękę z klamki. – Kto?

– Twój przyjaciel. – Maso nalał sobie kawy. – Ten duży.

– Dion?

Maso przytaknął.

– On nic nie zrobił.

Maso spojrzał na niego.

– Czy o czymś nie wiem? – spytał Joe. – Dion jest świetnym pracownikiem i świetnym cynglem.

– To donosiciel – powiedział Maso. – Sześć lat temu doniósł na ciebie. To znaczy, że za sześć minut, sześć dni, sześć miesięcy znowu to zrobi. Nie mogę pozwolić, żeby dla

mojego syna pracował kapuś.

– Nie – odpowiedział Joe.

– Nie?

– Nie, on mnie nie sprzedał. To jego brat. Mówiłem.

– Wiem, co mi mówiłeś, Josephie. Wiem także, że skłamałeś. Dałem ci prawo do jednego kłamstwa. – Uniósł palec wskazujący, dolewając śmietanki do kawy. – Wykorzystałeś je. Zabij tego wielkiego gnoja przed kolacją.

– Maso. Posłuchaj. To był jego brat. Wiem to.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nie okłamujesz mnie?

– Nie okłamuję cię.

– Bo wiesz, co będzie, jeśli mnie okłamujesz.

Jezu, pomyślał Joe, przyjechałeś tu, żeby mi ukraść organizację dla swojego bezwartościowego popieprzonego synalka. Więc już raz ją ukradnij.

– Wiem, co będzie.

– Trzymasz się swojej wersji. – Maso wrzucił kostkę cukru do filiżanki.

– Trzymam się, bo to nie żadna wersja, tylko prawda.

– Cała prawda i tylko prawda?

Joe skinął głową.

– Cała prawda i tylko prawda.

Maso pokręcił głową powoli, ze smutkiem. Drzwi za plecami Joego otworzyły się i do pokoju wszedł Albert White.

## ROZDZIAŁ 24

### JAK SPOTKASZ SWÓJ KONIEC

Pierwszym spostrzeżeniem Joego było to, że Albert White bardzo postarzał się przez te trzy lata. Białe i kremowe garnitury i getry za pięćdziesiąt dolarów poszły w zapomnienie. Jego buty wyglądały tylko ciut lepiej niż tekturowe obuwie, noszone przez ludzi żyjących na ulicach i w namiotach w całym kraju. Kłapy brązowej marynarki były wystrzępione, a rękawy przetarte na łokciach. Fryzura należała do takich, jakie w domu robi ci roztargniona żona czy córka.

Drugim spostrzeżeniem było to, że Albert trzymał w prawej ręce pistolet maszynowy Sala Urso. Joe wiedział, że to broń Sala. Poznał ją po wytartym zamku. Sal lubił pocierać go lewą ręką, siedząc z pistoletem na kolanach. Nadal nosił obrączkę, choć żona zmarła w 1923 roku – zachorowała na tyfus, niedługo przed jego przyjazdem do Tamy, by pracować u Lou Ormino. Gdy Sal pocierał pistolet, obrączka rysowała metal. Teraz, po latach piastowania broni, na zamku nie zostało prawie śladu farby.

Albert podniósł pistolet i podszedł do Joego. Przyjrzał się jego trzyczęściowemu garniturowi.

– Anderson i Sheppard? – spytał

– H. Huntsman – odpowiedział Joe.

Albert skinął głową. Odchylił lewą klapę marynarki, by Joe mógł podziwiać naszywkę – Kresges's.

– Od naszego ostatniego spotkania moja fortuna nieco się odmieniła.

Joe nie odpowiedział. Nie było nic do powiedzenia.

– Wróciłem do Bostonu. Mało brakowało, żebym zaczął żebrać, wiesz? Sprzedawałem, kurwa, ołówki, Joe. Ale potem wpadłem na Beppe Nunnaro w tej małej piwnicy na North End. Kiedyś się przyjaźniliśmy. Dawno temu, przed serią niefortunnych nieporozumień z panem Pescatore. No i pogadaliśmy sobie, Beppe i ja. Twoje nazwisko nie padło od razu, za to Diona – tak. Widzisz, Beppe prznosił wiadomości między Dionem i jego głupim bratem Paolo. Wiedziałaś?

Joe przytaknął.

– Więc pewnie wiesz, do czego zmierzam. Beppe powiedział, że znał Paolo przez większość życia i trudno mu uwierzyć, żeby zdołał kogoś oszukać, nie wspominając już o własnym bracie i synu kapitana policji. – Albert zarzucił ramię na szyję Joego. – Na co ja powiedziałem: „Paolo nikogo nie oszukał, tylko Dion. Wiem, bo to do mnie zakablował”. – Albert podszedł do okna wychodzącego na zaułek i podupadły magazyn fortepianów Horace’a Portera, Joe chcąc nie chcąc, poszedł razem z nim. – Wtedy Beppe uznał, że powinienem porozmawiać z panem Pescatore. – Zatrzymali się przy oknie. – A to doprowadziło do naszego spotkania. Ręce do góry.

Joe posłuchał, a Albert go obszukał. Maso i Szpadel także podeszli i stanęli przy oknach. Albert wyjął savage’a kaliber trzydzieści dwa z kabury na plecach Joego, jednostrzałowego derringera z kabury na jego prawej kostce i sprężynowiec z lewego buta.

– Coś jeszcze? – spytał Albert.

– Zwykle to wystarcza – odparł Joe.

– Cwaniak do końca. – Albert objął jego ramiona.

– Powinieneś wiedzieć jedno o panu White... – odezwał się Maso.

– Mianowicie?

– Że zna Tampę. – Maso uniósł grubą brew.

– Przez co stajesz się mniej „potrzebny” – dodał Szpadel. – Ty głupi pojebie.

– Jak ty się wyrażasz – zganiał go Maso. – Czy to naprawdę konieczne?

Wszyscy odwrócili się do okna, jak dzieci czekające, aż rozsunie się kurtyna teatrzyku kukielkowego. Albert uniósł pistolet maszynowy.

– Ładna sztuka. Rozumiem, że znasz właściciela.

– Tak. – Joe usłyszał smutek w swoim głosie. – Znam.

Stali jakąś minutę. Potem rozległ się krzyk i na żółtej ceglanej ścianie mignął cień. Twarz Sala, młóćącego dziko powietrze, przemknęła za szybą. Potem Sal przestał spadać. Jego głowa wyprostowała się, a stopy wierzgnęły, gdy pętla zacisnęła się mu na szyi. Ciało zakołysało się dwa razy wahadłowo, a potem zaczęło się obracać na linie. Joe domyślił się, że Sal miał zawisnąć dokładnie przed ich oczami, ale ktoś źle obliczył długość sznura, a może nie uwzględnił wpływu ciężaru mężczyzny. Dlatego widzieli czubek głowy mężczyzny, wiszącego między dziesiątym i dziewiątym piętrem.

Ale drugi sznur przycięli właściwie. Lewus zjawił się bez krzyku, rękami ściskając pętlę. Wyglądał na zrezygnowanego, jakby ktoś mu zdradził tajemnicę, której nie chciał usłyszeć, lecz zawsze spodziewał się poznać. Ponieważ chwycił za pętlę, nie złamała mu karku. Pojawił się przed stojącymi przy oknie jak wyczarowany przez magika. Parę razy podskoczył w górę i dół, a potem zawisł. Kopał w okna. Jego ruchy nie były desperackie

ani gorączkowe, lecz dziwnie precyzyjne, sportowe. Nie zmienił wyrazu twarzy, nawet kiedy zobaczył obserwujących go mężczyzn. Szarpał za linę jeszcze wtedy, gdy pętla werżnęła mu się w tchawicę, a język zakołysał się na brodzie.

Joe patrzył, jak życie z niego uchodzi, najpierw powoli, potem nagle i ostatecznie. Światło opuszczało Lewusa jak niepewny ptak, ale kiedy już raz się zerwało do lotu, umknęło wysoko i szybko. Jediną pociechą dla Joego było to, że pod koniec oczy Lewusa się zamknęły.

Spojrzał na pogrążoną jakby we śnie twarz Lewusa, na czubek głowy Sala i poprosił ich o przebaczenie.

*Niedługo was zobaczę. Niedługo zobaczę mojego ojca. Zobaczę Paola Bartolo. Zobaczę matkę.*

A potem:

*Nie starczy mi na to odwagi Nie mogę.*

I jeszcze:ø

*Proszę, Boże. Proszę, Boże. Nie chcę jeszcze wchodzić w mrok. Zrobię wszystko. Błagam cię o litość. Nie mogę dzisiaj umrzeć. Nie powinienem. Niedługo będę ojcem. Ona zostanie matką. Będziemy dobrymi rodzicami. Wychowamy piękne dziecko.*

*Nie jestem gotów.*

Usłyszał własny oddech, gdy przyprowadzili go do okien, które wychodziły na Eighth Avenue, ulice Ybor i znajdującą się dalej zatokę. Zanim do nich doszedł, usłyszał strzały. Z tej wysokości strzelający z karabinów, rewolwerów i pistoletów mężczyźni na ulicy wyglądali jak czterocentymetrowe ludziki. Byli ubrani w kapelusze, prochowce i garnitury. Niektórzy mieli na sobie policyjne mundury.

Policja sprzymierzyła się z ludźmi Pescatore. Niektórzy ludzie Joego leżeli na ulicy albo zwisali z samochodów, inni jeszcze strzelali, ale już się wycofywali. Eduardo Arnaz dostał prosto w pierś i zatoczył się na wystawę sklepu z sukniami. Trafiony w plecy Noel Kenwood upadł na ulicę, konwulsyjnie szarpiąc bruk. Innych Joe nie rozpoznawał z tej odległości. Starcie przesunęło się na zachód, najpierw o jedną przecznicę, potem o dwie. Jeden z jego ludzi walnął plymouthem phaetonem w latarnię na rogu Sixteenth. Zanim zdołał wysiąść, policjanci i ludzie Pescatore otoczyli samochód i rozpruli jego wnętrze seriami z karabinów. Giuseppe Esposito miał takiego phaetona, ale z daleka nie sposób było stwierdzić, czy to on go prowadzi.

*Uciekajcie, chłopcy. Po prostu uciekajcie.*

A oni, jakby go usłyszeli, przestali strzelać i rozbiegli się na wszystkie strony.

Maso położył rękę na karku Joego.

– To koniec, synu.

Joe nie odpowiedział.

– Żałuję, że tak się stało.

– Czyżby? – powiedział Joe.

Samochody Pescatore i miejscowej policji śmignęły przez Eighth. Joe widział kilka kierujących się na północ lub południe przez Seventeenth, a potem na wschód przez Ninth lub Sixth, żeby odciąć jego ludziom drogę ucieczki.

Ale jego ludzie znikli.

Jeszcze przed chwilą biegli ulicą, a teraz rozplłynęli się w powietrzu. Samochody Pescatore spotykały się na rogach ulic, zabójcy rozglądali się desperacko, a potem znowu ruszali na polowanie.

Zastrzelili kogoś na ganku *casity* na Sixteenth, ale wyglądało na to, że na razie dopadli tylko tego jednego żołnierza gangu Coughlina i Suareza.

Gangsterzy znikali jeden po drugim. Jeden po drugim przestawali istnieć. Policjanci i ludzie Pescatore kręcili się po ulicach, wskazując palcami i krzyczeli na siebie.

– Gdzie oni się podziali, do kurwy nędzy? – spytał Maso Alberta.

Albert uniósł ręce i pokręcił głową.

– Josephie – odezwał się Maso – ty mi to powiesz.

– Nie nazywaj mnie Josephem – odparł Joe.

Maso uderzył go w twarz.

– Co się z nimi stało?

– Znikli. – Joe spojrzał mu w oczy jak dwa zera. – Pstryk!

– Tak?

– Tak.

Teraz Maso podniósł głos. Ten głos zmienił się w ryk. I był to przerażający dźwięk.

– Gdzie oni są, do kurwy nędzy?

– Cholera. – Albert strzelił palcami. – Tunele. Weszli w tunele.

Maso odwrócił się do niego.

– Jakie tunele?

– Te, które biegną pod całą tą zasraną dzielnicą. To nimi przynosili alkohol.

– Więc pošlij ludzi w te tunele – odezwał się Szpadel.

– Nikt nie wie, gdzie znajduje się większość z nich. – Albert wskazał kciukiem Joego. – Na tym polega geniusz tego wypierdka. Mam rację, Joe?

Joe skinął głową, najpierw patrząc na Alberta, potem na Maso.

– To nasze miasto.

– No cóż, już nie. – Albert kolbą pistoletu uderzył Joego w potylicę.

# ROZDZIAŁ 25

## PRZEWAGA

Joe obudził się w czerni.

Nic nie widział i nie mógł mówić. Bał się, że ktoś się posunął do tego, żeby zaszyć mu usta, ale po chwili doszedł do wniosku, że to coś, co uciska mu nos u nasady, może być taśmą klejącą. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej zrozumiała wydawała mu się ta kleistość wokół ust, jakby ktoś mu oblepił skórę gumą do żucia.

Ale oczu mu nie zaklejono. Z nieprzeniknionej ciemności zaczęły się wyłaniać zarysy kształtów, coraz lepiej widocznych przez gęsty całun, wełniany czy jutowy.

To kaptur, powiedziało mu to coś, co znajdowało się w jego piersi. Zarzucili ci kaptur na głowę.

Ręce miał skute za plecami. Z pewnością nie krępował ich sznur, o nie, tylko pierwszorzędny metal. Joe miał wrażenie, że nogi też mu związali, za to niezbyt mocno, sądząc po tym, że mógł je przesuwac – pewnie o jakieś dwa centymetry, zanim napotkał opór.

Leżał na prawym boku, z twarzą przyciśniętą do ciepłego drewna. Czuł zapach odpływu. Zapach ryb i rybiej krwi. Uświadomił sobie, że od jakiegoś czasu słyszy warkot silnika, którego wcześniej nie rozpoznał. Spędził na łodziach dość czasu, żeby wiedzieć, co je napędza. A potem drugie wrażenie stęzało w nim i nabrało sensu – chłupotanie fal o burty, unoszenie się i opadanie drewna, na którym leżał. Nie mógł mieć pewności, ale nie słyszał innych silników, choć starał się rozróżnić otaczające go rozmaite dźwięki. Słyszał męskie głosy, ktoś chodził po pokładzie, kroki zbliżały się i oddalały, a po chwili wychwycił ostre zaciągnięcie się papierosem i wydmuchnięcie dymu. Ale żadnych innych silników, a łódź nie płynęła wyjątkowo szybko. Przynajmniej tego nie czuł. Co dawało mu podstawy do przypuszczenia, że nikt ich nie ściga.

– Niech ktoś idzie po Alberta. Obudził się.

Podnieśli go – jedna ręka chwyciła go za włosy przez kaptur, dwie inne złapały go pod pachy. Poczuł pod sobą twarde drewniane siedzenie i twarde drewniane deski pod plecami. Ręce przesunęły się po jego nadgarstkach i rozpięto mu kajdanki. Ledwie zdążyły się otworzyć, kiedy ktoś złapał go za dłonie i skuł je za oparciem krzesła. Potem owinięto

mu sznurem ramiona i pierś, tak mocno, że niemal nie mógł oddychać. Następnie ktoś – może ten sam ktoś, może inny – przywiązał mu nogi do krzesła tak mocno, że ruch nie wchodził w grę.

Przechylili krzesło do tyłu, a on krzyknął, choć taśma zaklejała mu usta, krzyknął, aż sam siebie ogłuszył, bo chyba właśnie wyrzucali go przez burtę łodzi. Kaptur zasłaniał mu oczy, ale i tak je zamknął; czuł, jak oddech ulatuje mu przez nozdrza, desperacki i gwałtowny. Jeśli oddech może brzmieć błagalnie, to właśnie tak, jak ten.

Krzesło przestało się przechylać, gdy napotkało na ścianę. Joe usiadł, odchylony pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Podejrzewał, że jego stopy i przednie nogi krzesła znajdują się jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu centymetrów nad podkładem.

Ktoś zdjął mu buty. Potem skarpetki. Potem kaptur.

Joe zamrugał gwałtownie, porażony nagłym powrotem światła. I nie było jakiego światła – blasku Florydy, niewypowiedzianie silnego, choć przesiewało się przez kłęby szybko sunących sinych chmur. Nie widział słońca, ale światło i tak odbijało się od nikłowanego morza. Gdzieś w tej szarości istniała światłość, w tych chmurach, w tym morzu, nie na tyle silna, żeby ją zauważyć, ale dość, by poczuć jej oddziaływanie.

Kiedy znowu odzyskał wzrok, pierwszym widokiem, jaki mu się ukazał, był zegarek jego ojca. Kołysał się przed jego oczami. Potem na drugim planie wyostrzyła się twarz Alberta, który demonstracyjnie otworzył kieszeń swojej taniej kamizelki i wrzucił do niej zegarek.

– Osobiście zadowolalem się elginem – powiedział i pochylił się, z rękami na kolanach. Uśmiechnął się blado do Joego. Za jego plecami dwaj mężczyźni ciągnęli ku nim coś ciężkiego. Jakiś czarny metalowy przedmiot. Ze srebrnymi uchwyty. Zbliżyli się do nich. White usunął się na bok z teatralnym ukłonem, a oni wsunęli metalowy przedmiot pod bosc stopy Joego.

Był to cebrzyk. Taki, jakie Joe widywał na letnich koktajlach. Gospodarze trzymali w nich lód, żeby chłodzić butelki białego wina i dobrego piwa. Ale teraz nie było w nim lodu. Ani wina. Ani dobrego piwa.

Tylko cement.

Joe szarpnął się w więzach, ale tak samo dobrze mógłby się szarpać, gdyby zwałił się na niego ceglany dom.

Albert stanął za nim, uderzył oparcie krzesła, które stanęło czterema nogami na pokładzie, a stopy Joego zanurzyły się w cemencie.

White przyglądał się jego szamotaninie – czy jej próbom – z obojętną ciekawością naukowca. Joe mógł poruszać tylko głową. Gdy tylko jego stopy znalazły się w cebrzyku, już miały się z niego nie uwolnić. Nogi miał mocno związane, od kostek po kolana. Nie

mógł ich przesunąć ani o włos. Sądząc po konsystencji, cement został rozmieszany nieco wcześniej. Nie przypominał zupy. Stopy Joego zanurzyły się w niego jak w porowatej gąbce.

Albert usiadł na pokładzie przed Joem i przyglądał się jego oczom, gdy cement zaczął zastygać. Gąbka pod podszewami zmieniała się w coś solidniejszego; to uczucie zaczęło pełznąć wokół kostek.

– Twardnieje przez jakiś czas – wyjaśnił White. – Dłużej, niż się wydaje.

Joe zorientował się w okolicy, widząc małą wysepkę barierową po lewej stronie, ogromnie podobną do Egmont Key. Poza tym otaczały ich tylko niebo i woda.

Ilario Nobile przyniósł Albertowi płócienny leżak. Unikał spojrzenia Joego. White wstał z podkładu. Ustawił leżak tak, żeby nie raził go odbity od morza blask. Pochylił się i złożył dłonie między kolanami. Znajdowali się na holowniku. Joe z krzesłem opierał się o tylną ścianę sterówki, twarzą do rufy. Musiał przyznać, że łódź została wybrana idealnie; holowniki, choć na to nie wyglądały, były szybkie i zwrotne jak cholera.

Albert przez jakiś czas bawił się zegarkiem Thomasa Coughlina, jak chłopiec puszcający jojo. Podrzucał go w powietrze i szarpnięciem ściągał go w dół, w swoją dłoń.

– Spóźnia się – powiedział. – Wiesz o tym?

Joe wątpił, żeby mógł odpowiedzieć, nawet gdyby nie miał zaklejonych ust.

– Wielki, drogi sikor, a nawet nie chodzi dobrze. – Albert wzruszył ramionami. – Można mieć wszystkie pieniądze tego świata, mam rację, Joe? Można mieć wszystkie pieniądze tego świata, a niektóre sprawy po prostu będą się toczyć swoimi torami. – Spojrzał na szare niebo i szare morze. – W tym wyścigu nie można zająć drugiego miejsca. Wszyscy wiemy, o jaką stawkę toczy się gra. Jak spieprzysz, to umierasz. Zaufasz niewłaściwej osobie... Obstawisz niewłaściwego konia... – Strzelił palcami.

– Gasimy światło. Masz żonę? Dzieci? A to pech. Planowałeś w lecie wycieczkę do starej wesołej Anglii? Plany się zmieniły. Myślałeś, że jutro będziesz oddychać? Różąc się, jeść, brać kąpiel? Nie będziesz. – Pochylił się i dźgnął Joego w pierś.

– Będziesz tkwić na dnie Zatoki Meksykańskiej. A świat się dla ciebie zamknie. Cholera, jak jakieś dwie rybki wpłyną ci do nosa, a kilka innych zacznie ci skubać oczy, nie będziesz miał nic przeciwko temu. Przeniesiesz się do nieba. Albo do piekła. Albo nigdzie. A wiesz, gdzie cię nie będzie, Joe? – Uniósł ręce ku chmurom. – Tutaj. Więc dobrze się przyjrzyj po raz ostatni. Odetchnij głęboko. Napompuj płuca tlenem. – Znowu schował zegarek do kamizelki, pochylił się, ujął w dłonie twarz Joego i pocałował go w czubek głowy. – Bo teraz umrzesz.

Cement stwardniał. Ścisnął Joemu palce, pięty, kostki. Ścisnął tak mocno, że

pewnie połamał mu niektóre kości. Może wszystkie.

Joe spojrzął w oczy Alberta, a potem na swoją lewą wewnętrzną kieszeń.

– Postawcie go.

– Nie – usiłował powiedzieć Joe. – Zajrzyj do mojej kieszeni.

– Mmm! Mmm! Mmm! – przedrzeźnił go White, wytrzeszczając oczy. – Coughlin, okaż trochę klasy. Nie upokarzaj się.

Mężczyźni przecięli linę, oplątującą pierś Joego. Gino Valocco podszedł z piłą i odpiłował zanurzone w cemencie przednie nogi krzesła.

– Albert – wykrztusił Joe przez taśmę. – Spójrz do kieszeni. Ta kieszeń. Ta kieszeń. Ta.

Za każdym „ta” szarpnięciem głowy i wzrokiem wskazywał kieszeń.

Albert roześmiał się i dalej go przedrzeźniał. Niektórzy mężczyźni poszli w jego ślady. Fausto Scarfone posunął się do udawania małpy. Pohukiwał „u, u, u!” i drapał się pod pachami. A Joe raz po raz wskazywał głową w lewo.

Lewa noga krzesła oddzieliła się od siedzenia. Gino zaczął pracować nad prawą.

– To dobre kajdanki – powiedział Alberto do Ilario Nobile. – Zdejmij mu je. Nigdzie nam nie ucieknie.

Joe widział, że White się zaciekawiał. Chciał zajrzeć do jego kieszeni, ale nie mógł tego zrobić, bo wtedy wyglądałoby, że spełnia życzenia swojej ofiary.

Ilario zdjął kajdanki i rzucił je pod nogi Alberta, bo Albert, jak widać, nie zasłużył jeszcze na tyle szacunku, żeby dostać je do ręki.

Prawa noga krzesła pękła. Mężczyźni wysunęli krzesło spod Joego, który stanął w kuble z cementem.

– Możesz zrobić tylko jeden ruch – oznajmił Albert. – Albo zerwiesz taśmę z ust, albo pokażesz mi, za co chcesz kupić swoje żałosne, obesrane życie. Albo jedno, albo drugie.

Joe bez wahania sięgnął do kieszeni. Wyjął zdjęcie i rzucił je do stóp Alberta.

Albert podniósł fotografię. W tej samej chwili nad jego lewym ramieniem, tuż za Egmont Key, pojawiła się kropeczka. Albert spojrzął na zdjęcie, unosząc brew z tym swoim przemądrzałym uśmiechem i nie dostrzegł na nim nic nadzwyczajnego. Zerknął w lewo, powoli przesunął wzrokiem w prawo i raptem jego głowa znieruchomiała.

Kropka zmieniła się w ciemny trójkąt, przesuwany się szybko po szklistym szarym morzu – o wiele szybciej niż holownik, choć także był szybki.

Albert spojrział na Joego. Było to gwałtowne, wściekłe spojrzenie. I ta wściekłość nie wynikała z faktu, że Joe poznał jego tajemnicę. Albert był wściekły, bo też nic o tym nie wiedział, jak Joe.

On także przez cały ten czas sądził, że Emma nie żyje.

Chryste, Albercie, chciał powiedzieć Joe, pod tym względem obaj jesteście jej synami.

Wiedział, że choć usta zakrywa mu piętnaście centymetrów taśmy izolacyjnej, Albert widzi jego uśmiech.

Ciemny trójkąt zmienił się w całkiem wyraźną łódź. Klasyczną motorówkę, zmodyfikowaną tak, żeby mogła pomieścić na rufie dodatkowych pasażerów czy butelki. Osiągała zaledwie dwie trzecie swojej prędkości, a jednak i tak potrafiła prześcignąć wszystko, co porusza się na wodzie. Kilku mężczyzn na pokładzie wskazało ją, trącając się nerwowo.

Albert zdarł taśmę z ust Joego.

Dobiegł ich warkot motoru. Bzyczenie, jakby z oddali nadciągał rój os.

Albert przysunął zdjęcie pod nos Joego.

– Ona nie żyje.

– Wygląda tutaj na martwą?

– Gdzie ona jest? – Głos Alberta załamał się tak, że kilku mężczyzn spojrzało na niego.

– Na tym głównianym zdjęciu, Albercie.

– Powiedz, gdzie zostało zrobione.

– Jasne. A potem na pewno nic mi się nie stanie. Albert uderzył go w uszy pięściami i niebo zawirowało. Gino Valocco krzyknął coś po włosku. Wskazał sterburtę. Na morzu pojawiła się druga łódź, także zmodyfikowana motorówka, z czterema pasażerami. Wyłoniła się zza hałdy gruzu jakieś czterysta metrów dalej.

– Gdzie ona jest?

Joe słyszał w uszach dzwonienie, jakby symfonię na cymbały. Parę razy potrząsnął głową.

– Bardzo chciałbym ci powiedzieć – oznajmił – ale także bardzo chciałbym tu nie utonąć.

Albert wskazał najpierw jedną łódź, potem drugą.

– Oni nas nie zatrzymają. Odbiło ci, debilu? Gdzie ona jest?

– Hm, niech się zastanowię...

– Gdzie?!

– Na zdjęciu.

– To stara fotografia. Wziąłeś starą...

– Jasne, też tak początkowo myślałem. Ale spójrz na tego gnojka we fraku. Tego wysokiego, po prawej, opartego o fortepian. Spójrz na gazetę. Tę przy jego łokciu. Spójrz na ten, kurwa, tytuł.

## NIEUDANY ZAMACH W MIAMI NA PREZYDENTA

### ELEKTA ROOSEVELTA

– To się zdarzyło w zeszłym miesiącu, Albercie.

Obie łodzie znajdowały się o jakieś trzysta pięćdziesiąt metrów od nich.

Albert spojrział na nie, potem na ludzi Maso, potem na Joego. Odetchnął głęboko przez wydęte wargi.

– Myślisz, że oni cię uratują? Jesteśmy od nich dwa razy więksi i mamy przewagę. Mógłbyś wysłać i sześć łodzi, a my i tak każdą rozwalimy na drzazgi. – Odwrócił się do ludzi. – Zabić ich.

Mężczyźni stanęli wzdłuż burt. Uklękli. Joe naliczył ich równy tuzin. Pięciu na sterburcie, pięciu na bakburcie, Ilario i Fausto poszli po coś do kabiny. Większość mężczyzn obecnych na pokładzie miała przy sobie pistolety maszynowe, paru rewolwery i pistolety, ale żaden nie miał karabinów potrzebnych do strzelania do oddalonych celów.

Ilario i Fausto sprawili, że problem przestał istnieć. Przywlekli z kabiny skrzynię. Joe dopiero teraz zauważył brązowy trójnóg, przyśrubowany do pokładu przy burcie i stojącą obok skrzynkę z narzędziami. Potem uświadomił sobie, że to właściwie nie trójnóg, tylko stojak. Na karabin. Cholernie duży karabin. Ilario sięgnął do skrzyni i wyjął z niej dwa pasy z amunicją kaliber 30-06. Położył je obok trójnoga. Następnie wraz z Fausto wydzwignęli ze skrzyni dziesięciolufową kartaczoownicę gatlinga. Osadzili ją na stojaku i zaczęli umocowywać.

Zbliżające się motorówki stały się głośniejsze. Znajdowały się jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów od nich, a to znaczyło, że musiałyby przebyć jeszcze jakieś sto metrów, zanim znajdą się w polu strzału czegokolwiek oprócz gatlinga. Ale gdy ten skurwysyn raz stanie na pokładzie, będzie wystrzeliwał dziewięćset pocisków na minutę. Jedna dobrze wymierzona seria i z każdej załogi zostanie tylko mielonka dla rekinów.

– Powiedz, gdzie ona jest, to załatwię to szybko – rzucił Albert. – Jeden strzał. Nic nie poczujesz. Jeśli mnie zmusisz, żebym to z ciebie wydusił, będę cię rozdzierał po kawałku, aż mi powiesz. Ułożę te kawałki na pokładzie, aż sterta się rozsypie.

Mężczyźni krzyczeli do siebie, zmieniali pozycje, bo motorówki zaczęły się poruszać chaotycznie; ta od strony bakburty płynęła, kreśląc serpentyny, ta od sterburty skakała w lewo i prawo, w lewo i prawo, z piskliwie zawodzącymi silnikami.

– Powiedz – powtórzył Albert.

Joe pokręcił głową.

– Proszę – powiedział Albert tak cicho, że nie usłyszał go nikt oprócz Joego. A i on ledwie rozróżniał słowa, zagłuszane przez skowyt silników i szcęk składanego gatlinga. – Kocham ją.

– Ja też ją kochałem.

– Nie. Ja ją kocham.

Mężczyźni zamontowali gatlinga na stojaku. Ilario założył pasy z nabojami w zasobniku i zdmuchnął kurz, który mógł osiąść w zamku.

Albert pochylił się do Joego. Rozejrzał się.

– Nie chcę tego. Kto by chciał czegoś takiego? Ale chcę się poczuć jak wtedy, kiedy ją rozśmieszałem, albo kiedy rzucała popielniczką w moją głowę. Nawet nie chodzi mi o dymanie. Chcę tylko patrzeć, jak ona pije kawę, ubrana w hotelowy szlafrok. Podobno ty to masz. Z tą czarną.

– Tak. Mam.

– Właściwie kim ona jest? Murzynką czy Hiszpanką?

– Tym i tym.

– I to ci nie przeszkadza?

– Albercie – powiedział Joe – dlaczego miałyby mi to przeszkadzać?

Ilario Nobile, weteran wojny hiszpańsko-amerykańskiej, stanął przy korbie gatlinga, Fausto usiadł za karabinem, z pierwszym pasem z nabojami przykrywającym mu kolana jak pled babuni.

White wyjął długolufową trzydziestkęósemkę i przyłożył ją do czoła Joego.

– Powiedz.

Czwarty silnik usłyszeli, kiedy było już za późno.

Joe spojrział głęboko w oczy Alberta, głębiej niż kiedykolwiek, i zobaczył w nich kogoś tak samo srającego po nogach ze strachu, jak wszyscy inni.

– Nie.

Samolot Farruco Diaza wyfrunął z zachodnich chmur. Leciał wysoko, ale pikował szybko. Dion stał wyprostowany za tylnym siedzeniem, z karabinem maszynowym zamontowanym na stojaku. Po miesiącach wykrecania Joemu jaj Farruco Diaz postawił na swoim i doprowadził do zakupu broni. Dion miał na oczach wielkie gogle i wyglądał, jakby się śmiał.

Jego pierwszym celem był gatling.

Ilario odwrócił się w lewo i kule Diona oderwały mu ucho, przeorały szyję jak kosa. Rykoszety odbiły się od gatlinga, stojaka, knag i trafiły Fausto Scarfone. Ręce Fausto zatańczyły w powietrzu nad głową, a jego ciało runęło, bryzgając na wszystkie strony czerwieni.

Pokład też bryzgał – drzazgami, odpryskami metalu i iskrami. Ludzie kucali, uskakiwali i wili się konwulsyjnie. Krzyczeli, gorączkowo szukali broni. Dwaj runęli do wody.

Samolot Farruco Diaza wzbił się w górę. Strzelcy ochłonęli. Wstali i odpowiedzieli ogniem. Im bardziej pionowo wlatywał samolot, tym bardziej pionowo strzelali.

Niektóre z kul wróciły.

Jedna trafiła Alberta w ramię. Inny mężczyzna chwycił się za kark i upadł.

Mniejsze łodzie zbliżyły się na tyle, że można było do nich strzelać, ale wszyscy strzelcy Alberta odwrócili się od nich i mierzyli w samolot Farruco. Strzelcy Joego nie trafiali najcelniej – znajdowali się na łodziach, które dziko się kołysały – ale nie musieli. Wystarczyło, że rozorywali biodra, kolana i brzuchy. Jedna trzecia ludzi Alberta leżała już na pokładzie, wydając dźwięki typowe dla mężczyzn trafionych w biodra, kolana i brzuchy.

Samolot zawrócił, by zaatakować drugi raz. Mężczyźni nadpływający w łodziach strzelali, a Dion obsługiwał karabin maszynowy, jakby był strażakiem i miał do czynienia z sikawką. Albert wyprostował się, wymierzył trzydziestkędwójkę w Joego, a jednocześnie na rufie rozszalało się tornado kurzu, drzazg i ludzi usiłujących uciec przed gradem ołowiu. Joe stracił Alberta z oczu.

Odlamek kuli uderzył go w ramię, a kawałek drewna wielkości kapsla – w głowę. Wyrwał mu kawałek lewej brwi i drasnął czubek ucha, po czym poleciał w stronę zatoki. Koło cebrzyka upadł colt kaliber czterdzieści pięć; Joe podniósł go, wyjął magazynek, by sprawdzić, że znajduje się w nim co najmniej sześć pocisków, po czym znowu włożył go z trzaskiem na miejsce.

Carmine Parone podszedł do niego; krew, spływająca mu po lewej stronie sprawiała, że jego stan wyglądał na o wiele gorszy niż w rzeczywistości. Carmine podał

Joemu ręcznik, a potem wraz z nowym, Peterem Wallace, zaczął pracować z siekierą nad cementem. Joe sądził, że masa już stwardniała, ale tak nie było; po piętnastu czy szesnastu ciosach siekier i łopaty, które Carmine znalazł w kambuzie, nogi Joego odzyskały zdolność ruchu.

Farruco Diaz wylądował na wodzie i wyłączył silnik. Samolot podpłynął do holownika. Dion wszedł na pokład, a jego ludzie zajęli się dobijaniem rannych.

– Jak tam? – spytał Dion Joego. Ricardo Cormarto namierzył młodzieńca, który czołgał się do burty; jego nogi były w strasznym stanie, ale reszta ciała wydawała się gotowa na nocną zabawę: beżowy garnitur, kremowa koszula, czerwony jak mango krawat, zarzucony na ramię, jakby chłopak przygotowywał się do zjedzenia homarowej zupy. Cormarto posłał serię w jego kręgosłup, a młody mężczyzna westchnął, jakby z oburzeniem, więc Cormarto strzelił mu jeszcze w łeb.

Joe spojrzał na stertę ciał na pokładzie i rzucił do Wallace'a:

– Jeśli on jeszcze żyje, daj go mnie.

– Tak jest. Tak jest – powiedział Wallace.

Joe usiłował poruszyć nogami w kostkach, ale za bardzo bolało. Położył rękę na drabince pod sterówką i zwrócił się do Diona:

– Jak brzmiało pytanie?

– Jak tam?

– Sam wiesz.

Facet przy burcie błagał po włosku o życie, ale Carmine Parone strzelił mu w pierś i wyrzucił jego ciało do wody.

Fasani przewrócił Gino Valocco na plecy. Gino zasłaniał twarz rękami; z boku lała mu się krew. Joe przypomniał sobie rozmowę o dzieciach, że nigdy nie przychodzi na nie odpowiednia pora.

Gino powiedział to, co wszyscy. Powiedział „Czekaj”. Powiedział „Nie...”

Ale Fasani strzelił mu w serce i wykopał do zatoki.

Joe odwrócił wzrok i napotkał oczy Diona, przyglądającego się mu spokojnie i z namysłem.

– Wybiliby nas do nogi. Wystrzelali jak kaczki. Wiesz o tym.

Joe przymknął oczy, przyznając mu rację.

– A dlaczego?

Joe nie odpowiedział.

– O, nie. Dlaczego?

Joe nadal nie odpowiadał.

– Chciwość – oznajmił Dion. – Nie taka w granicach rozsądku, nie taka normalna, kurwa. Nieskończona chciwość. Bo im zawsze mało. – Dion, fioletowy z wściekłości, stanął tak blisko, że ich nosy się zetknęły. – Zawsze im, skurwielom, mało.

Dion odchylił się, a Joe wpatrywał się w niego długo. W ciszy usłyszał, jak ktoś mówi, że wszyscy już dobieci.

– Zawsze nam mało – powiedział Joe. – Tobie, mnie, Pescatore. Za dobry ma smak.

– Co?

– Noc. Za dobrze smakuje. Żyjąc za dnia, grasz według ich reguł. A my żyjemy nocą i mamy własne zasady. Ale, Dion... tak naprawdę nie mamy zasad.

Dion zastanowił się.

– Niezbyt wiele, rzeczywiście.

– To mnie zaczyna męczyć.

– Wiem. Widzę.

Fasani i Wallace przywlekli Alberta White'a i rzucili go przed Joem.

Albert nie miał potylicy, a tam, gdzie znajdowało się serce, widniał czarny skrzep krwi. Joe przykucnął przy zwłokach i wyjął z kieszeni kamizelki zegarek ojca. Obejrzał go szybko, szukając uszkodzeń, nie znalazł ich, schował zegarek. Usiadł na pokładzie.

– Miałem mu spojrzeć w oczy.

– Że co? – spytał Dion.

– Miałem mu spojrzeć w oczy i powiedzieć: „Myślałeś, że mnie załatwiłeś, a to ja załatwiłem ciebie, skurwielu”.

– Miałeś tę szansę cztery lata temu. – Dion wyciągnął do niego rękę.

– Chciałem jeszcze raz. – Joe przyjął ją.

– Cholera – powiedział Dion, podnosząc go z pokładu. – Nikt nie dostaje takiej szansy dwa razy.

## ROZDZIAŁ 26

### POWRÓT W NOC

Tunel prowadzący do hotelu Romero zaczynał się w pirsie 12. Ciągnął się osiem przecznic pod Ybor City, a jego pokonanie zajmowało kwadrans, o ile nie zalał go przyływ lub nie wyroiły się w nim szczury. Na szczęście dla Joego i jego chłopaków był środek dnia, a poziom wody, gdy zjawili się w przystani, nie sięgał wysoko. Przeszli korytarz w dziesięć minut. Byli poparzeni słońcem, odwodnieni, Joe ranny, ale – jak wyjaśnił wszystkim podczas powrotu na stały ląd z Egmont Key – jeśli Maso miał choć w połowie tyle rozumu, o ile go podejrzewał, to z góry ustalił, jak długo będzie czekać na wiadomość od Alberta. Gdyby miał powody podejrzewać, że wszystko poszło w diabły, od razu by prysnął.

Tunel kończył się drabiną prowadzącą do drzwi kotłowni. Za nią znajdowała się kuchnia, a za kuchnią gabinet kierownika i recepcja. Pokonując te trzy ostatnie etapy drogi, mogli się zatrzymać na progu i nasłuchiwać, czy za drzwiami ktoś na nich nie czeka, ale odcinek od drabiny do kotłowni stanowił cholernie wielki znak zapytania. Stalowe drzwi były zawsze zamknięte na klucz, bowiem w czasach normalnej działalności otwierano je tylko na hasło. Policja nigdy nie zrobiła obławy na hotel Romero, ponieważ Esteban i Joe płacili właścicielom za kupienie pobłażliwości właściwych osób – i za niezwracanie na siebie uwagi. Punkt ten nie pełnił funkcji nielegalnego lokalu; tutaj zajmowano się tylko pędzeniem i rozwożeniem alkoholu.

Po dyskusjach, jak przedostać się przez stalowe drzwi z trzema zasuwami i bez żadnych klamek od ich strony postanowili, że najlepszy strzelec – w tym wypadku Carmine Parone – będzie ich krył, stojąc na szczycie drabiny, a Dion rozwiąże problem zamka za pomocą karabinu.

– Jeśli ktoś stoi po drugiej stronie tych drzwi, to po nas – powiedział Joe.

– Nie – odparł Dion. – Będzie po mnie i Carmine. Nawet rykoszety mogą nas zabić. A wy, cioty? Ech... – Uśmiechnął się do Joego. – Strzelaj w dziurę.

Joe i inni zeszli po drabinie i stanęli w tunelu. Usłyszeli, jak Dion mówi do Carmine „Ostatnia szansa”, a potem strzela w zawiasy. Huk był głośny – metal uderzający o osadzony w betonie i metalowej konstrukcji metal. Dion nie zwlekał. Huk nie zdążył przebrzmieć, a on strzelił już po raz drugi i trzeci. Joe pomyślał, że jeśli ktoś został w

hotelu, to już do nich idzie. Cholera, jeśli w hotelu byli tylko ci z dziesiątego piętra, już wiedzieli, gdzie ich szukać.

– Chodźcie, chodźcie! – krzyknął Dion.

Carmine miał pecha. Dion odsunął jego ciało z drogi i posadził pod ścianą, gdy Joe i ludzie wchodzili po drabinie. Kawałek metalu – kto wie skąd – przebił mu oko i dotarł do mózgu. Carmine nadal patrzył na nich nietkniętym okiem, z niezapalonym papierosem wciąż zwisającym z ust.

Wyważyli drzwi i weszli do kotłowni, a przez nią do destylatorni i kuchni. Drzwi między kuchnią i gabinetem dyrektora miały okrągłe okienko, które wychodziło na mały korytarzyk z gumową wykładziną. Drzwi dyrektora stały uchylone, a widoczne przez nie wewnątrz gabinetu świadczyło o niedawnej obecności grupy ludzi – papiery z okruszkami, kubki po kawie, puste butelki żytniówki, kipiące niedopałkami popielniczki.

Dion spojrzał na to i powiedział do Joego:

– Ja tam nie spodziewałem się dożyć starości.

Joe odetchnął i wszedł do gabinetu. Przeszli przez niego i dotarli do recepcji. Na tym etapie wiedzieli już, że hotel jest pusty. Nie pusty jak pułapka, po prostu pusty. Odpowiednim miejscem na zasadzkę była kotłownia. Gdyby ludzie Maso chcieli wciągnąć ich jeszcze głębiej na wypadek, gdyby ktoś za nimi szedł, powinni wybrać kuchnię. Lobby stanowiło już logistyczny koszmar – za wiele kryjówek, za łatwo się po nim rozbiec, w dodatku do ulicy było dziesięć kroków.

Wysłali ludzi na dziesiąte piętro windą i paru schodami, na wypadek gdyby Maso obmyślił jakąś pułapkę, której Joe po prostu nie potrafił przewidzieć. Wrócili i donieśli, że na dziesiątym jest pusto, choć w łóżkach w numerze 1009 i 1010 znaleźli ciała Sala i Lewusa.

– Przynieście ich – rozkazał Joe.

– Tak.

– I niech ktoś sprowadzi też Carmine.

Dion zapalił cygaro.

– Nie do wiary. Strzeliłem mu w twarz.

– Nie strzeliłeś – stwierdził Joe. – To rykoszet.

– Detal.

Joe zapalił papierosa i pozwolił Pozzetcie, który w Panamie był wojskowym lekarzem, jeszcze raz obejrzeć jego ramię.

– Szefie, to trzeba leczyć. Wziąć proszki.

– Mamy proszki – zauważył Dion.

– Te dobre proszki – odparł Pozzetta.

– Idź na zaplecze. Przynieś to, czego potrzebuję albo znajdź lekarza – zdecydował Joe.

– Tak jest – odparł Pozzetta.

Wezwali pół tuzina opłacanych przez nich policjantów. Jeden przyjechał ambulansiem z kostnicy i Joe pożegnał się z Salem, Lewusem i Carminem Parone, który zaledwie półtorej godziny wcześniej wykopał go z cementu. Ale to śmierć Sala najbardziej go ruszyła; dopiero po czasie dotarło do niego pełne znaczenie tych wspólnych pięciu lat. Joe zapraszał Sala na obiad wiele razy, czasem przynosił mu kanapki do samochodu. Powierzył mu swoje życie, życie Gracieli.

Dion położył mu rękę na plecach.

– Trudna sprawa.

– Przejechaliśmy się po nim.

– Co?

– Tego ranka w moim gabinecie. Ty i ja. Nieźle się po nim przejechaliśmy.

– No. – Dion pokiwał głową i przeżegnał się. – Właściwie dlaczego?

– Nawet nie wiem.

– Musiał być jakiś powód.

– Chciałbym, żeby to miało jakieś znaczenie. – Joe cofnął się, żeby jego ludzie mogli załadować ciała do karetki.

– Ma znaczenie – powiedział Dion. – Takie, że powinniśmy dopaść gnojów, którzy go zabili.

Lekarz czekał na nich w recepcji. Oczyszczył ranę Joego i zaszył ją, a Joe odebrał raporty od policjantów.

– Czy ludzie, którzy dla niego dzisiaj pracowali, są stale na jego usługach? – spytał sierżanta Bicka z trzeciego dystryktu.

– Nie.

– Wiedzieli, że będą ścigać moich ludzi?

Sierżant Bick spuścił wzrok.

– Muszę tak przyjąć.

– Ja też – zgodził się Joe.

– Nie możemy zabijać glin – odezwał się Dion.

Joe spojrzął w oczy Bicka i spytał:

– Dlaczego?

– To źle widziane – wyjaśnił Dion.

– Wie pan, czy w tej chwili jacyś policjanci towarzyszą Pescatore?

– Wszyscy, którzy brali udział w strzelaninie, piszą teraz raporty. Burmistrz nie jest zadowolony. Izba handlu się piekli.

– Burmistrz? Izba handlu? – Joe strącił Bickowi czapkę. – Ja się piekę! Pieprzyć innych! Ja jestem niezadowolony!

W pomieszczeniu zapadła dziwna cisza. Ludzie nie wiedzieli, gdzie podziać oczy. Nikt, nawet Dion, nie słyszał, żeby Joe kiedykolwiek podniósł głos.

Joe znowu się odezwał do Bicka, już normalnym tonem.

– Pescatore nie skorzysta z samolotu. Nie lubi też łodzi. To znaczy, że ma tylko dwie drogi ucieczki. Albo jedzie na północ w konwoju samochodów, albo siedzi w pociągu. Więc, sierżancie, proszę podnieść z podłogi swoją zasraną czapkę i go znaleźć.

Parę minut później Joe zadzwonił do Gracieli z gabinetu kierownika.

– Jak się czujesz?

– Twoje dziecko to brutal – odparła.

– Moje dziecko, tak?

– Kopie, kopie, kopie. Bez przerwy.

– Ale pomyśl, że zostały już tylko cztery miesiące.

– Aleś ty niesamowicie zabawny. Następnym razem to ty zajdź w ciążę. Chciałabym, żebyś też poczuł żołądek w przelyku. I musiał chodzić sikać częściej, niż mrugasz.

– Spróbujemy. – Joe skończył papierosa i zapalił następnego.

– Słyszałam o strzelaninie na Eight Avenue – powiedziała znacznie cichszym i o wiele twardszym głosem.

– Tak.

– Już po wszystkim?

– Nie.

– To wojna?

- Tak. Wojna.
- Kiedy ją skończysz?
- Nie wiem.
- Czy kiedyś ją skończysz?
- Nie wiem.

Przez minutę milczeli. Joe słyszał, że Graciela pali po swojej stronie linii, on palił po swojej. Spojrzał na zegarek ojca, który spóźniał się już o pół godziny, choć na łodzi został nakręcony.

- Nie dostrzegasz tego – odezwała się.
- Czego?
- Że prowadzisz wojnę, odkąd się poznaliśmy. I po co?
- Żeby zarobić na życie.
- Czy umierając, zarobisz na życie?
- Nie umarłem.

– Pod koniec tego dnia możesz już nie żyć. Możesz. Nawet jeśli wygrasz dzisiejszą walkę i następną, i jeszcze jedną, w tym, co robisz jest tyle agresji, że ona musi, po prostu musi do ciebie wrócić. Odnajdzie cię.

To samo powiedział mu ojciec.

Joe wydmuchnął dym ku sufitowi i przyjrzał się rozpraszającym się kłębowi. Nie mógł stwierdzić, że w słowach Gracieli nie ma prawdy, tak jak nie mógł zarzucić kłamstwa ojcu. Ale nie miał czasu na takie rozważania.

- Nie wiem, co powiedzieć – oznajmił.
- Ani ja.
- Hej...
- Co?
- Skąd wiesz, że to chłopiec?
- Bo nieustannie kopie. Jak ty.
- Ach...
- Josephie... – Wciągnęła dym. – Nie każ mi go wychowywać samotnie.

Tego popołudnia z Tamy miał wyjechać tylko jeden pociąg – Orange Blossom

Special. Dwa standardowe pociągi Seaboard już wyruszyły, rozkład jazdy nie przewidywał żadnego aż do następnego dnia. Orange Blossom Special był luksusowym pociągiem pasażerskim, kursującym jedynie w miesiące zimowe. Na nieszczęście dla Maso, Szpadla i ich ludzi wszystkie miejsca były już zajęte.

Podczas gdy oni pracowali nad przekupieniem konduktora, pojawili się policjanci. I to nie ci na ich żołądź.

Maso i Szpadel siedzieli na tyle auburna sedana na trawniku tuż przed dworcem, z którego mieli świetny widok na budynek z czerwonej cegły, z białymi jak lukier obramowaniami drzwi i okien, a także na wysnuwającą się z niego piątkę torów, szyn z rozprażonej walcowanej stali, rozprzestrzeniających się jak żyły przez nieskończone równiny na północy, wschodzie i zachodzie.

– Powinniśmy zainwestować w drogi żelazne – stwierdził Maso. – Przed latami dwudziestymi, kiedy jeszcze mieliśmy szansę.

– Mamy ciężarówki – zauważył Szpadel. – To lepsze.

– Ciężarówką stąd nie wyjedziesz.

– To weźmy samochody.

– Nie sądzisz, że banda makaroniarzy w czarnych kapeluszach, jadących ekstra furami przez gaje pomarańczowe będzie się rzucać w oczy?

– Pojedziemy nocą.

Maso pokręcił głową.

– Blokady drogowe. Do tego momentu ten irlandzki cwel porozmieszczał je już na każdej szosie stąd do Jacksonville.

– No, tato, pociągiem stąd nie wyjedziemy.

– Owszem, wyjedziemy.

– Mogę w parę chwil zarezerwować nam miejsce w samolocie do Jacksonville...

– Jak chcesz, to się pchaj w te pieprzone latające pułapki, mnie o to nie proś.

– Tato, one są bezpieczne. Bezpieczniejsze niż... niż...

– Pociągi? – podsunął Maso. Jednocześnie usłyszeli powielony echem huk i zobaczyli dym, unoszący się nad polem jakieś dwa kilometry dalej.

– Polowanie na kaczki? – zdziwił się Szpadel.

Maso spojrział na syna i pomyślał: jakie to smutne, że ktoś tak głupi jest najmądrzejszy z trójki swojego rodzeństwa.

– Widziałeś tu jakieś kaczki?

– Więc co to...? – Szpadel zmrużył oczy. Naprawdę nie potrafił się połapać.

– Właśnie wysadził tory – wyjaśnił mu Maso i spojrzął na niego. – Nawiasem mówiąc, tę durnotę masz po matce. Ta kobieta przegrałaby w warcaby z miską zupy.

Maso i jego ludzie czekali przy automacie telefonicznym na Platt, podczas gdy Anthony Servidone poszedł z walizką pieniędzy do hotelu Tampa Bay. Zadzwoił godzinę później, powiadamiając, że zajęto się pokojami. Nie zauważył policji ani miejscowych gangsterów. Przysłać ochronę.

Przysłali. Choć po zajściu na holowniku niewielu ludzi zostało. Na łodzi mieli dwunastu facetów – trzynastu, jeśli doliczyć tego oślizłego skurwiela Alberta White'a. Znaczący, że teraz mają siedmiu ochroniarzy plus prywatnego goryla Maso, Seppe Carbone. Pochodził z tego samego miasta, w którym wychował się Maso – Alcamo, leżącego na północno-zachodnim wybrzeżu Sycylii, choć Seppe, jako że dużo młodszy, znał miasto w innych czasach. Mimo to był typowym jego dzieckiem – bezlitosnym, nieustraszonym i wiernym do śmierci.

Gdy Anthony Servidone oddzwonił, by potwierdzić, że ochrona sprawdziła piętro i lobby, Seppe wprowadził Maso i Szpadla do hotelu tylnym wejściem. Służbową windą wjechali na siódme piętro.

– Na ile? – spytał Szpadel.

– Do pojutra – wyjaśnił Maso. – Do tego czasu nie będziemy się rzucać w oczy. Nawet ten irlandzki sukinsyn nie może utrzymywać blokady dróg tak długo. Pojedziemy do Miami i stamtąd złapiemy pociąg.

– Chcę dziewczynę – zażyczył sobie Szpadel.

Maso trzepnął go mocno w potylicę.

– Którego słowa w „nie rzucać się w oczy” nie rozumiesz? Dziewczynę? Dziewczynę, kurwa? Może jeszcze niech przyjdzie z koleżankami i chłopakami z miasta, ty głupi pojebie.

Szpadel roztarł głowę.

– Mężczyzna ma swoje potrzeby.

– Jeśli zobaczysz tu mężczyznę, to mi go pokaż – warknął Maso.

Wjechali na siódme piętro. Anthony Servidone powitał ich w drzwiach windy. Podał Maso i Szpadlowi klucze do pokoiów.

– Sprawdziłeś pokój?

Anthony przytaknął.

– Czyste. Wszystkie. Całe piętro.

Maso poznał go w Charlestown, gdzie wszyscy byli wobec niego lojalni, ponieważ nielojalność oznaczała śmierć. Natomiast Seppe przybył z Alcamo z listem od Todo Bassny, miejscowego szefa, i wyróżnił się tyle razy, że Maso przestał już liczyć.

– Seppe – powiedział. – Sprawdź ten pokój jeszcze raz.

– *Subito, capo. Subito.* – Seppe Thompson rozchylił prochowiec, przeszedł między ludźmi zgromadzonymi przed apartamentem Maso i wszedł do środka.

Anthony Servidone podszedł do Maso.

– Widziano ich w Romero.

– Kogo?

– Coughlina, Bartolo, bandę Kubańczyków i sprzyjających im Włochów.

– Coughlina, na pewno?

Anthony przytaknął.

– Bez wątpienia.

Maso na chwilę przymknął oczy.

– Ma choć draśnięcie?

– Tak – potwierdził Anthony szybko, jakby się cieszył, że ma też dobre wieści. – Wielką ranę na głowie i postrzał prawego ramienia.

– No tak – mruknął Maso. – Pewnie musimy poczekać, aż umrze, kurwa, na zakażenie krwi.

– No przecież nie mamy tyle czasu – odezwał się Szpadel.

Maso znowu przymknął oczy.

Szpadel poszedł do swojego pokoju, mając po obu stronach obstawę. Seppe wrócił na korytarz.

– Wszystko w porządku, szefie.

– Chcę, żebyś stanął z Senddone przy drzwiach. Wszyscy inni niech się zachowują jak centurioni na granicy z Hunami. *Capice?*

– *Capice.*

Maso wszedł do pokoju. Zdjął prochowiec i kapelusz. Nalał sobie drinka z czekającej butelki anyżówki. Alkohol znowu stał się legalny. Prawie każdy jego gatunek. A te, które nie były, znowu będą. Ten kraj odzyskał zdrowe zmysły.

Kurwa, szkoda.

– Nalej mi, dobra?

Maso odwrócił się i ujrzał Joego siedzącego na kanapie przy oknie. Na kolanie trzymał savage'a kaliber trzydzieści dwa z tłumikiem na lufie.

Maso jakoś się nie zdziwił. Ani troszkę. Zaciekawilo go tylko jedno.

– Gdzie się ukrywałeś? – Nalał Joemu anyżówki i podał mu szklaneczkę.

– Ukrywałem? – Joe przyjął drinka.

– Kiedy Seppe sprawdzał pokój.

Joe wskazał bronią krzesło, każąc Maso usiąść.

– Nie ukrywałem się. Siedziałem na łóżku, o tam. On wszedł, a ja spytałem, czy chce pracować dla kogoś, kto jutro będzie żył.

– I to wystarczyło?

– Wystarczyło, skoro chciałeś umieścić takiego osła jak Szpadel na stanowisku kierowniczym. Robiliśmy tutaj coś wielkiego. Wielkiego. A ty się wtrąciłeś i spieprzyłeś wszystko w jeden dzień.

– Taka już ludzka natura, prawda?

– Naprawianie tego, co nie jest zepsute?

Maso przytaknął.

– Cholera. Nie musi tak być.

– Nie – powiedział Maso. – Ale zwykle jest.

– Wiesz, ile osób dzisiaj umarło z powodu ciebie i twojej zaszranego chciwości? Chciwości „biednego makaroniarza z Endicott Street”? Jaki tam z ciebie biedny makaroniarz.

– Kiedyś może będziesz miał syna. Wtedy zrozumiesz.

– Naprawdę? A co wtedy zrozumie?

Maso wzruszył ramionami, jakby nazwanie tego czegoś tylko by je skaziło.

– Jak się miewa mój syn?

– W tej chwili? – Joe pokręcił głową. – Już się nie miewa.

Maso wyobraził sobie Szpadla leżącego za ścianą twarzą na podłodze, z kulą w potylicy, w kałuży krwi na dywanie. Zdziwiło go, jak nagły i gwałtowny żal go ogarnął. Czarny, strasznie czarny, pozbawiony nadziei, straszny.

– Zawsze chciałem, żebyś był moim synem – powiedział do Joego i usłyszał swój łamiący się głos. Spuścił wzrok na drinka.

– Zabawne – odparł Joe. – Ja nigdy nie chciałem, żebyś był moim ojcem.

Kula przebiła Maso gardło. Ostatnim, co zobaczył w życiu, była kropla jego krwi, rozpuszczająca się w anyżówce.

Potem wszystko ogarnęła czerń.

Maso upadając, upuścił szklanekę, wylądował na kolanach i uderzył głową w stolik. Znieruchomiał, oparty prawym policzkiem o blat, z pustymi oczami, wpatrującymi się w ścianę po lewej stronie. Joe wstał i spojrzał na tłumik, który kupił dzisiaj za trzy dolce w sklepie żelaznym. Krążyły plotki, że Kongres zamierza podnieść cenę do dwustu dolarów, a potem zupełnie zakazać sprzedaży.

Szkoda.

Joe przestrzelił Maso czubek głowy, tak na wszelki wypadek.

W korytarzu, zgodnie z oczekiwaniami Joego, chłopcy Pescatore dali się rozbroić bez walki. Nie chcieli walczyć za człowieka, który tak nisko cenił sobie ich życie, że powierzył kierownictwo takiemu idiocie jak Szpadel. Joe wyszedł z apartamentu, zamknął za sobą drzwi i spojrzał na wszystkich, którzy zgromadzili się wokół niepewni, co z nimi będzie. Dion wyszedł z pokoju Szpadla i przez chwilę stali w korytarzu, trzynastu mężczyzn i parę pistoletów maszynowych.

– Nie chcę nikogo zabijać – odezwał się Joe. Spojrzał na Anthony’ego Servidone. – Chcesz umrzeć?

– Nie, proszę pana, nie chcę,

– Ktoś chce? – Joe rozejrzał się; kilka osób poważnie pokręciło głowami. – Jeśli chcecie wracać do Bostonu, droga wolna, macie moje błogosławieństwo. Chcecie tutaj zostać, złapać trochę słońca, poznać ładne panie – mamy dla was pracę. W tych czasach nie ma jej za wiele, więc dajcie nam znać, czy to was interesuje.

Nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby jeszcze powiedzieć. Wzruszył ramionami, wsiadł z Dionem do windy i zjechali na parter.

Tydzień później Joe i Dion weszli do biura, na tyłach kancelarii aktuarium na Manhattanie i usiedli naprzeciwko Lucky’ego Luciano.

Teoria Joego, że najbardziej przerażający ludzie są też najbardziej przerażeni, wylądowała w rynsztoku. Luciano nie znał strachu. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że nie zna żadnych uczuć – z wyjątkiem mgnienia czarnego, niewyczerpanego gniewu w najgłębszej głębi martwego morza jego oczu.

Ten człowiek wiedział o przerażeniu tylko jedno: jak je budzić w innych.

Nosił się z nieskazitelną elegancją i byłby przystojny, gdyby jego cera nie

przypominała zbitej młotkiem do mięsa cielęciny. Prawa powieka opadała mu po nieudanym zamachu na niego w 1929 roku, a dłonie miał tak wielkie, że chyba mógłby ścisnąć nimi ludzką czaszkę, aż pękłaby jak pomidor.

– Myślicie, że wyjdziecie stąd żywi? – spytał, gdy zajęli miejsca.

– Tak, proszę pana.

– Więc powiedzcie, dlaczego muszę wymienić moją bostońską grupę kierowniczą.

Powiedzieli, a mówiąc, Joe szukał w tych ciemnych oczach jakiejś oznaki, że Lucky dostrzegł sens w ich argumentacji, bądź że go nie dostrzega, ale tak samo mógłby mówić do marmurowej posadzki – jedyne, co w niej dostrzeżesz przy odpowiednim oświetleniu, to twoje własne odbicie.

Gdy skończyli, Lucky wstał i podszedł do okna, wychodzącego na Sixth Avenue.

– Narobiliście tam mnóstwo hałasu. Co się stało z tą świętobliwą, która umarła? Jej ojciec nie był dowódcą policji?

– Zmusili go do przejścia na emeryturę. Kiedy ostatnio o nim słyszałem, był w jakimś sanatorium. Nie może nam zrobić krzywdy.

– Ale jego córka zrobiła. I ty jej na to pozwoliłeś. Dlatego mówią o tobie, że jesteś miękki. Nie nazywam cię tchórzem. Nie zrobiłem tego. Wszyscy wiedzą, jak bliski byłeś zajęcia się tym kmiotem w 1930 roku i że na tym statku zginęła jego stara gwardia. Ale nie usunąłeś tego bimbrownika w 1931 roku i pozwoliłeś jakiejś damulce – kurwa, Coughlin, kobiecie – zablokować umowę w sprawie kasyna.

– To prawda – przyznał Joe. – Nie mam na to żadnej wymówki.

– Nie masz. – Luciano spojrzał na Diona. – Co byś zrobił z tym bimbrownikiem?

Dion spojrzał niepewnie na Joego.

– Nie patrz na niego. Patrz na mnie i odpowiadaj bez namysłu.

Ale Dion nadal patrzył na Joego, aż ten powiedział:

– Powiedz mu prawdę.

Dion spojrzał na Lucky'ego.

– Skasowałbym go, panie Luciano. Jego synów też. – Strzelił palcami. – Całą rodzinę.

– A świętą damulkę?

– Ona by zniknęła.

– Dlaczego?

– Żeby ludzie mogli zrobić z niej świętą. Mogliby sobie wmówić, że została niepokalanie poczęta do nieba, czy tam co. Dobrze by wiedzieli, że ją porąbaliśmy na kawałki i nakarmiliśmy nią gady, żeby nigdy więcej nam nie podskakiwali, ale i tak organizowaliby spotkania na jej cześć i śpiewali o niej hymny.

– To ciebie Pescatore nazwał donosicielem.

– Tak.

– To mi się jakoś nie zgadzało. – Lucky zwrócił się do Joego. – Dlaczego miałbyś świadomie zaufać donosicielowi, który na dwa lata posłał cię do pierdła?

– Nie zrobiłbym tego – odparł Joe.

Luciano pokiwał głową.

– Tak właśnie uważaliśmy, próbując wybić staremu z głowy myśl o tym, co zamierzał.

– Ale pan się na to zgodził.

– Zgodziliśmy się, o ile nie zechcecie używać naszych furgonetek i związków pracowników w nowym monopolowym interesie.

– Maso mi o tym nie wspomniał.

– Nie?

– Nie. Powiedział tylko, że mam słuchać rozkazów jego syna i muszę zabić przyjaciela.

Luciano długo przewiercał go wzrokiem.

– Dobrze – odezwał się po chwili. – Złóż mi propozycję.

– Proszę go mianować szefem. – Joe wskazał kciukiem Diona.

– Co?! – rzucił Dion.

Luciano uśmiechnął się po raz pierwszy.

– A ty będziesz jego *consigliere*?

– Tak.

– Zaraz, moment – zaprotestował Dion.

Luciano spojrzał na niego i jego uśmiech zgasł.

Dion szybko odczytał swoją przyszłość z listków herbaty.

– Będę zaszczycony.

– Skąd pochodzisz? – spytał Luciano.

– Z miasta Manganaro na Sycylii.

Luciano uniósł brwi.

– Ja jestem z Lercara Friddi.

– Oo... Duże miasto.

Luciano obszedł biurko.

– Trzeba pochodzić z takiej dziury, jak Manganaro, żeby uważać Lercara Friddi za duże miasto.

Dion pokiwał głową.

– Dlatego wyjechaliśmy.

– Kiedy to było? Wstań.

Dion wstał.

– Miałem osiem lat.

– Wróciłeś tam?

– Po co miałbym wracać?

– Żeby sobie przypomnieć, kim jesteś – nie kogo udajesz. Kim jesteś – Lucky objął Diona. – A jesteś szefem. – Wskazał Joego. – A on jest mózgiem. Zjedzmy coś. Znam świetne miejsce parę przecznic stąd. Najlepszy sos w mieście.

Wyszli z gabinetu. W drodze do windy otoczyło ich czterech mężczyzn.

– Joe – powiedział Lucky – chcę ci przedstawić mojego przyjaciela Meyera. Ma świetne pomysły na temat kasyn na Florydzie i Kubie. – Teraz Luciano objął Joego. – Dużo wiesz o Kubie?

## ROZDZIAŁ 27

### PAN GOSPODARZ Z PINAR DEL RIO

Gdy późną wiosną 1935 roku Joe Coughlin spotkał się z Emmą Gould, od czasu napadu na lokal w południowym Bostonie minęło dziewięć lat. Pamiętał, jak spokojna była tamtego ranka, jak niewzruszona i że to nim wstrząsnęło. Wziął wstrząs za zauroczenie, a zauroczenie – za zakochanie.

Mieszkał z Gracielą na Kubie niemal od roku. Początkowo zatrzymali się w domku gościnnym na plantacji kawy Estebana wysoko w górach Las Terrazas, jakieś osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Hawany. Rankami budził ich zapach ziaren kawy i liści kakaowca, a także kapanie skroplonej na liściach mgły. Wieczorami spacerowali u stóp gór, a strzępy gasnącego słońca lśniły na czubkach gęstych drzew.

Pewnego weekendu przyjechały do nich matka i siostra Gracieli i już zostały. Tomas, który w porze ich przyjazdu nawet nie raczkował, zrobił swój pierwszy krok, licząc sobie dziesięć miesięcy. Kobiety rozpuszczały go bezwstydnie i tak tuczyły, że zmienił się w kulkę o pękatych, pomarszczonych udach. Ale gdy nauczył się chodzić, bardzo szybko zaczął biegać. Biegał po polach i wzgórzach, a kobiety biegały za nim; wkrótce z kulki stał się szczupłym chłopcem o jasnych włosach ojca, lecz ciemnych oczach matki i o cerze, która stanowiła kakaowo-śmietankową kombinację ich karnacji.

Joe parę razy wyprawił się do Tamy blaszaną gęsą – Fordem Trimotorem 5-AT, który klekotał na wietrze, podskakiwał i opadał bez ostrzeżenia. Parę razy wysiadł z niego z tak zatkanymi uszami, że nic nie słyszał do końca dnia. Stewardesy dały mu gumę do żucia i watę do zatkania uszu, ale samoloty nadal stanowiły prymitywny środek transportu i Graciela nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Dlatego Joe wybierał się bez niej i przekonywał się, że tęsknotę za nią i Tomaszem czuje całym ciałem. W środku nocy w ich domu w Ybor budził go ból żołądka tak ostry, że odbierał mu dech.

Gdy tylko kończył interesy, pierwszym samolotem leciał do Miami, a stamtąd – najbliższym do domu.

Nie chodziło o to, że Graciela nie chciała wrócić do Tamy. Po prostu nie zgadzała się lecieć tam samolotem. I nie zamierzała wracać natychmiast. (Co, jak podejrzewał Joe, znaczyło, że tak naprawdę jednak nie chciała wrócić). Dlatego zostali w górach Las Terrazas, a do jej matki i siostry Benity dołączyła trzecia siostra, Ines. Wyglądało na to,

że czas i obecność Tomasa uleczyły wszystkie zadrażnienia między Gracielą, matką, Benitą i Ines. Parę razy Joe niefortunnie poszedł za ich śmiechem i przyłapał je na przebieraniu Tomasa za dziewczynkę.

Pewnego ranka Graciela spytała, czy mogą kupić dom.

– Tutaj?

– No, niekoniecznie w tym miejscu. Ale na Kubie. Tylko po to, żeby go tu odwiedzać.

– Będziemy odwiedzać? – Joe uśmiechnął się.

– Tak. Wkrótce muszę wrócić do pracy.

Tak naprawdę nie musiała. Podczas wizyt w Tampie Joe sprawdzał ludzi, którym Graciela powierzyła swoje liczne organizacje dobroczynne. Wszyscy zasługiwali na zaufanie. Mogła się nie pojawiać w Ybor przez dziesięć lat, a jej organizacje by się utrzymały na powierzchni – mało tego, kwitłyby.

– Jasne, laluniu. Cokolwiek zechcesz.

– To nie musi być nic dużego. Ani efektownego. Ani...

– Gracielo. Wybierz sobie, co chcesz. Jeśli zobaczysz dom, który nie jest na sprzedaż, zaproponuj podwójną cenę.

W tych czasach coś takiego nie należało do rzadkości. Kuba, dotknięta przez Wielki Kryzys bardziej niż większość krajów, robiła pierwsze ostrożne kroki ku ozdrowieniu. Okrucieństwa reżimu Machado zastąpiła nadzieja rządów pułkownika Fulgencio Batisty, przywódcy buntu sierżantów, przez który Machado musiał się wynosić. Oficjalnym prezydentem republiki był Carlos Mendieta, ale wszyscy wiedzieli, że imprezą kieruje Batista i jego armia. Ten układ był tak popierany, że rząd amerykański zaczął przelewać pieniądze na wyspę pięć minut po przewrocie, w wyniku którego Machado znalazł się w samolocie do Miami. Pieniądze poszły na szpitale, budowę szos, muzea i nową handlową dzielnicę na Malecón. Pułkownik Batista nie tylko kochał rząd amerykański, ale i amerykańskich hazardzistów, więc Joe, Dion, Meyer Lansky i Esteban Suarez oraz inni otrzymali pełen dostęp do najwyższych urzędów rządowych. Już nabyli dziewięćdziesięciodziewięcioletnią dzierżawę na niektóre najlepsze tereny koło Parque Central i w dzielnicy Tacon Market.

Czekały ich nieograniczone zyski.

Graciela powiedziała, że Mendieta jest marionetką Batisty, a Batista to marionetka United Fruit Company i Stanów Zjednoczonych. On złupił skarbiec i zgwałcił kraj, a Stany Zjednoczone utrzymują go na stanowisku, bo wierzą, że za złymi pieniędzmi jakimś cudem mogą pójść dobre uczynki.

Joe nie dyskutował z nią. Nie wytknął jej też, że ich dobre uczynki także nastąpiły po wzbogaceniu się złymi pieniędzmi. W zamian spytał o dom, który znalazła.

Była to podupadła plantacja tytoniu tuż pod wioską Arcenas, osiemdziesiąt kilometrów na zachód w prowincji Pinar del Rio. Znajdował się na niej domek gościnny dla rodziny i niekończące się pola czarnej ziemi, po której mógł biegać Tomas. Gdy Joe i Graciela kupili plantację od wdowy Domeniki Gomez, przedstawiła ich ona prawnikowi Ilario Bacigalupiemu. Wyjaśniła, że Ilario nauczy ich wszystkiego, co trzeba wiedzieć o uprawie tytoniu, o ile ich to interesuje.

Wdowa odjechała w dwukolorowym detroit electric, prowadzonym przez szofera, a Joe spojrzął na małego okrągłego mężczyznę z wąsem bandyty. Parę razy widział już go z wdową Gomez, zawsze trzymającego się na drugim planie. Zakładał, że to ochroniarz, bo w tych okolicach zdarzały się porwania. Ale teraz zauważył posiekane bliznami, nieproporcjonalnie duże ręce i wydatne kości.

Nigdy nie myślał o tym, co mógłby zrobić z tą ziemią.

Natomiast Ilario Bacigalupi poświęcił temu tematowi wiele namysłu.

Po pierwsze, wyjaśnił Joemu i Gracieli, nikt nie mówi do niego Ilario. Wszyscy nazywają go Ciggy, co nie ma nic wspólnego z cygarami. Jako dziecko nie potrafił wymówić własnego nazwiska i zawsze zawieszał się na drugiej sylabie.

Ciggy powiedział im, że dwadzieścia procent mieszkańców wioski Arcenas do niedawna utrzymywało się z pracy na plantacji. Odkąd pan gospodarz Gomez padł ofiarą alkoholu, potem spadł z konia, a następnie wpadł w szaleństwo i chorobę, nikt nie miał pracy. Od trzech lat nie było pracy. Dlatego tak wiele dzieci w wiosce nie nosi spodni. Koszule, jeśli się o nie dba, wytrzymają przez całe życie, ale spodnie w pewnym momencie drą się na siedzeniu lub na kolanach.

Podczas podróży przez Arcenas Joe rzeczywiście zauważył mnóstwo dzieci z gołymi pupami. Cholera, zdarzały się także zupełnie nagie. Arcenas, leżąca u stóp Pinar del Rio, stanowiła raczej załazek wioski. Było to zbiorowisko chylących się ku upadkowi chat z dachami i ścianami z suchych palmowych liści. Ludzkie odchody spływały trzema kanałami do tej samej rzeki, z której mieszkańcy wioski brali wodę do picia. Nie było tutaj sołtysa ani przywódcy z prawdziwego zdarzenia. Funkcję ulic pełniły błotniste ścieżki.

– Nie znamy się na rolnictwie – powiedziała Graciela.

Siedzieli w kantynie w Pinar del Rio City.

– Ja się znam – oznajmił Ciggy. – Wiem tak wiele, señorita, że to, co zapomniałem, nie jest godne zapamiętania.

Joe spojrzął w jego przepastne, mądre oczy i przewartościował swoje zdanie na temat jego znajomości z wdową. Sądził, że Ciggy zapewniał kobiecie ochronę, ale teraz

zrozumiał, że raczej przez cały okres zawierania transakcji czuwał on nad zapewnieniem sobie przyszłości i że uświadomił wdowie Gomez, czego się po niej spodziewa.

– Od czego byś zaczął? – spytał go Joe, nalewając kolejną szklaneczkę rumu.

– Musi pan przygotować ziemię i grządki. To pierwsza rzecz, *patrón*. Pierwsza rzecz. Sezon zacznie się w przyszłym miesiącu.

– Będziesz schodzić z drogi mojej żonie, kiedy zacznie remontować dom?

Ciggy kilka razy skinął głową, patrząc na Gracielę.

– Oczywiście, oczywiście.

– Ilu ludzi do tego potrzebujesz? – spytała.

Wyjaśnił, że muszą mieć ludzi, także dzieci do siewu i mężczyzn do zrobienia grządek. Będą też potrzebować mężczyzn lub dzieci do sprawdzania, czy w glebie nie pojawiają się grzyby, choroby i pleśń. Mężczyźni i dzieci są potrzebni do sadzenia, pielenia i znowu orania, do wybijania pędraków, turkuci i innych szkodników. Także będą potrzebować umiarkowanie pijącego pilota do opryskiwania zasiewów.

– Jezu Chryste. – Joe się przestraszył. – Ile pracy to pochłania?

– Jeszcze nie rozmawialiśmy o ogławianiu, przycinaniu odrostów ani zbiorach – powiedział Ciggy. – No, a potem o wiązaniu, wieszaniu, suszeniu, wynajęciu kogoś do podtrzymywania ognia w suszarni. – Machnął wielką łapą na ten ogrom pracy.

– Ile możemy zarobić? – chciała wiedzieć Graciela.

Ciggy przesunął po stole kartkę z kwotami.

Joe przejrzał je, popijając rum.

– Więc w dobrym roku, jeśli nie pojawi się niebieska pleśń, szarańcza ani grad i jeśli Bóg każe słońcu nieustannie świecić na Pinar del Rio, zwrócą nam się cztery procenty inwestycji. – Spojrzał na Ciggy'ego. – Tak?

– Tak. Bo wykorzystujecie tylko jedną czwartą ziem. Ale jeśli zainwestujecie w inne pola i przywrócicie je do stanu, w jakim się znajdowały piętnaście lat temu... Za pięć lat będziecie bogaci.

– Już jesteśmy – powiedziała Graciela.

– To będziecie bogatsi.

– Dlaczego ma nas obchodzić jeszcze większe bogactwo?

– Pomyślcie o tym w ten sposób. Jeśli zostawicie ludzi samym sobie, pewnego ranka możecie ich ujrzyć śpiących na waszym polu.

Joe wyprostował się.

– To groźba?

Ciggy pokręcił głową.

– Wszyscy wiemy, kim pan jest. Sławnym jankeskim gangsterem. Przyjacielem pułkownika. Bezpieczniej będzie wypłynąć na środek oceanu i poderżnąć sobie gardło, niż zdrzeć z panem. – Poważnie zrobił znak krzyża. – Ale kiedy ludzie umierają z głodu i nie mają dokąd iść, gdzie się ich pan spodziewa zobaczyć?

– Nie na mojej ziemi.

– Ale to nie jest pańska ziemia. Ona należy do Boga. Pan ją tylko dzierżawi. Ten rum, to życie... – Klepnął się w pierś. – Wszyscy wypożyczyliśmy je od Boga.

Dom wymagał niemal tyle samo pracy, ile ziemi.

Na dworze zaczął się sezon siewów, tymczasem w środku rozpoczął się okres budowy gniazda. Graciela kazała położyć nowe tynki i pomalować wszystkie ściany, zerwać podłogę w połowie domu i zastąpić ją nowymi parkietami. W domu była tylko jedna toaleta; zanim Ciggy przystąpił do ogławiania, dom wzbogacił się o trzy nowe.

Rzędy tytoniu miały już ponad metr dwadzieścia wysokości. Pewnego ranka Joe obudził się, czując tak słodki i wonny zapach, że natychmiast pomyślał z pożądaniem o łuku szyi Gracieli. Tomas spał w łóżeczku, gdy oboje wyszli na balkon i spojrzeli na pola. Gdy Joe kładł się do łóżka, były brązowe; teraz na zielonym dywanie pojawiły się białe i różowe kwiaty, migoczące w łagodnym porannym świetle. Spojrzeli na swoje ziemie, ciągnące się od balkonu ich domu po podnóże Sierra del Rosario. Kwiaty rozkwitały, jak okiem sięgnąć.

Stojąca przed Joem Graciela sięgnęła za siebie i położyła rękę na jego karku. On objął jej brzuch i oparł brodę w wygięciu karku.

– A ty nie wierzysz w Boga – powiedziała.

Zaciągnął się jej zapachem.

– A ty nie wierzysz, że można robić dobre uczynki dzięki złym pieniądzom.

Roześmiała się, a on poczuł to w rękach i brodzie.

Tego ranka przybyli robotnicy i ich dzieci. Ruszyli przez pole, usuwając kwiaty, łodyga po łodydze. Rośliny rozkładały liście jak wielkie skrzydła; następnego ranka Joe nie zobaczył ze swojego okna ani ziemi, ani kwiatów. Uprawa pod nadzorem Ciggy'ego rozwijała się bez przeszkód. Na następny etap prac Ciggy sprowadził z wioski jeszcze więcej dzieci, dziesiątki dzieci i czasami Tomas zaczynał nieopanowanie chichotać, bo słyszał dochodzący z pola ich śmiech. Czasem Joe wieczorami słuchał głosów chłopców, grających w baseball na jednym z jałowych pól. Grali aż do zapadnięcia zupełnych

ciemności, posługując się zwykłymi kijami od szczotek i resztką regulaminowej piłki, którą gdzieś znaleźli. Skóra i wełniane nici znikły, ale udało im się ocalić korkowe wypełnienie.

Słuchał ich krzyków, trzaskania kijów o piłkę i myślał o tym, że Graciela wspomniała o daniu Tomasowi braciszka lub siostrzyczki.

I pomyślał: dlaczego ograniczać się do jednego?

Prace remontowe w domu posuwały się wolniej niż wskrzeszenie upraw. Pewnego razu Joe pojechał do Starej Hawany, żeby znaleźć Diego Alvareza, artystę specjalizującego się w restauracji witraży. *Señor* Alvarez zgodził się na proponowaną kwotę i tydzień na podróż do oddalonej o niemal dwieście kilometrów wioski, by naprawić uratowane przez Gracielę okna.

Po spotkaniu Joe odwiedził poleconego mu przez Meyera jubilera na Avenida de las Misiones. Zegarek ojca, który spóźniał się od ponad roku, całkiem się zatrzymał. Jubiler – mężczyzna w średnim wieku o ostrych rysach twarzy i wiecznie zmrużonych oczach – wziął zegarek, obejrzał mechanizm i wyjaśnił Joemu, że choć jest to arcydzieło sztuki zegarmistrzowskiej, należy robić mu przegląd częściej niż raz na dziesięć lat. Te części, powiedział, te delikatne części, widzi je pan? Trzeba je na nowo nasmarować.

– Jak długo to potrwa? – spytał Joe.

– Nie jestem pewien. Muszę rozmontować mechanizm i przyjrzeć się każdej części.

– Rozumiem. Jak długo?

– Jeśli będą wymagać tylko nasmarowania – cztery dni.

– Cztery. – Joe poczuł trzepot w piersiach, jakby przez nie przeleciał ptak. – Nie da się szybciej?

Mężczyzna pokręcił głową.

– I, *señor*... Jeśli cokolwiek się zepsuło, choćby jedna mała część – a widzi pan, jakie są małe?

– Tak, tak, tak.

– Będę musiał wysłać zegarek do Szwajcarii.

Joe przez chwilę patrzył przez oblepione pyłem szyby na pylistą ulicę. Wyjął z kieszeni na piersiach portfel i położył na blacie sto amerykańskich dolarów.

– Wrócę za dwie godziny. Proszę przygotować diagnozę.

– Co?

– Proszę mi powiedzieć, czy trzeba go wysłać do Szwajcarii.

– Tak, *señor*. Tak.

Joe opuściwszy sklep, włączył się po Starej Hawanie, pogrążonej w zmysłowym rozkładzie. Hawana, do czego doszedł przez ten rok podczas swoich licznych podróży, to nie tylko miasto. To sen o mieście. Sen, który na słońcu się rozleniwił, zatracił się we własnej nienasyconej ospałości, rozmiłował się w seksualnym tętnie swoich śmiertelnych konwulsji.

Joe skręcił raz, potem jeszcze dwa razy i stanął na ulicy, na której znajdował się dom publiczny Emmy Gould.

Esteban dał mu adres ponad rok temu, w noc przed krwawym dniem z Albertem Whitem, Maso, Szpadlem, biednym Salem, Lewusem i Carmine. Joe pewnie wiedział, że tutaj przyjdzie, odkąd wczoraj wyszedł z domu, ale nie przyznał tego przed samym sobą, bo przyjście tutaj wydało mu się niemądre i frywolne, a w nim zostało bardzo niewiele frywolności.

Przed domem stała kobieta, szlauchem zmywająca z chodnika rozbite poprzedniej nocy szkło. Odłamki i brud spływały do rynsztoka, biegnącego pochyłą brukowaną ulicą. Kobieta podniosła głowę i zobaczyła Joego; opuściła rękę, ale szlauch nie wypadł jej z dłoni.

Minione lata nie obeszyły się z nią bardzo źle, choć i niespecjalnie dobrze. Wyglądała jak piękna kobieta, której występki nie dodały urody, która za dużo paliła i piła, a oba te nałogi odcisnęły się na jej twarzy kurzymi łapkami, zmarszczkami wokół ust i poniżej dolnej wargi. Pod oczami zrobiły się worki, a włosy pomimo wilgoci w powietrzu wyglądały na przesuszone.

Podniosła szlauch i wróciła do pracy.

– Powiedz, co masz do powiedzenia.

– Spojrzysz na mnie?

Odwróciła się do niego, ale nie odrywała wzroku od chodnika. Musiał się odsunąć, żeby nie obryzgała mu butów.

– Czyli co, miałś wypadek i pomyślałaś „Wykorzystam to”?

Pokręciła głową.

– Nie?

Znowu przeczenie.

– Więc co?

– Kiedy gliniarze zaczęli nas gonić, powiedziałam kierowcy, że zdołamy im uciec, tylko jeśli zjedziemy z mostu. Ale nie chciał słuchać.

Joe ominął strumień wody.

– Więc?

– Więc strzeliłam mu w tył głowy. Runęliśmy w wodę, wypłynęłam, a Michael już na mnie czekał.

– Jaki Michael?

– Taki facet, z którym też kręciłam. Czekał przed hotelem przez całą noc.

– Dlaczego?

Spojrzała na niego spod oka.

– Gdy Albert i ty zaczęliście z tym „Nie mogę żyć bez ciebie, Emmo, jesteś moim życiem, Emmo”, musiałam mieć jakieś zabezpieczenie na wypadek, gdybyście chcieli się powystrzelać. Jakie miałam wyjście? Wiedziałam, że wcześniej czy później będę musiała uciec. Boże, jacy wyście się zrobili upierdliwi.

– Wielce przepraszam, że cię kochałem.

– Nie kochałeś mnie. – Skupiła się na szczególnie upartym kawałku szkła, który utknął między dwoma kamieniami bruku. – Chciałeś mnie mieć. Jak jakąś zaszraną grecką wazę czy elegancki garnitur. Chwalić się mną znajomym, mówić „Ale lala, nie?” – Teraz naprawdę na niego spojrzała. – Nie jestem lalą. Nie chcę być posiadana. Chcę posiadać.

– Opłakiwałem cię.

– To słodkie, misiaczku.

– Latami.

– I jak udźwignąłeś taki krzyż? Jejciu, jejciu, ale z ciebie dzielny mężczyzna.

Cofnął się o krok, choć skierowała szlauch w inną stronę. Dopiero teraz zobaczył całą jej grę, jak oferma, którego tyle razy okradano, że teraz żona nie wypuszczała go z domu, jeśli nie zostawił w nim zegarka i portfela.

– Zabrałaś pieniądze z szafki na dworcu, prawda?

Czekała na kulę, która powinna paść po tym pytaniu, ale on podniósł ręce, żeby jej pokazać, że są puste i takie zostaną.

– Przecież dałeś mi klucz. Pamiętasz.

Jeśli istnieje honor wśród złodziei, to Joe musiał przyznać: miała rację. Dał jej klucz. Od tego momentu mogła z nim robić, co uznała za stosowne.

– A ta martwa dziewczyna? Ta, której szczątki znaleziono?

Emma wyłączyła wodę i oparła się o gipsową ścianę domu swojego burdelu.

– Pamiętasz, jak Albert mówił, że znalazł sobie nową dziewczynę?

– Nie bardzo.

– No, więc znalazł. Siedziała w samochodzie. Nie znam jej imienia.

– Ją też zabiłaś?

Pokręciła głową i dotknęła czoła.

– Podczas zderzenia uderzyła głową w przednie siedzenie. Nie wiem, czy umarła wtedy, czy później, ale nie czekałam, żeby się przekonać.

Joe stał na ulicy i czuł się jak idiota. Żałosny tuman.

– Czy kiedykolwiek mnie kochałaś?

Spojrzała na niego z rosnącą desperacją.

– Jasne. Było parę takich chwil. Dobrze się bawiliśmy, Joe. Kiedy przestawałeś się do mnie modlić i rznąłeś mnie jak trzeba, było bardzo dobrze. Ale musiałeś z tego zrobić coś, czym to nie było.

– Czyli?

– Nie wiem. Czymś kwiecistym. Czymś, czego nie można wziąć do ręki. Nie jesteśmy dziećmi Boga, nie jesteśmy postaciami z bajki o prawdziwej miłości. Żyjemy nocą i tańczymy tak szybko, że trawa nie rośnie pod naszymi stopami. To nasze credo. – Zapaliła papierosa, zdjęła z języka płatek tytoniu, rzuciła go na wiatr. – Myślisz, że nie wiem, kim się stałeś? Myślisz, że nie zastanawiałam się, kiedy się tutaj pojawisz, wśród tubylców? Jesteśmy wolni. Nie ma braci, sióstr i ojców. Nie ma Albertów White'ów. Tylko my. Chcesz wejść? Masz otwarte zaproszenie. – Podeszła do niego. – Zawsze świetnie się bawiliśmy. Teraz też możemy się zabawić. Spędzić życie w tropikach, liczyć pieniądze na ałasowych prześcieradłach. Wolni jak ptaki.

– Cholera – powiedział Joe. – Nie chcę być wolny.

Przechyliła głowę, zdziwiona do granic prawdziwego smutku.

– Przecież tylko tego chcieliśmy.

– Ty tego chciałaś. I zobacz, masz to. Do widzenia, Emmo.

Mocno zacisnęła zęby i nie odpowiedziała, jakby broniąc mu tych słów, zachowywała trochę władzy.

Dokładnie taką upartą, zawziętą dumę okazują bardzo stare muły i bardzo rozpuszczone dzieci.

– Do widzenia – powtórzył i odszedł, nie oglądając się, bez odrobiny żalu, nie zostawiwszy żadnego niedopowiedzenia.

Jubiler powiedział mu – delikatnie i bardzo ostrożnie – że zegarek trzeba wysłać do Szwajcarii.

Joe podpisał formularz i zlecenie naprawy. Przyjął starannie spisany rachunek. Włożył go do kieszeni i wyszedł ze sklepu.

Stanął na starych ulicach Starego Miasta i przez chwilę nie wiedział, dokąd iść.

## ROZDZIAŁ 28

### ZA PÓŹNO

Wszyscy chłopcy, którzy pracowali na plantacji, grali w baseball, ale niektórzy traktowali go z religijną czcią. Gdy nadszedł czas zbiorów, Joe zauważył, że kilku określiło palce taśmą chirurgiczną.

– Skąd ją mają? – spytał Ciggy’ego.

– O, człowieku, mamy tego całe skrzynie – odpowiedział zarządca. – W czasach Machado przysłali tutaj ekipę lekarską z jakimiś dziennikarzami. Chcieli pokazać wszystkim, jak bardzo Machado kocha swoich wieśniaków. Wkrótce dziennikarze odeszli, lekarze także. Zabrali sprzęt, ale zostawili pudło tej taśmy dla dzieci.

– Dlaczego?

– Suszyłeś kiedyś tytoń, człowieku?

– Nie.

– A jeśli ci pokażę, przestaniesz zadawać głupie pytania?

– Pewnie nie.

Tytoń wybujiał już tak, że łodygi przerastały większość mężczyzn. Liście były dłuższe niż ramię Joego. Nie pozwalali już Tomasowi biegać między rzędami tytoniu z obawy, że się zgubi. Pewnego ranka przyszli zbieracze – przeważnie starsi chłopcy – i zaczęli zrywać najbardziej dojrzałe liście. Ułożyli je na drewnianych ramach, przyciągniętych przez muły. Potem muły wyprężono, a na ich miejsce podstawiono traktory, które pojechały do suszarni na zachodnim skraju plantacji. Zadanie to powierzono najmłodszemu chłopcom. Kiedyś Joe zszedł z ganku, a obok niego na traktorze przejechał najwyżej sześciolatek. Za ciągnikiem wlokła się rama ze stertą liści. Chłopiec uśmiechnął się szeroko do Joego i pomachał mu, po czym odjechał.

Przed suszarnią liście przenoszono z ram na ławki pod drzewami. Przymocowano do nich stojaki. Chłopcy, którzy grali niedawno w baseball – wszyscy z palcami owiniętymi taśmą – wieszali na stojaku kijek i zaczynali przywiązywać do niego liście, aż wypełniały go od końca do końca. Robili to od szóstej rano do ósmej wieczorem. W tych tygodniach nie było baseballu. Sznurek należało mocno zaciskać, utrzymując właściwe

naprężenie, więc otarcia dłoni i palców zdarzały się na porządku dziennym. Stąd taśma, wyjaśnił Ciggy.

– Widzisz, *patrón*, jak to się robi? Jak te liście wypełniają suszarnię od ściany do ściany? Siedzimy przez pięć dni, aż się ususzą. Pracuje tylko człowiek, który dokłada do ognia w suszarni, i ludzie czuwający, żeby nie zrobiło się w niej za sucho lub za wilgotno. Ci chłopcy mogą grać w baseball. – Przelotnie położył dłoń na ramieniu Joego. – Jeśli pozwolisz.

Joe stał przed suszarnią i przyglądał się wiążącym liście dzieciom. Musiały wyciągać wysoko ręce, żeby przywiązać liście do stojaków – i tak przez czternaście godzin dziennie. Łypnął ponuro na Ciggy'ego.

– Oczywiście, że pozwolę. Chryste, ta pieprzona praca jest nie do zniesienia.

– Robiłem to przez sześć lat.

– Jak?

– Nie lubię przymierać głodem. Ty lubisz?

Joe przewrócił oczami.

– Mhm. Kolejny człowiek, który nie lubi przymierać głodem – powiedział Ciggy. – W tym jednym całym świecie się zgadza – że głodowanie nie jest miłe.

Następnego rana Joe znalazł go w suszarni. Ciggy sprawdzał, czy liście zostały odpowiednio rozmieszczone na stojakach. Joe poprosił, żeby z nim poszedł i przeszli przez pola w stronę gór na wschodzie. Zatrzymali się na najgorszym kawałku ziemi, jaki posiadał Joe: kamienistym, pogrążonym w wiecznym cieniu otaczających go gór i wzgórz. Robactwo i chwasty czuły się tutaj znakomicie.

Joe spytał, czy Herodes, ich najlepszy szofer, dużo pracuje podczas suszenia liści.

– Pracuje przy zbiorach, ale nie tak, jak chłopcy.

– Dobrze. Każ mu zaorać to pole.

– Tu nic nie urośnie.

– Co ty powiesz.

– Więc po co je orać?

– Bo łatwiej zrobić boisko baseballowe na równym terenie, nie sądzisz?

Tego dnia, gdy robiono stanowisko pitchera, Joe szedł z Tomaszem koło suszarni, gdzie jeden z jego robotników, Perez, bił swojego syna. Tłukł go po głowie, jak psa, którego przyłapał na pożeraniu jego kolacji. Dzieciak nie mógł mieć więcej niż osiem lat.

– Ej – rzucił Joe i ruszył w ich stronę, ale Ciggy zastąpił mu drogę.

Perez i jego syn spojrzeli na niego zaskoczeni. Potem Perez uderzył znowu syna w głowę, a potem kilka razy w tyłek.

– To konieczne? – zagadnął Joe Ciggy’ego.

Tomas, błogo nieświadomy, wyciągał rączki do Ciggy’ego, którym się ostatnio zauroczył.

Ciggy przejął go od Joego i uniósł wysoko. Chłopczyk zachichotał.

– Myślisz, że Perez lubi bić swojego syna? – spytał Ciggy. – Myślisz, że pewnego razu się obudził i powiedział: dobra, chcę być draniem, chcę, żeby chłopak mnie znienawidził. Nie, nie, nie, *patrón*. Obudził się i powiedział: muszę przynieść mojej rodzinie jedzenie, muszę zadbać, żeby nikomu nie było zimno, żeby deszcz im nie padał na głowę, muszę załatać tę dziurę na dachu, wybić szczury, pokazać rodzinie właściwą drogę, pokazać żonie, że ją kocham, mieć pięć zasranych minut dla siebie i przespać cztery godziny, zanim będę musiał znowu wstać i iść na pole. A kiedy tam pójde, będę słyszał, jak najmłodszy płaczą „Papo, jestem głodny, papo, nie ma mleka, papo, jestem chory”. Potem po całym dniu pracy wraca do domu, tak jest dzień za dniem, a potem ty dajesz jego synowi pracę. *Patrón*, to tak, jakbyś uratował mu życie. Bo może mu uratowałeś. Ale kiedy jego syn zawodzi? *Cono*. Ten syn dostaje bicie. Lepsze bicie niż głód.

– W czym zawinił ten chłopiec?

– Miał obserwować ogień w suszarni. Zasnął. Mógł spalić całe zbiory. – Ciggy oddał Tomasa Joemu. – Mógł zginąć w ogniu.

Joe spojrział na syna i ojca. Perez obejmował syna, chłopiec kiwał głową. Ojciec mówił do niego cicho i kilka razy pocałował go w skroń. Lekcja została odebrana. Ale chłopiec nie złagodniał po pocałunkach. Dlatego ojciec odsunął jego głowę i obaj wrócili do pracy.

Boisko do baseballu zostało ukończone w dniu, gdy przeniesiono tytoń z suszarni do pakowni. Przygotowanie liści na rynek było przeważnie zadaniem kobiet, które rano zjawiały się na plantacji, tak samo twarde i zacięte jak mężczyźni. Gdy sortowały liście według klas, Joe zaprowadził chłopców na boisko, dał im rękawice, nowe piłki i kije, przywiezione przed dwoma dniami. Rozłożył trzy bazy i bazę domową.

Tak, jakby nauczył ich latać.

Wczesnymi wieczorami zabierał Tomasa na mecz. Czasami dołączała do nich

Graciela, ale jej obecność często rozpraszała kilku chłopców na progu dojrzałości.

Tomas, jedno z tych dzieci, które nie potrafią usiedzieć spokojnie, podczas meczu zachowywał się nadzwyczaj spokojnie, był jak urzeczony. Trwał nieruchomo, z rękami złożonymi między kolanami, przyglądając się czemuś, czego nie mógł jeszcze rozumieć, ale co oddziaływało na niego tak, jak muzyka i ciepła woda.

Kiedyś Joe powiedział do Gracieli:

– Oprócz nas nadzieję daje im tylko baseball. Kochają to.

– Więc to dobrze, tak?

– Świetnie. Możesz srać na Amerykę, ile chcesz, skarbie, ale eksportujemy parę dobrych towarów.

Jej przekorne brązowe oczy błysnęły.

– Ale żądacie za nie zapłaty.

– Kto tego nie robi? Co napędza ten świat, jeśli nie wolny handel? Dajemy coś i w zamian coś dostajemy.

Joe kochał swoją żonę, ale nie potrafiła przyjąć do wiadomości, że jej kraj, choć niewątpliwie zadłużony wobec Ameryki, o wiele lepiej wychodził na tej transakcji. Zanim zjawiły się Stany Zjednoczone, żeby wyciągnąć Kubańczyków z kłopotów, Hiszpania pozwalała im gnić w wylęgarniach malarii, ze złymi drogami i nieistniejącą opieką medyczną. Machado nie wprowadził zmian na lepsze. Ale teraz, za czasów generała Batisty, zyskali rozbudowującą się infrastrukturę. Mieli kanalizację i elektryczność w jednej trzeciej kraju i w połowie Hawany. Mieli dobre szkoły i parę przyzwoitych szpitali. Mogli się spodziewać dłuższego życia. Mieli dentystów.

Tak, Stany Zjednoczone wprowadziły nieco zmian pod lufą pistoletu. Ale tak postępowały wszystkie wielkie kraje, które szerzyły cywilizację.

A jeśli chodzi o Ybor – czy on nie robił tak samo? I ona? Zbudowali szpitale za pieniądze zbrukane krwią. Za to, co zarobili na rumie, ratowali żyjące na ulicy kobiety i dzieci.

Od zarania dziejów dobre uczynki robi się za złe pieniądze.

A teraz, w oszalałej na punkcie baseballu Kubie, w rejonie, w którym chłopcy mogli grać tylko kijami i gołymi rękami, nagle pojawiły się rękawice, tak nowe, że skóra aż trzeszczała i kije jasne jak obrane jabłka. I co wieczór po pracy, gdy resztę zielonych łodyg oczyszczono z liści, a zbiory zostały podliczone i spakowane, zaś powietrze pachniało nawilżonym tytoniem i smołą, Joe siadywał na krześle obok Ciggy'ego, patrzył, jak cienie wydłużają się na polu i rozmawiał o tym, gdzie kupić nasiona na trawę boiska, żeby chłopcy nie poniewierali się już w piachu i wśród kamieni. Ciggy słyszał pogłoski, że

gdzieś w okolicach znajduje się liga baseballu, a Joe poprosił, żeby się tym zainteresował, zwłaszcza na jesieni, kiedy praca na polu stawała się najłżejsza.

W dzień targowy ich tytoń osiągnął drugą pod względem wysokości cenę w magazynie; czterysta arkuszy, ważących średnio sto dwadzieścia pięć kilogramów, trafiło do jednego kupca – Towarzystwa Tytoniowego Roberta Burnsa, produkującego panatele – nowy amerykański przebój na rynku cygar.

By to uczcić, Joe dał premię wszystkim mężczyznom i kobietom. Podarował wiosce dwie skrzynki rumu Coughlin-Suarez. Potem, za radą Ciggy'ego, wynajął autobus i wraz z Ciggym zabrał małych baseballistów na ich pierwszy w życiu film w Bijou w Viñales.

W kronice filmowej mówiono wyłącznie o ustawach norymberskich, już obowiązujących w Niemczech. Zdjęcia przedstawiały niespokojnych Żydów, którzy pakowali swój majątek i zostawiali umeblowane mieszkania, by wyjechać pierwszym pociągiem. Joe czytał ostatnio, że kanclerz Hitler podobno stanowił prawdziwe zagrożenie dla kruchego pokoju, utrzymywanego w Europie od 1918 roku, ale wątpił, żeby ten zabawny człowieczek posunął się dalej ze swoimi szaleństwami, skoro świat się ocknął i zwrócił na niego uwagę. To się po prostu nie wydawało prawdopodobne.

Krótkometrażówki, które nastąpiły po kronice, były błahe, choć chłopcy zaśmiewali się z nich jak szaleni, z oczami wielkimi jak bazy baseballowe, które im kupił. Joe nie od razu sobie uświadomił, że tak mało wiedzieli o filmach, iż wieści z Niemiec uważali za właściwy seans.

Potem zaczął się film – western „Jeźdźcy z Gór Wschodnich”, z Teksem Moranem i Estelle Summers. Na czarnym ekranie przemknęła lista płac i Joe, który w ogóle nigdy nie chodził do kina, pewnie zlekceważyłby twórców obrazu. Już zaczął spuszczać wzrok, by sprawdzić, czy ma dobrze zawiązany prawy but, gdy jego wzrok przykuło nazwisko, które pojawiło się na ekranie:

*scenariusz*

*Aiden Coughlin*

Spojrzał na Ciggy'ego i chłopców, ale nic nie zauważyli.

Mój brat, chciał powiedzieć komuś. Mój brat.

W drodze powrotnej do Arcenas nie mógł przestać myśleć o filmie. Western, no tak, z mnóstwem strzelaniny i niewiastą w niebezpieczeństwie, z pościgami za dyliżansem po kruszącym się klifie – ale jeśli się znało Danny'ego, kryło się w nim coś jeszcze. Bohater, którego grał Tex Moran, był uczciwym szeryfem w mieście pełnym nikczemników. W mieście tym najbardziej szanowani obywatele zebrali się nocą, by uknuć zamach na smagłego wędrownego rolnika, który, jak twierdził jeden z nich, pożądliwie gapił się na

jego córkę. Ostatecznie film wycofywał się ze swoich radykalnych stwierdzeń. Dobrzy obywatele okazywali skruchę, ale dopiero wtedy, gdy smagły rolnik został zabity przez grupę obcych w czarnych kapeluszach. Przesłanie filmu, o ile Joe je zrozumiał, brzmiało: zagrożenie z zewnątrz unieważnia zagrożenie wewnętrzne. Co, jak wynikało z doświadczenia Joego – i Danny’ego – było bzdurą.

Mimo to bawili się świetnie. Chłopcy oszaleli; przez całą drogę do domu mówili, że kiedy dorosną, kupią sobie rewolwery i pasy z kaburami.

Tego lata przysłano z Genewy jego zegarek. Zamknięto go w ślicznym mahoniowym pudełku z aksamitną wyściółką. Jego nowo wypolerowana koperta lśniła.

Joe tak się cieszył, że dopiero po kilku dniach przyznał, iż zegarek nadal trochę się spóźnia.

We wrześniu Graciela dostała list z informacją, że Rada Nadzorcza Większego Ybor wybrała ją kobietą roku za pracę dla poszkodowanych przez los w Dzielnicy Łacińskiej. Rada ta składała się z osób pochodzenia kubańskiego, hiszpańskiego i włoskiego, spotykających się raz w miesiącu, żeby przedyskutować wspólne sprawy. W pierwszym roku działalności grupa rozwiązywała się trzy razy, bo większość zebrań kończyła się bójkami, przenoszonymi z restauracji na ulicę. Bójki wybuchały zwykle między Hiszpanami i Kubańczykami, ale od czasu do czasu także Włosi przywalali, komu trzeba, żeby nie zardzewieć. Gdy wreszcie rozładowano napięcia, członkowie rady znaleźli wspólny język i bardzo szybko stali się znaczącą grupą. Jeśli Graciela się zgodzi, napisano w liście, rada z radością ofiaruje jej nagrodę na gali w hotelu Don Ce-Sar na St. Petersburg Beach w pierwszy weekend października.

– Co o tym sądzisz? – spytała przy śniadaniu Graciela.

Joe był ledwie przytomny. Ostatnio powtarzał mu się ciągle ten sam koszmar w różnych odmianach. Znajdował się z rodziną w jakimś obcym kraju, chyba Afryce, choć nie potrafił powiedzieć, dlaczego tak uważał. Otaczała ich wysoka trawa i było bardzo gorąco. W najdalszej części widzianego pola pojawił się jego ojciec. Nic nie powiedział. Patrzył tylko, jak z wysokiej trawy wychodzą pantery, smukłe i żółtookie. Ich sierść miała ten sam płowy kolor, co trawa, dlatego dostrzegano je dopiero, gdy było już za późno. Joe zobaczył pierwszą i krzyknął, żeby ostrzec Gracielę i Tomasa, ale kot, który usiadł mu na piersi, już mu wyrwał krtań. Joe zauważył, że jego krew wydaje się bardzo czerwona na wielkich białych kłach, a potem zamknął oczy, bo kot wrócił po dokładkę.

Nalał sobie kawy i spróbował pozbyć się wspomnienia o śnie.

– Myślę – powiedział – że pora, żebyś znowu zobaczyła Ybor.

Remont domu – ku ich wielkiemu zaskoczeniu – właściwie dobiegł końca. W zeszłym tygodniu Joe i Ciggy położyli darń na boisku. Przez jakiś czas nic nie trzymało ich na Kubie – oprócz Kuby.

Wyjechali pod koniec września, u schyłku pory deszczowej. Wypłynęli z portu w Hawanie, przebyli Cieśninę Florydzką i ruszyli dalej na północ, wzdłuż zachodniego brzegu Florydy. Do portu w Tampie zawinęli późnym popołudniem dwudziestego dziewiątego września.

Seppe Carbone i Enrico Pozzetta, którzy szybko awansowali w organizacji Diona, wyszli im na spotkanie. Seppe powiedział, że wieść o ich powrocie przeciekła do prasy. Pokazał Joemu piątą stronę „Tribune”:

### POWRÓT SZEFA MAFII

Autor artykułu sugerował, że Ku Klux Klan wystosował pogróżki, a FBI przygotowuje akt oskarżenia.

– Jezu, skąd oni biorą te pierdoły? – powiedział Joe.

– Zabrać pański płaszcz?

Joe miał narzucony na garnitur jedwabny płaszcz przeciwdeszczowy, który kupił w Hawanie. Został sprowadzony z Lizbony i choć był lekki jak pajęczyna, nie przepuszczał ani kropli deszczu. Przez ostatnie godziny rejsu Joe widział zbierające się chmury, co go nie zdziwiło – pora deszczowa na Kubie była o wiele gorsza, ale i w Tampie opady potrafiły dać do wiwatu, a sądząc po chmurach, można się było spodziewać ulewy.

– Zatrzymam go – zdecydował Joe. – Pomóż żonie z bagażami.

– Oczywiście.

Cała czwórka opuściła budynek portu i przeszła na parking. Seppe siedł po prawej stronie Joego, Enrico – po lewej stronie Gracieli. Tomas siedział na biodrze Joego, obejmując go za szyję. Joe akurat spoglądał na zegarek, kiedy rozległ się huk pierwszego strzału.

Seppe umarł, zanim zdążył upaść – Joe widział to wystarczająco wiele razy. Nadal trzymał bagaże Gracieli, kiedy kula przeszła mu na wylot przez głowę. Joe odwrócił się w jego stronę, rozległ się drugi strzał. Strzelec powtarzał coś spokojnym, suchym głosem. Joe przygarnął mocno Tomasa i rzucił się ku Gracieli. Wszyscy upadli na ziemię.

Tomas krzyknął, chyba bardziej ze strachu niż z bólu. Graciela stęknęła. Joe słyszał, jak Enrico opróżnia magazynek. Obejrzał się; Enrico dostał w szyję, krew płynęła z niej zbyt szybko i była o wiele za ciemna, ale mężczyzna ciągle strzelał z colta kaliber czterdzieści pięć, strzelał pod najbliższy samochód.

Do Joego dotarły słowa strzelającego.

– Okaż skruchę. Okaż skruchę.

Tomas załkał. Nie z bólu, tylko ze strachu, Joe znał różnicę.

– W porządku? – spytał Gracielę. – Jesteś cała?

– Tak. Powietrza mi zabrakło. Idź.

Joe odczołgał się od nich, wyciągnął trzydziestkędwójkę i dołączył do Enrico.

– Okaż skruchę.

Strzelali pod samochód, w brązowe buty i spodnie.

– Okaż skruchę.

Po piątym strzale i on, i Enrico trafili. Enrico przebił dziurę w lewym bucie napastnika, Joe przestrzelił mu na wylot kostkę.

Joe spojrział na Enrico w samą porę, by zobaczyć, jak ten kaszle i umiera. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko – odszedł, zanim pistolet w jego dłoni przestał dymić. Joe przeskoczył maskę dzielącego ich samochodu i wylądował przed Irvingiem Figgisem.

Były dowódca miał na sobie brązowy garnitur i zszarzałą białą koszulę. Głowę przykrył słomkowym kapeluszem i podparł się swoim długolufowym coltem, by stanąć na nieuszkodzonej stopie. Stanął w tym swoim brązowym garniturze na żwirze, a roztrzaskana noga dyndała mu tak, jak pistolet w dłoni.

Figgis spojrział Joemu w oczy.

– Okaż skruchę.

Joe celował w jego pierś.

– Nie rozumiem.

– Okaż skruchę.

– Świetnie. Komu?

– Bogu.

– Kto mówi, że nie okazuję? – Joe zrobił krok naprzód. – Ale nie okażę jej tobie.

– Więc okaż skruchę Bogu – wydyszał Irv. – W mojej obecności.

– Nie. Bo wtedy nadal będzie chodzić o ciebie, a nie o Boga, prawda?

Irv zadrzał kilka razy.

– To była moja córeczka.

Joe przytaknął.

– Ale ja ci jej nie zabrałem.

– Zabrali mi ją tacy jak ty. – Irv otworzył oczy i skupił wzrok na Joem, na czymś w okolicach jego pasa.

Joe zerknął w dół i niczego nie dostrzegł.

– Tacy jak ty – powtórzył były dowódca. – Tacy jak ty.

– Czyli jacy? – Joe zaryzykował kolejne spojrzenie na pierś. Nadal nic nie widział.

– Tacy, którzy nie mają Boga w sercu.

– Mam Boga w sercu. Tylko to nie jest twój Bóg. Dlaczego ona zabiła się w twoim łóżku?

– Co? – Irv zaczął płakać.

– W tym domu były trzy sypialnie. Dlaczego wybrała akurat twoją?

– Ty chory, samotny człowieku. Ty chory, samotny...

Irv spojrzał na coś nad ramieniem Joego, a potem znowu na jego pas.

I Joe nie wytrzymał. Przyjrzał się sobie uważnie i zobaczył coś, czego nie miał, schodząc na suchy ląd. Coś, co nie znajdowało się w jego pasie, tylko na płaszczu. W płaszczu.

Dziura. Idealnie okrągła dziura na prawej klapie, tuż koło prawego biodra.

Irv spojrzał mu w oczy. W tych oczach malował się wielki wstyd.

– Tak bardzo – powiedział Irv – przepraszam...

Joe nadal usiłował zrozumieć, co się stało, kiedy Irv dostrzegł to, na co czekał i skoczył na jednej nodze na drogę, prosto pod ciężarówkę z węglem.

Kierowca uderzył w niego i wdepnął hamulce, ale rozpęd poniósł go po czerwonych ceglach. Irv zniknął pod kołami, a ciężarówka podskoczyła, miażdżąc mu kości i przetaczała się po nim.

Joe odwrócił się od drogi, usłyszał pisk opon ciężarówki, nadal niesionej rozpędem, spojrzał na dziurę w swoim płaszczu i uświadomił sobie, że kula uderzyła od tyłu. Przeszła przez materiał na wylot, omijając biodro, kto wie, o ile centymetrów, dużo czy mało. Kłapa płaszcza łopotała w powietrzu, gdy usiłował ukryć rodzinę. Gdy...

Spojrzał na samochód; Graciela usiłowała wstać. Zobaczył krew, spływającą z jej brzucha, zalewała jej biodra i nogi. Przeskoczył nad maską samochodu i wylądował na czworakach przed nią.

– Josephie? – odezwała się.

Słyszał w jej głosie strach. Słyszał w nim świadomość. Zdarł z siebie płaszcz. Znalazł ranę tuż nad pachwiną i przycisnął do niej zmięty w kłęb materiał.

– Nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie, nie – powtarzał.

Już nie próbowała się poruszyć. Chyba nie mogła.

Jakaś młoda kobieta odważyła się wyrzeć z drzwi budynku portu.

– Lekarza! – krzyknął do niej Joe. – Lekarza!

Kobieta schowała się, a Joe napotkał wzrok Tomasa, wpatrującego się w niego z otwartą buzią, z której nie wydobywał się żaden dźwięk.

– Kocham cię, Joe. Zawsze cię kochałam.

– Nie – rzucił i przycisnął czoło do jej czoła. Naciskał na ranę ze wszystkich sił. – Nie, nie, nie. Jesteś moim... jesteś moim... nie.

– Ćśśś – szepnęła.

Podniósł głowę, a ona odpłynęła, odpłynęła daleko.

– Światem – powiedział.

# ROZDZIAŁ 29

## ZA PÓŹNO

Pozostał wielkim przyjacielem Ybor, choć niewielu wiedziało, kim jest. Nikt z pewnością nie znał go tak, jak znano go za jej życia. Wtedy był miły i zaskakująco otwarty jak na człowieka swojej profesji. Teraz był miły.

Niektórzy mówili, że bardzo się postarzał. Chodził niepewnie, jakby utykał, choć nogi miał zdrowe.

Czasami zabierał chłopca na ryby. Przeważnie o zachodzie słońca, gdy najczęściej brały żuchwiaki i karmazyny. Siadywali na falochronie, gdzie uczył chłopca zakładania haczyka. Od czasu do czasu obejmował go ramieniem, mówił mu coś cicho do ucha i wskazywał Kubę.

# PODZIĘKOWANIA

Moje ogromne wyrazy wdzięczności dla:

Toma Bernardo, Mike'a Eigena, Mała Ellenburga, Michaela Koryta, Gerry'ego Lehane'a, Theresy Milewski i Sterlinga Watsona za czytanie pierwszych wersji tekstu i opinie.

Pracowników Muzeum Henry'ego B. Planta i Don Vicente De Ybor Inn w Tampie.

Dominica Amenty z Regan Communications Group za odpowiedzenie na moje pytania o hotel Statler w Bostonie.

I szczególne podziękowania dla Scotta Deitche za oprowadzenie mnie po mafijnym Ybor City.